

ANDREA Camilleri



Pomarańczki komisarza Montalbano



NOIR SUR BLANC

Spis treści

Strona tytułowa
Strona redakcyjna
Próba generalna
Ta biedna Maria Castellino
Kot i szczygieł
Jak twierdzi Pessoa
To samo nazwisko
Ten przypadek rozwiązał Catarella
Gra w trzy karty
Kawałki sznurka całkiem nieprzydatne
Referendum powszechne
Montalbano odmawia
Miłość i Braterstwo
Porwanie
Tu chodzi o miliardy
Tak to robiła Alicja
Kontrola
Zaradna pani domu
„Mój drogi Salvo...” „Kochana Livio...”
Powtórzone za Manzoniem
Mucha schwytana w locie
Pomarańczki komisarza Montalbano
Od autora
Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc

ANDREA CAMILLERI

MIESIĄC Z KOMISARZEM
MONTALBANO

Przełożył
Stanisław Kasprzysiak

NOIR SUR BLANC

Tytuł oryginału: GLI ARANCINI DI MONTALBANO

Opracowanie redakcyjne: KLEMENS GÓRSKI

Korekta: MACIEJ KORBASIŃSKI, BEATA WYRZYKOWSKA, JANINA
ZGRZEMBSKA

Fotografia na okładce: Alamy/B&W

Opracowanie graficzne serii: OLGIERD CHMIELEWSKI

Copyright © 1999 Arnoldo Mondadori Editore S.p.A.

For the Polish edition

Copyright © 2006, Noir sur Blanc, Warszawa

ISBN 978-83-65613-01-1

Oficyna Literacka Noir sur Blanc Sp. z o.o.

ul. Frascati 18, 00-483 Warszawa

e-mail: nsb@wl.net.pl

księgarnia internetowa: www.noirsurblanc.pl

Konwersja: [eLitera s.c.](http://eLitera.s.c.)

Próba generalna

Ta noc była naprawdę okropna; na zmianę nagłe porywy wiatru i gwałtowna ulewa, tak natarczywa, jakby miała podziurawić dachy. Montalbano wrócił do domu późno, był zmęczony, bo miał za sobą ciężki dzień, a co gorsza, czuł pustkę w głowie. Wyszedł na werandę; morze zalało plażę i podpływało niemal pod dom. Przepadła przechadzka. Mógł tylko pójść pod prysznic i od razu wylądować w łóżku, z książką w rękę. Łatwo to mówić! Kiedy wybierał książkę, z którą miałby zasypiać, dzieląc z nią łóżko i poświęcając jej ostatnie myśli, gotów był tracić na to nawet godzinę. Po pierwsze, musiał się zdecydować, jakiego rodzaju ma to być książka, bo lektura powinna być zgodna z nastrojem, jaki tego wieczora w sobie wyczuwał. Sięgnąć po esej historyczny mówiący o zdarzeniach ostatniego stulecia? Lepiej z tym uważać; przy dzisiejszej modzie na rewizję poglądów można natrafić na autora, który zechce ci wmawiać, że Hitler był w gruncie rzeczy figurą słono opłacaną przez Żydów, aby mogli oni, dzięki jego wyczynom, stać się oplakiwanymi przez cały świat ofiarami. Czytasz to i ponosi cię taka złość, że do rana nie możesz zmrużyć oka. Wobec tego – powieść kryminalna. Dobrze, ale jaka? Znowu jedna z tych angielskich, przeważnie pisanych przez kobiety, w których zdarzeniami kierują pogmatwane stany ducha, a te stany już po trzech stronach zaczynają cię nudzić. Wyciągnął rękę, żeby wybrać jedną z nich, taką, której jeszcze nie czytał, i właśnie w tym momencie zadzwonił telefon. Boże święty! Zapomniał odezwać się do Livii, pewnie więc ona dobija się teraz do niego, niepokojąc się, co z nim. Podniósł słuchawkę.

– Halo? Czy to komisarz Montalbano?

– Tak. Kto mówi?

– Mówi Genco Orazio.

Czego może chcieć od niego o tej porze Orazio Genco, ten siedemdziesięcioletni złodziej rutynowo okradający mieszkania? Montalbano czuł do niego sympatię, bo Orazio nigdy w swoim długim życiu nie pozwolił sobie na nic brutalnego, nie splamił się przemocą. A złodziej tę sympatię komisarza dobrze wyczuwał.

– O co chodzi, Orri?

– Muszę z panem pomówić, komisarzu.

– Coś się stało? Coś poważnego?

– Komisarzu, nie wiem. Nie potrafię panu tego wyjaśnić. Przytrafiło mi się coś dziwnego i nie daje mi to spokoju. Dobrze by było, żeby pan o tym usłyszał.

– Chcesz do mnie przyjechać?

– Zgadł pan, chciałbym.

– Ale jak? Czym przyjedziesz?

– Rowerem.

– Rowerem? Nabawisz się zapalenia płuc, to pewne. A w dodatku dojedziesz gdzieś nad ranem.

– Nie mogę inaczej.

– Skąd teraz do mnie dzwonisz?

– Z budki. Spod pomnika poległych.

– To tam na mnie czekaj. Nie wychodź z budki, przynajmniej masz dach nad głową. Wsiadam do samochodu i za kwadrans podjadę. Czekaj cierpliwie.

Trwało to dłużej niż kwadrans, bo Montalbano, zanim wyszedł z domu, wpadł na dobry pomysł: zaparzył kawę i wlał do termosu. Orazio, kiedy już siedział w aucie obok komisarza, wypił od razu pełen plastikowy kubek.

– Trochę przemarzłem – usprawiedliwił się.

Oblizął usta; było mu dobrze na świecie,

– Warto by jeszcze zapalić.

Montalbano podsunął mu paczkę papierosów, podał ogień.

– Czego jeszcze chcesz ode mnie, Orrí? Zerwałeś mnie z łóżka i w taką noc przygnałeś tutaj tylko dlatego, że zachciało ci się kawy i papierosa?

– Komisarzu, ja w taką noc wybrałem się kraść.

– I ja teraz mam cię za to aresztować?

– Powiem to panu, jak należy, komisarzu; ja tylko wymyśliłem, że w taką noc dobrze by było spróbować kradzieży.

– Ale ci się odechciało?

– W tym rzecz, odechciało mi się.

– Czemuż to?

– Zaraz to panu wytłumaczę. Kiedyś, parę lat temu, chodziłem tylko na wille nad morzem, bo ledwo nastawała jesień, to właściciele z nich się zabierali. Ale już się to zmieniło.

– Jak mam to rozumieć?

– Tak, że wille już nie stoją puste nawet w zimie. Już w nich mieszkają okrągły rok, bo mają samochody, a samochodem i tak jadą sobie, gdzie chcą i kiedy chcą. Teraz już na jedno wychodzi, czy się kradnie w mieście, czy w willach.

– To gdzieś się wybrał tej nocy?

– W jedno miejsce tu, w mieście. Zna pan warsztat, gdzie naprawiają auta? Ten u Giugiu Loreto?

– Przy szosie do Villaseta. Pewnie, że znam.

– Tam nad warsztatem są dwa mieszkania.

– Przecież tam muszą mieszkać biedacy! Co od nich wyniesiesz? Zajeżdżony czarno-biały telewizor?

– Komisarzu, nie ma pan racji – daruje pan. Nie zgadnie pan, kto się tam zaszył. Tanino Bracceri! W jednym mieszkaniu siedzi on, Tanino. A jego to pan na pewno dobrze zna!

Znał Tanina Bracceri – i to jak! Bracceri miał jakieś pięćdziesiąt lat i ze sto kilogramów: samo gówno i zjełczały tłuszcz! W porównaniu z nim spasiony na ubój wieprzek wypadał jak tancerz, jak prezenter mody. Był obrzydliwcem, lichwiarzem, o którym mówiono, że często każe sobie spłacać dług w naturze. Jego ofiary muszą mu przysyłać swoje nieszczęsne dzieci, chłopców albo dziewczęta, bo płęć nie miała dla niego znaczenia. Montalbano jak dotąd nie przyłapał go na gorącym uczynku, a chętnie by to zrobił, nikt jednak nigdy nie złożył na niego rzeczowego doniesienia. Sam pomysł, że Orazio Genco okradnie mieszkanie Tanina Bracceri, spotkał się z entuzjastyczną aprobatą stróża porządku i doktora nauk prawniczych, komisarza Montalbano.

– Ale go nie okradłeś – dlaczego? Może nawet bym cię za to nie aresztował.

– Powiem, jak było. Wiedziałem, że Tanino chodzi zawsze spać o tej samej porze, równo o dziesiątej. I że w drugim mieszkaniu na tym samym piętrze mieszka stare małżeństwo. Mało się ruszają z domu, nikt ich nie widuje na mieście, żyją jak na wyspie. Emerycy, i on, i ona. Nazywają się Di Giovanni. Szedłem tam na pewniaka, bo wiedziałem, że Tanino codziennie

łyka proszki na sen, bez nich nie umie zasnąć. Podjechałem pod warsztat, chwilkę odczekałem, rozglądałem się, ale wyszło na to, że na ulicy nie widać o tej porze żywego ducha. Otworzyłem sobie boczną bramkę do warsztatu i bez ceregieli wpakowałem się do środka. Na schodach nie było światła. Zaświeciłem latarką, ruszyłem cicho na górę. Na podeście już wyjąłem narzędzia, ale zobaczyłem, że drzwi do Di Giovannich są uchylone. Pewnie się starzy zagapili i nie zamknęli. Niedobra sprawa, pomyślałem, bo przy otwartych drzwiach mogą przecież usłyszeć moje chrobotanie. Przyciągnąłem drzwi i nawet chciałem je po cichu domknąć. Ale na drzwiach była przyczepiona kartka, jak taka wywieszka „zaraz wracam” tylko z innym napisem.

– Z jakim? Coś tam przeczytał?

– Teraz już nie pamiętam. Jedno słowo to chyba było: „generalska”

– Ten Di Giovanni jest generałem?

– Nie wiem, może jest

– Wal dalej.

– Przyciągnąłem pomalutku drzwi, ale mnie podkusiło, że przecież są otwarte, więc można by tam wejść. Nie odmówiłem sobie. W przedpokoju było ciemno, i tak samo w jadalni i w salonie. Ale w sypialni się świeciło. Wsunąłem głowę w drzwi i mnie zatkało. Tam, na ich małżeńskim łóżku, leżała kobieta, staruszka, była całkiem ubrana i martwa.

– Skąd ta pewność, że ona leży martwa?

– Komisarzu, miała złożone na piersi ręce, w nich różaniec, a brodę podwiązaną chustką, jak należy, żeby się jej usta nie otwały. Oczy, ma się rozumieć, miała zamknięte. Nie koniec na tym! Przy łóżku, w nogach, stało krzesło, a na nim siedział mężczyzna. Był odwrócony plecami do drzwi. Płakał, biedaczysko. Był to pewnie jej mąż.

– Orr, no nie powiodło ci się, trudno. Ten stary pewnie czuwał przy zmarłej żonie.

– Tak myślałem. A on naraz chwycił coś, co trzymał na kolanach, i przyłożył sobie do głowy. To był rewolwer, komisarzu!

– Mój Boże! I coś ty zrobił?

– Nic nie zdążyłem zrobić. Zastanawiałem się, ale on się na szczęście rozmyślił i opuścił rękę z rewolwerem, pewnie mu w ostatniej chwili zabrakło odwagi. Wycofałem się na palcach, żeby mnie nie usłyszał, do przedpokoju i zaraz wyszedłem z domu. Ale bramkę za sobą zatrzasnąłem z całej siły, huknęło, jakby ktoś strzelił z armaty. Pomyślałem, że mu przez to przejdzie ochota, żeby sobie coś zrobić. No i zaraz zadzwoniłem do pana.

Montalbano na razie nie miał mu nic do powiedzenia, dał sobie trochę czasu do namysłu. Pewnie wdowiec w tej chwili już zdążył do siebie strzelić. A może jeszcze tam siedzi i bije się z myślami, czy dalej ciągnąć, czy się stąd zabrać. Coś jednak, bądź co bądź, trzeba było przedsięwziąć. Zdecydował się, zapalił silnik.

– Gdzie jedziemy? – spytał Orazio.

– Pod warsztat Giugiù Loreta. Gdzieś zostawił rower?

– Tu niedaleko. Ale może stać, nic mu nie będzie, przyczepiłem go łańcuchem do słupka.

Montalbano zatrzymał samochód pod samym warsztatem.

– Zamknąłeś bramkę za sobą, prawda?

– Zamknąłem, jak poszedłem zatelefonować.

– Jak ci się zdaje, prześwieca trochę światła przez okiennice?

– Chyba nie. Jakoś światła nie widzę.

– Posłuchaj, Orr. Wsiadaj, otwórz sobie bramkę na nowo, wejdź do środka i sprawdź, co się tam dzieje. Rób to tak, żeby nikt cię nie usłyszał;

cokolwiek zobaczysz, masz być cicho.

– A pan?

– Ja ci postoję na straży.

Orazio wybuchnął śmiechem, zakrztusił się od tego. Kiedy się uspokoił, wysiadł z auta, przeszedł na drugą stronę ulicy, w mgnieniu oka poradził sobie z bramką wejściową i zamknął ją za sobą. Już nie padało, ale na odmianę wiatr wiał mocniej. Komisarz zapalił papierosa. Po niecałych dziesięciu minutach Orazio Genco wyszedł z domu, zatrzasnął bramkę, przebiegł przez ulicę i wszedł do auta. Cały się trząsł, i to bynajmniej nie z zimna.

– Zabierajmy się stąd – powiedział.

Montalbano posłuchał go bez słowa i ruszył z miejsca.

– Co się z tobą dzieje? – spytał.

– Dostałem za swoje, nieźle mną trzepnęło.

– Powiedz, co ci się stało.

– Nic mi się nie stało. Drzwi od mieszkania dalej były otwarte, światło w sypialni ciągle się świeciło. No to podszedłem. Komisarzu, ta zmarła już nie była martwa.

– Co ty pleciesz, Oró!

– To, co plotę. Teraz zmarły był on, generał. Leżał na łóżku, jak wcześniej jego żona, miał różaniec i głowę obwiązaną chustką.

– Był zakrwawiony?

– Żadnej krwi nie było, komisarzu. Zmarły wcale do siebie nie strzelił.

– A co żona? Wcześniej była zmarła, a teraz co z nią?

– Siedziała na krześle, w nogach łóżka, miała rewolwer przyłożony do głowy i płakała.

- Orr, robisz ze mnie wariata, prawda?
- Komisarzu, po co by mi to było?
- Posłuchaj, odwiozę cię do domu. Nie przejmuj się rowerem, i tak byś nie mógł jechać, za zimno na to.

Czy dwoje starych ludzi, mąż i żona, mogą robić w nocy, co tylko przyjdzie im do głowy? Czy mogą przebierać się za Indian, chodzić na czworakach, zwisać głową w dół z sufitu? Mogą – oczywiście. A wobec tego? Gdyby nie Orazio Genco, gdyby go nie zaniepokoiło to, co zobaczył, to on, komisarz Montalbano, nic by o tej historii nie wiedział i przespałby spokojnie te trzy nocne godziny, jakie jeszcze pozostały mu do rana; a tymczasem wiercił się w łóżku i przewracał z boku na bok, wzdychał i stawał się coraz bardziej przygnębiony. Trudna rada, miał do czynienia ze sprawą, której nie rozumiał; był, podobnie jak Orazio Genco, pod uchylonymi drzwiami i musiał je jakoś otworzyć, żeby wejść do środka i wykryć, o co w tym wszystkim chodzi, co mogą znaczyć te tajemnicze ceremonie.

- Fazio! Na skrzydłach do mnie! – zawołał, wchodząc do biura.

Pech chciał, że ranek tego dnia był gorszy niż noc, jeszcze bardziej ponury i zimny.

- Panie komisarzu, Fazia nie ma – odpowiedział Gallo, stając w drzwiach.
- Czemuż to go nie ma?
- W nocy była strzelanina, zabili jednego z Sinagrów. Na to się zanosilo, wie pan, jak z nimi jest: raz jeden z tej rodziny, raz jeden z tamtej.
- Augello pojechał razem z Faziem?
- Tak, komisarzu. Zostaliśmy tylko we trzech: ja, Galluzzo i Catarella.
- Posłuchaj, Gallo, wiesz, gdzie jest warsztat Giugiù Loreta?
- Wiem.

– Nad warsztatem są dwa mieszkania. Jedno należy do Tanina Bracceri, w drugim mieszka para emerytów. Muszę o nich wszystko wiedzieć. Ruszaj, dowiaduj się.

– No to tak, komisarzu: on nazywa się Di Giovanni Andrea, ma osiemdziesiąt cztery lata, jest na emeryturze, urodził się w Vigście. Ona, Zaccaria Emanuela, urodziła się w Rzymie, ma osiemdziesiąt dwa lata, też jest na emeryturze. Nie mają dzieci. Trzymają się na uboczu, ale nie żyją w biedzie, bo cały dom należy do niego, do Di Giovanniego, odziedziczył go po ojcu. Sprzedał jedno mieszkanie Tanino Bracceriemu, a sobie zatrzymał drugie i warsztat, który wynajmuje Giugiemu Loreto. Przedtem mieszkali w Rzymie, piętnaście lat temu przenieśli się tutaj.

– On jest generałem?

– Kto?

– Jak to kto? Ten Di Giovanni był generałem?

– Nic takiego! Był aktorem. Oboje byli aktorami, i mąż, i żona. Giugiù powiedział mi, że w salonie mają pełno fotografii z przedstawień teatralnych i ról filmowych. Opowiadali mu, że występowali z największymi sławami, ale zawsze jako aktorzy – chwileczkę, rzucę okiem, mam to gdzieś zapisane – więc jako aktorzy charakterystyczni.

Najwidoczniej nie chcieli wyjść z wprawy. Albo powtarzali sobie stare sceny, które grywali kto wie kiedy. A może wracali do sceny, która cieszyła się największym powodzeniem w całej ich karierze, po której zebrali najwięcej braw... Nie, nie, nic takiego. Chyba nie o to chodzi, zamiana ról w takiej scenie nie miałaby żadnego sensu. A przecież jakieś wyjaśnienie całej tej sprawy istnieje, i Montalbano chce je poznać. A kiedy się przy czymś upiera, wali głową w mur, ale nie ustępuje. Teraz musi tylko znaleźć jakiś pretekst, żeby porozmawiać z Di Giovannimi.

Drzwi stuknęły mocno o ścianę, jak zawsze gdy wchodził Catarella, a komisarz poderwał się z fotela i po raz kolejny z trudem zapanował nad mimowolną agresją,

– Catarč, wbijałem ci do głowy tysiąc razy...

– Proszę pana komisarza o wybaczenie, panie komisarzu, bo drzwi mi znów uciekły z ręki.

– O co chodzi?

– Chodzi, panie komisarzu, o Genco Orazia, złodzieja, który mówi, że musi osobiście porozmawiać z pańską osobą. Jest gotów poddać się w pana ręce.

– Oddać się, Catarč, oddać się w ręce policji. Niech wejdzie.

– Z góry panu powiem, że tej nocy nie zmrużyłem oka – zaczął Orazio Genco, wchodząc.

– Tak jak ja, jeśli już o tym mamy mówić. Z czym znowu przychodzisz?

– Panie komisarzu, pół godzinki temu siedziałem przy kawie z kolegą, którego karabinierzy przytknęli i wpakowali na trzy lata. Powiedział mi: „Nie złapali mnie na niczym, nawet nie próbowali. I tak bez próby, bez wykazania mi gorących uczynków... Żeby choć próbowali mi coś dowieść...”. No i od tej „próby” zaraz mi przejaśniało w głowie, przypomniałem sobie, co było napisane na kartce u starych na drzwiach. Było tam napisane: „Próba generalna”. Ręczę za to, dobrze pamiętam. To dlatego wydało mi się, że on pewnie jest generałem.

Montalbano podziękował Oraziowi Genco i odesłał go do domu. Wkrótce potem pokazał się w drzwiach Fazio.

– Komisarzu, podobno mnie pan szukał?

– Szukałem cię. Popędziłeś z Mimě w sprawie tego zabójstwa – w

porządku. Ale chciałem tylko jedno od ciebie usłyszeć: czy to możliwe, że ani ty, ani wicekomisarz Augello nie jesteście tak dobrzy, żeby dawać mi znać, kiedy znowu mamy zabitego?

– Co też pan mówi, komisarzu. Gdyby pan wiedział, ile razy dzwoniliśmy do pana do Marinelli! A pan nie odpowiadał. Coś się stało? Wyłączył pan telefon?

Nie, nic takiego, nie wyłączył telefonu. Tylko nie było go w domu. Musiał pomagać złodziejowi. Stał na straży, kiedy ten robił swoje.

– Wiesz co, Fazio? Lepiej mi powiedz, co z tym zabójstwem.

Sprawa tego zabójstwa zabrała mu wiele czasu, zajmował się nią do piątej po południu. Dopiero potem przypomniał sobie nagle o sprawie Di Giovannich.

I zaniepokoił się. Napisali na drzwiach, że u nich odbywa się próba generalna. Mogło to znaczyć, że dzień później odbędzie się premiera. Jak może w ich wydaniu wyglądać takie przedstawienie? Wystawią to, co próbowali poprzedniej nocy? Dojdzie do prawdziwej śmierci i prawdziwego samobójstwa? Ta myśl nie dawała mu spokoju. Poszukał ich numeru w książce telefonicznej,

– Halo, to mieszkanie państwa Di Giovannich? Mówi komisarz Montalbano.

– Tak, tu Andrea Di Giovanni. Słucham, o co chodzi?

– Chciałbym z panem porozmawiać.

– Jest pan komisarzem, ale czego?

– Policji.

– Aha. A co policja może ode mnie chcieć?

– Nic ważnego, zapewniam pana. Chodzi o mnie, o rzeczy, które ciekawią

mnie osobiście, całkiem prywatnie.

– Cóż by to było takiego?

Szczęśliwie przyszedł mu naraz do głowy pewien pomysł.

– Dowiedziałem się, zresztą całkiem przypadkowo, że państwo byliście aktorami.

– Istotnie, byliśmy.

– A ponieważ pasjonuje mnie teatr i kino, chciałbym wiedzieć...

– Niech pan do nas wstąpi, kiedy pan chce, panie komisarzu. W tym mieście nie ma jednej osoby, powtarzam panu, ani jednej, która miałaby pojęcie o teatrze.

– Najdalej za godzinę będę u was. Jeśli wam to odpowiada...

– Może pan przyjść o każdej porze.

Ona sprawiała wrażenie nieopierzonego jeszcze pisklęcia, które wypadło z gniazda, a on – wyłysiałego i na wpół oślepego psa bernardyna. W mieszkaniu panował idealny porządek. Poprosili, żeby zajął miejsce w fotelu, a sami usiedli blisko niego na kanapie, pewnie tam, gdzie codziennie oglądali telewizję, bo telewizor stał naprzeciw. Montalbano przyjrzał się uważnie pierwszej z brzegu fotografii, których setka pokrywała całe ściany, i powiedział: „To chyba Ruggero Ruggeri w *Rozkoszy uczciwości* Pirandella?” Od tej chwili potoczyła się lawina nazwisk i tytułów: Sem Benelli w *Żartach przy kolacji*, znowu Pirandello i *Sześć postaci w poszukiwaniu autora*, Ugo Betti i *Trąd w pałacu sprawiedliwości*. Wszystko to przeplatane Ruggerim, Riccim, Maltagliatim, Cervim, Melnatim, Viarisiem, Besozzim... Takie gorączkowe pędzenie przed siebie trwało ponad godzinę – Montalbano na koniec był jak ogłuszony, a starzy aktorzy uszczęśliwieni i odmłodniali. Nastąpił antrakt, w czasie którego komisarz z ochotą zgodził się na

szklaneczkę whisky, zakupionej z pewnością przez pana Di Giovanniego na tę uroczystą okazję. Potem z kolei rozmowa zeszła na kino, którego starzy nie znali już tak dobrze. Jeszcze mniej interesowali się telewizją.

– Ogląda pan, panie komisarzu, to, co nam podtykają? Te piosenki, tę rozrywkę? Bo na teatr odważają się tylko wtedy, kiedy umiera kolejny papież, a tak to wypada, że można się popłakać!

W końcu wyczerpał się temat widowisk i Montalbano musiał wreszcie zadać pytanie o to, co mu kazało pojawić się w tym domu.

– Dzisiaj w nocy – powiedział z uśmiechem – już tutaj byłem.

– Tutaj, komisarzu? To znaczy gdzie?

– Na waszym podeście. Wezwał mnie pan Bracceri w pewnej swojej sprawie, która, jak się okazało, nie była tego warta. Zobaczyłem, że wasze drzwi są uchylone, pewnie przez nieuwagę, więc pozwoliłem sobie je zamknąć.

– To pan zrobił? Wreszcie wiemy, kto.

– Tak, ja. I przepraszam, jeśli przy tym narobiłem trochę hałasu. Przyznam się też, że coś mnie zaintrygowało. Na waszych drzwiach była przyczepiona pinezkami kartka z napisem: „Próba generalna”

Uśmiechał się przy tym, chciał sprawić wrażenie rozbawionego.

– Czego to była próba?

Ale oni oboje stali się naraz poważni i jeszcze bliżej przysunęli się do siebie.

W najbardziej naturalny, pewnie tysiące razy powtarzany sposób, wzięli się za ręce i popatrzyli sobie w oczy. Wreszcie Andrea Di Giovanni powiedział:

– To była próba naszej śmierci.

A kiedy Montalbano, nieporuszony, milczał, stary aktor dodał:

– Nie jest to rola z jakiejś sztuki – niestety!

I z kolei odezwała się stara aktorka:

– Kiedy pobraliśmy się, ja miałam dziewiętnaście lat, a on dwadzieścia dwa. Zawsze byliśmy razem, nigdy nie przyjmowaliśmy angaży w różnych zespołach. Nawet przez to przymieraliśmy często głodem. A kiedy zestarzeliliśmy się i już nie podejmowaliśmy pracy, przenieśliśmy się tutaj, do Vigrty.

On wszedł jej w słowo:

– Od jakiegoś czasu już się przyplatają choroby. Wiek musiał zrobić swoje, tak to sobie tłumaczyliśmy. Ale w końcu daliśmy się zbadać. I wyszło na jaw, że oboje mamy chore serca. Kiedy przyjdzie rozłaka, stanie się to nagle, i tego nie unikniemy. Dlatego zabraliśmy się do tych prób. Kto odejdzie pierwszy, nie pójdzie sam w zaświaty.

– Gdyby można umrzeć razem, w tej samej chwili, byłoby to jak łaska – powiedziała żona. – Ale takiej łaski trudno się spodziewać.

Myliła się. Osiem miesięcy później Montalbano przeczytał w lokalnej gazecie parę krótkich zdań. Ona zmarła pogodnie we śnie, a on, kiedy po przebudzeniu zobaczył, co się stało, pobiegł do telefonu, żeby wezwać pogotowie. Jednak w połowie drogi między łóżkiem a telefonem serce odmówiło mu posłuszeństwa.

Ta biedna Maria Castellino

– Czy to Bonchidassa? No co? To Bonchidassa? Czy to pan osobiście w pańskiej osobie, panie komisarzu?

– Tak, Catarč, to ja osobiście.

Głos Catarelli był przytłumiony, jakby agent mówił gdzieś z przestworzy. Komisarz z trudem domyślał się jego słów.

– Skąd dzwoniisz?

– Skąd mogę dzwonić, panie komisarzu? Z Vigrty dzwonię.

– To czemu mówisz tak dziwnie?

– Włożyłem do ust chusteczkę, panie komisarzu.

– Po co?

– Po to, żeby mnie nie usłyszeli. Fazio mi to nakazał wyraźnym rozkazem, żebym mówił sam do pana i tylko z panem.

– W porządku, o co chodzi?

– Jakiś tu zabił kurwę.

– A wy już go macie, tak?

– Kogo?

– Tego, co zabił kurwę.

– Nie, panie komisarzu, my go nie mamy, bo nie wiemy, kto to był. Powiedziałem panu, że jakiś zabił, no bo jak kurwa została uduszona, to jakiś musiał być, co to zrobił. Czy wyjaśniam panu wszystko jak trzeba?

– Jak trzeba, Catarč. A czego chce ode mnie Fazio?

– Fazio mówi, że wicekomisarz Augello nic nie rozumie o tym zamordowaniu. I dlatego naszą sprawę mogą sobie zabrać karabinierzy i nam ją odbiorą. Fazio mówi, żeby pan szybko wrócił do Vigírty. I jeszcze Fazio coś mówi na dodatek, ale ja tego nie mogę panu powtórzyć.

– Ty mi to jednak powtórz.

– Mówi, że my tutaj wpadliśmy już po uszy w gównó, ale chcemy wyjść z tego honorowo, tylko że co to pana obchodzi, kiedy pan się teraz zabawia w Bonchidassa.

– Dobrze, Catarč, powiedz Faziowi, że wrócę jak najszybciej.

Bagatelizował wezwanie Fazia przez niecałą godzinę. Potem jednak ubrał się i wyszedł. Kiedy wrócił, miał już w kieszeni bilet lotniczy na następny dzień, na południe. Czekał niespokojnie na Livię, która zjawiła się, jak obiecała, punktualnie o szóstej. Weszła i zarzuciła mu ręce na szyję.

– Mój Boże, Salvo, ty tego nie wiesz. Nie wiesz. Nie wiesz, jaka to dla mnie radość wrócić z pracy i zastać w domu ciebie!

Kiedy ma jej powiedzieć, że musi skrócić o dwa dni swoje wakacje w Boccadassie pod Genuą? Przed kolacją czy po kolacji? Postanowił zrobić to jak najpóźniej, zwłaszcza że wybierali się na kolację do restauracji, gdzie podawano ryby, a przyrządzano je naprawdę tak, jak sama ryba chciałaby być przyrządzona. Ale na koniec, kiedy już czekali na rachunek, Livia oznajmiła mu coś, o czym nie wiedział, a co, jak natychmiast wyczuł, znacznie pogorszyło jego położenie.

– Jeszcze nie wiesz, mój drogi Salvo, że jutro musimy wstać bardzo wcześnie.

– Dlaczego, Livio?

– Pojedziemy na cały dzień do Laigueglii odwiedzić moją przyjaciółkę

Dorę. Jeszcze jej nie znasz, a na pewno ci się spodoba.

– Gdzież jest ta Laigueglia?

– Koło Savony. Jest tam wspaniała plaża, ciągnie się od Alassio. Będziesz zachwycony. A jedno piękne miejsce kupił sobie tamten Norweg...

– Jaki Norweg?

– No ten, co przepłynął na wielkiej tratwie...

– Thor Heyerdahl, ten od „Kon-Tiki”.

– Tak, tak, ten. Nazywa się Colla Micheri.

– Kto?

– To miejsce, które sobie kupił Norweg. Salvo, co z tobą?

– Ze mną?

– Pewnie, że z tobą. Co ci chodzi po głowie?

– Nic, Livio. Co ma mi chodzić?

– Wiesz co, Salvo? Znam cię nie od dziś. Wcale mnie nie słuchasz.

Montalbano wciągnął jak najgłębiej powietrze, jakby miał się zanurzyć pod wodę.

– Jutro wyjeżdżam.

Livia, zaskoczona taką przykrą wiadomością, jeszcze przez chwilę się uśmiechała.

– Wyjeżdżasz? A dokąd jedziesz?

– Wracam do Vigíty.

– Przecież mi mówiłeś, że zostaniesz do poniedziałku – wyszeptła, a uśmiech na jej twarzy wygasł z wolna jak zapalka.

– Rzecz w tym, że...

– Nic mnie nie obchodzi, w czym rzecz.

Wstała, chwyciła torebkę i wyszła z restauracji. Montalbano szybko

zapłacił rachunek i wybiegł za nią. Ale jej samochodu już na parkingu nie było.

Wrócił do domu taksówką, i całe szczęście, że miał przy sobie zapasowe klucze, bo Livia na pewno, choćby nie wiedzieć jak się dobijał, nie otworzyłaby mu. Nie otworzyła mu oczywiście drzwi do sypialni i nie odezwała się, kiedy do niej przez nie mówił. Zrezygnowany rozebrał się i położył na kanapce w salonie. Nie mógł zasnąć, tylko się przewracał z boku na bok. Dopiero o piątej nad ranem usłyszał, że otwierają się drzwi od sypialni i Livia mówi:

– Chodź do łóżka, gówniarzu.

Zerwał się i pobiegł. Dlatego, że miał ochotę ją objąć, ale też dlatego, że chciał się wreszcie wygodnie rozprostować.

– Co to się stało, że wróciłeś wcześniej? – spytał nieufnym tonem Mimě Augello, kiedy zobaczył, że Montalbano wchodzi do komisariatu.

– Tak jakoś wyszło. Livia musiała odwiedzić przyjaciółkę, nie mogła się od tego wykręcić, tamta zaprosiła ją na cały weekend, mnie się to nie uśmiechało, no i tak dalej. Po co miałem siedzieć sam w Boccadassie? A co nowego u nas?

– Nie wiesz, co u nas?

Mimě był w dalszym ciągu nieufny; nagły wcześniejszy przyjazd przełożonego budził jego podejrzenia.

– A skąd miałbym wiedzieć?

Augello przyjrzał mu się uważnie, ale komisarz miał wyraz twarzy niewinny jak noworodek.

– Zabili tu jedną taką.

– Kiedy?

– Tego dnia, kiedy wyjechałeś.

– Kim była?

– Kurwą. Siedemdziesięcioletnią.

Montalbano był zdumiony autentycznie i tak bardzo, że Mimě stracił resztki nieufności.

– Siedemdziesięcioletnia kurwa? Chyba żartujesz?

– Nie, Salvo, nie żartuję. Miała siedemdziesiąt lat i jeszcze się tym procederem trudniła. Ale była uczciwą kobietą.

– Wyjaśnij mi to trochę lepiej.

– Nazywała się Maria Castellino, była zamężna, miała dwóch dorosłych synów.

Montalbano jednak miał wrażenie, że Mimě kpi z niego.

– Co to znaczy „była zamężna”?

– Salvo, to znaczy tyle samo, ile znaczyło trzy dni temu, zanim wyjechałeś do Boccadassy. Miała męża. A ty jej męża znasz. To Serafino, kelner w barze Pistonego.

– Dalej nic nie rozumiem. Serafino ożenił się z nią wcześniej, kiedy jeszcze nie zajmowała się prostytutką, czy kiedy już się w to wdała?

– Kiedy się wdała. Wpierw bywał jej klientem, ale naraz spostrzegli, że są w sobie zakochani, i wtedy się pobrali. Ich małżeństwo było udane i szczęśliwe. Mieli dwóch synów. Jeden...

– Poczekaj, Mimě. Serafino po ślubie pozwolił, żeby dalej uprawiała to, co uprawiała?

– Serafino mówi, że o tym nigdy nie zamienili ani słowa. Oboje uznali za coś naturalnego, że nie wyrzeknie się swojej pracy.

– Pracowała w domu? Kiedy mąż szedł pracować do baru?

– Nie, Salvo. Serafino przysięga, że ich dom był domem szanowanym i poważanym. Maria wynajęła sobie pokój w dzielnicy Gramegna, za miastem, prawie w polach, przy ulicy, gdzie stoją cztery domy. Pokój, czy raczej pomieszczenie na parterze, do którego światło wpadało tylko przez okienko przy drzwiach wejściowych. Dbała o czystość, pokój był schludnie utrzymany, nie mówiąc o łazience, czego nawet nie warto dodawać. Lśniła! Kiedy drzwi na ulicę były otwarte, miało to znaczyć, że jest wolna, a kiedy były zamknięte, wiadomo było, że ma u siebie klienta. Pani Gaudenzio zapewniła mnie...

– Chwileczkę. Kim jest pani Gaudenzio?

– Sąsiadką. Mieszka w tym samym domu.

– I to samo uprawia?

– Nie, Salvo! To młoda, może trzydziestoletnia kobieta, matka dwóch chłopców; jeden ma siedem lat, drugi pięć. Chłopcy bardzo lubili zmarłą, zwracali się do niej „ciocia Maria”.

– Nie zbaczaj z tematu, Mimě. Czegoś się dowiedział od pani Gaudenzio?

– Że Maria Castellino przeważnie w ciepłe dni siedziała na krześle przed drzwiami, ale nie było w tym nic skandalicznego. Do skandali nie dochodziło. Ona była zawsze dyskretna i bardzo skromna.

– A jak zdobywała klientów?

– To proste, Salvo. Pani Gaudenzio mówi, że przychodzili do niej starsi mężczyźni, z pewnością jej klienci z dawnych lat.

– Młodzi się nie trafiali?

– Czasami się trafiali. Ale po co młody miałby sobie używać ze starą kobietą, jeżeli ma wszędzie tyle prześlicznych kurewek do wyboru?

– Wiesz co, Mimě? To też jest bardzo proste. Ty tego nie rozumiesz, bo masz fuzję niezawodną, nigdy nie chybiasz celu, ale dzisiejsi młodzieńcy,

którzy chcą uchodzić za dzielnych i zaradnych, gdy przychodzi co do czego, gubią się, nie mają odwagi. A wtedy starsza, wyrozumiała kobieta... Czyba mi nie zaprzeczysz?

– Masz rację, Salvo. Więc może zrobił to ktoś młody. Ale z tych, co nie potrzebują zrozumienia, jak mówisz. Takiemu wystarcza, że jest po prostu zwyrodnialcem.

– Co stwierdził doktor Pasquano?

– Pasquano zapewnia, że morderca, jego zdaniem, naprzód ogłuszył kobietę ciosem pięścią w twarz, a potem wyjął ze spodni pasek, założył jej na szyję i zacisnął. Twierdzi, że na szyi dopatrzył się odcisku klamry od paska. Po wszystkim założył sobie na powrót pasek do spodni i, jakby nigdy nic, wrócił do domu. I tyleś mnie, droga policjo, widziała!

– Coś zginęło?

– Nic. Torebka z pieniędzmi stała na szafce przy łóżku.

– Ile taka wizyta mogła kosztować?

– Pięćdziesiąt tysięcy.

– A ile było w torebce?

– Dwieście pięćdziesiąt.

– Ile mogła zarobić jednego dnia? Serafino ci to powiedział?

– Trzysta, trzysta pięćdziesiąt.

– Zrobił to wobec tego któryś z późnych klientów.

– Pasquano wie, że śmierć nastąpiła po strawieniu obiadu. A co najciekawsze, nie znalazł śladów stosunku z zabójcą.

– Maria była ubrana?

– Od stóp do głów. Zdjęła tylko buty, zanim się położyła. Mężczyzna pewnie położył się przy niej i pewnie też był ubrany. No i nagle zdzielił ją

pięścią w twarz.

– Co oznacza, że ten mężczyzna nie przyszedł się z nią pieprzyć, tylko rozmawiać.

– Ale o czym?

– W tym cała zagadka, Mimě – powiedział Montalbano.

Kiedy już dwie godziny wypoczął w swoim domu w Marinelli, wsiadł do auta i wrócił do Vigíty. Kazał sobie dokładnie wytłumaczyć, gdzie leżą te obrzeża Gramegna, ale i tak stracił trochę czasu, zanim tam trafił. Cztery domki, powiedział Mimě, i rzeczywiście stały tam tylko cztery domki. Trzy mieszkalne, takie same, z pomieszczeniem w przyziemiu i mieszkaniem na piętrze. W czwartym budynku był magazyn zamknięty zardzewiałym łańcuchem z kłódką. Był położony naprzeciw pokoiku Marii Castellino. Pod jej zamkniętymi drzwiami leżał na chodniku bukiet kwiatów. Zza rogu domu wybiegło dwóch chłopców, jeden gonił drugiego i coś do niego wykrzykiwał. Kiedy dostrzegli obcego, stanęli w miejscu jak wryci.

– Pani Gaudenzio to wasza matka?

– Tak, proszę pana – powiedział starszy.

– A ojciec jest w domu?

– Nie, proszę pana, ojciec pracuje, wróci na noc.

– Ale matka jest?

– Jest, zaraz ją zawołam.

Wbiegł do bramy. A młodszy dalej stał bez ruchu i przypatrywał się komisarzowi.

– Odpowiesz mi, jak cię o coś spytam?

– Odpowiem.

– To prawda, że wasza babcia umarła?

Mimě pomylił się. Chłopcy nie nazywali Marii Castellino ciotką, tylko babcią. Mały nie zdążył mu odpowiedzieć, kiedy na balkonie nad wejściem pojawiła się matka, a jej starszy synek wbiegł do bramy i pobiegł za bratem, który nie wiadomo czemu nagle się rozplakał.

– Pan do kogo?

– Jestem komisarzem, nazywam się Montalbano, proszę pani.

– Pewnie chce pan ze mną rozmawiać, to może pan wejdzie.

Mieszkanie pani Gaudenzio było czyste i zadbane. Montalbano usiadł w fotelu w saloniku.

– Mogę pana czymś poczęstować?

– Dziękuję, wpadłem tylko na chwilę.

– Co pan chce ode mnie usłyszeć? Już wszystko powiedziałam panu Augello.

Montalbano odniósł wrażenie, że ta młoda i urocza pani Gaudenzio, wymawiając nazwisko jego zastępcy, trochę się zarumieniła. Czyżby niezawodny Mimě już się koło niej zakręcił?

– Dowiedziałem się, że pani dobrze znała tę biedną Marię Castellino.

Od razu pojawiły się łzy. Pani Gaudenzio należała do tych kobiet, które wcale nie kryją swoich uczuć.

– Jakby była kimś z rodziny, panie komisarzu. Moi chłopcy mówili, że to ich babcia. Na gwiazdkę wstawiali do jej pokoju puste pudełka, a ona w nocy wkładała im do nich, co tylko przychodziło jej do głowy, ale zawsze wiedziała, co im sprawi przyjemność.

– Pani ją znała od dawna?

– Od ośmiu lat. Kiedy wyszła za męża, zaraz się tu ulokowała. Mój mąż, Attilio, pracuje w elektrowni. A mój młodszy, Pitrinu, ten, co ma pięć lat... Czekałam na niego, brakowało parę dni do porodu i upadłam na schodach...

uderzyłam się, zaczęłam wołać pomocy... Babcia Maria mnie usłyszała i przybiegła... gdyby nie ona, pewnie bym zmarła, a Pitrinu zmarłby razem ze mną...

Rozpłakała się, nawet nie próbowała powstrzymać łez.

– Taka była dobra! I nigdy nie było awantur, nigdy się nie kłóciła z klientem.

– Rozmawiała z panią o swoich klientach?

– Ani razu! O tej sprawie milczała jak grób.

– I o tym nic mi pani nie potrafi powiedzieć?

– Nic, proszę pana. Tylko jedno panu jeszcze powiem; dopiero dzisiaj opowiedział mi to mój Casimiru, ten starszy...

– Co takiego pani powiedział?

– Coś, co się wydarzyło dziesięć dni temu. Drzwi u babci Marii były zamknięte, a Casimiru kręcił się pod domem. Naraz Maria uchyliła okienko i go zawołała. Poprosiła, żeby pobiegł na róg ulicy i sprawdził, czy jest tam jeszcze jakiś mężczyzna, który wcześniej odszedł spod jej drzwi... Casimiru pobiegł i zobaczył jakiegoś pana, który już odchodził. Wrócił i powiedział o tym babci. Dopiero wtedy otworzyła drzwi do siebie.

– Widocznie był to ktoś, kogo nie chciała u siebie widzieć. Kiedy zobaczyła, że nadchodzi, zamknęła drzwi, żeby wyglądało na to, że ma u siebie klienta.

– Tak samo myślałam. O tej sprawie to już pan jemu powie czy ja mam mu powiedzieć?

– Komu?

– Panu Augello.

– Zawiadomię go o tym, a potem już on sam tutaj wpadnie i pani opowie mu o wszystkim ze szczegółami.

– Dziękuję – odpowiedziała pani Gaudenzio, mocno się rumieniąc.

Montalbano wstał, żeby wyjść.

– Widziałem pod domem na chodniku bukiet kwiatów. Pani wie, kto je przyniósł?

– Dyrektor Vasalicň.

– Dyrektor liceum?

– Tak, panie komisarzu. Przychodził do Marii raz na tydzień. Przychodził, kiedy był jeszcze żonaty i kiedy już owdowiał. Przyjaźnili się.

– Chodziłeś rozmawiać z panią Gaudenzio? – pytał poirytowany Mimě.

– Chodziłem. A czy to zabronione?

– Nie to mam na myśli. Chciałbym tylko ustalić z tobą raz na zawsze: czy tym śledztwem zajmuję się ja, czy ty?

– Ty, Mimě. A wobec tego jeśli dowiem się o czymś, co może się w tej sprawie przydać, nic ci o tym nie powiem. Zgoda?

– Nie rób z siebie idioty.

– Nawzajem, Mimě. Odpowiesz mi na jedno pytanie?

– Oczywiście.

– Bardziej ci zależy na tym, żeby wykryć, kto zabił, czy wykryć, jakie uda ma pani Gaudenzio?

Mimě popatrzył na niego bez słowa, zbierało mu się na śmiech.

– Na jednym i na drugim, Salvo. Jeśli to możliwe.

– Mimě, masz bezczelną gębę. A tak nawiasem: jak ta pani ma na imię?

– Teresita.

– No to teraz pędź do Teresity, bo mąż jeszcze nie wrócił z dyżuru w elektrowni. Opowie ci, że do pani Castellino przyszedł klient, którego ona już

miała dość. Albo którego nie chciała za nic mieć jako klienta.

– Panie komisarzu, czy mnie pan dopuści do jednego słowa? – spytał Catarella, wchodząc do pokoju Montalbana z miną wysłużonego konspiratora.

– Powiedz, co tylko chcesz, Catarč.

Catarella zamknął za sobą drzwi. Na więcej się nie odważył. Więc znowu zapytał:

– Czy będzie mi wolno, panie komisarzu, zamknąć drzwi kluczem?

– Zamknij – zgodził się ustępliwie Montalbano.

Catarella przekręcił klucz w zamku, podszedł do biurka komisarza, oparł się o nie rękami i nachylił jak najbliżej przełożonego. Musiał zjeść tego dnia coś bez umiaru przyprawionego czosnkiem.

– Ja już, panie komisarzu, tę sprawę rozwiązałem. Musiałem zabezpieczyć wejście, bo nie chcę, żeby nasi mogli być zazdrośni, od kiedy się dowiedzą, że to ja poradziłem sobie z tą sprawą.

– Z jaką sprawą?

– Ze sprawą o tej kurwie, panie komisarzu.

– Jak sobie poradziłeś, wytłumacz mi to.

– Wczoraj po nocy oglądałem film w telewizorze. I to była historia jednego Amerykanina, co zabijał stare kurwy.

– To był serialkiller?

– Nie, panie komisarzu, on tak się nie nazywał, Chyba był to Gionni Guest, jakoś tak.

– A dlaczego ten Gionni zabijał stare kurwy?

– Dlatego, że były takie same jak jego matka, co także była kurwą. To wtedy sobie pomyślałem, że nasza sprawa jest prosta jak nie wiem co. Teraz

tylko pan komisarz będzie szukać i zaraz wszystko będzie załatwione.

- Kogo mam szukać, Catarč?
- Klienta kurwy, co jest synem kurwy.

Dyrektor Vasalicň, zagadnięty przez telefon, nie widział przeszkód, był nawet nadzwyczaj uprzejmy.

- Może pan chce, żebym przyjechał do komisariatu?
- Nie, panie dyrektorze. To ja przyjadę do pana do domu, gdzieś za pół godziny. Jeśli znajdzie pan dla mnie chwilę.
- Czekam na pana.

Komisarz chciał jeszcze wstąpić po drodze do baru Pistonego. Serafina w barze nie było. Siedzący za kasą Pistone wyjaśnił, że po tym nieszczęściu, jakie biedaka spotkało, dał mu tydzień urlopu. Montalbano poprosił o adres kelnera.

Dyrektor Vasalicň był mężczyzną szczupłym i eleganckim. Wprowadził komisarza do swego gabinetu, który był zarazem wielką biblioteką z półkami wokół wszystkich ścian.

- Przyszedł pan w sprawie tej biednej Marii Castellino, panie komisarzu?
- Zgadł pan. Ale chodzi mi tylko o to, że pan podobno przyniósł pod jej drzwi kwiaty...
- To prawda. I wcale tego nie kryłem przed panią, która mieszka na górze i którą dobrze znam.
- Od dawna spotykał się pan z... panią Marią?
- Miałem osiemnaście lat, a ona była o dziesięć lat starsza. Nie miałem wcześniej innych kobiet. Później, kiedy się ożeniłem, także do niej przychodziłem. Nie po to, żeby... tylko z przyjaźni. Udzielałem jej porad.

Nie kryłem tego przed żoną.

– Jakich porad udzielał pan zmarłej?

– No cóż, panie komisarzu, Serafino jest poczciwym człowiekiem, ale na niczym się nie zna. Zadbalem o studia ich synów.

– Już je ukończyli?

– Jeden jest geologiem, pracuje w Arabii. Drugi, inżynier, mieszka w Caracas. Obaj się pożenili, mają dzieci.

– Jak ułożyły się stosunki między nimi?

– Między synami a matką – chce pan wiedzieć? Jak najlepiej. Maria często pokazywała mi nowe zdjęcia wnuków, które jej przysyłali...

– Przyjeżdżali tutaj, odwiedzali rodziców?

– Przyjeżdżali co roku. Tyle że...

– Że co?

– Przyjeżdżali, dopóki się nie ożenili. Może potem obawiali się, że żony się dowiedzą... rozumie pan. Ją to bolało, pocieszała się zdjęciami.

– Prosiła pana o rady tylko w sprawie synów i ich studiów?

Dyrektor przez chwilę się zawahał.

– Nie... czasami szło jej także o korzystne lokaty...

– Czego?

– Pieniądzy. Miała sporo oszczędności.

– Jak wielkie?

– Dokładnie nie wiem... sześćset... może siedemset milionów... Także dom, w którym mieszkała z mężem, był jej własnością, a prócz tego miała jeszcze tutaj, w Vigricie, trzy czy cztery mieszkania, które wynajmowała...

– Pan zna się na tych sprawach?

– Na jakich?

- Na lokowaniu pieniędzy, na spekulacjach giełdowych...
- Od czasu do czasu sam gram na giełdzie.
- Doradzał pan grę na giełdzie także pani Marii?
- Nie, nigdy.
- Jeszcze jedno: pani Maria zwierzała się panu ze swoich kłopotów?
- Z kłopotów jakiego rodzaju?
- Przecież w tym zawodzie, którym się zajmowała, mogło się zdarzyć, że natknie się na jakichś osobników... niebezpiecznych, prawda?
- Z tego, co wiem, nigdy nic takiego jej się nie zdarzyło. Może... w ostatnim miesiącu była bardzo nerwowa... roztargniona. Spytałem, dlaczego, a ona wyjaśniła mi, że jeden klient nagabuje ją, ma jakieś niestosowne życzenia. Mówiła, że już go nie przyjmuje, on jednak od czasu do czasu wraca i nalega w dalszym ciągu.

Montalbano pomyślał, że pewnie chodzi o tę historię, o której opowiadała mu pani Gaudenzio, o tego klienta, przed którym Maria zamykała drzwi i za którym wysyłała Casimiru, bo nie była pewna, czy już odszedł.

- Wymieniła panu nazwisko tego klienta?
- O tym nie było mowy, panie komisarzu. Maria była wcielona dyskrecją. Już samo to, że mi o tej sprawie wspomniała, było czymś niezwykłym.

W drodze do domu Serafina zobaczył nekrologi jeszcze mokre od kleju. Zawiadamiano w nich, że uroczystości żałobne za duszę Marii Castellino zostaną odprawione następnego dnia, w niedzielę, o dziesiątej rano, w kościele Chrystusa Króla. Potem, już u Serafina, rzuciło mu się w oczy, że ich mieszkanie jest też schludnie utrzymane i nieskazitelnie czyste. Kelner z baru Pistonego miał ponad siedemdziesiąt lat. Zawsze przypominał komisarzowi zółwia, teraz jednak wydał mu się prawdziwa skamielina: tak

bardzo się postarzał po śmierci żony. Trzęsły mu się ręce.

– Kto by pomyślał, komisarzu! Maria właśnie miała rzucić tę pracę. Jeszcze miesiąc, i na dobre by z tym skończyła.

– Była już tym zmęczona?

– Zmęczona? Ona nigdy nie była zmęczona. Chciała to rzucić dla mnie.

– Bo ty już nie chciałeś, żeby się tym zajmowała?

– Panie komisarzu, widzi pan, ja musiałem pracować w barze, jak długo Maria prowadziła to swoje życie. Pracowałem i zarabiałem na chleb, żeby na mieście nikt nie mówił, że Serafino żyje jak król, bo jest alfonsem na utrzymaniu żony. Pracowałem, i wszyscy mnie za to szanowali, a Maria pierwsza. Nasi synowie także.

– Serafino, żona nie powiedziała ci, że jeden z jej klientów...

– Komisarzu, Maria nigdy nic nie mówiła o swojej pracy. Ja z tym wszystkim nie miałem nic wspólnego. Tu do nas przychodził tylko dyrektor Vasaličň, co kiedyś był jej klientem, a potem się z nią zaprzyjaźnił.

– Po co przychodził?

– Rozmawiali. Szli do jadalni i mówili o interesach, a ja z tego nic a nic nie rozumiałem. Ja wtedy siedziałem tutaj, w salonie, i oglądałem telewizję.

– Nie znałem twojej żony, Serafino. Może masz jakąś jej ładną fotografię?

– Mam ostatnią. Zrobiła sobie miesiąc temu, żeby wysłać synom.

Pani Maria Castellino wyglądała na piękną, poważną kobietę. Nie była mocno wymalowana, ale wyraźnie zadbała o swój wygląd. „Chyba dbała o wygląd zawsze – pomyślał komisarz – i to nie tylko z racji zawodu, którym się trudniła. Była po prostu z tych kobiet, co dbają o siebie. Tak samo dbała o czystość we własnym domu i w wynajmowanym pokoiku”

– Możesz mi to zdjęcie pożyczyć?

Wychodząc z bramy, rzucił okiem na zegarek. Zrobiła się szósta. Wsiadł do auta i ruszył do Montelusy, gdzie znajdowały się biura i studio telewizyjne Retelibera. Jego przyjaciel Zito właśnie kończył nadawanie dziennika. Montalbano zaczekał, a potem wręczył mu zdjęcie zmarłej i poprosił o przysługę.

Wrócił do samochodu i pojechał prosto do Marinelli, nie wstępując już do komisariatu. Gosposia Adelina, która dbała o jego mieszkanie i jedzenie, miała tę wadę, że nie podnosiła słuchawki telefonu („żeby nie przyniosło pecha”). Montalbano nie mógł jej więc zawiadomić, że wróci wcześniej niż zwykle, i musiał się zadowolić tym, co znalazł w lodówce: oliwkami, resztką makaronu i sardelami w sosie pomidorowym. Rozmroził sobie kawałek chleba i zabrał całe jedzenie na werandę. Wrześniowy wieczór był ciepły, nastrojał pogodnie i ufnie.

O północy włączył telewizor. Zito dotrzymał słowa. Pokazał w nocnym dzienniku fotografię Marii Castellino i powiedział, że komisarz Montalbano i jego zastępca Augello zbierają informacje na temat jej zabójstwa. Zwracają się do dawnych przyjaciół – tak się wyraził – pani Castellino i „odwołują się do ich wrażliwości” Gwarantują wszystkim pełną dyskrecje. Nikt nie musi przychodzić osobiście do komisariatu, wystarczy, że zatelefonuje albo napisze. Każdy szczegół jest tu ważny, nawet taki, który wydaje się mało znaczący.

Pomysł z apelem był dobry, okazało się, że na „wrażliwość dawnych przyjaciół” można było liczyć. Wchodząc do biura o ósmej rano, komisarz spytał Catarellę:

– Ktoś już telefonował?

– Tak, panie komisarzu. Całe sześć osób telefonowało o tej zamordowanej kurwie. Mam spisane nazwiska na tej karteczce.

Przy każdym nazwisku był zanotowany numer telefonu, a to znaczyło, że żaden z nich nie chciał ukrywać swoich sporadycznych kontaktów z Marią. Montalbano porozmawiał ze wszystkimi. Okazało się, że każdy z tych klientów miał około sześćdziesiątki i że żaden nic nie wiedział o innych.

Drzwi z nagłą otworzyły się i Montalbano podskoczył w fotelu. Wbiegł Catarella.

– Skończył już pan telefony, panie komisarzu?

– Skończyłem. Ale czemu tak się spieszysz?

– Do pana siedzi tutaj od siódmej jeden taki, co chce osobiście osobno z panem rozmawiać w tej, co pan wie, takiej samej sprawie.

– Gdzież on jest?

– W naszej poczekalni.

– Od rana, od siódmej? I nic mi nie mówiłeś, kiedy przyjechałem?

– Bo kiedy pan komisarz przyjechał, to mnie spytał, czy były telefony. Wtedy ja powiedziałem, że były. Ale o tym panu nic nie mówiłem, bo ten pan wcale nie telefonował.

Logika Catarelli była, jak zwykle, żelazna. Mężczyzna, który przyjechał do komisariatu, był starannie ubranym czterdziestolatkiem.

– Nazywam się Marco Rampolla, jestem pediatrą, ordynuję w Montelusie. Przyszedłem w sprawie tej biednej zamordowanej prostytutki.

– Proszę usiąść. I proszę mi powiedzieć, co pan wie. Znał ją pan?

– Tak, poznałem ją, byłem u niej jeden jedyny raz.

Na chwilę umilkł.

– Chciałem się z nią rozmówić. Chciałem, żebyśmy ustalili wspólna linię postępowania.

– Linię postępowania? W jakiej sprawie?

– Wobec mojego ojca. Ojciec niestety całkiem utracił kontrolę nad sobą, chociaż nie sprawia takiego wrażenia.

– Chyba lepiej będzie, jeżeli mi pan opowie wszystko po kolei.

– Siedem lat temu zmarła moja mama. Zginęła w wypadku drogowym... samochód prowadził ojciec, który mamę naprawdę bardzo kochał. Wbił sobie do głowy, że to z jego winy...

– I rzeczywiście z jego winy?

– Niestety tak. Od tego czasu już nie jest sobą. Przyszła depresja, manie religijne, obsesje... Próbowałem go leczyć. Nic to nie dało, jego stan z dnia na dzień się pogarszał. Nie jestem żonaty – na razie, wkrótce się to zmieni – i ojciec mógł bez przeszkód mieszkać ze mną. Nie był zresztą dla nikogo niebezpieczny. Ale nie tak dawno, miesiąc temu, wrócił do domu ogromnie ożywiony. Powiedział mi radośnie, że był w Vigricie i spotkał tam mamę, zaraz jednak wpadł w rozpacz, wyjaśniając mi, że mama została prostytutką. A on na to nie może pozwolić. Prawdziwie mnie to wszystko przeraziło. Wynająłem prywatnego detektywa, bo jest taki u nas, w Montelusie. Po trzech dniach dał mi znać, że istotnie w Vigricie widział starą prostytutkę. Wtedy zaniepokoiłem się na serio, zwłaszcza że ojciec ostatnio stał się bardzo porywczy. Pojechałem do Vigricy i rozmawiałem z tą biedną kobietą. Powiedziała mi, że o tej historii z ojcem zawiadomiła ze szczegółami swego przyjaciela, dyrektora liceum, i że on jej obiecał zawiadomić w razie czego policję. Doradziłem pani Castellino, żeby już nigdy ojca nie przyjmowała. Obiecała mi, że się z nim nie spotka. I dotrzymała słowa, ale ojciec właśnie przez to stał się jeszcze bardziej agresywny.

– A mówiąc konkretnie: czego ojciec od niej chciał?

– Chciał, żeby wyrzekła się swojego zajęcia i wróciła do niego.

– Czy może pan wykluczyć, że to właśnie pański ojciec...?

– Panie komisarzu, dzień wcześniej, dosłownie dzień przed zabiciem tej kobiety, udało mi się umieścić ojca w klinice psychiatrycznej w Palermo. Od tej chwili nie miał już okazji być gdzie indziej.

Sięgnął do teczki, wyjął z niej przygotowaną karteczkę.

– Zapisałem tu panu adres i telefon tej kliniki. Gdyby pan chciał, może się pan upewnić.

– Ciekawi mnie jeszcze jedno: dlaczego uznał pan, że musi mi opowiedzieć o tej historii?

– Skoro wchodzi tu w grę zabójstwo, nie chciałem, żeby przy tej okazji ujawniło się nazwisko ojca. A poza tym, skoro ten dyrektor liceum został przez panią Castellino zawiadomiony o całej sprawie, to prawdopodobnie zgłosiłby się do was i o niej opowiedział. A wy bezwiednie znaleźlibyście się na fałszywym tropie.

Kiedy doktor Rampolla wyszedł, Montalbano nawet nie zadał sobie trudu, żeby zatelefonować do kliniki w Palermo. Był pewien, że doktor szczerze opowiedział całą prawdę.

Wyliczył, że nabożeństwo powinno się już skończyć, i poszedł w stronę kościoła Chrystusa Króla. Przy drzwiach wejściowych, po obu stronach, stały oparte o ścianę dziesiątki wieńców. Kondukt wyłonił się z kościoła, za trumną szedł tłum ludzi. Komisarz podszedł bliżej, uściśnął rękę Serafinowi, który miał na karku zmarszczki wręcz tysiącletnie.

– Synowie nie zdążyli przyjechać. Ale mi obiecali, że będą tutaj w listopadzie, na Święto Zmarłych.

Montalbano już odchodził, kiedy podszedł do niego dyrektor Vasalič.

– Muszę z panem porozmawiać, panie komisarzu.

– Nie wybiera się pan na cmentarz?

– Chciałbym porozmawiać z panem jak najszybciej. Myślę, że to ważniejsze.

Ruszyli w stronę komisariatu.

– Wiele myślałem o naszej wczorajszej rozmowie – zaczął dyrektor – i uprzytomniłem sobie, że nie powiedziałem panu o jeszcze jednej sprawie, która, jeśli się zastanowić, może się tu okazać bardzo istotna.

– Ja także miałem ochotę jeszcze o coś pana spytać – odpowiedział Montalbano.

– Słucham pana.

– Chodzi mi o tego klienta, który zwracał się do pani Castellino z jakimiś niestosownymi życzeniami, jak się pan wyraził. Były to życzenia natury seksualnej?

– Jakież to osobliwe! – powiedział dyrektor. – Właśnie o tym chciałem z panem porozmawiać. Nie, panie komisarzu. Szło tu o człowieka, który sobie uroił, że Maria jest jego żoną, i który chciał, żeby znów z nim zamieszkała. Był niebezpiecznym wariatem. Pobił ją do krwi. Dwukrotnie. Można wobec tego przypuszczać...

– Chwileczkę. Tym samym sugeruje pan, że ten wariat, którego życzeń pani Castellino nie chciała spełnić, całkiem stracił głowę i ją zamordował?

– Chyba trudno to wykluczyć, prawda?

– Oczywiście. Dlaczego jednak nie powiedział mi pan o tym wczoraj?

– Czy ja wiem, panie komisarzu? Pewnie z obawy o wyrzuty sumienia. Zanim oskarży się kogoś, kto potem może okazać się niewinny...

– Rozumiem pana skrupuły. I wyrażam swoją wdzięczność. Może pan w dodatku wie, jak ten mężczyzna się nazywa?

– Tego Maria mi nie powiedziała. Ale przecież dla was nie będzie to takie trudne...

Doszli już pod bramę komisariatu.

– Serdecznie panu dziękuję za tak wielką pomoc – powiedział Montalbano.

– Halo? Doktor Rampolla? Tu komisarz Montalbano. Ma pan dla mnie chwilę?

– Oczywiście. Słucham pana.

– Czy pański ojciec powiedział panu, że pobił panią Marię?

– Nie. I nie sądzę, żeby się tego dopuścił.

– Dlaczego? Mówił mi pan, że w ostatnim czasie stawał się coraz bardziej agresywny.

– Proszę mi wierzyć, panie komisarzu, że ze stanu, w jakim się znajdował, i sposobu, w jaki ze mną rozmawiał, mogę wnosić, że o czymś takim by mi powiedział. I jeszcze jedno się tu liczy: kiedy pojechałem rozmówić się z tą biedną kobietą, nie powiedziała mi, że ojciec ją pobił. Powiedziała, że był natarczywy i niebezpieczny. Ale nie mówiła, że ją pobił. A przecież gdyby coś takiego się zdarzyło, powiedziała by mi o tym na pewno, nie sądzi pan? Natomiast później, po moim pobycie u niej, już się z ojcem nie zetknęła, tego jestem absolutnie pewien.

Słowa doktora Rampolli pokrywały się w zupełności ze zdarzeniem opowiedzianym przez synka pani Gaudenzio: żeby nie przyjmować u siebie niepokojącego ją klienta, pani Maria wolała siedzieć w domu za zamkniętymi drzwiami.

Poszedł do gospody „San Calogero” i zjadł z przyjemnością smażoną solę, więc najbliższe chwile rysowały mu się różowo. Po drodze wstąpił do Serafina. Stary kelner wskazał ręką na nakryty stół.

– Sąsiadki przyniosły mi jedzenie, a ja nie mam apetytu.

– Przymuś się, Serafino, musisz coś zjeść. Może za jakiś czas, kiedy trochę zgłodniejesz. Chcę cię jeszcze o jedno spytać. Wczoraj mówiłeś mi, że twoja żona siadała z dyrektorem Vasalicň tutaj, w jadalni, i rozmawiali o interesach. Tak było?

– No tak. Właśnie tak było.

– A gdzie są dokumenty, gdzie jakieś papiery o tych interesach?

– Wszystkie już włożyłem do walizki.

– Włożyłeś do walizki? Po co?

– Bo wieczorem, gdzieś po dziewiątej, przyjedzie pan dyrektor, żeby je zabrać. Mówi, że musi wszystko uważnie przejrzeć, bo może Marii należy się trochę pieniędzy z tych jej inwestycji, a może nie.

– Posłuchaj, Serafino, daj mi tę walizkę. Przed dziewiątą ci ją odniosę.

– Jak pan sobie życzy, komisarzu.

Walizka ważyła chyba parę kilo. Męczył się z nią okropnie, spocił się. W połowie drogi spotkał Fazia i ten mu wreszcie pomógł.

Jak schludnie utrzymywała czystość w domu, tak też miała starannie uporządkowane dokumenty. Umowy wynajmu, notarialne akty zakupu mieszkań i sklepów, wyciągi z konta bankowego, wszystkie wpłaty i wypłaty. Komisarz przeglądał jej papiery dwie godziny. W końcu zebrał te, które odkładał na bok. Włożył je do kieszeni i poszedł do gabinetu Mimě Augella.

– Mimě, muszę z tobą pomówić.

Może dyrektor był zaskoczony, że ich u siebie widzi, a może nie – w każdym razie nie dał tego po sobie poznać. Posadził obu w salonie.

– Doktor Augello jest moim zastępcą – powiedział Montalbano. – Panie

dyrektorze, przyszedłem panu oznajmić, że osoba, o której dziś rano dał mi pan uprzejmie znać, nie może być zabójca.

– Nie może? Dlaczego?

– Dlatego, że na dzień przed zabójstwem została umieszczona w klinice psychiatrycznej w Palermo. Ale tej okoliczności pan oczywiście nie mógł znać.

– Nie, nic o tym nie wiedziałem.

Montalbano z całym spokojem zapalił papierosa i dał ręką znak, żeby dalej ciągnął rozmowę Mimě.

Augello, zanim się odezwał, wyjął z teczki trzy kartki papieru i przejrzał je, jakby chciał sobie odświeżyć pamięć.

– Panie dyrektorze, Maria Castellino była bardzo skrupulatna. W jej papierach, które pan w dużej części zna, bo Serafino powiedział nam, że je z panem konsultowała, znaleźliśmy trzy notatki pisane ręcznie przez zmarłą. Z charakteru pisma wynika, że nie może tu być mowy o fałszerstwie. W pierwszej notatce napisała: pożyczyłam dyrektorowi Vasalicń sto milionów.

Dyrektor uśmiechnął się ze zrozumieniem.

– Jeśli o to chodzi, to powinna tam być jeszcze druga kartka o pożyczce w wysokości dwustu milionów. Obie pochodzą sprzed dwu lat.

– Wszystko się zgadza. Zna pan również treść trzeciej notatki?

– Nie. Ale to nie ma żadnego znaczenia, bo dalszych pożyczek już u Marii nie zaciągałem. A tamte trzysta milionów zwróciłem.

– Możliwe, panie dyrektorze. Tylko co się z nimi stało? Nie znaleźliśmy żadnego potwierdzenia zwrotu. Nigdzie ich nie wpłaciła. W domu także ich nie trzymała.

– Dlaczego wypytujecie o to mnie? Skąd mogę wiedzieć, co z nimi zrobiła?

– Jest pan pewien, że jej pan zwrócił?

– Zwróciłem co do centa.

– Kiedy?

– Niech pomyślę... Powiedzmy, miesiąc temu.

– Proszę spojrzeć tutaj: ta trzecia kartka, o której jeszcze nie mówiliśmy, to brudnopis listu, który pani Maria wysłała panu dokładnie dziesięć dni temu. Prosi w nim o zwrot trzystu milionów.

– Chciałbym wiedzieć, o co wam w istocie chodzi – powiedział dyrektor, wstając. – Oskarżacie mnie, że zabiłem Marię, żeby zagarnąć jej pieniądze?

– Oczywiście nie mamy na to dowodów – wtrącił Montalbano.

– Wobec tego zabierajcie się stąd. Natychmiast!

– Jeszcze chwilę – powiedział Mimě, porywczy jak młody kogucik.

Nadszedł najdelikatniejszy moment w całym tym wydarzeniu. Jednak w scenie, jaką postanowili odegrać przed dyrektorem, Mimě spisał się w swej roli znakomicie.

– Chyba pan wie, że pani Maria została uduszona paskiem od spodni?

– Wiem o tym.

Dyrektor stał wyprostowany, ręce miał złożone na piersi.

– W porządku. Sprzączka, zdaniem lekarza sądowego, głęboko zraniła szyję ofiary. To nie wszystko: skóra paska pozostawiła na szyi drobne ślady. Wobec tego żądam teraz formalnie, żeby pan nam przekazał wszystkie paski, jakie pan posiada, poczynając od tego, który ma pan na sobie.

Dyrektor opadł bezwładnie na fotel, kolana odmówiły mu posłuszeństwa.

– Chciała zwrotu pieniędzy – wydusił z siebie. – A ja ich nie miałem, straciłem wszystkie na giełdzie. Zagroziła, że złoży na mnie doniesienie, i dopiero wtedy ja...

Montalbano wstał, wyszedł z mieszkania na schody, zaczął schodzić na dół. Te wyjaśnienia, jakie miał od dyrektora usłyszeć Mimě, już go nic nie obchodziły.

Kot i szczygieł

Pani Erminia Todaro, osiemdziesięciopięcioletnia żona emerytowanego kolejarza, wyszła jak co dzień z domu, żeby pójść do kościoła na ranną mszę świętą, a potem na targ. Nie zaniedbywała praktyk religijnych, ale powodem tego była nie tyle wiara, ile bezsenność, na którą cierpiała jak niemal wszystkie starsze osoby; potrzebowała wczesnej mszy dla zabicia czasu, bo jej dni z roku na rok, nie wiadomo czemu, robiły się coraz dłuższe i coraz bardziej puste. W tym czasie jej mąż, który miał na imię Augustinu i do emerytury zawsze pracował na kolei, stawał w oknie, patrzył na ulicę i nie ruszał się z miejsca, dopóki żona nie zawołała, że śniadanie jest już na stole. No więc pani Erminia wyszła z bramy, zapięła starannie płaszcz, bo było trochę chłodno, i ruszyła przed siebie. Na prawym ramieniu miała zawieszoną czarną torebkę, a w niej dowód osobisty, fotografię córki Catariny, która po mężu nazywała się Genuardi i mieszkała w Forli, fotografię trojga dzieci małżeństwa Genuardich, trzy fotografie wnuków małżeństwa Genuardich, obrazek ze świętą Łucją, dwadzieścia sześć tysięcy lirów w banknotach i siedemset pięćdziesiąt w bilonie. Emerytowany kolejarz Augustinu zeznał później, że obok jego żony jechał bardzo wolno mężczyzna na motocyklu. Wkrótce jakby się znudził jazdą w tempie kroków pani Erminii, które z całą pewnością nie osiągały odpowiadającej mu szybkości, przyspieszył i wyprzedził staruszkę. W chwilę potem zrobił coś dziwnego: zawrócił i ruszył prosto na panią Erminię. Na ulicy nie było żywego ducha. Zatrzymał się w odległości trzech kroków, postawił nogę na ziemi, wyjął z torby rewolwer i wycelował go w idącą. A ponieważ pani Erminia mimo mocnych soczewek w okularach nie była zdolna dostrzec choćby psa z

odległości dwudziestu centymetrów, nieświadoma rzeczy szła spokojnie w stronę mierzącego w nią motocyklisty. Kiedy znalazła się z nim twarzą w twarz, zauważyła broń i bardzo się zdziwiła, że komuś przyszło do głowy, żeby do niej strzelać.

– Co ty robisz, synku, chcesz mnie zabić? – spytała, raczej zaskoczona niż przestraszona.

– Tak – rzucił mężczyzna – albo mi dasz torebkę, albo strzełę.

Pani Erminia zdjęła torebkę z ramienia i podała ją napastnikowi. W tym samym momencie pan Augustinu wreszcie się uporał z otwarciem okna. Wychylił się mocno na zewnątrz, nie licząc się z tym, że może wypaść, i zaczął krzyczeć: „Na pomoc! Na pomoc!”.

Wtedy mężczyzna strzelił. Oddał tylko jeden strzał, i to do pani Erminii, a nie do jej męża, który robił tyle hałasu. Pani Erminia upadła na bruk, mężczyzna zawrócił, dodał gazu i zniknął. Na wołanie kolejarza otworzyły się wszystkie okna, a na ulicę wybiegli mężczyźni i kobiety, żeby przyjść z pomocą leżącej pani Erminii. Zaraz, na szczęście, wyszło na jaw, że pani Erminia tylko zemdląła z przerażenia.

Panna Esterina Mandracchia, siedemdziesięcioletnia nauczycielka szkoły powszechnej, już na emeryturze, która nigdy nie wyszła za mąż, mieszkała samotnie w mieszkaniu odziedziczonym po rodzicach. Jej mieszkanie różniło się tym od innych, że ściany trzech pokoi, łazienki i kuchni były dosłownie wytapetowane setkami świętych obrazków. Prócz tego wszędzie stały święte figurki: Madonna pod szklanym kloszem, Dzieciątko Jezus, święty Antoni Padewski, krucyfiks, święty Girlando, święty Calogero i wielu innych świętych, niełatwych do rozpoznania. Panna Mandracchia chodziła zawsze do kościoła na ranną mszę, a po południu wracała jeszcze raz na nieszpory. Tamtego ranka, w dwa dni po napaści na panią Erminię, panna Esterina

wyszła z bramy i – jak opowiedziała potem komisarzowi Montalbano – ledwie skierowała się w stronę kościoła, wyprzedził ją motocykl, na którym jechał mężczyzna w kasku. Po paru metrach motocyklista zawrócił, zatrzymał się kilka kroków przed panną Esteriną i wyjął rewolwer. Była nauczycielka mimo swego podeszłego wieku miała wzrok doskonały. Od razu podniosła w górę obie ręce, jak to widywała w telewizji.

– Poddaję się – powiedziała, drżąc.

– Dawaj torebkę – nakazał jej napastnik.

Panna Esterina zdjęła torebkę i podała mu prosto do ręki. Mężczyzna ją wyrwał, a mimo to strzelił, tyle że chybił celu. Esterina Mandracchia ani nie krzyczała, ani nie zemdląca: po prostu poszła do komisariatu i złożyła doniesienie. W torebce, jak oświadczyła, poza niezliczonymi świętymi obrazkami miała dokładnie osiemnaście tysięcy trzysta lirów.

– Jem mniej niż ptaszek! – wyjaśniła komisarzowi. – Jedna bułka wystarcza mi na dwa dni. Po co bym miała nosić przy sobie pieniądze?

Pippo Ragonese, dziennikarz polityczny Telegigty, odznaczał się dwiema właściwościami: miał twarz jak kurzy kuper i wybujałą fantazję skłaniającą go do dopatrywania się wszędzie spisku. Był zaciekłym wrogiem komisarza Montalbano i nie przepuszczał żadnej okazji, żeby go kolejny raz zaatakować. Twierdził więc, że za zbrodniczymi napadami na dwie staruszki kryje się precyzyjny plan polityczny uknuty przez bliżej nieokreślonych lewicowych ekstremistów. Ci terroryści usiłują swoimi akcjami zniechęcić wiernych do chodzenia do kościoła, przyspieszając w ten sposób nastanie ery nowego ateizmu. A z faktu, że policji w Vigście nie udało się dotąd aresztować rzekomego napastnika, trzeba wnioskować, że może ta podświadoma zwłoka wynika z idei politycznych komisarza, które z całą pewnością nie mają nic wspólnego ani z centrum, ani z prawicą.

Sformułowanie „podświadoma zwłoka” dziennikarz powtórzył dwukrotnie, żeby zabezpieczyć się przed nieporozumieniami i oskarżeniami.

Montalbano nie był tym, co usłyszał, poirytowany, a tylko prawdziwie rozbawiony. Nie miał natomiast powodów do śmiechu następnego dnia, kiedy wezwał go do siebie kwestor Bonetti–Alderighi. Kwestor nie wyłożył mu wprawdzie swoich domysłów tak jasno jak dziennikarz telewizyjny, ale mglście powtórzył mu właściwie to samo, domagając się, żeby nie zaniedbał pójść „również” tym tropem.

– Panie kwestorze, jak pan myśli: ilu takich rzekomych napastników trzeba by użyć, żeby zniechęcić wszystkie staruszki w prowincji Montelusa do chodzenia na ranne msze?

– Sam pan, komisarzu, posłużył się wyrażeniem „rzekomi napastnicy” A przecież przyzna pan, że nie tak wygląda zazwyczaj *modus operandi* typowego napastnika. Bo ten nasz za każdym razem wyciąga rewolwer i strzela. Bez powodu. Nie wystarczy mu wyciągnąć rękę i wygodnie przywłaszczyć sobie torebkę. A poza tym dlaczego chce biedne kobiety zabijać?

– Panie kwestorze – powiedział Montalbano, któremu przeszła ochota na żarty, to znaczy na wytykanie rozmówcy oczywistych niedorzeczności w rozumowaniu – „wyciąganie broni” w tym przypadku rewolweru, nie musi być tożsame z grożeniem napadniętemu śmiercią. Bardzo często taka groźba nie obiera sobie za cel rozwiązania tragicznego, tylko wartościowanie poznawcze. Tak przynajmniej twierdzi Roland Barthes.

– Kto to taki? – spytał zaskoczony kwestor.

– Wybitny kryminolog francuski – skłamał komisarz.

– Montalbano, ja pieprzę tego pańskiego kryminologa! Nasz napastnik nie dość, że „wyciąga broń” to jeszcze potem strzela!

– Ale nie trafia. Ofiary nic na tym nie ucierpiały. Może więc chodzi w naszym przypadku o jakieś zwielokrotnione wartościowanie poznawcze.

– Niech się pan zabiera do roboty – przerwał mu Bonetti–Alderighi.

– Moim zdaniem – powiedział Mimě Augello – to pospolity wykolejeniec. Działa pod narkotykiem.

– Mimě, zastanów się. Ten wykolejeniec zdobył w sumie czterdzieści pięć tysięcy i pięćdziesiąt lirów. Gdyby odsprzedał naboje do rewolweru, pewnie by zgarnął więcej. A tak nawiasem mówiąc, znaleźliście kule?

– Szukaliśmy, ale nic z tego nie wyszło. Nie wiadomo, gdzie się kule ulotniły.

– Dlaczego ten kutas strzela do staruszek, kiedy mu już pokornie oddały torebki? I dlaczego nie trafia?

– Co chcesz przez to powiedzieć?

– To, Mimě, że nie trafia. Tylko tyle. Moglibyśmy, dajmy na to, uznać, że za pierwszym razem zareagował instynktownie, ponieważ mąż pani Todaro zaczął krzyczeć. Trudno jednak zrozumieć, dlaczego nie strzelił do krzyczącego męża, tylko do żony, która stała pół metra od niego. Za drugim razem strzelił do panny Mandracchia, kiedy już trzymał jej torebkę w ręku. I także nie trafił. Wiesz co, Mimě? On chyba za każdym razem trafił, jak chciał trafić.

– Tak sądzisz? A przecież żadna z napadniętych nawet nie została zraniona.

– Bo on strzelał ślepakami, Mimě. Sprawdź to, daj do zbadania płaszcz, który tamtego dnia miała na sobie pani Erminia.

Miał rację. Następnego dnia z laboratorium sądówki w Montelusie dali

znać, że nawet po powierzchownych oględzinach płaszcz pani Todaro na wysokości piersi można się zorientować, że pozostała na nim plama złożona z resztek prochu strzelniczego.

– Wobec tego jest to szaleniec – stwierdził Mimě Augello.

Komisarz nic na to nie odpowiedział.

– Nie zgadzasz się?

– Nie. A jeśli nawet jest to szaleniec... to w tym szaleństwie jest metoda.

Augello, który pewnie nie czytał Hamleta, a jeśli czytał, to całkiem zapomniał, nie dosłyszał w słowach komisarza cytatu.

– Jakaż to metoda?

– Mimě, mamy ją wykryć. Co ty na to?

Kiedy o tamtych wydarzeniach zapomniano i nikt w mieście już nie mówił o napaściach, napastnik (przecież nie można nazwać go inaczej) znowu dał znać o sobie. O siódmej rano w niedzielę, w wypróbowany już sposób, zmusił panią Gesualdę Bommarito, żeby wręczyła mu torebkę, a potem do niej strzelił. Trafił ją w lewe ramię i trochę je zadrasnął. W gruncie rzeczy nie było to nawet zranienie. Ale podkopało teorię komisarza, że napastnik używa ślepych naboí. Może więc ślady prochu strzelniczego wykryte na płaszczu pani Todaro pozostały tam dlatego, że tamten w ostatniej chwili oprzytomniał i skrzył rękę w bok. Tym razem kula została znaleziona i specjaliści z sądówki powiedzieli komisarzowi, że w grę musi tu wchodzić jakaś broń przedpotopowa. W torebce pani Gesualdo, która bardziej się wystraszyła, niż ucierpiała, było jedenaście tysięcy lirów. O co w tym chodzi, że napastnik (czy ktoś, kto gra jego rolę) zabiera się do okradania staruszek idących na ranna mszę? Napastnik prawdziwy, zawodowiec, przede wszystkim nigdy nie zabiera ze sobą broni, a poza tym raczej zaczają się na emerytkę wychodzącą

z poczty z pieniędzmi albo na elegancką paniusią idącą do fryzjera. Szkoda mówić; coś w tej sprawie było nie takie, jakie powinno być. Ale po zranieniu pani Gesualdy komisarz nie był już taki spokojny. Jeżeli ten idiota będzie strzelał ostrymi nabojami, prędzej czy później którąś z tych nieszczęsnych staruszek zabije.

I tak się stało. Pewnego ranka panią Antonię Joppolo, pięćdziesięcioletnią żonę adwokata Giuseppe, zbudził telefon. Była siódma. Podniosła słuchawkę i rozpoznała głos męża.

– Ninetto kochana – powiedział adwokat.

– Co się stało? – spytała w pośpiechu pani Antonia, bo już była zaniepokojona.

– Miałem głupi wypadek tuż pod Palermo. Przywieźli mnie do szpitala. Chciałem cię o tym zawiadomić, zanim dadzą ci znać obcy. Drobiazg, nie martw się, nic mi nie jest.

Pani Antonina jednak się zmartwiła.

– Biorę samochód i jadę – oświadczyła.

O tej rozmowie adwokat Joppolo opowiedział komisarzowi Montalbano, kiedy ten pojechał porozmawiać z nim w szpitalu Sanatrix.

Można się więc było logicznie domyślić, że pani Antonia od razu się ubrała, wyszła z domu i ruszyła w stronę garażu, który znajdował się może sto metrów dalej. Zrobiła kilka kroków i wyprzedził ją motocykl. Annibale Panebianco, który w tym momencie wychodził z bramy swojej kamienicy, zdążył jeszcze zauważyć, że pani Antonia wręcza motocykliście torebkę, a potem usłyszał strzał i przerażony zobaczył, że biedaczka pada na ziemię, a motocyklista ucieka. Kiedy się ocknął i podbiegł do pani Joppolo, którą dobrze znał, nic już nie można było zrobić, została trafiona w samo serce.

Adwokat Giuseppe na swoim szpitalnym łóżku wprost wił się z rozpaczy.

– Wszystko to z mojej winy! A przecież ją błagałem, żeby nie przyjeżdżała, żeby została w domu, bo to nic poważnego. Moja biedna Ninetta! Tak mnie kochała!

– Przebywał pan w Palermo już jakiś czas, mecenasie?

– Skądże! Wyjechałem z Vigrty z samego rana, żona jeszcze spała. W dwie godziny później miałem ten wypadek i zatelefonowałem do niej, a ona uparła się, że zaraz przyjedzie. I stało się, co się stało.

Nie mógł dalej mówić, brakowało mu tchu, ciągle szlochał. Komisarz musiał odczekać pięć minut, zanim adwokat poczuł się zdolny odpowiadać na jego pytania.

– Proszę wybaczyć pytanie, panie mecenasie; żona nosiła w torebce większe sumy?

– Większe sumy? Nie wiem, jakie sumy ma pan na myśli. Mamy w domu kasę pancerną, gdzie zawsze leży parę milionów w gotówce. Ale zazwyczaj żona brała ze sobą tylko tyle, ile było konieczne. Przecież dzisiaj są bankomaty, karty kredytowe, książeczki czekowe, nikt nie musi nosić przy sobie większej sumy pieniędzy. Mój Boże, możliwe, że tym razem, skoro jechała do Palermo i liczyła się z nieprzewidzianymi wydatkami, miała przy sobie parę milionów. Może też miała coś z biżuterii. Biedna Ninetta, lubiła wkładać do torebki coś z biżuterii, kiedy wyjeżdżała z Vigrty, nawet na krótko.

– Panie mecenasie, jak doszło do wypadku?

– Wie pan, chyba się na moment zdrzemnąłem. Wjechałem prosto w słupek ze znakiem drogowym. Nie miałem zapiętego pasa, zламаłem sobie dwa zębra, i tyle. Nic więcej się nie stało.

Broda znowu zaczęła mu się trząść.

– I przez takie głupstwo, przez takie nic moja Ninetta rozstała się z życiem.

– Wprawdzie ofiara – skomentował wypadek dziennikarz polityczny TeleVigírty, nie odstępując od swej idei – w tym momencie nie zamierzała się pomodlić, gdyż nie szła do kościoła, tylko prosto do garażu, ale przecież nie można wykluczyć, że przed odjazdem do Palermo, do łaknącego pociechy męża, nie wstąpiłaby, choć na kilka minut, do kościoła, żeby prosić o zdrowie i łaskę dla leżącego na łożu boleści nieszczęśnika. Więc wszystko się tu powtarza, tę zbrodnię również można przypisać tym groźnym bojówkom, co chcą terrorem oddzielić wiernych od wiary. Tego nie było nawet za czasów Stalina, Tu bez wątpienia mamy do czynienia z przerażającą *escalation* ateistycznej przemocy.

Poirytowany Bonetti–Alderighi także użył słowa *escalation*.

– To *escalation*, Montalbano! Ten typ strzela ślepyimi nabojami, potem lekko rani i wreszcie zabija. Gdzież tu to „wartościowanie poznawcze” o którym plecie pański francuski kryminolog – jakże się nazywa? Chyba Marthes. A czy pan wie, kim była ofiara?

– Szczerze mówiąc, jeszcze nie miałem czasu...

– Oszczędzę panu tej straty czasu, komisarzu. Pani Joppolo była nie tylko jedną z najzamożniejszych kobiet w naszej prowincji, ale także była krewną podsekretarza stanu Biondolillo, który już do mnie zatelefonował. I miała wielu wpływowych przyjaciół; co więcej, nadzwyczaj wpływowych w środowisku politycznym i finansowym naszej wyspy. Zdaje pan sobie z tego sprawę? Wie pan co, Montalbano, ustawimy te sprawę inaczej i proszę nie mieć o to do mnie żalu. Śledztwo przejmie, oczywiście w porozumieniu z prokuraturą, naczelnik oddziałów specjalnych. Pan będzie mu pomagał. To po pana myśli?

Było to jak najbardziej po myśli komisarza. Kiedy sobie wyobrażał, że

przyszło by mu odpowiadać na nieuniknione pytania podsekretarza stanu Biondolillo i tych innych ze środowisk politycznych i finansowych wyspy, od razu zaczynał się pocić – nie ze strachu przed nimi, ale z nie zawodzącego go nigdy obrzydzenia do świata pani Joppolo.

Poczynania oddziałów specjalnych, do pomocy którym Montalbano oczywiście się nie rwał (nikt go zresztą nie prosił, żeby się włączył do ich akcji), zakończyły się aresztowaniem dwóch nieletnich narkomanów, którzy posiadali motocykle. Tych aresztowań prokuratura nie zatwierdziła. Obaj wyszli więc na wolność i całe śledztwo na tym się skończyło, chociaż kwestor Bonetti–Alderighi robił, co mógł, żeby zapewnić podsekretarza Biondolillo i środowiska polityczne i finansowe wyspy, że już wkrótce zabójca zostanie wykryty i ujęty.

Naturalnie komisarz Montalbano prowadził jednocześnie swoje niejawne dochodzenie, poruszając się, można powiedzieć, tuż pod powierzchnią wydarzeń. Doszedł do wniosku, że wkrótce nastąpi kolejna napaść. Nie wspomniał o tym ani słowem kwestorowi, ale podzielił się swoimi przypuszczeniami z Mimě Augello.

– Jak to?! – oburzył się Augello. – Tak spokojnie mówisz mi, że tamten zabije kolejną kobietę, i nic się tym nie przejmujesz? Jeśli masz co do tego pewność, to musimy coś w tej sprawie zrobić.

– Cierpliwości, Mimě, Powiedziałem ci, że tamten znowu napadnie na jakąś kobietę i strzeli do niej, ale nie powiedziałem, że ją zabije. A to nie to samo.

– Czemu jesteś tego tak pewien?

– Bo już wiem, że strzeli do niej ślepym nabojem, jak to już zrobił dwa razy. Nikt mi nie wmówi, że strzelał nie ślepakiem, tylko ostrym nabojem, ale w ostatniej chwili ruszyło go sumienie i skrzył rewolwer. To nie ma

sensu. Była tu rzeczywiście eskalacja, jak mówi kwestor. Wystudiowana i inteligentnie dopilnowana. Ale teraz znów strzeli ze ślebaka, mogę dać głowę.

– Salvo, chciałbym cię zrozumieć. Jeśli go nie złapiemy wcześniej, to on, twoim zdaniem, będzie jeszcze strzelał do dwóch kobiet na wiwat, trzecią lekko zrani, a czwartą zabije?

– Nie, Mimě. Jeśli jest tak, jak myślę, to on tylko do jednej staruszki strzeli na wiwat, a ją to naturalnie bardzo przestraszy. Może jednak jej serce zniesie to szczęśliwie. I na tym cała sprawa się zakończy, i dalszych napadów już nie będzie.

Dwa miesiące po uroczystym pogrzebie pani Joppolo, rano, około siódmej, kiedy Montalbano jeszcze spał, bo położył się do łóżka późno, gdzieś o czwartej, w Marinelli zadzwonił telefon. Komisarz zerwał się i krzyknął do słuchawki:

– Kto tam?

– Miałeś rację, Salvo – odpowiedział mu Augello.

– O czym, Mimě, mówisz?

– Tamten znowu strzelił do staruszki.

– Zabił ją?

– Nie. Chyba jednak był to ślebak.

– Zaraz tam będę.

Pod prysznicem zaśpiewał na cały głos, ile miał siły w płucach: „Torreadorze, rzuć się śmiało w bój! Chyba żeś chuj, chyba–żeś–chuj!”.

Staruszka – jak wyraził się przez telefon Mimě – pani Rosa Lo Curto, siedziała przed Montalbanem sztywno wyprostowana. Była gruba, spocona i

wylewna. Chociaż oświadczyła, że przekroczyła sześćdziesiątkę, wyglądała na młodszą o dziesięć lat.

– Pani także szła do kościoła?

– Ja do kościoła? Moja noga, panie komisarzu, nie powstała w kościele, od kiedy skończyłam osiem lat!

– Jest pani zamężna?

– Pięć lat temu zostałam wdową. A pobraliśmy się w Szwajcarii, w obrzędku laickim. Nie znoszę klechów.

– Dlaczego wyszła pani z domu tak wcześnie?

– Zadzwoiła do mnie przyjaciółka, nazywa się Bajo Michela. Źle spała, choruje. Obiecałam, że zaraz do niej wpadnę. Wzięłam z kuchni butelkę dobrego wina; wiem, jakie lubi. Nie miałam pod ręką torby i niosłam butelkę w rękę, bo do Micheli mam pięć minut drogi.

– I co się stało? Dokładnie – co?

– To co zawsze. Wyprzedził mnie motocykl. Zaraz zawrócił i podjechał do mnie. Zatrzymał się, łajdak, dwa kroki przede mną, wyjął rewolwer i wycelował we mnie. „Dawaj torebkę” powiedział.

– I co pani zrobiła?

– „Proszę bardzo” powiedziałam. I wyciągnęłam w jego stronę rękę z torebką. A on, kiedy już ją wyrwał, strzelił do mnie. Nic nie poczułam, więc zrozumiałam, że mnie nie trafił. To wtedy z całej siły uderzyłam go butelką w tę drugą rękę, w której miał moją torebkę i którą już trzymał na kierownicy, bo miał dodać gazu i ruszyć. Pańscy agenci pozbierali szkło z butelki. Jest pokrwawione. Musiałam go, łajdaka, skaleczyć. Ale torebki nie puścił, zabrał ze sobą. Tylko że w środku było co najwyżej dziesięć tysięcy lirów.

Montalbano wstał, podał jej rękę i powiedział:

– Proszę pani, najszczerzej panią podziwiam.

Ponieważ pani Lo Curto oświadczyła w wywiadzie, że nawet jej nie zaświtało w głowie, żeby iść w dniu napaści do kościoła, dziennikarz polityczny TeleVigryt pominął swoją ulubioną tezę o lewicowym spisku, który stawia sobie za cel odstraszyć ludzi od wiary i Kościoła.

Nie pominął jednak tego spiskowego aspektu sprawy komisarz Bonetti–Alderighi.

– I co? Znowu zaczyna się to samo. Proszę liczyć się z tym, że opinia publiczna zacznie nam wytykać, skądinąd całkiem słusznie, bierność i bezradność. A raczej nie tyle nam, ile panu, Montalbano.

Komisarz nie mógł sobie odmówić uśmiechu, co jeszcze bardziej rozzłościło kwestora.

– Co pan w tym, na Boga, widzi śmiesznego?!

– Proszę mi dać jeszcze dwa dni, a obu ich panu dostarczę.

– Co znaczy „obu”?

– Zleceniodawcę i rzeczywistego wykonawcę napaści i zabójstwa.

– Chyba pan żartuje?

– Bynajmniej. Ten ostatni napad z góry przewidziałem. Stał się, można powiedzieć, rozstrzygającym dowodem.

Bonetti–Alderighi był poruszony, wyszło mu w gardle. Zawołał dyżurnego agenta.

– Przynieś mi szklankę wody. Panu także?

– Nie, mnie nie – odpowiedział Montalbano,

– Komisarzu! Jaka niespodzianka! Jaka wspaniała! Skąd się pan wziął w Palermo?

– Przyjechałem w sprawach służbowych. Zatrzymam się parę godzin i wracam do Vigrty. Dowiedziałem się, że pan przeniósł się tutaj, że sprzedał pan w Vigricie i Montelusie wszystko, co należało do pańskiej zmarłej żony.

– Komisarzu, proszę mi uwierzyć, nie mogłem żyć wśród tamtych bolesnych pamiątek. Kupiłem tę willę w Palermo i tutaj chciałbym jakoś ciągnąć dalej. Co nie budziło dawnych wspomnień, przywiozłem ze sobą; reszty, by tak rzec, chętnie się wyzbyłem.

– Wyzbył się pan także kota?

Adwokat Giuseppe Joppolo był przez chwilę jak spłoszony.

– Jakiego kota?

– Dudu. Tego kota, do którego pańska żona była tak bardzo przywiązana. Miała także szczygła. Nie przywiózł pan tych stworzeń bożych ze sobą?

– No nie. Chciałem, ale w zamieszaniu, podczas przeprowadzki, niestety kot uciekł, a szczygieł wyfrunął. Niestety!

– Żona bardzo lubiła kota i szczygła.

– Wiem, pamiętam. Miała, biedactwo, to dziecinne poczucie...

– Proszę mi wybaczyć, panie mecenasie – przerwał mu Montalbano. – Dowiedziałem się, że między panem a żoną było dziesięć lat różnicy. Był pan więc o dziesięć lat młodszy od żony.

Adwokat Joppolo zerwał się z krzesła z oburzeniem.

– Co to ma do rzeczy?!

– Nie ma nic do rzeczy, istotnie. Kiedy nie brak miłości...

Adwokat popatrzył na niego, mrużąc oczy, i nic nie odpowiedział. A Montalbano ciągnął dalej.

– Kiedy się pan żenił, był pan, jasno mówiąc, całkiem spłukany, prawda?

– Niech się pan wynosi z mego domu!

– Zaraz się wyniosę. Tylko skończę. Teraz, kiedy pan tyle odziedziczył, jest pan bardzo zamożny. Z grubsza biorąc, zdobył pan dziesięć miliardów. Śmierć ukochanych osób nie zawsze obraca się w nieszczęście.

– Co pan przez to sugeruje? – spytał adwokat blady jak ściana.

– Tylko tyle, że zlecił pan zabicie swojej żony. Wiem nawet komu. Wymyślił pan genialny plan, tylko pogratulować. Pierwsze trzy napady były naciągane, prawdziwy był dopiero czwarty, ten, który się zakończył śmiercią pańskiej żony. Nie szło nigdy o to, żeby kraść torebki, tylko żeby pozorną kradzieżą przesłonić cel właściwy, zabójstwo pańskiej żony.

– Muszę pana jednak o coś spytać. Chyba po zabójstwie mojej biednej Ninetty doszło w Vigricie do jeszcze jednej napaści?

– Panie mecenasie, już panu mówiłem: tylko pogratulować. Rzecz została wykończona artystycznie. Nowy napad miał ostatecznie odsunąć wszelkie podejrzenia od pana. Nie wziął pan jednak pod uwagę czułych uczuć, jakimi pańska żona obdarzała kota Dudu i szczygła. I na tym się pan potknął.

– Niech mi pan wyjaśni, o co chodzi w tych idiotycznych insynuacjach?

– Nie są wcale takie idiotyczne, panie mecenasie. Widzi pan, przeprowadzałem oddzielne śledztwo, na własną rękę. Byłem dokładny. Swego czasu, kiedy przyjechałem po wypadku i zabójstwie do pana do szpitala, powiedział mi pan, że telefonując do żony, nalegał pan, żeby się nie ruszała z Vigricy. Prawda?

– Oczywiście, prawda.

– Proszę słuchać dalej. Zaraz po wypadku został pan zabrany do szpitala i umieszczony w pokoju dwuosobowym. Drugi pacjent był oddzielony od pana parawanem. Pan, trochę zagubiony po tym swoim udawanym wypadku, który jednak pana oszołomił, zatelefonował do żony. Dopiero potem przenieśli pana do pojedynki. Drugi pacjent jeszcze słyszał, co pan mówi przez telefon.

Gotów jest złożyć stosowne zeznanie. Błagał pan żonę, żeby przyjechała do szpitala, twierdził pan, że z panem źle. A mnie pan oświadczył, i powtórzył mi to pan wiele razy, nawet teraz, że bardzo pan nalegał, żeby się nie ruszała z Vigíty.

– Chyba nie sądzi pan, że mogę dokładnie pamiętać, co mówiłem po takim nagłym wypadku?

– Proszę mi dać skończyć. Bo to nie wszystko. Pańska żona, zaniepokojona tym, co jej pan powiedział przez telefon, postanowiła natychmiast jechać do Palermo. Ale miała kłopot z kotem i szczygłem, bo nie wiedziała, jak długo będzie poza domem. Zbudziła więc sąsiadkę, z którą się przyjaźniły, i opowiedziała jej, że wnosząc z tego, co od pana usłyszała, musi się liczyć z tym, że to pana ostatnie chwile. I dlatego musi natychmiast jechać. Zostawiła przyjaciółce kota i szczygła, wyszła na ulicę, a tam już czekał na nią zabójca, żeby doprowadzić do końca ten pański, tak genialnie obmyślony, plan.

Dzielny adwokat Giuseppe Joppolo stracił panowanie nad sobą.

– Nie masz na to żadnych dowodów, chuju złamany!

– Może nie wie pan, że pański wspólnik miał zranioną rękę. Dostał po niej butelką od ostatniej ofiary. Zgłosił się do szpitala w Montelusie, żeby go opatrzyli – nie wpadł na nic lepszego. Zatrzymaliśmy go. Moi agenci teraz go przesłuchują, to już sprawa paru godzin. Dam głowę, że wszystko wyzna.

– O Boże! – powiedział adwokat, opadając na najbliższe krzesło. To aresztowanie wspólnika nie było oczywiście prawdą, tylko czystą fantazją, typowym skokiem na cztery łapy, jak się o czymś takim mówi w żargonie policyjnym na Sycylii. Ale na podobny skok nie stać było adwokata. Zwalił się na ziemię tak jak stał, całym ciężarem.

Jak twierdzi Pessoa

Montalbano wstał o szóstej rano, i samo to ani by go grzało, ani ziębiło, gdyby dzień nie był taki przygnębiający. Siąpił deszcz, ale tak drobniutki, jakby udawał, że nie pada; w powietrzu wisiała tylko ta lekka mżawka, którą ludzie na wsi nazywają „chłopską kąpielą”. Swego czasu, gdy jeszcze pracowało się na polach, chłop przy takiej mżawce nie zwracał na nią uwagi i nie odrywał się od motyki, jakby wcale nie było deszczu; kiedy jednak wieczorem wracał do domu, ubranie na nim było jak zamoczone w wodzie. Otóż właśnie ta mżawka całkiem popsowała komisarzowi humor. O wpół do dziesiątej, po dwu godzinach jazdy samochodem, miał się znaleźć w Palermo, żeby wziąć udział w naradzie, której cel wydawał mu się bezsensowny, bo chodziło o ustalenie sposobu kontroli tysięcy uciekinierów przebywających nielegalnie na wyspie, tak by odróżnić nieszczęsnych biedaków poszukujących pracy i uciekinierów przerażonych grozą wojny domowej od zwykłych przestępców, którzy się między nich wmieszali. Jakiś urzędniczy geniusz z ministerstwa oznajmił, że odkrył wręcz nieomylny system rozeznawania się w tej gmatwaninie, a pan minister zarządził, że wszyscy odpowiedzialni za porządek na wyspie muszą być koniecznie o tym „odkryciu” poinformowani, Montalbano uznał, że temu ministerialnemu geniuszowi należałoby przyznać Nagrodę Nobla, ponieważ na dobrą sprawę wynalazł sposób odróżniania Dobra od Zła.

Wsiadł do auta dopiero o piątej po południu i ruszył do Vigfity. Był rozdrażniony. Rewelacje geniusza z ministerstwa zostały na naradzie przyjęte z nieukrywaną kpina, bo były nie do zastosowania w praktyce. Zmarnowany

dzień. Przecież to przewidział. Nie mógł natomiast przewidzieć, że po powrocie nie zostanie w komisariacie żadnego ze swoich agentów. Nie było nawet Catarelli. Gdzie się podziali? Usłyszał czyjeś kroki na korytarzu. Wszedł zasapany Catarella.

– Panie komisarzu, proszę pana o wybaczenie mi. Wyszedłem do apteki, bo potrzebowiałem aspiryny. Zaczyna mnie brać grypa.

– Ciekawi mnie, gdzie to się tak wszyscy ulotnili?

– Doktora Augello już wzięła grypa. Galluzza wzięła grypa, Fazia i Galla...

– ...także wzięła grypa.

– Nie, panie komisarzu. Obaj są zdrowi.

– Ale tu ich nie ma.

– Bo poszli w to miejsce, gdzie kogoś zabili.

Tak to już jest. Nie można się stąd ruszyć nawet na pół godziny, bo zaraz to wykorzystają i postarają się o jakiegoś trupa.

– Wiesz chociaż, dokąd poszli?

– Wiem, panie komisarzu. Na przedmieście Ulivuzza.

Jak tam się dojeżdża? Jeśli spyta o to Catarellę, to całkiem możliwe, że wyląduje na biegunie północnym. Przypomniał sobie, że Fazio ma komórkę.

– Po co ma pan tu przyjeżdżać, komisarzu? Prokurator zakończył wizję lokalną, doktor Pasquano obejrzał zwłoki, za chwilę zjawi się sądówka, nic tu po panu.

– Jednak przyjadę. Zaczekajcie na mnie, i ty, i Gallo. Wytlumacz mi tylko dokładnie, jak mam dojechać.

Mógł oczywiście posłuchać Fazia i nie ruszać się z biura, Ale chciał się jakoś pozbierać po tym nieudanym, bez reszty zmarnowanym dniu, po

czterech godzinach spędzonych w samochodzie, no i po tamtej niedorzecznej gadaninie.

Dzielnica Ulivuzza leżała na skraju jego obwodu, niemal na granicy z Montelusą: jeszcze sto metrów, a komisariat w Vigricie nie miałby już nic wspólnego z tą sprawą. Dom, w którym znaleziono zwłoki, stał na odludziu. Był zbudowany z surowego kamienia, niespajanego zaprawą, i miał tylko trzy pomieszczenia na parterze. Przy drzwiach wejściowych widać było otwór w murze, przez który wchodziło się do stajni, gdzie stał samotnie smutny osioł. Kiedy komisarz dojechał na miejsce, na placyku przed domem zobaczył tylko samochód Galla; widocznie całe zamieszanie z lekarzami, pielęgniarzami, sądówką, prokuratorem i jego pomocnikami już się skończyło. Tym lepiej. Wysiadł z auta i od razu buty ugrzęzły mu w grubej warstwie błota. „Chłopska kąpiel” ustała, ale nie zniknęły jej efekty. Próg domu był mocno wybłocony, błoto wcisnęło się zresztą wszędzie, nawet do kuchni, do której wszedł. Fazio i Gallo czekali na niego, stojąc przy kominku i sącząc ze szklanek wino. Kominek był pewnie zarazem piecem chlebowym, jego wlot zasłaniał kawałek półokrągłej blachy. Ciało już zostało zabrane. Pośrodku pokoju stał stół, a na nim talerz z dwoma niedojedzonymi ziemniakami, które krew, widoczna także na deskach stołu, zmieniła w sinawe buraki.

Na stole nienakrytym obrusem leżał, także nietknięty, krążek owczego sera, pół bochenka chleba i stała szklanka napełniona do połowy czerwonym winem. Nie było flaszki, Fazio i Gallo trzymali ją teraz na półce nad kominkiem i robili użytek z jej zawartości. Na podłodze, obok wyplatanej słomą krzesła, leżał widelec.

Fazio wodził wzrokiem za spojrzeniem komisarza.

– Zabili go, kiedy jadł obiad. Wykonali na nim wyrok; załatwili go jednym

strzałem w tył głowy.

Montalbano obruszał się, kiedy w telewizji mylono słowo „zabić” z wyrażeniem „wykonać wyrok” Swoim agentom także miał to za złe. Ale tym razem nie upomniał Fazia, bo skoro mu się te słowa wyrwały, to pewnie ten jeden strzał w tył głowy, oddany z zimną krwią, zrobił na nim wielkie wrażenie.

– A co jest tam? – spytał komisarz, wskazując głową na drugie pomieszczenie.

– Nic. Łóżko małżeńskie z gołymi materacami, bez pościeli, dwie szafki nocne, szafa i dwa krzesła, takie same jak tutaj.

– Znałem go – powiedział Gallo, ocierając sobie usta wierzchem dłoni.

– Zabitego?

– Nie, jego ojca. Nazywał się Firetto Antonio. Syn miał na imię Giacomo. Ale z nim nigdy się nie zetknąłem.

– Z ojcem też coś się stało?

– Nie wiadomo, zagadka – powiedział Fazio. – Nie ma go. Szukaliśmy wszędzie, i koło domu, i trochę dalej, ale bez skutku. Moim zdaniem zabrali go ze sobą tamci, co mu zabili syna.

– Co wiecie o zabitym?

– Panie komisarzu, przecież to był Firetto Giacomo!

– No i co z tego?

– On, komisarzu, już od pięciu lat się ukrywa. Wynajmował się mafii, był od najpodlejszej roboty, przynajmniej tak się o nim mówi. Chyba tylko pan nic o nim nie słyszał, bo wszyscy słyszeli.

– Przystał do Cuffarów czy do Sinagrów?

Rodziny Cuffaro i Sinagra były dwoma rodami mafijnymi, które od lat

walczyły ze sobą o dominację w prowincji Montelusa.

– Panie komisarzu, Firetto Giacomo miał już czterdzieści pięć lat. Kiedy jeszcze mieszkał tutaj, związał się z Sinagrami. Był młody, dobrze sobie radził. Dlatego wypożyczała go od Sinagrów rodzina Riolo z Palermo. I tamtym wysługiwał się aż do dziś.

– A kiedy wpadał tutaj, ojciec przyjmował go w domu?

Fazio i Gallo wymienili ze sobą szybko spojrzenia.

– Komisarzu, jego ojciec był porządnym człowiekiem – odpowiedział stanowczo Gallo.

– A można wiedzieć, dlaczego mówisz o nim „był”?

– Bo, naszym zdaniem, już go w tej chwili nie ma. Nie żyje, jego też zabili.

– Wyłóżcie mi, jak sobie to wszystko wyobrażacie. Co tu się wydarzyło?

– Jeśli można – powiedział Gallo – to jeszcze coś panu dopowiem. Antonio Firetto miał prawie siedemdziesiątkę, ale był jak dziecko. Pisał wiersze.

– Co ty opowiadasz...

– Tak, komisarzu, pisał wiersze. Nie umiał czytać i pisać, ale układał wiersze, i to piękne. Kiedyś jeden od niego słyszałem.

– O czym mówił w tych wierszach?

– No, o Madonnie, księżycu, trawie. O czymś takim. I nigdy nie chciał wierzyć, że to co mówią o jego synu, to prawda. Upierał się, że Giacomo nie byłby zdolny do takich rzeczy, bo ma dobre serce. Nigdy nie chciał wierzyć w nic złego. Kiedyś pobił jednego sąsiada do krwi, bo tamten nie krył, że jego syn jest w mafii.

– Rozumiem. Chcesz przez to powiedzieć, że uważał za coś jak najbardziej naturalnego przyjmować syna u siebie w domu, skoro syn w jego

przekonaniu był niewinny jak Jezus Chrystus.

– To właśnie chcę panu powiedzieć – stwierdził Gallo trochę urażonym tonem.

– Wróćmy do zabójstwa. Jak to tu wyglądało, waszym zdaniem?

Gallo spojrzał na Fazia, jakby chciał mu powiedzieć, że teraz na niego kolej.

– Wczesnym popołudniem – zaczął Fazio – Giacomo zjawia się tutaj. Musi być śmiertelnie zmęczony, bo od progu, w zabłoconych butach, rzuca się na łóżko. Ojciec daje mu wypocząć, a potem przyrządza jedzenie. Giacomo siada do stołu, kiedy już się ściemniło. A ojciec, który albo nie jest głodny, albo przywykł jeść o innej porze, wychodzi z kuchni, żeby podrzucić siano osłu. Ale pod domem czai się co najmniej dwóch napastników i czeka na stosowną chwilę. Chwytają starego, krępują mu nogi, wciągają do domu i strzelają do Giacomu. Potem biorą ze sobą ojca i samochód, którym przyjechał Giacomo.

– Dobrze. A dlaczego, waszym zdaniem, ojca nie zabili tu, na miejscu, jak syna?

– Może Giacomo coś ojcu wyznał i chcieli to od niego wydusić...

– Mogli mu zrobić przesłuchanie tutaj, choćby w stajni.

– Może uznali, że to za długo potrwa, a tymczasem ktoś się przyplącze? Bo tak też się stało.

– Także o tym nic nie wiem...

– Zabójstwo odkrył przyjaciel Antonia, który mieszka trzysta metrów stąd. Czasem po kolacji spotykali się tutaj, pili wino i rozmawiali. On się nazywa Romildo Alessi. Przyjechał skuterem i kiedy zobaczył, co jest, zaraz pojechał do jednego domu, niedaleko stąd, gdzie mają telefon. Kiedy dojechaliśmy na miejsce, zwłoki były jeszcze ciepłe.

– Wasze domysły nie trzymają się kupy – rzucił brutalnie Montalbano.

Fazio i Gallo popatrzyli na siebie zbici z tropu.

– Dlaczego?

– Jeżeli sami nie wpadniecie na to dlaczego, ode mnie tego nie usłyszycie.

Jak zabity był ubrany?

– Spodnie, koszula i kurteczka. Lekki strój, stosowny na ten upał, co mimo deszczu stoi w powietrzu.

– Wobec tego miał przy sobie broń.

– Czemu miał mieć broń?

– Bo jak ktoś w lecie nosi kurteczkę, znaczy to, że ma pod nią broń.

Słowem, miał broń czy nie miał?

Nic przy nim nie znaleźliśmy.

Montalbano skrzywił się.

– Wydaje się wam, że niebezpieczny, ukrywający się przestępca kręci się jak gdyby nigdy nic i nawet nie ma przy sobie rewolweru?

– Może jego rewolwer zabrali tamci, co go zabili?

– Może. A rozejrzeliście się?

– Oczywiście. Ci z sądówki także wszędzie zaglądali. Ale nawet łuski nie znaleźliśmy. Albo tamci ją zabrali, albo strzelali do niego z bębnowca. Jedna szuflada w stole była uchylona. Leżały w niej sznurki z rafii, paczka świec, pudełko zapalek, młotek, gwoździe i śruby.

– Kto ją otworzył, wy?

– Nie, komisarzu. Była już otwarta, kiedy przyjechaliśmy. I zostawiliśmy ją nietkniętą.

Na półce nad kominkiem leżała samoprzylepna taśma do paczek, beżowa, szeroka na trzy palce. Pewnie ktoś wyjął ją z tej uchylonej szuflady.

Komisarz podszedł do kominka, przesunął blachę zasłaniającą wlot paleniska.

– Macie latarkę? Dajcie mi.

– Tam już zaglądaliśmy – powiedział Fazio, kiedy mu ją podawał. – Ale nic tam nie ma.

A jednak coś tam było; kawałek szmaty, chyba białej, ale teraz grubo przysypanej czarną sadzą. Jej dwucentymetrowa warstwa leżała wszędzie na dnie paleniska, jakby spadła z góry, z przesklepienia pieca.

Komisarz zastawił otwór na powrót blachą.

– Latarkę sobie zostawiam – powiedział, wkładając ją do kieszeni.

Potem zrobił coś, co Fazio i Gallo uznali za bardzo dziwne. Zamknął oczy i przeszedł miarowym krokiem od ściany, przy której stał piec kuchenny i kominek, do stołu i z powrotem. Następnie od stołu do drzwi wejściowych i z powrotem. Po prostu chodził ciągle z zamkniętymi oczami po całej kuchni, jakby nagle zwariował.

Fazio i Gallo nie ośmielali się o nic pytać. Komisarz zresztą wkrótce się zatrzymał.

– Zostaję tutaj na noc – powiedział. – Wy zgasicie światło, pozamykacie okna, a drzwi opieczętujecie z zewnątrz. Wszystko ma wyglądać tak, jakby w środku nie było nikogo.

– Po co tamci mieliby tu wracać? – spytał Fazio.

– Nie wiem. Ale zrobię tak, jak mówię. Ty, Fazio, wrócisz do Vigrty moim autem. Jeszcze jedno, zanim odjedziecie. Po opieczętowaniu drzwi wstąpcie do stajni i zadbajcie o osła. Nieszczęsne zwierzę na pewno jest teraz głodne i spragnione.

– Tak będzie, jak pan sobie życzy – powiedział Fazio. – A z rana mam po pana przyjechać i zabrać stad?

– Nie, dziękuję. Wrócę pieszo.

– To daleko.

Montalbano popatrzył mu prosto w oczy i Fazio już nie nalegał.

– Panie komisarzu, może wyjaśni nam pan, zanim odjadę, dlaczego nasze domysły co do tego, jak Giacomo Firetto został zabity, uznał pan za nic niewarte?

– Dlatego, że Firetto, kiedy jadł obiad, siedział przy stole tak, żeby mieć drzwi przed sobą. Gdyby ktoś wszedł, zaraz by go zobaczył i zareagował. Tymczasem w tej kuchni wszystko jest nietknięte, nie ma żadnego śladu walki.

– I co z tego? Może ktoś wszedł z bronią wycelowaną w Giacomą i trzymając go pod lufą, nakazał, żeby się nie ruszał z miejsca, a tymczasem drugi obszedł stół i strzelił mu w tył głowy.

– Myślisz, że taki typ jak Giacomo Firetto – jeśli był taki, jak mi go opisaliście – dałby się zabić, siedząc bez ruchu jak mysz pod miotłą? Desperacko, nie licząc się ze strzałem, próbowałby się jakoś wywinąć. Dobrze, zwalniam was, dobranoc.

Usłyszał, jak zamykają się drzwi, jak je opieczętowują (kartka papieru z jakimś napisem i pieczętka, przyklejona do drzwi dwoma kawałkami taśmy), jak kręcą się po stajni za ścianą i rzucają siano osłu (a osioł się opiera, nie chce jeść, nie chce mieć do czynienia z obcymi), jak zapalają silnik w samochodzie i odjeżdżają. Jeszcze przez chwilę siedział nieruchomo przy stole, wciąż w kompletnej ciemności. Za oknem zaczął głośno bębnić deszcz, bo znów się rozpadało.

Zdjął marynarkę i krawat – miał go od narady w Palermo. Potem zdjął nawet koszulę i został do połowy nagi, Z niezaświeconą latarką w rękę, po

ciemku, ale pewnym krokiem, ruszył w stronę kominka. Zdjął przesłonę z blachy i położył ją na ziemi, starając się nie narobić hałasu, i wreszcie wsunął rękę za wlot paleniska i tam poświecił sobie latarką. A następnie sam, wspinając się na palce, wsunął się do połowy do środka. Skręcił plecy w bok, zaparł się o deskę, tak że połowę ciała miał w palenisku, a tyłek i nogi sterczały mu na zewnątrz. Trochę sadzy posypało mu się do oczu, ale mimo to od razu zobaczył rewolwer przymocowany do przesklepienia paleniska, tuż nad wlotem, dwoma kawałkami taśmy do paczek, które mocno zaśniły w świetle latarki. Zgasił ją, wysunął się z pieca, zastawił na powrót wlot blacha i oczyścił się, na ile potrafił, chustką do nosa. Włożył z powrotem koszulę i marynarkę, a krawat schował do kieszeni.

Potem usiadł na krześle stojącym przy kominku i zaczął się zastanawiać, bynajmniej nie dla zabicia czasu, nad czymś, co przeczytał poprzedniego dnia. Jak twierdzi Pessoa – słowami, które włożył w usta swojego bohatera, sędziego śledczego Quaresmy – jeśli ktoś, przechodząc przez ulicę, widzi, że na chodniku leży człowiek, odruchowo zadaje sobie pytanie, dlaczego ten człowiek upadł. Ale, zdaniem Pessoa, jest to błąd w rozumowaniu, który stwarza możliwość popełnienia błędu również w rzeczywistości. Ten ktoś przechodzący ulicą nie widział przecież, jak tamten człowiek padał, zobaczył go już leżącego. Więc to, że człowiek w tym miejscu upadł, nie jest faktem. Faktem jest to, że leży na chodniku. Może upadł gdzie indziej i dopiero potem przeniesiono go tutaj, na chodnik. Samo zjawisko, słowem, może oznaczać wiele różnych rzeczy, twierdzi Pessoa.

Jak wobec tego wytłumaczyć Paziowi i Gallowi, że jedynym faktem w tej sprawie, poza zabójstwem, jest to, że Antonia Firetto nie było na miejscu zbrodni w chwili, kiedy oni tutaj przyjechali? Ponieważ to, że zabójcy syna zabrali go ze sobą, w żadnym razie nie jest faktem, tylko błędem w rozumowaniu.

Potem przypomniał sobie jeszcze drugi przykład, który dodatkowo potwierdzał przykład poprzedni. Pessoa twierdzi – ciągle słowami Quaresmy – że jeśli na dworze pada deszcz, a ktoś, kto znajduje się w salonie, widzi, że wchodzi do niego nowy, zmoknięty gość, to z całą pewnością gotów jest pomyśleć, że ten gość dlatego ma na sobie mokre ubranie, bo nie miał parasola. Tego domysłu nie wolno jednak brać za fakt, skoro gość w salonie nie widział nowego gościa na własne oczy na ulicy, gdzie pada deszcz. Jest przecież całkiem możliwe, że oblano go wiadrem wody już w domu.

Jak wobec tego wyjaśnić Faziowi i Gallowi, że mafioso, na którym „wykonano wyrok” niezawodnym strzałem w potylicę, nie musiał być koniecznie ofiarą mafii ukaraną za sprzeniewierzenie się jej, za jakąś próbę zawrócenia ze złej drogi?

Pessoa twierdzi także, że...

Komisarz nie przypomniał sobie, co jeszcze twierdzi Pessoa. Dopadło go zmęczenie całym dniem, zakryło mu oczy jak kaptur, dodało jeszcze więcej ciemności do tej, która panowała w kuchni. Głowa osunęła mu się na piersi i zaczął zasypiać. Ale zanim zapadł w mocny sen, zdążył jeszcze nakazać sobie, że musi spać tak jak kot. Musi mieć sen lekki jak koty, które na pozór śpią mocno, ale wystarczy odrobina hałasu, a od razu zrywają się na równe nogi i przyjmują postawę obronną. Nie wiedział, jak długo spał, ale raczej długo, bo pomagał mu w tym monotonny szum padającego deszczu. I nagle obudził go – właśnie jak kota – lekki szmer przy drzwiach. Mogło to być oczywiście jakieś zwierzę. Zaraz jednak usłyszał przekręcanie klucza w zamku i ktoś ostrożnie otworzył drzwi. Montalbano znieruchomiał na krześle. Drzwi zostały zamknięte. Nie widział, jak się otwierają ani jak się zamykają, nie widział nic, nic nie przedarło się przez ten mur ciemności, tak samo gęstej na dworze, jak w domu. Ktoś wszedł, zatrzymał się przy drzwiach i stał bez ruchu. Komisarz także starał się nie poruszać, bał się nawet oddychać, żeby

go to nie zdradziło. Dlaczego tamten nie zrobił ani kroku dalej? Może już wyczuł obecność kogoś obcego w domu, jak zwierzę powracające do swojej nory? Wreszcie ruszył z miejsca, podszedł dwa kroki w stronę stołu i znowu się zatrzymał. Komisarz poczuł się pewniej; gdyby to było konieczne, mógłby teraz jednym skokiem zerwać się z krzesła i dopaść go. Ale po co?

– Kim jesteś? – spytał tamten cichym, ale stanowczym głosem.

Kim jesteś. Więc jednak dojrzał jakiś zarys innej ciemności w tym gęstym mroku wypełniającym kuchnię, w której znał każdy szczegół i umiał odróżnić, co było na swoim miejscu, a co nie. Tym właśnie górował nad Montalbano. Choć komisarz nauczył się na pamięć, jak są ustawione wszystkie sprzęty, wiedział, że tamten mógł nawet z zamkniętymi oczami poruszać się swobodnie po całej kuchni, jemu natomiast wydawało się, że – paradoksalnie – w tej gęstej ciemności musi koniecznie mieć oczy szeroko otwarte.

Rozumiał też, że popełniłby nieodwracalny błąd, gdyby w tej chwili wypowiedział jakieś niewłaściwe słowa.

– Jestem komisarzem. Nazywam się Montalbano.

Mężczyzna nie ruszał się, milczał.

– A pan to Antonio Firetto?

To „pan” pojawiło mu się w ustach bezwiednie i miało jakiś szczególny ton, który świadczył o poważaniu, jeśli nie o respekcie.

– Tak.

– Od jak dawna nie widział się pan z Giacomem?

– Od pięciu lat. Wierzy mi pan?

– Wierzę.

Więc jego syn przez cały czas, odkąd się ukrywał, ani razu tu się nie pokazał. Może nie miał odwagi?

– Ale wczoraj przyjechał; dlaczego?

– Nie wiem dlaczego. Był zmęczony, bardzo zmęczony. Nie przyjechał autem, przyszedł na piechotę. Wszedł, objął mnie, położył się na łóżku i nawet nie zdjął butów. Potem, kiedy się zbudził, powiedział, że jest głodny. Wtedy zobaczyłem, że ma broń; położył rewolwer na szafce przy łóżku. Spytałem go, dlaczego chodzi uzbrojony, a on mi odpowiedział, że mogą mu stanąć na drodze źli ludzie. I zaczął się śmiać. Mnie to całkiem zmroziło krew.

– Co panu zmroziło krew?

– To, jak się śmiał, komisarzy. Więcej nie rozmawialiśmy. On dalej leżał, a ja poszedłem tutaj, do kuchni, i zająłem się jedzeniem. Gotowałem tylko dla niego, sam i tak bym nie mógł jeść, czułem, jakby mi jakaś żelazna ręka ścisnęła żołądek.

Przerwał, westchnął. Montalbano uszanował to milczenie.

– Ten jego śmiech nie dawał mi spokoju – zaczął znowu stary. – Ten śmiech otworzył mi oczy, powiedział mi prawdę o moim synu, wyłożył mi to wszystko, w co nie chciałem uwierzyć, Kiedy ziemniaki się ugotowały, zawołałem go. Wstał, wszedł tutaj, położył rewolwer na stole i zabrał się do jedzenia. Wtedy go spytałem: „Iluś ludzi zabił?”, A on spokojnie, jakby mówił o jakichś mrówkach, odpowiedział mi: „Ośmiu” a potem ważył się dorzucić jeszcze to, czego nigdy nie powinien mi mówić. Powiedział: „W tym jednego małego. Miał może z dziesięć lat” I jadł dalej. Matko Przenajświętsza, jadł dalej! Więc chwyciłem rewolwer i strzeliłem mu w kark. Jeden jedyny strzał, jak do tych, co już się ich skazało na śmierć.

„Wykonali na nim wyrok” – powiedział Fazio. I wyraził się, jak należało. Milczenie tym razem trwało bardzo długo. Przerwał je Montalbano.

– Dlaczego pan wrócił?

- Bo chcę się zabić.
- Z tego rewolweru, który schował pan w piecu?
- Tak. To ten mojego syna. Brakuje w nim jednego naboju.
- Miał pan tyle czasu, żeby się zabić. Dlaczego pan z tym zwlekał?
- Bo za bardzo drżała mi ręka.
- Mógł się pan powiesić gdzieś na drzewie.
- Nie jestem Judaszem, panie komisarzu.

Otóż to, nie był Judaszem. Nie mógł też rzucić się do studni jak pierwszy lepszy desperat. Był poetą, ale do końca nie chciał znać prawdy.

- Co pan teraz ze mną zrobi? Aresztuje mnie pan?

Znowu mówił cichym, ale stanowczym i spokojnym głosem.

- Powinienem,

Stary nagle przebiegł przez kuchnię, czym zaskoczył komisarza. W ciemności słychać było odsuwanie blachy zamykającej wlot do pieca, potem blacha spadła na ziemię. Teraz już na pewno stary miał w ręku rewolwer i mierzył w jego stronę. Ale Montalbano nie odczuwał strachu, wiedział, że została mu tylko wyznaczona rola, którą musi zagrać. Powoli podniósł się z krzesła, ale kiedy już stanął, zakręciło mu się w głowie, znowu dało o sobie znać całodzienne zmęczenie, ciężkie jak betonowe płyty gotowe przygniść.

– Mam pana na muszce – powiedział stary – i rozkazuję, żeby pan natychmiast wyszedł z mego domu. Chcę umrzeć tutaj, chcę się zabić z rewolweru syna. Usiądę na tym samym miejscu, gdzie on siedział, kiedy do niego strzeliłem. Jak jest pan człowiekiem, to pan to zrozumie.

Montalbano wolnym krokiem poszedł w stronę drzwi, otworzył je i wyszedł na dwór. Przestało padać. Był pewien tylko tego, że nikt o tej porze nie podwiezie go do Vigíty.

To samo nazwisko

– Możesz mi to dokładniej wytłumaczyć? – powiedział Montalbano. Telefonował do Boccadasse pod Genuą. Głos Livii nagle stał się lodowaty.

– Nie krzycz na mnie! Tu nie ma nic do tłumaczenia. Przyjaciółka, bliska i kochana, z którą znamy się od dziecka, zaproponowała, żebyśmy spędziły Boże Narodzenie razem, to wszystko.

– Cóż ty mi opowiadasz? Przecież jedziecie do Nowego Jorku!

– I co z tego? W Nowym Jorku mieszka jej brat, święta spędzimy wspólnie z nim.

– A mogłaś być ze mną. Przyleciałbym do ciebie, do Genui, albo ty przyleciałabyś do mnie.

– Daj spokój, Salvo, nie rozśmieszaj mnie! Ile lat już jesteśmy razem? Dość długo, prawda? A ile razy świętowaliśmy Boże Narodzenie razem, no ile?

– Nie wiem, w tej chwili nie pamiętam.

– To ci przypomnę, jeden jedyny raz.

– Chyba nie z mojej winy.

– Ani z mojej. Posłuchaj, Salvo, coś wymyśliłam; przecież i ty możesz pojechać.

– Dokąd?

– Jak to dokąd? Do Nowego Jorku.

– Ja do Nowego Jorku? Nawet gdyby mi przyłożyli pistolet do głowy...

– Zrobimy inaczej. Pojadę z nią, ale wrócę do Boccadasse dwudziestego

siódmego, a następnego dnia wsiądę do samolotu i jestem u ciebie w Vigricie. Zgadzasz się?

– Boże Narodzenie to jedno, a Nowy Rok drugie.

– Wiesz co, Salvo? Mam dość tego gadania! Numer telefonu w Nowym Jorku już ci dałam, jak zechcesz mnie usłyszeć, to zadzwonisz.

– Nie będę niepotrzebnie wyrzucał pieniędzy.

– Na dodatek stałeś się skąpy? Chyba w czasie świąt przy połączeniach międzykontynentalnych można rozmawiać dwadzieścia minut, a płacić za dziesięć. Czy coś takiego. Dowiesz się, jak zechcesz.

– Wszystkiego najlepszego – powiedział Montalbano przez zaciśnięte zęby.

– Nie przyjmuję życzeń świątecznych teraz. Odezwiesz się z tym w Wigilię albo w pierwszy dzień świąt – odpowiedziała stanowczo Livia. I odłożyła słuchawkę.

Ostatecznie z czystego masochizmu przyjął zaproszenie swego przyjaciela, wicekwestora Valente, obecnie naczelnika komisariatu na przedmieściu Palermo, i miał spędzić święta u niego. Uznawał to za masochizm, bo żona wicekwestora, Giulia, Liguryjka z Sestri i rówieśnica Livii, radziła sobie z gotowaniem (jeśli coś takiego można nazwać gotowaniem) jak dzieci, które mieszają w jednym naczyniu kawałki chleba, cukier, paprykę, mąkę i co tylko mają pod ręką, a potem ci to podsuwają, twierdząc z powagą, że przyrządziły ci smaczne danie. Kiedy zatrzymał samochód pod hotelem, gdzie zamówił pokój, uprzytomnił sobie, że to, co uważał za masochizm, jest raczej aktem pokuty za to, że był tak opryskliwy dla Livii. Zawiadomił parę dni temu wicekwestora, że będzie u niego dwudziestego czwartego rano, a sobie wtedy przyrzekł, że przyjedzie dzień wcześniej i spędzi wieczór dwudziestego trzeciego na włóczeniu się po ulicach Palermo, i nie otworzy

ust do nikogo. Zapomniał jednak, że przed Bożym Narodzeniem ogarnia ludzi mania kupowania prezentów, więc wszędzie natrafiał na jasno oświetlone sklepy, na ulicach tłoczył się gęsty tłum, a festony z lampek wiszących nad ulicami życzyły wszystkim spokojnych i szczęśliwych świąt. Plątał się po mieście przez godzinę, wybierając ulice bez handlu, ale nawet w biednych zaułkach zawsze trafiał się jakiś sklepik z witryną świątecznie ozdobioną girlandą świateł, które rytmicznie zapalały się i gasły. Podstępnie i niezrozumiale, bez wyraźnej przyczyny, ogarnęła go ponura melancholia. Przypomniało mu się Boże Narodzenie w latach, kiedy był mały... Miał tego dość. Postanowił jak najprędzej przerwać ten marny nastrój. Przyspieszył kroku i wkrótce doszedł do knajpki, do której zawsze wpadał, kiedy przyjeżdżał do Palermo. Wszedł i stwierdził, że będzie jedynym klientem. Właściciel, a zarazem kelner tego lokaliku z sześcioma stołami, nazywał się Peppe. Komisarz jednak wiedział, że w kuchni jest jego żona, która gotuje, jak Bóg przykazał. Peppe znał Montalbana z imienia i nazwiska, ale nie wiedział, że jest komisarzem; gdyby wiedział, może nie byłby wobec niego tak wylewnie serdeczny, bo w jego lokalu bywało dość podejrzane towarzystwo.

Zjadł z przyjemnością, mrużąc z zadowoleniem oczy, porcję bakłazanów zapiekanych z makaronem i tartym serem i czekał na drugie danie, kiedy podszedł do niego Peppe.

– Telefon do pana, panie Montalbano.

Komisarza to zdumiało. Kto mógł wiedzieć, że on właśnie teraz znajduje się tutaj? Była to z pewnością pomyłka. Jednak wstał i podszedł do telefonu stojącego na stoliku przy drzwiach do toalety.

– Słucham.

– To Montalbano?

– Tak, to ja, Montalbano, ale...

– Żadne „ale” nie myśl sobie. Zgodziłeś się, to nie kręć. Połowę dostałeś. Posłuchaj mnie uważnie: zastaniesz tę osobę około północy. Mieszka przy via Rosales 32, w willi. Ma to być załatwione czysto, rozumiesz? Czyściutko. Potem zadzwonisz do mnie i dasz znać, jak ci poszło. Mój numer 0012126783346. Wtedy ci powiem, gdzie masz się zgłosić po drugą połowę. Postaraj się i dzwoń.

O Boże! Ten ktoś telefonuje z Nowego Jorku! Komisarz od razu się w tym połapał, bo pierwsze cyfry były takie same jak w numerze telefonu, który zostawiła mu Livia. To oczywiście pomyłka, od razu się tego domyślił. Chodzi o kogoś, kto przypadkiem nosi to samo nazwisko co on.

– Przepraszam, don Peppe, ma pan klientów, którzy nazywają się tak samo jak ja?

– Nie. A dlaczego pan pyta?

Wszedł nowy gość, usiadł przy stoliku. Trzydziestoletni mężczyzna z twarzą, której można się przestraszyć, zwłaszcza gdyby się na niego natknęło w ciemnym zaułku.

– Jak pan się nazywa?

– Możesz się odpieprzyć?

– Jestem komisarzem. Chcę wiedzieć, jak się pan nazywa.

– Filippazzo Michele. Pokazać dokumenty?

– Nie trzeba – odpowiedział Montalbano.

Filippazzo wstał i zwracając się do właściciela, powiedział:

– Wiesz co, Peppe, odechciało mi się jeść.

Uklonił się i wyszedł, Montalbano usiadł, z talerza z drugim daniem bił wspaniałą zapach, ale i jemu odechciało się jeść, zwłaszcza że Peppe już patrzył na niego wilkiem. Rzucił okiem na zegarek – wpół do dziesiątej. Poprosił o rachunek, zapłacił, wyszedł na ulicę i natychmiast zanotował sobie

adres w Palermo i numer telefonu w Nowym Jorku. Przystanął parę kroków dalej, bo chciał sprawdzić, kto będzie wchodził do knajpki, i zaczął się zastanawiać. Nie miał wątpliwości, że ta sprawa „do załatwienia czysto”, a nawet czyściutko, to zabójstwo na zamówienie, za które pierwsza rata już została zapłacona. Było też oczywiste, że wynajętego do dokonania zabójstwa Montalbana nie zna ani Peppe, ani tamten mężczyzna w Nowym Jorku. Dano mu tylko znać, że ma pójść do takiej to a takiej knajpki i czekać na telefon, a wtedy dowie się, gdzie mieszka ofiara i w jaki sposób potem odbierze drugą ratę. A jednak ten drugi Montalbano nie stawiał się – dlaczego? Może się wycofał? A może w przedsięwziętym ruchu nie zdążył dojechać na umówioną godzinę? Do knajpki wchodziła właśnie jakaś para starszych ludzi, oboje byli po siedemdziesiątce. Zrobiło się chłodno, kurteczka komisarza, chociaż podbita baraním futerkiem, nie chroniła go dostatecznie przed zimnem. Minęło następne pół godziny. Było już jasne, że tamten Montalbano nie pokaże się. A jeśli nawet w końcu przyjdzie, to i tak nikt mu nie poda adresu ofiary ani numeru telefonu w Nowym Jorku, bo już stamtąd nikt po raz drugi nie zadzwoni. Tamten przecież odłożył słuchawkę z przekonaniem, że rozmawiał z właściwym Montalbanem. Komisarz wrócił do hotelu i zaraz zadzwonił do Livii, do Nowego Jorku, gdzie o tej porze było wpół do piątej po południu.

– Hellou? – usłyszał męski głos.

– Tu Salvo Montalbano.

– Jak przyjemnie pana usłyszeć! Pan jest narzeczonym Livii, prawda? Już ją proszę.

– Słucham, Salvo. Jednak się namyśliłeś i chcesz mi złożyć życzenia?

Wyjaśnił jej, że chce czego innego. Rozmowa trwała jednak długo, bo Livia wciąż odbiegała od tematu („Można wiedzieć, co robisz w Palermo?” „Jak nie siedzisz w domu, to równie dobrze mogłeś przyjechać do Nowego

Jorku!” „Przecież żona Valentego tak okropnie gotuje” „Znowu się pakujesz w jakieś kłopoty”). W końcu udało mu się wyjaśnić sprawę i Livia obiecała, że za chwilę do niego oddzwoni. I rzeczywiście po niecałym kwadransie odezwał się telefon.

– Numer, który mi podałeś, to „Liberty Bar”. To nie jest telefon prywatny.

– Dziękuję. Zadzwoń później – powiedział Montalbano. A po chwili milczenia dodał: – Żeby ci złożyć życzenia.

Pierwszy lepszy bar w Nowym Jorku, pierwsza lepsza knajpka w Palermo. Tamci dobrze sobie radzą, są z pewnością zawodowcami. Nie znają się osobiście, nie używają telefonów prywatnych. Wiedział, że musi coś zrobić – ale co? Dochodziła jedenasta, nie miał czasu do stracenia. Zszedł do holu, przestudiował plan Palermo. Potem wsiadł do samochodu i pojechał na via Rosales, która leżała na przeciwległym końcu miasta. Była to uliczka słabo oświetlona, wyczuwało się już pobliskie pola, nie widać było nigdzie żywej duszy. Komisarz zatrzymał się pod numerem trzydziestym drugim, przed wielką żelazną bramą, za którą w głębi stała willa. Minęła północ. Pewnie osoba, która miała zostać zabita, już była w domu. Nagle oślepiły go reflektory nadjeżdżającego samochodu. Nad bramą zapaliło się żółte światło, brama powoli otworzyła się, auto przejechało, brama zaczęła się zamykać. Komisarz odczekał, a kiedy pozostała już tylko wąska szpara, wyskoczył z samochodu i precyzyjnie się przez nią, płacąc za to urwanym guzikiem w kurtce. Tamto auto zatrzymało się przed willą. Wysiadła z niego młoda kobieta, otworzyła drzwi willi i zamknęła je za sobą. W oknach na parterze zapaliło się światło, po chwili zajaśniały z kolei okna na piętrze. Dopiero wtedy Montalbano ruszył ostrożnie w kierunku domu. Okno po lewej stronie drzwi wejściowych było uchylone, pchnął je i jedno skrzydło otworzyło się. „Kiedy się powiedziało «a», trzeba powiedzieć «b»„ – uznał, wdrapując się nie bez trudu na parapet i wskakując do środka. Znalazł się w wielkim

salonie z wieloma cennymi obrazami i meblami. Szerokie drewniane schody, pokryte grubym dywanem, prowadziły na piętro. Montalbano ruszył przed siebie i zamarł. Dopuszcza się przecież jakiegoś głupstwa! Zachowuje się dokładnie tak, jak zachowałby się płatny morderca. Powinien wobec tego wejść z powrotem na parapet, zeskoczyć na zewnątrz, podejść do drzwi wejściowych, zadzwonić i powiedzieć, kim jest. Odwrócił się, ale zdążył zrobić tylko jeden krok, kiedy poczuł, że ktoś chwyta go z tyłu za ramiona. Wyrwał się i zareagował z przytomnością umysłu, która zdziwiła jego samego – zdzielił pięścią w twarz jakiegoś mężczyznę, ale nie tego, co go chwycił za ramiona, tylko drugiego, który stał obok tamtego. Wtedy ten, co go ujął, kopnął go mocno kolanem w plecy, a ten drugi, otrząsnąwszy się po ciosie, zdzielił go pięścią w brzuch. Komisarz upadł twarzą na podłogę, a tamci wykręcili mu sprawnie ramiona. Chociaż był ogłuszony, wyraźnie usłyszał znajomy brzęk kajdanków.

Odwieziono go do koszar, gdzie wyjaśniło się, kim jest, i gdzie natychmiast rozeszła się wiadomość o jego aresztowaniu. Karabinierzy na służbie ściągali z całego Palermo, żeby go zobaczyć, jakby był rzadkim okazem zoologicznym, nie szczędząc mu oczywiście kpin i złośliwości. Po godzinie tego nękania pojawił się wreszcie, dzięki Bogu, kapitan.

– Po co się pan do tego wmieszał? Od tygodnia przygotowaliśmy tę akcję, a przez pana wszystko wzięło w łeb. Pani Cosentino domyśliła się, że mąż chce wynająć mordercę, miała na to niezbite dowody, więc daliśmy jej ochronę. Do zabójstwa miało dojść dzisiejszej nocy, bo mąż wymyślił sobie alibi, wyjeżdżając z kochanką do Berlina. Teraz przez pana już niczego się nie dowiemy. Muszę złożyć raport w kwesturze.

Montalbano, który siedział z pochyloną głową, podniósł wzrok i spytał:

– Mogę zatelefonować?

Kapitan wzruszył ramionami i wskazał na telefon. Komisarz wybrał numer „Liberty Bar” w Nowym Jorku.

– Yes?

W tle słychać było śmiech, muzykę, brzęk kieliszków. Był to rzeczywiście bar, Livia dobrze się wywiedziała.

– Tu Montalbano.

– A ja już zaczynałem się o ciebie martwić – powiedział ten sam mężczyzna, który dzwonił do knajpki Peppe.

– Musiałem czekać, bo ta osoba wróciła później. Robota była czysta, jak chciałeś. Gdzie mam się teraz zgłosić?

Tamten powiedział gdzie. Kapitan popatrzył na komisarza wstrząśnięty.

– Dzwonił pan do Nowego Jorku? Z mojego biura? Jak ja to teraz wytłumaczę?

– Dostarczam panu świetny punkt wyjścia, panie kapitanie. Telefonowałem do baru w Nowym Jorku, z którego wieczorem ktoś zadzwonił do mnie. Proszę sobie zanotować ten numer. To nie był klient, tylko ktoś, kto tam stale jest i odbiera telefony. Właściciel albo kierownik, sam się pan zorientuje, dowie się pan. Ten człowiek z całą pewnością organizuje płatne zabójstwa. Reszta pieniędzy czeka u właściciela sklepu z obuwiami przy via Sciabica 28. Tak mi oznajmił przed chwilą. Wystarczy wejść i powiedzieć „Montalbano” Niech go pan aresztuje i nie oszczędza na przesłuchaniu.

Kapitan wstał, podał mu rękę i złożył życzenia dobrych świąt. Montalbano odwzajemnił mu się tym samym i wrócił do hotelu. Była czwarta rano. Zadzwonił do Livii i zaczął jej o wszystkim opowiadać.

– Chwileczkę – przerwała mu Livia. – Po coś podszedł w tej knajpce do telefonu?

– Bo dzwonił do Montalbana.

– No właśnie. A ciebie poniosło, bo twój egocentryzm jest silniejszy od ciebie i chciałeś się dorwać do słuchawki, jakbyś był jedynym Montalbaniem na świecie.

Nie było wyjścia, musieli się trochę pokłócić. Kłócili się przez dwadzieścia minut. Z czego dziesięć, na szczęście, bezpłatnie.

Kiedy skończyła się międzykontynentalna awantura, komisarza dopadło zmęczenie. Stał właśnie pod prysznicem, ale uznał, że nie warto już kłaść się spać. I tak na pewno nie zaśnie. Przejął się tą historią z drugim Montalbaniem, wobec karabinierów wypadł jak ostatni kutas, a teraz miał rzucić to wszystko, jakby nic się nie stało? Jakby nic z tego nie zrozumiał? Skończyło się na tym, że o piątej rano znalazł się pod numerem dwudziestym ósmym na via Sciabica. Nie było tam żadnego sklepu z obuwiami, pod dwudziestkąósemką była szacowna, elegancka brama kamienicy, o tej porze oczywiście zamknięta, z domofonem i nazwiskami mieszkańców. Po lewej znajdował się sklep z szyldelem „Addamo – Owoce i warzywa” a po lewej inny sklep: „Masarnia – Di Francesco” Przyszło mu do głowy, że może źle usłyszał numer. Może chodziło o trzydziesty ósmy? Przeszedł parę metrów dalej. Pod trzydziestkąósemką był zakład pogrzebowy. Nic się nie zgadzało. Postanowił przejść cierpliwie całą ulicę i sprawdzić, czy gdzieś nie ma jednak sklepu z butami. W tym momencie zobaczył anioła stróża, który na rowerze nadciągał mu z pomocą. Był to akurat anioł przebrany za kontrolera z agencji ochrony mienia.

– Dzień dobry – powiedział Montalbano, zatrzymując go.

– Dzień dobry – odpowiedział kontroler, stawiając nogę na ziemi.

– Jestem komisarzem policji – powiedział Montalbano i pokazał mu legitymację.

– Słucham.

– Na tej ulicy nie ma przypadkiem sklepu z obuwiami?

– Nie ma.

Odpowiedź była natychmiastowa i niepodważalna.

– Jest pan pewien?

– Całkowicie. To mój rejon od co najmniej czterech lat. Najbliższy sklep z butami znajduje się na czwartej przecznicy stąd, przy via Pirrotta. Chyba pod siedemdziesiątym.

– Dziękuję. Dobrych świąt!

– Nawzajem.

Z tamtego baru w Nowym Jorku świadomie – co do tego nie miał wątpliwości – podano domniemanemu zabójcy mylny adres. Dlaczego?

Kiedy wracał do hotelu, zobaczył, że jeden z barów jest już otwarty. Wszedł, zapach ciepłych, przed chwilą wyjętych z pieca rogalików przesłonił mu inne myśli. Zjadł podwójną porcję, popijając potrójną kawę. Wyszedł, podszedł do kiosku z gazetami, który właśnie otwierano, i kupił miejscowy dziennik. Wolnym krokiem, nigdzie się nie spiesząc, bo po potrójnej kawie na pewno nie miał co liczyć na to, że zaśnie, rzucił okiem na wiadomości z kroniki kryminalnej, bo od nich zazwyczaj zaczynał czytanie gazet. Po nich zabierał się do nekrologów. Livia, która zauważyła ten jego sposób czytania, nieraz dla zaczepki pytała:

– Możesz mi wyjaśnić, dlaczego ciągnie cię do nekrologów?

– Tak sobie.

– Co to znaczy „tak sobie”?

– To znaczy tyle, ile znaczy. Nie wiem, dlaczego to robię, ale robię. Jeśli ktoś interesuje się sportem – mówię ci to dla przykładu – rzuca się przede

wszystkim na wiadomości sportowe.

– Aha. Czyli twoim ulubionym sportem jest kręcenie się między zmarłymi?

Natrafiał na wiadomość, która go wręcz poraziła. Zmienił się na środku ulicy w żywy posąg. Notatka liczyła mniej więcej dziesięć linijek i nosiła tytuł: ŚMIERTELNY WYPADEK. Brzmiała następująco:

Wczoraj wieczorem, około 20.30, na via Scaffidi samochód potracił czterdziestoletniego Giovanniego Montalbano urodzonego i zamieszkałego w Palermo. Ofiarę przewiózł do szpitala San Libertino kierowca i właściciel auta, Andrea Caruso, księgowy w oddziale katastralnym urzędu miasta. Montalbano zmarł mimo udzielonej mu natychmiast pomocy. Świadkowie zgodnie zeznali, że Montalbano wybiegł nagle zza narożnika i wtargnął na jezdnię tak szybko, że próba hamowania podjęta przez Carusa nie przyniosła skutku. Jak się okazało, Montalbano był poszukiwanym przestępcą, oskarżonym o liczne kradzieże i próbę zabójstwa.

Nadjechała taksówka. Komisarz podniósł rękę, żeby ją zatrzymać, ale kierowca nie zwrócił na to uwagi. Zirytowany pobiegł za samochodem, nie zdając sobie sprawy, że głośno krzyczy, czym zaskoczył i zaniepokoił przechodniów. Taksówka wreszcie się zatrzymała. Montalbano otworzył drzwi i usiadł obok kierowcy.

– Skończyłem dyżur.

– To go na nowo zaczniesz.

Taksówkarz popatrzył na niego spode łba, Montalbano odwzajemnił mu się spojrzeniem jeszcze bardziej jadowitym.

– Gdzie mam pana zawieźć?

– Najpierw na via Scaffidi, a potem na via Lojacono, pod traktiernię

niejakiego Peppe. Wiesz, gdzie to?

Rozdrażniony taksówkarz nie odpowiedział, włączył tylko silnik i ruszył. A potem popędził pod prąd, płosząc nieliczne samochody. Jak było do przewidzenia, via Scaffidi leżała o sto metrów od knajpki Peppe. Potwierdziło się to, czego był niemal pewien. Rzucił więc taksówkarzowi adres hotelu.

– Jeszcze nie koniec tej błazenady? – warknął taksówkarz.

„Trzeba to przemyśleć – powiedział do siebie Montalbano, leżąc już w łóżku, w slipach, podkoszulku i skarpetkach. – Ten wyrzutek, który nazywa się tak samo jak ja, zostaje wynajęty do zabicia pewnej pani. Łajdak nie zna jej adresu, mają mu go podać przez telefon z Nowego Jorku w jednej z tutejszych knajp. Z jakiejś przyczyny jest spóźniony, więc żeby odebrać telefon, biegnie w stronę knajpki Peppe. Na ulicy potrąca go samochód i wkrótce umiera. Całkiem przypadkowo, co graniczy z cudem, ja, który także nazywam się Montalbano, znajduję się w tej knajpce i biorę do ręki słuchawkę. Dochodzi do tego, do czego doszło. W parę godzin później z kolei ja telefonuję do Nowego Jorku i tam podają mi kolejny adres, tym razem fałszywy. A pierwszy był prawdziwy. O co tu chodzi? Rozważmy to. Przy pierwszym telefonie tamci w Nowym Jorku nie mogą w żaden sposób wpaść na to, że rozmawiają z inną osobą, choć tymczasem Montalbano Giovanni właśnie umiera w szpitalu, i oczywiście mówią mi prawdę. A kiedy ja w parę godzin później zawiadamiam ich, że wszystko poszło dobrze, i pytam, gdzie mam odebrać resztę pieniędzy, podają mi rozmyślnie adres fałszywy. Nawiasem mówiąc, odważają się na coś, co może im zaszkodzić: wystawiają zabójcę do wiatru, to znaczy stawiają go w sytuacji, że nie może uzyskać drugiej części wynagrodzenia, i tym samym narażają się na jego nieprzewidzianą reakcję. Naturalnie wszystko to zostało zorganizowane

fachowo, ale jeżeli rozejdą się wieści, że ci zawodowcy z Nowego Jorku nie płacą za wykonaną na zamówienie pracę, to może to podważyć zaufanie do ich sprawnej bandy. Popełniliby w takim razie coś w rodzaju handlowego samobójstwa – czy to możliwe? Można to jednak wytłumaczyć w prosty i banalny sposób: kiedy karabinierzy przesłuchiwali mnie w koszarach, ktoś ich zawiadomił, jak potoczyły się sprawy z zabójstwem pani Cosentino. Ktoś im zwyczajnie powiedział, że wynajęty morderca nie stawiał się, gdy tymczasem zamiast niego pojawił się jakiś przypadkowy kutas, czyli niżej podpisany. Kiedy zatelefonowałem, odpowiedzieli mi, jak należy, żebym był przez parę godzin dobrej myśli, a w tym czasie oni w Nowym Jorku postarali się zatrzeć wszelkie ślady zaplanowanej akcji”.

I nagle zapadł mrok. Nie dlatego, że doszło do awarii światła, tylko dlatego, że komisarzowi opadły powieki i zasnął, nawet nie zorientowawszy się, że na to się zanosi. Był wykończony, górę wzięło zmęczenie i gorący kaloryfer nastawiony na maksimum.

Obudził go telefon. Spojrzał na zegarek; spał trzy godziny.

– Doktor Montalbano? Chce z panem rozmawiać kapitan karabinierów.

– Proszę mnie połączyć.

– Doktor Montalbano? Tu kapitan De Maria. Poznaliśmy się minionej nocy.

Komisarzowi wydało się, że wypowiadając ostatnie zdanie, kapitan był dość rozbawiony.

– Słucham pana – powiedział urażony Montalbano.

– Chciałem zamienić z panem dwa słowa.

– Potrzebuję odrobiny czasu, żeby się ubrać, i za chwilę zjawię się w koszarach.

– Nie musi pan przyjeżdżać do koszar, jestem tutaj, na dole, sam przyjechałem do pana. Proszę się spokojnie ubrać, czekam na pana w barze.

No cóż, jakby nadmiar uprzejmości. Stracił tyle czasu, ile musiał, żeby się umyć i ubrać, a potem zszedł do holu i skierował się w stronę baru. Kapitan, zobaczywszy go, wstał od stolika. Uścisnęli sobie ręce. W barze było pusto. Usiedli w najdalszym kącie. Kapitan nie przestawał się lekko uśmiechać, co złościło komisarza.

– Muszę pana przeprosić – zaczął De Maria.

– Za co?

– Od kiedy wyszedł pan w nocy z naszych koszar, stale był pan pod nadzorem jednego z naszych agentów, bardzo sprawnego w tego rodzaju zadaniach. Nawet pan nie wie, że sam pan...

– ...z nim rozmawiał – przerwał mu Montalbano. – Był przebrany za nocnego agenta ochrony mienia, prawda?

Kapitan popatrzył na niego zaskoczony.

– Dajmy temu spokój – powiedział wyrozumiale komisarz. – O co mnie podejrzewaliście?

– Prawdę mówiąc, nie podejrzewaliśmy pana o nic. Ale powiedziałem sobie: przecież ktoś taki jak Montalbano nie porzuci w połowie sprawy, w która się wdał. Skoro przypadkiem został już w to zamieszany, zechce rozwiązać zagadkę do końca. Pójdziemy jego śladem i zobaczymy, dokąd nas ten ślad doprowadzi.

– Dziękuję. I ostatecznie doszedł pan do tych samych wniosków co ja?

– Chyba tak. Myślę, że zanim zatelefonował pan do Nowego Jorku z mojego biura, ktoś już zawiadomił tamtejszych organizatorów, że ich plan nie wypalił. Dlatego podali panu fałszywy adres sklepu obuwniczego.

– Domyśla się pan, kto to zrobił? Kto zawiadomił Nowy Jork?

- Domyślam się – powiedział kapitan.
- Ja także się domyślam – odpowiedział na to Montalbano.
- Powiem, o kogo chodzi, ja czy pan?
- Proszę, niech pan mówi.
- Jediną osobą, która wiedziała, że plan wziął w łeb, była pani Cosentino.
- Otóż to. I to ona, kiedy zabraliście mnie do koszar, zatelefonowała do baru w Nowym Jorku. Ale mieliście jej telefon na podsłuchu, o czym nie wiedziała.
- Otóż to – powiedział z kolei kapitan. – W całą tę historię jej mąż...
- ...nie jest absolutnie zamieszany. Nawet mu nie zaświtało w głowie, żeby zabić żonę. To ona chciała się go pozbyć. Jakoś, nie wiem jak, porozumiała się z właściwą osobą, żeby zainscenizować scenę zabójstwa. Zawiadomiła nas o rzekomej próbie, a my zapewniliśmy jej ochronę. Ten drugi Montalbano, niedoszły morderca, nie wiedział jednak, że idąc do willi, wpadnie w pułapkę. Gdyby się do wszystkiego przyznał, byłoby to na rękę pani Cosentino, bo nie mógł powiedzieć nic innego, tylko że został wynajęty, żeby ją zabić. A to zapewne nie uszłoby na sucho mężowi.
- Otóż to – powiedział kapitan.
- Co zamierzacie teraz zrobić?
- Już to zrobiliśmy – oznajmił kapitan. – Przewieźliśmy panią Cosentino na przesłuchanie. Przyznała się do wszystkiego, podała nazwiska.
- A pan chciał mi o tym powiedzieć, dlaczego? – spytał Montalbano.
- Nie wiem. Tak jakoś. Może pan to uznać za prezent na gwiazdkę.

Ten przypadek rozwiązał Catarella

„Co mnie podkusiło, żeby się w to mieszać?” – powiedział do siebie Montalbano, wysiadając z samochodu i rozglądając się. Była szósta rano, zanosilo się na dzień pogodny i ciepły. Jechał pół godziny szosą do Feli, potem kwadrans drogą polną, niemal nieprzejezdną, a teraz jeszcze co najmniej kwadrans będzie musiał iść pieszo, bo droga nagle zmieniła się w ścieżkę dla kóz. Popatrzył w górę. Na szczycie wzniesienia, na które miał się wspiąć, nie dostrzegł starego bunkra, zasłoniętego dzikimi zaroślami. Westchnął, nabrał głęboko powietrza, jakby miał się zanurzyć pod wodę, i ruszył.

Półtorej godziny wcześniej zbudził go telefon.

– Halo, proszę pana, panie komisarzu. Czy to jest pan w swojej osobie?

– Tak, to ja, Catarč.

– A co pan robił? Spał pan?

– Jeszcze minutę temu spałem, Catarč.

– A teraz już pan nie śpi?

– Tak, teraz już nie śpię, Catarč.

– No to dobrze.

– Dlaczego dobrze, Catarč?

– Bo nie muszę pana budzić, panie komisarzu.

Albo takiego przy pierwszej okazji zastrzelić, albo udawać, że nic się nie

dzieje.

– Catarč, jeżeli możesz, to powiedz mi, po co do mnie dzwonisz.

– Bo wicekomisarz Augello, panie komisarzy, położył się do łóżka z gorączką.

– Catarč, czy to mój zasrany interes? O wpół do piątej rano mam wysłuchiwać twoich opowieści o chorym Augellu? Sprowadź mu lekarza. Albo zwróć się z tym do Fazia.

– Fazia nie ma w domu. Już poszedł na zasadzkę z Gallem i Galluzzem.

– Rozumiem, Catarč. A o co chodzi?

– Zatelefonował pastuch. Mówi, że znalazł nieboszczyka.

– Gdzie?

– Na Psiej Przełęczy. W starym bankierze. Pan już spamiętał, gdzie to jest, bo tam pan ze mną po coś chodził ze trzy lata temu...

– Tak, Catarč, wiem, gdzie to jest. Mówi się inaczej: „w bunkrze”

– Dlaczego inaczej? A jak ja powiedziałem?

– W bankierze.

– To jest przecież takie same, panie komisarzy.

– Skąd ten pastuch dzwonił?

– A skąd pastuch mógł dzwonić? Z bankiera, panie komisarzy.

– Tam jest telefon? Na takim zadupiu?

– Pastuch dzwonił z osobnej komory, panie komisarzy. Jak to dzisiaj łatwo nic nie rozumieć! Jeszcze rok, a zrobi się we Włoszech tak, że jak się kogoś przyłapie bez telefonu komórkowego, to trzeba go będzie natychmiast aresztować.

– Dobrze, Catarč, już jadę. A kiedy już się ktoś zjawi w biurze, zaraz mi go przyślij tam, do bunkra.

– Jak bym to miał zrobić, panie komisarzu? Ja już udałem się tutaj.

Komisarza zmroziło.

– Powiadasz mi, że to właśnie ty pojechałeś do bunkra?

– Tak powiadam panu, panie komisarzu. Bo jak nie było nikogo w biurze...

– Zaczekaj na mnie i nie ruszaj niczego, pamiętaj. A teraz skąd do mnie dzwonicz?

– Z tego, co panu powiedziałem. Ale wyszedłem na dwór, bo w środku nie chwyta. Z osobnej komory dzwonię.

– Jeżeli masz przy sobie komórkę, to zakomórkuj do doktora Pasquano i do sędziego.

– Panie komisarzu, proszę się na mnie nie gniewać, ale muszę panu powiedzieć, że nie mówi się „zakomórkować”. Nawet jak się dzwoni z własnej komory, to się mówi „zatelefonować”

Catarella zobaczył go z daleka i zaraz zaczął machać energicznie rękami, jak rozbitek na bezludnej wyspie, kiedy dostrzega przepływający okręt.

– Tutaj jestem, panie komisarzu! Tutaj, tutaj!

Bunkier zbudowano na samym skraju urwiska, na szczycie stromej skały. Poniżej widać było wąskie pasmo wyłoczonej plaży i morze. Montalbano zobaczył zaparkowany na plaży samochód.

– Skąd się tam wzięło auto?

– Ja to o tym wiem, panie komisarzu.

– To mi powiedz.

– Bo ja tym autem sam przyjechałem. Ono jest pod moją własnością.

– A jak stamtąd dostałeś się na górę?

– Po skale, panie komisarzu. Jak góral, a nawet trochę lepiej.

Catarella miał zawieszoną na szyi wielką latarkę na baterie. Przynajmniej raz postąpił przytomnie, bez latarki w bunkrze byłoby całkiem ciemno. Komisarz zszedł schodkami, które kiedyś były stopniami z betonu, a teraz wyglądały jak zsypana śmieć. Całe wnętrze bunkra także było wypełnione śmieciami. Catarella świecił latarką, a komisarz chodził po grubej warstwie odchodów, torebek plastikowych, puszek, butelek, prezerwatyw i strzykawek. Był tam nawet porzucony wózek dziecienny. Zwłoki leżały na plecach, do pasa w śmieciach. Kobieta była do połowy naga, miała na sobie dzinsy rozchylone na brzuchu. Szczury i psy uszkodziły jej twarz, stała się nie do rozpoznania. Montalbano wziął od Catarelli latarkę i przyglądał się zwłokom z bliska.

– Panie komisarzu, jak ja bym sobie już poszedł, to by mi pan na to pozwolił? – powiedział Catarella, który najwyraźniej nie był odporny na takie widoki.

Na ciele nie było śladów morderstwa. Ta kobieta mogła być jednak uduszona albo zabita ciosem noża w plecy. Komisarzowi pozostawało tylko wyjść i czekać na doktora Pasquano, tym bardziej że w bunkrze nie było czym oddychać, bo zaduch dosłownie dławił gardło.

– Czy pan, panie komisarzu, może mi podarować papierosa? – poprosił blady Catarella.

Przez chwilę obaj palili w milczeniu, patrząc na morze.

– A ten pastuch? – spytał komisarz,

– Odszedł stąd zaraz, bo miał jakąś robotę z owcami. Ale przejąłem od niego imię, nazwisko i zaadresowanie.

– Powiedział ci, dlaczego wszedł do bunkra?

– Przycisnęło go i musiał się załatwić.

– Chyba się domyślam, kto to taki, ta biedaczka – powiedział Fazio, kiedy wrócił z nieudanej zasadzki na ukrywającego się przestępcę.

Montalbano przyszedł do biura zaraz po zabraniu zwłok. Doktor Pasquano miał dokonać autopsji i następnego dnia podać jej wynik.

– Więc kto to, twoim zdaniem?

– Myślę, że nazywała się Lojacono Maria, zamężna, a jej mąż, Piscopo Salvatore, z zawodu handlarz obwoźny...

Komisarz wyraził gestem swoje zniecierpliwienie. Pedanteria Fazia, godna urzędu stanu cywilnego, zawsze go razila.

– Skąd ten domysł?

– Jej mąż trzy miesiące temu zgłosił u nas zaginięcie żony. Mam w pokoju jej fotografię, zaraz przyniosę.

Maria Lojacono była ładną dziewczyną, miała pogodną i uśmiechniętą twarz z dużymi czarnymi oczami. Mogła mieć co najwyżej dwadzieścia lat.

– Kiedy zaginęła?

– Dokładnie trzy miesiące temu.

– Mąż podał ci jakieś szczegóły?

– Tak, podał. Kiedy ta Lojacono wychodziła za niego za mąż, miała tylko osiemnaście lat. W dziewięć miesięcy później urodziło im się dziecko, dziewczynka. Ale zmarła, kiedy miała dwa miesiące. Straszne nieszczęście: udusiła się zwróconym pokarmem. Od tego czasu Marii pomieszało się w głowie, nieraz chciała się zabić, mówiła, że to przez nią córeczka zmarła. Mąż zawiózł ją do Montelusy na leczenie, ale nie umieli sobie z jej chorobą poradzić. Tylko się jej pogorszyło. I dlatego Piscopo, żeby nie zostawała w domu sama, kiedy jeździł z handlem, zawoził ją do jej siostry i ona miała na nią oko. Jednego wieczora siostra już leżała, ale przed zaśnięciem wydało się

jej, że Maria poszła do łazienki. Zasnęła mocno, bo była zmęczona, kiedy się obudziła, o czwartej nad ranem, coś już przeczuwała i wstała. Łóżko Marii było puste i zimne. A okno w łazience pozostawało otwarte; wymknęła się może pięć godzin wcześniej. Mąż wrócił do domu po niecałej godzinie i zaczął jej wszędzie szukać. Potem zawiadomił nas i osobno karabinierów. I już od tego dnia nic o tej nieszczęsnej dziewczynie nie wiadomo.

– Piscopo opisał ci, jak żona była ubrana?

– Oczywiście. Rzuciłem teraz okiem na jego zgłoszenie, kiedy poszedłem po fotografię. Miała na sobie dżinsy, czerwoną bluzkę, czarny sweterek, buciki...

– No cóż, Fazio. Tamta w bunkrze nie miała na sobie biustonosza ani bluzki, ani sweterka.

– Czyli nie tędy droga.

– Nie, to jeszcze nic nie znaczy. Zajmij się tym, z łaski swojej. Weź mocną latarkę, zabierz ze sobą Galluzza i jedźcie do bunkra, nie zapomnijcie o grubych rękawicach i uważajcie, żeby sobie nie pokaleczyć rąk. Szukajcie czegoś, co mogło należeć do dziewczyny.

– Majtki na sobie miała, sprawdził pan?

– Tak. Majtki było widać pod dżinsami, bo dżinsy miała rozpięte.

Fazio wrócił po czterech godzinach. Miał w ręku przezroczystą plastikową torebkę, a w niej to, co kiedyś było czarnym sweterkiem.

– Proszę nie mieć pretensji, że to tak długo trwało. Ale po tym, jak grzebaliśmy z Galluzzem ponad godzinę w gównach, czułem brud na sobie. Zanim przyjechałem do komisariatu, wstąpiłem do domu, żeby się wykapać i przebrać. Znaleźliśmy tylko sweterek. Jest tego koloru, o jakim mówił mąż. A o tym, jak żona była ubrana, powiedziała mu jej siostra.

– Wiesz co, Fazio, ta nieszczęsna, kiedyśmy ją zobaczyli, miała na palcu obrączkę. Przejedź się do Montelusy i poproś doktora Pasquano, żeby ci ją wydał. Potem ze sweterkiem i obrączką pojedziesz do Piscopa. Jeżeli je rozpozna, przywieź mi go tutaj.

Salvatore Piscopo miał około czterdziestki i od razu wydał się komisarzowi człowiekiem, który prawdziwie i głęboko przeżywa swoje cierpienie. Był chudy, miał cienkie wąsiki.

– To jest na pewno moja żona – powiedział zduszonym głosem.

– Współczuję panu – powiedział Montalbano.

– Kochaliśmy się. Ale to maleństwo, to niewinne stworzenie, co nam zmarło, zniszczyło nasze życie.

Nie mógł dłużej powstrzymać rozziewającego szłochu. Montalbano wstał, przeszedł na drugą stronę biurka, stanął obok Piscopa, ujął go mocno za ramiona.

– Musi się pan opanować. Chce pan trochę wody?

Piscopo zaprzeczył. Komisarz zaczekał, pozwolił mu się otrząsnąć.

– Chcę jeszcze o coś spytać, panie Piscopo. Kiedy dowiedział się pan, że żona zaginęła, gdzie jej pan przede wszystkim szukał?

Pomimo bólu i zagubienia Piscopo popatrzył komisarzowi przytomnie prosto w oczy.

– Dlaczego pan mnie o to pyta?

– Widzę, że pan prawdziwie to wszystko przeżywa, panie Piscopo. Od dnia, w którym zaginęła żona, minęły trzy miesiące. Przez ten czas miał pan nadzieję, że ona żyje? A gdyby żyła, to gdzie, pańskim zdaniem, mogła się ukrywać? U kogoś z krewnych? U przyjaciółki? To dlatego pytam, gdzie pan jej szukał.

– Nie, panie komisarzu, już w dzień potem, jak zniknęła, byłem święcie

przekonany, że nigdy nie zobaczę jej żywej.

– Skąd ta pewność?

– Stąd, że ona nie miała ani krewnych, ani przyjaciół, ani nawet znajomych. Nie miała dokąd pójść. Była tylko ta jedna siostra, do której ją odwoziłem. A dlatego widzi mnie pan teraz w takim stanie, panie komisarzu, że co innego myśleć o najgorszym, a co innego wiedzieć, że najgorsze już się stało.

– Jak to możliwe, że żona z nikim się nie przyjaźniła?

– One obie, siostry, były sierotami. Tamta jest cztery lata starsza i wcześniej wyszła za mąż. Mieszkałem niedaleko, znałem obie dziewczynki od najmniejszego. Między mną a Marią było dwadzieścia lat różnicy. Ale to nie miało znaczenia. Kiedyśmy się pobrali, była młoda, a potem nie miała okazji nikogo poznać. Wie pan przecież, co nas spotkało.

– Więc gdzie pan jej szukał?

– No... kręciłem się w okolicy domu... pytałem sąsiadów, czy jej nie widzieli... Wtedy kiedy przepadła, było zimno, padało. Stało się to zresztą w nocy, na ulicach nie było nikogo. I nikt nie umiał mi nic powiedzieć. Więc naprzód poszedłem do karabinierów, a potem tutaj, do was. Szukałem jej też po szpitalach w Vigricie i Montelusie. A potem po wsiach w całej okolicy, i w klasztorach, w domach opieki, na plebaniach... I wszystko na nic.

– Żona była wierząca?

– W niedzielę chodziła na mszę. Ale nie spowiadała się, nie przyjmowała komunii. Nie miała zaufania nawet do księży.

W końcu wymusił na sobie pytanie, które wypowiedział prawie szeptem:

– Zabiła się, panie komisarzu? Czy zmarła z zimna? Trzy miesiące temu trzymał mróz.

Montalbano tylko rozłożył ręce.

– Nie, nie zmarła z zimna ani z wyczerpania – oznajmił doktor Pasquano. – Została zabita. Albo sama się zabiła.

– W jaki sposób?

– Najzwyklejszą trucizną na szczury. Rozmawiałem z lekarzem, który próbował ją tutaj, w Montelusie, leczyć. Cierpiała na gwałtowne napady depresji. Wiele razy i na różny sposób próbowała odebrać sobie życie.

– W takim razie trzeba założyć, że to było samobójstwo?

– Niekoniecznie. Na pozór rzeczywiście wygląda to na samobójstwo, jak pan przypuszcza.

– Dlaczego „na pozór”?

– Dlatego, że coś odkryłem... A musi pan wiedzieć, Montalbano, że jak już coś mówię, to się nie mylę. Ktoś ją związał, kawałkiem sznura krepował jej przeguby i kostki.

Komisarz zastanawiał się przez chwilę.

– Może robił to ktoś z rodziny, czy ja wiem, mąż albo siostra. Wiązali ją, kiedy musiała zostać sama, żeby nie mogła się zabić albo czegoś zrobić innym. W gruncie rzeczy wysłużone kaftany bezpieczeństwa w dawnych zakładach dla wariatów stosowano właśnie po to, prawda?

– Nie wiem, czy ktoś ją związał w dobrej wierze czy w złej. To już pan ma rozstrzygnąć, śledztwo nie należy do mnie. Ja tylko po prostu daję panu znać, jak wyglądał stan rzeczy.

– Dobrze, panie doktorze, dziękuję panu – powiedział Montalbano, podnosząc się z krzesła.

– Jeszcze nie skończyłem!

Montalbano usiadł. Lekarz sądowy miał charakter trudny, był skłócony z całym bożym światem; gdyby teraz coś mu strzeliło do głowy i gdyby

zamilkł, komisarz musiałby się naczekać na jego pisemne sprawozdanie.

– Bo coś jeszcze tu się nie zgadza.

Komisarz milczał, starał się niemal nie oddychać.

– Kiedy, pana zdaniem, zmarła zniknęła z domu siostry?

– Trzy miesiące temu.

– A ja, komisarzu, jednego jestem absolutnie pewien: nie minęło aż trzy miesiące od śmierci. Zwłoki były w złym stanie, ale to dlatego, że wdały się w to zwierzęta. A przy tym proces rozkładu trwał dziwnie długo. Jednakże śmierć z całą pewnością nie nastąpiła aż tak dawno.

– Tylko kiedy?

– Może dwa miesiące temu. Może nawet trochę później.

– Co w takim razie robiła przez ten miesiąc, kiedy jeszcze żyła? Gdzie się ukrywała? Nikt jej przecież nie widział.

– No, to już są pana policyjne kłopoty, panie komisarzu – odpowiedział nadzwyczaj uprzejmie doktor Pasquano.

– Wreszcie zdam ci sprawę, jak tam wygląda sytuacja – powiedział Mimè Augello, jeszcze blady po przebytej grypie. – Siostra Marii Lojaco ma na imię Concetta. Odniosłem wrażenie, że jest porządną dziewczyną. Taki też jest jej mąż, który pracuje w chłodni rybnej. Mają troje dzieci, najstarsze sześćoletnie. Concetta wyklucza, że siostra znalazła truciznę na szczury w ich domu, bo nigdy czegoś takiego nie mieli. Kiedy w domu są dzieci, mówi, i to bardzo żywe, to co takim skosztować trucizny wykładanej dla szczurów? Ten argument do mnie trafia. Na moje wyraźne pytanie, czy czasami nie musieli wiązać Marii, popatrzyła na mnie oburzona. Myślę, że nigdy tego nie robili. Spytałem, czy mógł to robić mąż. Concetta całkiem to wyklucza: gdyby Salvatore coś takiego robił, ona zaraz by się zorientowała, tak jak

zaraz zauważyłaby jakiegokolwiek oznaki przemocy. Wyjaśniła mi, że Maria od czasu do czasu popadała w stan całkowitej bierności, była jak szmaciana lalka, tak mi to dosłownie określiła. Wtedy ona, Concetta, musiała ją rozbierać i myć. Jeśli ktoś wiązał Marii Lojacono ręce i nogi, to nie w ich domu tego kogoś trzeba szukać. Aha, jeszcze mnie spytała o pierścionek.

– O jaki pierścionek?

– Mąż Marii powiedział jej, że przy rozpoznawaniu zwłok pokazali mu sweterek i obrączkę. Tak zrobiliście?

– Tak, pokazaliśmy mu te rzeczy.

– A innych pierścionków nie miała na rękach?

– Nie.

– Concetta powiedziała mi, że Maria zawsze nosiła na małym palcu odpustowy pierścioneczek, do którego była bardzo przywiązana. To był pierwszy prezent, jaki dostała w życiu.

– Nie, tego pierścionka na pewno przy niej nie było, Pasquano powiedziałby mi o tym. Chyba że miała go w kieszeni w dzinsach.

Zatelefonował na wszelki wypadek do lekarza. Nie, w spodniach nie było niczego.

Zrobił kopię fotografii Marii Lojacono. Wezwał do siebie Galia i Galluzza i zarządził, że mają ze zdjęciem w ręku wypytywać w okolicy, czy ktoś jej wtedy nie widział. Mają przejść drogę prowadzącą z domu Concetty do bunkra na Psiej Przełęczy, schodząc z niej na prawo i lewo do wszystkich domów.

– Trzeba na to co najmniej trzech lub czterech dni – powiedział Montalbano. – Musicie iść równolegle do siebie, zaczynając od Vigrty, dzięki temu nie pominiecie żadnego domu.

Ledwo obaj agenci wyszli, do gabinetu komisarza wszedł Catarella. Miał wyraz twarzy stosowny na Zaduszki.

– Co ci jest?

– Usłyszałem, panie komisarzu, co pan zlecił moim dwóm kolegom, Gallowi i Galluzzowi.

– I co ci się nie podoba?

– Pan, panie komisarzu, ma prawo robić albo nie robić, co się panu chce osobiście, a mnie wcale nie musi się pan z tego tłumaczyć.

– To o co ci chodzi?

– Proszę mi wybaczyć, ale powiem panu od siebie, że to nie jest sprawiedliwe.

– Catarč, wytłumacz mi to jaśniej. Wal prawdę w oczy.

– Było tak, że to ja zawiadomiłem pana, panie komisarzu, o zwłokach tej małej nieboszczki. I dlatego byłoby sprawiedliwie, jakby pan zlecił mnie to samo co moim kolegom.

– Catarč, ciebie nikt nie zastąpi tutaj! Nie będziesz na miejscu, to cały komisariat diabli wezmą!

– Panie komisarzu, ja wiem, że mam tu ważne miejsce. Ale oprócz tego wydaje mi się, że to niesprawiedliwe.

– Dobrze, Catarč. Bierz fotografię. Ale zaczynaj od Psiej Przełęczy i wypytaj w pobliżu bunkra.

– Panie komisarzu, pan jest wielki i miłosierny!

Jak Allach. Ale przecież w tej decyzji nie brak było także subtelnej zemsty. Catarella na pewno uzna za swój obowiązek wspiąć się znowu po stromej skale z plaży na szczyt.

Gallo i Galluzzo wrócili pod wieczór z pustymi rękami; nikt z tych, kogo

pytali i komu pokazywali fotografie Marii, nigdy jej nie widział. A Catarella nie wrócił. Już się dobrze ściemniło. Komisarz zaczął się o niego niepokoić.

– Chyba coś mu się przydarzyło?

Chciał już wysłać mu innych z pomocą, kiedy tamten wreszcie zatelefonował.

– Panie komisarzu, czy to jest pan osobiście?

– ...we własnej osobie, Catarč. Co z tobą? Już się martwiłem...

– Nic nie jest ze mną, panie komisarzu. Chciałem powiadomić pana, że za pół godziny jestem już na komisariacie, to znaczy, że już przyjeżdżam. Czy pan na mnie zaczeka? To bym z panem porozmawiał.

I rzeczywiście po niecałej godzinie Montalbano zobaczył wchodzącego Catarellę, znużonego i zakłopotanego, z wyrazem twarzy, którego nigdy u niego nie widział.

– Bardzo mnie to zmęczyło, panie komisarzu.

– Co takiego?

– Myśli mnie tak męczyły, bo przychodziły, panie komisarzu.

No tak. Ten stan wycieńczenia świadczył o tym, że jakieś myśli przedzierały się odważnie przez pustynię umysłu Catarelli.

– O czym tak myślałeś, Catarč?

Catarella nie odpowiedział na pytanie swego przełożonego bezpośrednio.

– Powiem panu, panie komisarzu, że pan nie wie, ile jest na Psiej Przełęczy willi i chłopskich chałup, ale to by było nic, tylko że jeden dom stoi strasznie daleko od drugiego, i dlatego to mi zabrało tyle czasu. Kiedy policzyłem, że już wstąpiłem do czternastu domów, to zaraz sobie pomyślałem: „Jak już powiedziałeś «a», to jeszcze powiedz «b»„.

– Słusznie. Powiedz mi jeszcze jedno: jak się tam znalazłeś, na Psiej

Przełęcz? Wspiąłeś się po skale?

– Nie, panie komisarzu. Tak to zrobiłem, jak pan zrobił poprzednim razem.

Stał się w dodatku kuty na cztery nogi ten Catarella!

– Tak tam było, panie komisarzu. Zastukałem jeszcze do piętnastego domu. Była to chałupa mała, niska i nieotynkowana. Zobaczyłem tam kozy, owce, kury, klatkę z królikami, świnie, a właściwie wieprza...

– Catarč, daj spokój temu zoo. Wal dalej.

– I tak tam było, że mi nie otworzył jakiś ktoś, tylko Scillicato!

– Naprawdę?

– Naprawdę. Tak było naprawdę, panie komisarzu!

– Catarč, teraz, kiedy już mnie tym zdziwiłeś, powiedz mi jeszcze, kto to jest ten jakiś Scillicato?

– Ja już to panu powiedziałem, panie komisarzu. Scillicato Pasquale to jest pastuch, który znalazł zwłoki i zatelefonował!

– A ty nie wiedziałeś, do kogo wstępujesz? Przecież mówiłeś mi, że ten pastuch zostawił ci swój adres.

– Tak było, panie komisarzu, adres on mi nawet dał, ale ja nie zrozumiałem, gdzie się tego adresu szuka. A wie pan co, panie komisarzu? Od chałupy Scillicata jest do bunkra chyba niecały kilometr.

– To ciekawe.

– Mnie także zdaje się tak samo, jak pan powiedział. Ale pan nie wie, panie komisarzu, że Scillicato to jest dzikus.

– Co masz na myśli?

– Powiem to panu, panie komisarzu. To prawda, że w chałupie jest telewizor, to prawda, że w chałupie jest lodówka, to prawda, że on kupił sobie osobną komorę, to prawda, że trzyma przed chałupą tę rzecz, co teraz

zapomniałem, jak się nazywa, ale to jest to, co bzyka i kłuje...

– Pszczoła?

– Nie, panie komisarzu. Ta, co jest podobna do pszczoły. Podobna do pszczoły? Co to mogło być?

– Osa? „Vespa”?

– Właśnie o to mi chodzi. To prawda, że on ma vespę, to prawda, że...

– Catarč, powiedz mi teraz, jaka jest nieprawda, bo jaka jest prawda, już wiem.

– Panie komisarzu, niechby się ubierał jak taki, co żebrze, niechby nosił spodnie na sznurku, niechby w jednej kieszeni trzymał kielbasę, a w drugiej chleb, niechby...

No i zaczęła się nowa litania.

– Catarč, powiedz, co w tym wszystkim najważniejsze.

– Najważniejsze, panie komisarzu, są trzy najważniejsze rzeczy. Pierwsza jest taka, że gdy mu pokazałem fotografię, to mi powiedział, że tej baby nie widział wcześniej na własne oczy, tylko ją zobaczył dopiero w bunkrze, kiedy już była umarła, a on ja znalazł i do nas zatelefonował.

– I co w tym ważnego?

– Panie komisarzu, o Boże Świąty, panie komisarzu! Kiedy on zobaczył trupa, to już było całkiem ciemno na dworze, a co dopiero w bunkrze. Mógł tam zobaczyć całe ciało, a jak mógł widzieć, jaką ma twarz! A prócz tego twarz tej nieboszczki wygryzły psy i szczury. Jeśli ją rozpoznał na zdjęciu, to znaczy, że już ja widział wcześniej!

– I co dalej? – powiedział Montalbano i zaczął go słuchać z wielką uwagą.

– To drugie najważniejsze było takie, że zostałem przyciśnięty.

– Kto cię przycisnął? Scillicato?

– Nikt, panie komisarzu, tylko za własną potrzebą mnie przycisnęło. Chciałem się załatwić i spytałem go, gdzie ma w chałupie wychodek. A on mi mówi, że tu wychodka wcale nie ma. Jak mi się chce, to mogę sobie iść w pole albo za krzaki, bo on zawsze tak robi...

– No tak, Catarč, ale nie widzę tu związku...

– Proszę mi wybaczyć, panie komisarzu. Jak ktoś zawsze załatwia się pod gołym niebem, to po co jednego razu wszedł do bunkra, kiedy go przycisnęło i poczuł, że musi?

Montalbano popatrzył na niego szczerze zdumiony. Catarella wnioskowoła wręcz doskonale.

– Jeszcze jest trzecie najważniejsze, panie komisarzu. Jest to takie, że ten Scillicato wpakował się do bunkra o czwartej nad ranem, jakby nie wiedział, że o tej porze to nawet nie przechodzi tamtędy ten wiadomy pies z Psiej Przełęczy. Czy jego mógł ktoś o tej godzinie zobaczyć?

I zaczął się śmiać, sam rozbawiony swoim żartem. Montalbano zerwał się, objął Catarellę i pocałował go głośno w policzek.

– Mimě, myślę, że sprawy tak się potoczyły, jak ci powiem. Maria Lojacono ucieka od siostry i na swoje nieszczęście napotyka gdzieś Scillicata, który pasie na skuterze, na tej vespie, owce. Pastuch zatrzymuje się, pewnie Maria spytała go o drogę. Wystarczy rzut oka, żeby Scillicato zorientował się, że mała jest niespełna rozumu. Postanawia to wykorzystać i prowadzi ją do swojego domu. Przypuszczalnie Maria przeżywa w tym czasie okres kompletnej bierności, tak jak wcześniej przeżywała zamęt i aktywność, co ją pchnęło do ucieczki z domu. To dla Scillicata wygodne i tak ta sprawa ciągnie się przez miesiąc. Kiedy wychodzi z owcami na pastwisko, wiąże Marię w domu jakimś postronkiem. Traktuje ją tak samo jak swoje kury i owce. Ale pewnego dnia Maria znowu jest aktywna i przytomna, i

wtedy jakoś się uwalnia z więzów. Zabiera jednak ze sobą truciznę na szczury, którą Scillicato na pewno miał w domu, bo wcale się nie wyzbyła zamiaru samobójstwa. Kiedy pastuch wraca i nie zastaje jej w chałupie, niewiele się tym przejmuje. Może myśli, że wróciła do rodziny. Tymczasem Maria weszła do bunkra i tam się otruła. W jakiś czas potem Scillicato słyszy, że jej w dalszym ciągu poszukują. Wtedy sam zabiera się do szukania, bo się boi, że mała może opowiedzieć o jego brutalności i przemocy. W końcu znajduje ciało i telefonuje do nas.

– Jednego nie rozumiem – powiedział Mimě. – Po co Scillicato chce się do tego mieszać? Gdyby nie dał znać o zwłokach, kto wie, jak długo leżałyby jeszcze w bunkrze.

– Tego i ja nie rozumiem – odpowiedział Montalbano. – Może to wyjdzie na jaw. Chyba zobaczył, że zmarła z wycieńczenia, więc poczuł się pewien, że już nic nikomu nie powie. Wobec tego może wolał zachować się jak przyzwoity obywatel przestrzegający prawa. A przy okazji dobrze było skierować nas na mylny trop.

– Co teraz robimy?

– Załatw sobie u sędziego nakaz rewizji i jedźcie do Scillicata.

– Czego mam szukać?

– Nie wiem. Nie znaleźliśmy ani biustonosza, ani czerwonej bluzki Marii. Pewnie już je dawno spalił. Ale sam zobaczysz. Głównie chodzi o to, żebyście go solidnie przycisnęli.

– W porządku.

– I jeszcze jedno. Weź ze sobą Catarellę. A kiedy już dojdzie do aresztowania Scillicata, daj Catarelli kajdanki, niech mu sam założy. Zasłużył na taką satysfakcję.

Przeszukiwali chałupę wiele godzin. I nic nie znaleźli. Już stracili nadzieję, kiedy w kącie jakiegoś schowka bez okna, gdzie śmierdziało tak okropnie, że zbierało się na wymioty, Catarella zauważył, że w odpadkach na ziemi coś błyszczy. Pochylił się i podniósł ten odpustowy pierścioneczek Marii. Pierwszy prezent, jaki dziecko wiele, wiele lat temu dostało.

Gra w trzy karty

Lało tak gwałtownie, że komisarz Montalbano nie miał na sobie suchej nitki, chociaż zrobił tylko trzy kroki do zaparkowanego przed bramą samochodu. Ale ponieważ nie znosił parasoli, musiało się to tak skończyć. Silnik widocznie był zawilgocony, bo nie zapalił od razu. Montalbano zaklął. Od kiedy rano otworzył oczy, miał pewność, że będzie to dzień pechowy! Wreszcie samochód ruszył, ale jedna z wycieraczek była zepsuta, więc na szybie rozbijały się ustawicznie wielkie krople i ograniczały widoczność. Jakby tego było mało, już w pobliżu komisariatu musiał się wlec za karawanem, który wyglądał na pusty. Ale kiedy przyjrzał się uważniej, zorientował się, że jest to jednak prawdziwy kondukt pogrzebowy, jadący na cmentarz; za trumna szedł jeden jedyny mężczyzna, daremnie osłaniający się od deszczu parasolem. Był już doszczętnie przemoczony i komisarz mógł mu tylko życzyć, żeby wyszedł z tej opresji bez zapalenia płuc, które po dwudziestu czterech godzinach musiałyby go nieuchronnie zwalić z nóg. Kiedy wszedł do biura, minęła mu złość na niepogodę, ale z kolei odezwała się w nim melancholia. Jadący powoli karawan, za którym idzie tylko jedna osoba, a w dodatku dzieje się to w niesłabnącej ulewie, to widok, który nie mógł nikogo rozweselić. Fazio, który znał swego przełożonego jak samego siebie, zmartwił się, gdy zobaczył komisarza. Tylko raz w życiu w pewnych smutnych okolicznościach widział go tak przybitego i milkliwego.

– Coś się panu stało?

– A co miało mi się stać?

Zaczęli rozmawiać o toczącym się dochodzeniu, którym właśnie zajmował

się Mimě Augello, wicekomisarz. Montalbano jednak słuchał nieuważnie i odpowiadał monosylabami. W pewnej chwili, bez żadnego związku ze sprawą, o której rozmawiali, powiedział:

– Po drodze natknąłem się na karawan.

Fazio popatrzył na niego zaskoczony.

– Za karawanem szedł tylko jeden człowiek – ciągnął Montalbano.

– Aha – odpowiedział Fazio, który wiedział wszystko o życiu i śmierci Vigřtyjczyków. – Musiał to być nieszczęsny Girolamo Cascio.

– Cascio to zmarły czy żywy?

– Zmarły, panie komisarzu. Ten za karawanem to pewnie był Ciccio Mñnaco, swego czasu sekretarz w zarządzie miasta. Cascio także był urzędnikiem w magistracie.

Montalbano raz jeszcze ujrzał niewyraźnie tamtą scenę, na którą patrzył przez zalewaną deszczem szybę, i wysilił pamięć, żeby ją zobaczyć wyraźniej; tak, ten mężczyzna za karawanem to był pan Mñnaco, znany komisarzowi z widzenia.

– Była to jedyna osoba w Vigřcie, z którą Cascio się przyjaźnił – ciągnął dalej Fazio. – Gdyby nie Mñnaco, Cascio żyłby samotnie jak bezpański pies.

– Umarł w domu?

– Przejechało go rozpędzone auto. Stało się to późno w nocy, było całkiem ciemno, nikt niczego nie widział. Znalazł go na środku jezdni dopiero ktoś, kto wyszedł wcześniej rano do pracy. Doktor Pasquano zrobił sekcję zwłok i przesłał sprawozdanie wicekomisarzowi Augello. Leży na jego stole, mam je przynieść?

– Po co? Co nasz doktor tam napisał?

– Stwierdził, że w chwili śmierci Cascio miał w sobie tyle alkoholu, że można by nim upić pułk wojska. Był też cały wybrudzony wymiotami. Na

pewno przechodził przez ulicę, jakby miał pod pokładem wzburzone morze, i sam wpakował się pod koła, a kierowca już nie mógł uniknąć zderzenia.

Po południu przejaśniło się, zniknęły chmury, wróciła pogoda i dzięki temu melancholia Montalbana całkiem się ulotniła. Wieczorem poczuł wilczy apetyt, postanowił więc pójść do gospody „San Calogero”. Wszedł energicznym krokiem do sali i pierwszą osobą, którą zobaczył, był Ciccio Mñnaco. Siedział samotnie przy stoliku w głębi i wyglądał na zagubionego. Kelner przyniósł mu właśnie cienką zupkę jarzynową, jedno z tych dań, z którymi tutejszy kucharz całkiem sobie nie radził. Były sekretarz urzędu miejskiego dostrzegł komisarza i ukłonił mu się, tłumiąc czkawkę. Montalbano odpowiedział na ukłon, a potem nieoczekiwanie, pod wpływem impulsu, dla którego nie umiał znaleźć uzasadnienia, powiedział:

– Przykro mi, że zmarł pański przyjaciel Cascio.

– Dziękuję – odpowiedział Ciccio Mñnaco i dołączając do swoich słów coś, co ostatecznie można by uznać za uśmiech, zaproponował: – Chce pan usiąść przy moim stoliku?

Komisarz zawahał się, bo nie lubił rozmawiać podczas jedzenia, ale górę wzięło współczucie. Jak było do przewidzenia, rozmowa zeszła na wypadek, a były sekretarz w pewnej chwili przeciągnął ręką po oczach, jakby chciał powstrzymać łzy.

– Wie pan, o czym myślę, panie komisarzu? Jak długo umierał mój przyjaciel. Gdyby ten nikczemnik, który go przejechał, zatrzymał się...

– Kto wie, może się zatrzymał. Wysiadł, zobaczył, że Cascio nie żyje, i dopiero wtedy odjechał. Pański przyjaciel często się upijał?

Mñnaco popatrzył na komisarza zdumiony.

– Girolamo? Już od trzech lat nie brał kropli alkoholu do ust. Nie mógł. Po

operacji był już jak kaleka, wystarczył łyk whisky i zaraz, za przeproszeniem, wymiotował.

– Dlaczego wymienia pan właśnie whisky?

– Bo dawniej pił tylko whisky, wina nie lubił.

– Wie pan, co robił Cascio tamtego wieczoru, kiedy wpadł pod auto?

– Naturalnie, że wiem. Przyjechał po kolacji do mnie, trochę rozmawialiśmy, a potem oglądaliśmy w telewizji program *Maurizio Constanzo show*, który kończy się dość późno. Kiedy wyszedł ode mnie, mogła być pierwsza w nocy. Do domu miał kwadrans piechotą.

– Czuł się dobrze?

– Na Boga, komisarzu, niepotrzebnie mnie pan o to pyta. Pewnie, że czułem się dobrze. I nie wyglądał na te siedemdziesiąt lat, które miał.

Zazwyczaj Montalbano po zjedzeniu świeżutkiej ryby jeszcze długo cieszył się jej smakiem i nawet nie pił kawy, żeby go nie zgubić. Tym razem jednak wypił kawę, bo wolał być przytomny. Nie chciał, żeby mu uciekła pewna myśl, na którą wpadł po rozmowie z Ciccim Mñnaco. Zamiast pojechać do domu, do Marinelli, wrócił do komisariatu. Na dyżurze był Catarella.

– Całkiem nikogo nie ma, całkiem nikogo, panie komisarzu.

– Nie denerwuj się, Catarč. Ja właśnie nikogo nie chcę widzieć.

Wszedł do pokoju Mimě Augella, na jego biurku leżała teczka, o którą mu chodziło. Dowiedział się o tamtej sprawie trochę więcej, ale niewiele. Okazało się, że wypadek miał miejsce dwie minuty po drugiej (o tej godzinie zatrzymał się zegarek w kieszonce zmarłego), że ofiara zginęła przypuszczalnie na miejscu, wnioskując z siły uderzenia (auto jechało z wielką prędkością), i że sądówka zabrała ubranie zabitego do zbadania.

Zadzwoił ze swego gabinetu do wicekomisarza. Chociaż nie bardzo liczył na to, że zastanie go w domu.

– Cześć, Salvo, miałeś szczęście, właśnie wychodziłem.

– Pewnie na kurwy.

– Nie wygłupiaj się. Czego chcesz?

– Kto robił pierwsze pomiary po śmierci Girolama Cascio, tego zabitego przez samochód?

– Ja. A dlaczego pytasz?

– Chcę usłyszeć tylko jedno: widziałeś przy zwłokach jakąś butelkę?

– Jaką butelkę?

– Mimě, nie wiesz, co to butelka? To taki pojemnik, szklany albo plastikowy, do którego wlewa się płyny. Ma długą szyjkę, mniej więcej taką jak ta, co ją sobie często pakujesz do...

– Wiesz co, Salvo? Kiedy przychodzi ci ochota popisać się byle idiotyzmem, wspaniale sobie z tym radzisz. Daj pomyśleć. Nie, tam nie było żadnej butelki.

– Jesteś pewien?

– Jestem pewien.

– Ściskam cię.

Było za późno, żeby zatelefonować do Jacomuzziego z sądówki. Odjechał wobec tego do Marinelli.

Ale następnego dnia z rana to, co usłyszał od Jacomuzziego, potwierdziło jego domysły. Jacomuzzi był przekonany, że uderzenie auta było wyjątkowo silne i Cascio bez wątpienia został rzucony na maskę samochodu, pewnie też rozbił głową przednią szybę. Jeśli Montalbano chce wiedzieć jeszcze coś więcej, to samochód, który przejechał Cascia, był koloru

ciemnogrnatowego.

Wezwał do siebie Mimě Augella.

– Trzeba, żebyś sprawdził warsztaty samochodowe w Vigricie i wypytał, czy ktoś nie przywiózł do naprawy ciemnogrnatowego auta.

– Nie wiedziałem, że tamto auto było ciemnogrnatowe. Ale warsztaty już sprawdziłem, i to osobiście. Nic z tego. Przyznasz, Salvo, że nie musiał to być ktoś z Vigrty, auto może tylko przez Vigrtę przejeżdżało.

– Mimě, przejąłeś się, jak widzę, tą historią, wytłumacz mi, dlaczego?

– Dlatego, że brzydzę się takimi, co po wypadku pędzą dalej jak gdyby nigdy nic. Ale i ty się przejąłeś, dlaczego?

– Ja? Dlatego, że nie wierzę, żeby to był wypadek, myślę, że to było morderstwo.

Morderstwo doskonale przygotowane. Zabójca jechał samochodem za Casciem, kiedy ten wyszedł z domu i szedł do swego przyjaciela Monaca. Nie przejeżdża go, bo wszędzie kręcą się ludzie. Czeka cierpliwie, żeby Cascio wyszedł na powrót z bramy: jest już po pierwszej, na ulicy nie ma żywej duszy. Podjeżdża do Cascia i zmusza do wejścia do auta, pewnie grożąc mu bronią. W aucie zmusza go do picia. Cascio wbrew woli pije dużo i zaczyna czuć się źle. Zabójca wysadza go i zostawia na ulicy. Cascio, zataczając się i wymiotując, idzie przed siebie i stara się jakoś dojść do domu. Nie dojdzie. Samochód najeżdża na niego z tyłu, uderza go mocno, jak pocisk z armaty, i na miejscu zabija. Wygląda to naturalnie na wypadek, zwłaszcza że ofiara była całkiem pijana. Dlatego zresztą Cascio, który o pierwszej w nocy pożegnał się z przyjacielem, nie pokonał do drugiej tego odcinka drogi, na którego przejście wystarcza kwadrans. Słowem, najpierw był śledzony, a potem być może porwany.

– Twoje domysły nawet mnie przekonują – powiedział Mimě Augello. – Nie wiem tylko, dlaczego tamten nie zastrzelił Cascia od razu, pod bramą Monaca. Po co wymyślił całe to przedstawienie? Musiał mieć przecież broń, jeżeli zmusił Cascia do wejścia do samochodu.

– Gdyby się zdecydował na zwykłe zabójstwo, to może ktoś, powtarzam: być może ktoś, kto znał całe życie Cascia, mógłby wpaść na nazwisko zabójcy. Musimy tu także wykluczyć inną hipotezę.

– Jaką?

– Taką, że dwóch czy trzech wyrostków zamoczonych narkotykami przejechało go po prostu dla rozrywki. Ten sport jeszcze u nas nie ma wzięcia.

– Zrozumiałem, o co ci chodzi. Spróbuję się dowiedzieć, co się przydarzyło w życiu Cascia w ostatnich latach.

– Bierz pod uwagę, Mimě, że musisz szukać czegoś, co przydarzyło mu się dawniej, co najmniej trzy lata temu.

– Dlaczego?

– Dlatego, że od trzech lat, od operacji, nie mógł już pić, choćby bardzo chciał. Zaraz chorował.

– A jednak zabójca tyle w niego wlał. Co ty na to?

– Zabójca nic nie wiedział o operacji i jej następstwach. Znał go sprzed trzech lat, kiedy Cascio lubił jeszcze zaprawiać się whisky. To do ciebie dotarło?

– Dotarło, dotarło, komisarzu.

– A wiesz, dlaczego morderca nic o tym nie wiedział? Dlatego, że od co najmniej trzech lat nie było go tutaj, w Vigście. Nie zdążył poznać lokalnych nowinek. Chciał uzasadnić wypadek wypitą whisky. A my gotowi byliśmy dać się na to nabrać. Ale po tym, co usłyszałem od Monaca, właśnie whisky

naprowadza na trop, że nie chodzi tu bynajmniej o nieszczęśliwy wypadek.

Montalbano nie chciał, żeby siadanie w gospodzie przy jednym stole z Ciccim Mñnaco weszło w zwyczaj. Dlatego zatelefonował do niego i wezwał go do komisariatu. Postanowił grać w otwarte karty i powiedział mu bez ogródek, czego się domyśla. Skończyło się na tym, że Mñnaco, który miał ponad siedemdziesiąt lat, poczuł się źle i poprosił o kieliszek koniaku. Bo on nie miał takich kłopotów z pićciem jak jego zmarły przyjaciel. A potem ujawniło się coś ważniejszego.

– O tym, że Girolamo był pijany, nie wiedziałem – zaczął były sekretarz magistracki. – Gdybym sam wpadł na to, że może tu wchodzić w grę nie wypadek, tylko zabójstwo, to już wczoraj powiedziałbym panu o tym, o czym powiem teraz. Kiedy objął pan służbę w Vigćcie?

– Pićć lat temu.

– Czyli tamta sprawa wydarzyła się na rok przed pana przyjazdem. Girolamo pracował w zarządzie miasta, był technikiem budowlanym. Miał posadę w wydziale, którym kierował inżynier Riolo. Domyślił się jakichś kombinacji ze zlecaniem budów, zrobił kopie dokumentów świadczących o tym i zaniósł je doktorowi Tumminello z prokuratury w Montelusie. Nie radził się w tej sprawie nikogo, nic nie powiedział nawet mnie, chociaż byłem jego jedynym przyjacielem. Nawet poczułem się dotknięty, bo uznałem, że nie ma do mnie zaufania, i na jakiś czas stosunki między nami dość się oziębily. Pamiętam, że pewnego razu...

– A jak postąpił prokurator Tumminello? – przerwał mu niezbyt grzecznie komisarz.

– Aresztował inżyniera Riolo, przedsiębiorcę budowlanego Alagnę i kolegę Girolama, Pina Intorre, który był prawą ręką inżyniera Riolo. To wszystko. Jedynie te trzy osoby na całym świecie mogły mieć z Girolamem

porachunki.

– Wszyscy trzech mieszkali w Vigście?

– Nie, panie komisarzu. Inżynier był z Montelusy, Alagna z Feli. Tylko Intorre mieszkał w Vigście.

– Dostali wyroki?

– Naturalnie. Ale nie umiem panu powiedzieć, jak wysokie.

Z informacji, jakie udało się zebrać Mimě Augellowi, wynikało, że inżynier Riolo i konstruktor Alagna jeszcze siedzą w więzieniu San Vitto w Montelusie, natomiast Pino Intorre został niedawno zwolniony, ściślej mówiąc, cztery dni przed śmiercią Cascia. „Postarajcie się, żeby zrobił jakiś fałszywy krok” – zarządził Montalbano, wezwawszy do siebie Augella i Fazia. I przestał się interesować tym dochodzeniem; uznał, że już zostało rozwiązane, i to nawet wyjątkowo łatwo. Ale w parę godzin później zainteresował się nim na nowo.

– Matko Boża Przenajświętsza, mało brakowało, a poślizgnęlibyśmy się na własnym gównie – powiedział Fazio, wchodząc do gabinetu komisarza.

– Co masz na myśli?

– Mam na myśli to, że Pino Intorre nie ma samochodu. Żona się go pozbyła, kiedy mąż siedział w więzieniu. Mało tego: Intorre ma kataraktę, jest prawie ślepy. Prowadziłby w nocy auto, jak pan myśli? Przecież by się wpakował na pierwsza mijaną latarnię i wcześniej zabiłby siebie niż Cascia.

– Ma dzieci?

– Wiem, co panu chodzi po głowie, panie komisarzu. Nie, nie ma synów, nie mogli go zastąpić. Ma tylko dwie zameżne córki, jedną w Rzymie, drugą w Viterbo.

Nagle doszły do nich podniesione głosy.

– Idź, zobacz, co się dzieje.

Fazio wyszedł i zaraz wrócił.

– Nic takiego, panie komisarzu. Jakiś typ na molo rozłożył się z grą w trzy karty, a kiedy zobaczył Galla, zaczął uciekać. Gallo go ścigał i ujął, ale tamten zdzielił go pięścią w nos. Już siedzi i posiedzi.

Komisarz jednak przestał go słuchać. Zerwał się na równe nogi i wpatrzył się w Fazio pustym wzrokiem.

– Co z panem, panie komisarzu?

Gra w trzy karty.

– Panie komisarzu, źle się pan czuje?

Komisarz oprzytomniał, usiadł, spojrzał na zegarek.

– Fazio, za godzinę idę na obiad. Chciałbym, żebyś mi w ciągu pół godziny dowiedział się jednej rzeczy.

Do gospody „San Calogero” komisarz przyjechał trochę później niż zazwyczaj. Wyglądało na to, że jest w złym humorze. Ale przyjął zaproszenie Ciccio Mñnaco i usiadł przy jego stoliku. Były sekretarz magistracki zabierał się do dorsza z wody. Przyprawił go tylko odrobiną oliwy.

– Nie mam dobrych wiadomości – zaczął Montalbano.

– To znaczy?

– Inżynier Riolo i Alagna jeszcze siedzą. A Intorre wyszedł na wolność parę dni temu.

– I to ma być zła wiadomość? Co też pan opowiada, panie komisarzu! Intorre wraca z więzienia do domu, ciągle jeszcze ma żal do mojego biednego przyjaciela, i ledwo go spotyka na swojej drodze, załatwia go!

– Intorre nie ma samochodu.

– Co to ma do rzeczy? Pożyczył sobie samochód od któregoś ze swoich

koleżków.

– Wiedział pan, że Intorre w więzieniu niemal oślepl?

Widelec wypadł Cicci Mñnaco z ręki. Zbladł.

– Nie... nie wiedziałem.

– Jednak – powiedział Montalbano – może to także nie ma nic do rzeczy.

Mógł sobie wynając do pomocy jakiegoś współnika,

– Oczywiście! Też mi to przychodziło do głowy!

Kelner przyniósł komisarzowi przystawkę z owoców morza. Montalbano zaczął jeść i nie odzywał się, jakby już wyczerpali temat rozmowy.

– I co pan zamierza zrobić?

Na to pytanie komisarz odpowiedział pytaniem: – Wiedział pan, że pański przyjaciel, Girolamo Cascio, kupił sobie w ostatnich sześciu latach dwa mieszkania i trzy sklepy w Montelusie?

– Nie... skądże... nie...

– To oczywiste, że pan o tym nie wiedział – dokończył komisarz. I jadł w dalszym ciągu. Skończył przystawkę i przyjrzał się byłemu sekretarzowi, który jak gdyby skamieniał na krześle. – Dlatego pytam pana: jak urzędnik z tak małym wynagrodzeniem może sobie kupić dwa mieszkania i trzy sklepy? Próbowałem dobrać się do tego pytania w różny sposób, ale tylko jeden trafny wniosek mi się nasunął: dzięki szantażowi.

Kelner przyniósł komisarzowi okonia morskiego, który był tak świeży, jakby jeszcze pływał w morzu.

– Proszę mi zrobić tę przyjemność, nie rozmawiajmy, dopóki nie skończę tej ryby.

Ciccio Mñnaco posłusznie milczał. Zanim z ryby komisarza zostały same ości, Mñnaco wypił cztery szklanki wody. Wreszcie Montalbano, zadowolony z dania, wyciągnął się wygodnie na krześle i wziął głębszy

oddech.

– Wracamy do naszej rozmowy. Kogo Girolamo Cascio mógł szantażować? Założyłem na próbę, że kogoś, na kogo wówczas nie doniósł, kogo nie oskarżył o oszustwa przy zleceniach budowlanych. Szantażowany nie miał innego wyjścia, musiał płacić. Ale czekał na stosowną okazję. I właśnie zwolnienie Intorrego z więzienia stało się tą oczekiwaną chwilą. Szantażowany mógł zwalić winę na żadnego zemsty Intorrego i obmyślił przewrotny plan: wystarczy udać, że Intorre popełnił błąd wskutek niewiedzy o abstynencji Cascia. Teraz już miał szantażystę w rękę i mógł się z nim zabawić jak kot z myszką. Błąd, ale przemyślnie zainscenizowany, rozwiązanie prawdziwie genialne. Życie jednak jest, jakie jest, i po kryjomu zaznaczyło sobie jedną z tych trzech kart, jakimi zabójca chciał grać i wszystkich podstępnie ograć. Cóż więc zrobiło życie? Zazartowało. Ponieważ zabójca chciał, żeby fałszywy błąd uznano za prawdziwy, życie stworzyło mu okoliczności, w których popełnił błąd prawdziwy, będący dosłownie lustrzanym odbiciem tamtego fałszywego. Zabójca nie wie, nie liczył się z tym, że Intorre wrócił do domu prawie ślepy.

Ciccio Mñnaco podniósł się, chciał wstać.

– Pójdę do toalety.

Nie utrzymał się jednak na nogach, opadł z powrotem na krzesło.

– Pan, panie Mñnaco, ma samochód?

– Tak... ale... już od dawna go nie używam...

– Jaki pańskie auto ma kolor? Ciemnogranatowy?

– Tak.

– Gdzie je pan trzyma?

Mñnaco chciał odpowiedzieć i otworzył usta, ale nie wydobył się z nich żaden dźwięk.

– W swoim garażu?

Przytaknął. Ledwo zauważalnie, samym wzrokiem.

– Pójdziemy zobaczyć?

Dopiero teraz Ciccio Mñnaco nieoczekiwanie przemówił.

– Nie myli się pan, ja także byłem zamieszany w tę historię z oszustwami przy zleceniach. Ale Cascio na mnie nie doniósł, żeby potem wyssać ze mnie krew jak pijawka. Inni na procesie także nic o mnie nie wspomnieli. Ale przysięgam, panie komisarzu, nigdy nie zaświtało mi w głowie, żeby go zabić. Dopiero kiedy tamtego wieczoru powiedział mi, że Pino Intorre wyszedł z więzienia i że ja nie mam wyboru: albo dam mu więcej, albo podjudzi Pina na mnie, postanowiłem go zabić, bo mogłem zwalić winę na Pina.

Chciał wstać i wyjść razem z Montalbanem, ale nie mógł podnieść się z krzesła, nie trzymał się na nogach. Komisarz mu pomógł, podał mu ramię, tak że wyszli z gospody jak dwaj dobrzy przyjaciele.

Kawałki sznurka całkiem nieprzydatne

– To pan, komisarzu? Tu Fazio. Może pan tu przyjechać?

– Po co?

Uważał, że to niekonieczne. Musiałby teraz wyjść z biura, wsiąść do samochodu (który zresztą opierał mu się, zanim ruszył), przejechać przez całą Vigrtę, wyjechać w stronę Montelusy, skręcić po pięciuset metrach w lewo, wjechać na polną drogę, dobrą dla kóz, tłuc się nią kilometr po wybojach i kamieniach i wreszcie dotrzeć pod dom księgowego Ettore Ferro z obolałym grzbietem.

– Po co? – powtórzył zirytowany, słysząc, że Fazio nalega.

– Tak sobie – odpowiedział agent.

Komisarz zezłościł się, podniósł głos.

– Gównu mi to mówi. Tak sobie! Nie możesz tego jakoś wytłumaczyć? Coś się popieprzyło?

– Nie, nic się nie popieprzyło, panie komisarzu, ale lepiej będzie, jeżeli pan przyjedzie.

Montalbano, wsiadając do samochodu, mamrotał ze złości do siebie: jak to możliwe, żeby jego ludzie nawet nie umieli podrapać się po dupie bez jego pomocy?

Tego dnia o siódmej rano księgowy Ferro stawił się w komisariacie i wymógł na Catarelli telefon do komisarza, który właśnie stał w Marinelli pod prysznicem. Catarella powtarzał mu, żeby przyjechał do biura „coraz szybciej

i osobiście we własnej osobie” Montalbano znał z widzenia księgowego Ferro, tego sześćdziesięciolatka, który nie trzymał z ludźmi i mieszkał samotnie w dwupiętrowym domu poza miastem. Uchodził za człowieka poważnego, chociaż miał różne dziwaczne manie.

Kiedy komisarz wszedł do swego gabinetu, księgowy siedział tam na krześle przy stoliku.

– Proszę nie wstawać – powiedział Montalbano, widząc, że księgowy zrywa się na równe nogi. – Proszę mi o wszystkim spokojnie opowiedzieć.

– Dzisiejszej nocy ktoś próbował mnie okraść.

– Próbował?

– Tak, panie komisarzu, próbował.

– Nie rozumiem. I nic z domu nie zginęło?

– Nic, dosłownie nic.

– Jest pan pewien, że złodziej wszedł do domu?

– Jak najbardziej. Rozbił szybkę w oknie do piwnicy, wsunął rękę, otworzył sobie okno, wszedł do domu, pootwierał wszystkie drzwi do pokoi, które zawsze trzymam zamknięte na klucz, a na koniec...

– W porządku – przerwał mu komisarz. Już go rozpierała złość. Ten tuman, którego miał przed sobą, dla takiej błahostki, dla jakiejś mętnej próby kradzieży, zmusił go do przyjazdu tak wcześnie do biura!

– Gdzie pan spał dzisiejszej nocy? – ciągnął dalej Montalbano.

– Gdzie mogłem spać? U siebie w domu – odpowiedział księgowy, patrząc z zakłopotaniem na komisarza.

– I nic pan nie słyszał? Nie obudziły pana żadne hałasy?

– O tym nie ma mowy! Kiedy zażyję pigułkę nasenną, nawet wystrzał z armaty mnie nie obudzi.

– Fazio!

Komisarz zawołał swojego agenta tak głośno, że księgowy podskoczył na krześle.

– Spisz protokół z tego, co zaszło, a przy okazji jedź na miejsce i rozejrzyj się po domu pana Ferro.

Musiała minąć co najmniej godzina, zanim humor komisarza zaczął się jako tako poprawiać. Ale właśnie wtedy zadzwonił Fazio.

Czekał przed domem księgowego, podbiegł do samochodu Montalbana, żeby mu otworzyć drzwi. Komisarz spiorunował go wzrokiem.

– Po co kazałeś mi tu przyjeżdżać?

– Księgowy wykrył, że złodzieje jednak go obrobili.

– Co mu zabrali?

Fazia chyba bardzo zainteresowały czubki własnych butów.

– Może będzie lepiej, jak Ferro sam panu o tym powie.

Montalbano chciał mu na to coś warknąć, ale na progu pojawił się już księgowy.

– Proszę bardzo, proszę wejść, panie komisarzu. Pokażę panu, którą drogą złodzieje się tu dostali.

Weszli do małego przedpokoju, gdzie było troje drzwi i schody prowadzące na piętro.

Ettore Ferro zatrzymał się przed największymi drzwiami, wyjął z wypchanej kieszeni wielki pęk kluczy, otworzył drzwi, przepuścił przed sobą komisarza i Fazia, sam wszedł za nimi, zapalił światło i zamknął z powrotem drzwi na klucz. Kilkanaście stopni prowadziło stąd na dół, do ogromnej, wysokiej piwnicy. Po lewej stało ponad dziesięć olbrzymich beczek; komisarzowi nawet nie zaświtało w głowie, że gdzieś na świecie istnieją

beczki takiej wielkości.

– Jak je panu tutaj wnieśli? – spytał odruchowo.

– Nikt ich nie wnosił, zostały wykonane tutaj, na miejscu – odpowiedział księgowy. I dodał: – Ta piwnica, którą zresztą sam zaprojektowałem, ciągnie się daleko poza mury domu.

– Produkuje pan wino? Jest pan enologiem?

– Kto? Ja? Ani mi się śni.

Komisarz wolał się powstrzymać z pytaniami. Kątem oka dostrzegł wyraz twarzy Fazio, kurczowo zaciśniętej. Fazio z trudem powstrzymywał się, żeby nie wybuchnąć śmiechem. Pewnie by się nawet ze śmiechu popłakał.

– Weszli tędy – powiedział księgowy. – Widzi pan tę zbitą szybę? Potem wskoczyli na tamtą beczkę i zeszli drabiną, która stała oparta obok.

Montalbano słuchał go nieuważnie. Patrzył w stronę drugiej części piwnicy, gdzie było całkiem ciemno, nie było tam okien, nie przedostawało się światło. Zdecydował się zadać pytanie:

– Co jest po tamtej stronie?

– Zamrażarki, lodówki, różne boksy.

– Pan czymś handluje?

– Kto? Ja? Skądże.

Fazio dusił się od powstrzymywanego śmiechu, którego już nie udawało mu się opanować, Montalbano stawał się coraz bardziej rozdrażniony.

– Panie Ferro, proszę posłuchać. Chcę wiedzieć, co panu ukradli, i skończmy z tym.

– Musimy wejść na piętro.

Znowu odprawił całą ceremoniał z otwieraniem drzwi i zamykaniem ich za sobą na klucz. Weszli na schody, zatrzymali się na podeście pierwszego

piętra. Księgowy otworzył drzwi po prawej, weszli na korytarz, zatrzymali się przy trzecich drzwiach po lewej. Ferro wyjął inny pęk kluczy, otworzył drzwi, wszedł, zapalił światło, poprosił komisarza i Fazia do środka. Pokój był wypełniony metalowymi regałami, na półkach w wielkim porządku stały kartonowe pudełka różnej wielkości, zaklejone taśmą do paczek. Księgowy wskazał półkę, na której widać było pojemniki wielkości pudełka na buty.

– Ukradli mi wszystkie kapsle od piwa z poprzedniego roku. Widzi pan, panie komisarzu, dzisiaj mamy czwarty stycznia. Dlatego przedwczoraj, drugiego, mogłem już zakleić pudełko, w którym zebrałem kapsle od piwa wypitego w roku 1997. Było ich trzysta sześćdziesiąt pięć, bo wypijam butelkę dziennie.

Montalbano popatrzył na niego wymownie. Ale księgowy wcale nie żartował. Przeciwnie, raczej był zaniepokojony tym, co się stało.

– Panie księgowy, co jest w tym wielkim pudle po lewej?

– Tam? Tam są kawałki sznurka całkiem nieprzydatne.

– A w tym obok?

– Torby plastikowe lub papierowe, już używane. Proszę spojrzeć. Stosuję podział na lata. Widzi pan: gumki elastyczne 1978, 79, 80... używane podkoszulki 1979, 80, 81... i tak dalej. Zachowuję wszystko. Od dwudziestu lat nie wyrzucam niczego.

– Także wyższe piętro tak wygląda?

– Oczywiście. Tam z kolei trzymam papier, gazety, tygodniki... a tam odzienie, buty. Takie rzeczy, jak korki, butelki, puszki, są w tym pokoju obok. Muszę jeszcze dobudować trochę pokoi na parterze... Palę czterdzieści papierosów dziennie, wie pan. Na niedopałki nie mam już miejsca.

Komisarz niemal tracił poczucie rzeczywistości, robił wszystko, żeby się przed tym obronić. Postanowił natychmiast wyjść. Pocił się, Podszedł do

drzwi, ale jeszcze na chwilę się zatrzymał.

– Proszę mi wybaczyć, panie Ferro – powiedział, bo nagle poruszyła go pewna myśl. – A w tych beczkach w piwnicy co pan trzyma?

– Moje resztki organiczne – odpowiedział księgowy Ettore Ferro.

Montalbano szybko wyszedł i odjechał, nawet się z nim nie żegnając.

Nie czuł się na siłach wrócić wprost do biura. Tuż przed zjazdem do Vigrty była wąska ścieżka, wystarczyło zboczyć z szosy i wjechać na pusty plac, gdzie rosła rozłożysta oliwka saraceńska, którą komisarz lubił. Przysiadł na jej odnodze. Nie opuszczało go poczucie dotkliwej przykrości i niepokoju. Wiedział, że jego przyczyną jest proste pytanie: dlaczego księgowy Ferro robił to, co robił? Czyżby dlatego, że jego mózg funkcjonuje jak szczególny prąd zmienny, który na zmianę dopływa i nie dopływa? Czy może przyczyna tego była bardziej wzniosła? Chciał zawdzięczać poczucie istnienia śmieciom, które po sobie pozostawił? A może doszedł tu do głosu jakiś rodzaj absolutnego skąpstwa? Wypalił trzy papierosy, jednego po drugim, ale okazało się, że po tych dywagacjach czuje w sobie więcej zamętu niż spokoju. Jednego w każdym razie był pewien: ten człowiek budził w nim litość.

W pół godziny po powrocie do komisariatu wszedł do jego gabinetu Fazio.

– Chyba dobrze zrobiłem, że pokazałem panu dom księgowego? A pan jeszcze nie wie, panie komisarzu, że Ferro powiedział mi, jakby to była najzwyklejsza rzecz na świecie, co jest w tych beczkach, które widział pan w piwnicy. Więc trzyma tam nie tylko swoje gówna i mocz, ale wrzuca do nich także obcięte paznokcie i resztki włosów, nie tylko z głowy, ale i z brody.

– A wiesz, co trzyma w zamrażarkach, chłodniach i boksach?

– Jakże miałbym nie wiedzieć! Pokazał mi. Nie wpadłby pan na to, panie

komisarzu: Ferro wylicza, ile mięsa zje w ciągu roku, ile ryb, ile makaronu, ile sera... Słowem, wszystko, co jest potrzebne człowiekowi, żeby mógł przeżyć trzysta sześćdziesiąt pięć dni... Wszystko, ale to dosłownie wszystko, może mi pan wierzyć, nawet, by dać przykład, wykałaczkę do zębów. Drugiego stycznia przyjeżdżają ciężarówki dostawcze, a on magazynuje, co przywożą: jedno do zamrażarki, drugie do chłodni... Może przeżyć okrągły boży rok, nie wysuwając nosa z domu.

– Ma jakichś krewnych?

– Tylko siostrzeńca, syna siostry, która mieszkała z mężem w Wenecji i tam zmarła. Dom zostawi siostrzeńcowi, powiedział mi, ale pod warunkiem, że nie będzie mu wolno niczego w nim zmienić ani niczego usunąć. Wszystko musi zostać tak, jak jest. Może pan sobie wyobrazić głowę siostrzeńca, kiedy tu zamieszka i otworzy beczki?

Montalbano dodał jeszcze jeden domysł do tych, na które wpadł poprzednio: może jest to naiwne pragnienie nieśmiertelności? Faraoni jednak wznosili w tym celu piramidy.

– Chce pan jeszcze coś wiedzieć? – ciągnął dalej Fazio. – O tych używanych kapslach do butelek z piwem, które mu ukradli, mówił mi tak, jakby to były bezcenne skarby, coś w rodzaju diamentów.

Kiedy wracał z Vigiry do Marinelli, znowu zaczął myśleć o sprawie księgowego i nagle nabrał przekonania, że kuriozalne dziwactwa tamtego domu i jego właściciela przesłoniły mu sedno problemu; dlaczego złodzieje zadali sobie tyle trudu, żeby wdrzeć się w nocy do środka, pootwierać wszystkie drzwi podrobionymi kluczami lub wytrychem, dlaczego, słowem, narażali się na więzienie tylko po to, żeby wynieść z domu jedno tekturowe pudło wypełnione kapslami po piwie? Ta kradzież, która na pozór wydawała się bezsensowna, jakiś swój sens jednak musiała mieć. Kiedy więc znalazł się

już w domu, natychmiast zaczął kartkować książkę telefoniczną. Znalazł numer Ettore Ferro.

– Halo. Tu komisarz Montalbano. Jak się pan czuje?

– Jak mam się czuć, panie komisarzu? Jestem zdruzgotany. Czuję się tak, jakby mi ukradli kawałek mego życia.

– Niech się pan nie załamuje, panie Ferro. A ze swej strony chcę pana prosić o pewną przysługę.

– Jeśli tylko mogę się panu przydać, jestem do pańskiej dyspozycji.

– Chciałbym, żeby pan sprawdził, czy w domu nie brakuje czegoś więcej.

– Już sprawdziłem, panie komisarzu. Cały dzień już mi na tym zszedł, zaglądałem wszędzie. Nie, nie ukradli nic więcej.

– Proszę wybaczyć, że nalegam. Pudełko z kapsłami z 1996 roku jest na swoim miejscu?

– Tak, panie komisarzu.

– Dobranoc, panie Ferro. Przepraszam za kłopot.

Otworzył lodówkę, były w niej puszki z piwem. Wszedł, wsiadł do samochodu, pojechał do baru w Marinelli, kupił pięć butelek piwa różnych marek, wrócił do domu, otworzył je, usiadł przy stole w jadalni, ułożył w rzędzie pięć kapsli. Po chwili wstał, zadzwonił do księgowego.

– Tu Montalbano, Bardzo mi przykro, że...

– Proszę nie mieć obiekcji, proszę pytać.

– Jakie piwo pan pije?

– Torrefelice.

– Nigdy o takim nie słyszałem.

– Nic dziwnego. To mały browar w miasteczku pod Messyną. Istnieje dopiero od trzech lat. Smakuje mi ich piwo. Zna pan Corona Extra? Mam na

myśli to piwo, które przypomina białe wino.

– Nie. Mało znam się na piwach.

– Otóż Torrefelice jest trochę podobne do tamtego. Ale jest, moim zdaniem, lepsze. Ponieważ piję dużą butelkę dziennie, drugiego stycznia przysyłają mi trzydzieści sześć pudeł po dziesięć sztuk i pięć butelek luzem.

– Jeszcze jedno, panie księgowy. Zorientował się pan, że złodzieje weszli do domu, tylko na tej podstawie, że zauważył pan rozbitą szybę i pootwierane drzwi?

– Kto panu powiedział, że drzwi były pootwierane?

– Pan. Dzisiaj rano.

– Źle się wyraziłem. Złodzieje otworzyli drzwi i pozamykali je z powrotem. Ale tylko raz przekręcili klucze, a ja zawsze przekręcam dwa razy. To dlatego nabrałem podejrzeń, a dopiero potem zobaczyłem rozbitą szybę.

– Obiecuję, że już więcej nie będę pana niepokoił. Dobranoc.

– Jak będzie, tylko Bóg wie.

Zatem jedno było pewne: złodzieje włożyli wiele wysiłku, żeby kradzież nie została wykryta, bo rozbicie szyby można było zrzucić na przypadek: na jakąś wibrację albo na kamień rzucony zza ogrodzenia. Ale popełnili błąd, bo przekręcili klucz w zamkach tylko raz.

Ponieważ nie warto było wstawiać piwa do lodówki, skoro butelki były już otwarte i piwo straciłoby smak, podjął decyzję, że wszystkie wypije. Zabrało mu to dwie godziny, w czasie których przyglądał się uważnie pięciu metalowym kapslom lekko skrzywionym podczas otwierania. Kiedy wstał, żeby wyrzucić puste butelki do pojemnika na śmieci, zauważył na jednej etykietce napis: OTWÓRZ I WYGRAJ! USUŃ PLASTIKOWĄ

PODKŁADKĘ i PRZECZYTAJ, CO JEST NAPISANE NA KAPSLU. Obok napisu był wykaz nagród. Montalbano wyszukał kapsel z butelki z tą reklamą, podważył nożem okrągłą plastikową wkładkę i przeczytał: NIE WYGRAŁEŚ. SPRÓBUJ RAZ JESZCZE. Ale w tej samej chwili zrozumiał, że jednak wygrał. To nic, że napis mówił inaczej.

Dzięki piwu, od którego miał wzdęty brzuch, łatwiej usnął. Jednak w chwili zapadania w sen znowu zobaczył pudła porządnie ustawione na półkach w pokoju księgowego. Jak w grobowcu. Pudła były jak urny, jak azyły dla zmarłych. Ettore Ferro chronił w nich resztki swego życia, które dzień po dniu nieuchronnie zużywał.

Nazajutrz rano z chłodną przytomnością umysłu postanowił, że domysłem, który przyszedł mu do głowy, może się podzielić tylko z Augellem i Faziem. Nie mógł o nim w żadnym razie swobodnie rozpowiadać, bo wrogi mu dziennikarz z TeleVigírty zaraz by przy tym upiekł swoją pieczeń: „Może nie wiecie, jak bardzo ważną sprawą zajmuje się teraz nasz sławny komisarz Salvo Montalbano? Jeżeli nie wiecie, to wam powiem: kradzieżą trzystu sześćdziesięciu pięciu kapsli od butelek po wypitym piwie” Nastąpiłyby złośliwości i kpiny. A potem telefon od zmartwionego kwestora: „Drogi Montalbano, czy jest choć odrobina prawdy w tej wiadomości...”.

Po przyjeździe do biura wezwał do siebie Fazia.

- My obaj wczoraj okazaliśmy się żalonymi kutasami.
- Obaj, panie komisarzu? Ja i pan?
- Tak. Obaj.
- Przynajmniej to trochę mnie pociesza.
- A wiesz, dlaczego okazaliśmy się kutasami? Dlatego, że nie potraktowaliśmy poważnie kradzieży w domu księgowego.

– Litości, komisarzu...

– Ale ty w końcu pchnąłeś mnie na dobrą drogę.

– Ja?

– Ty. Kiedy mi wspomniałeś, że księgowy mówił o tych kapslach, jakby to były dla niego bezcenne skarby. Wtedy pomyślałem: a może istnieje też ktoś inny, dla kogo są to rzeczy do tego stopnia bezcenne, że warto było je wykraść?

– Jakiś kolekcjoner kapsli? – spytał zdumiony Fazio.

– Nie opowiadaj mi głupstw! Zostawmy to. Chcę wiedzieć wszystko o browarze, który nazywa się Torrefelice i znajduje się w jakiejś miejscinie koło Messyny. Ale ostrożnie, Fazio, wiemy o tym tylko ty i ja.

– Może pan być spokojny. Ile czasu mi pan daje?

– Ten twój czas już minął.

Dwie godziny później Fazio wrócił z raportem. Usiadł i zaczął mówić tonem kaznodziei:

– Między Pokojem a Kontemplacją znajduje się Raj...

Montalbano przerwał mu, unosząc rękę.

– Fazio! Ostrzegam cię, że nie mam ochoty na żarty.

– Tak, panie komisarzu, żartowałem. A jednak mówiłem prawdę. Pace–Pokój i Contemplazione–Kontemplacja to dwie osady, które tak się właśnie nazywają. Są to praktycznie przedmieścia Messyny. Między nimi stoi hotel, który nazywa się „Paradiso” czyli „Raj” Jakies pięćset metrów za hotelem, z dala od szosy, znajduje się browar, o który nam chodzi.

– Dowiedziałeś się czegoś więcej?

– Tak, panie komisarzu. Torrefelice zaczął produkcję w 1993 roku. Ich piwo nie dociera wszędzie, ale jest chętnie kupowane. Powiedzieli mi, że

zamierzają zwiększyć produkcję.

– A wiesz, kim są właściciele?

– Nie, komisarzu. Miałem na to za mało czasu.

Przykleił się do telefonu i odszukał sierżanta Laganę z policji finansowej w Montelusie, który już nieraz pomógł mu w jego śledztwach. Mówił dość długo.

– O Boże! – jęknął Lagana, kiedy komisarz skończył swoje.

– Sierżancie, wiem, że...

– Komisarzu, musi pan zrozumieć, że to nie jest mój rejon. Muszę się zwrócić do któregoś z kolegów stamtąd. To potrwa.

– Ile? Mniej więcej?

– Jeżeli znajdę tego, o kim myślę, najwyżej tydzień.

Montalbano uznał tę wiadomość za pocieszającą, bo nastawiał się na dłuższe oczekiwanie.

– Przyślę panu faks ze wszystkimi danymi – dodał sierżant.

– Dziękuję. Jeszcze jedno. W faksie proszę nie wymieniać nazwy Torrefelice, tego browaru produkującego piwo. Sprawa nie może nabrać rozgłosu.

– Oj, oj, panie kochany komisarzu! – zawołał Catarella, wdzierając się do gabinetu Montalbana i bijąc drzwiami o ścianę z takim hałasem, że wszyscy zerwali się z miejsc. – Już jest faksowanie, ale ono wychodzi do pana osobno i osobiście. O Matko Przenajświętsza, panie komisarzu! Już go wyszły trzy metry, a znowu jeszcze wychodzi i wychodzi. Zwija się jak wąż, panie komisarzu. Już cały pokój mam obwinięty!

Od telefonu do Lagany upłynęły tylko cztery dni, pewnie więc znalazł tę

osobę, na którą liczył.

Przy pomocy Galla i Galluzza Catarella stoczył z papierowym wężem prawdziwą bitwę, ale w końcu zdołali go jakoś zwinąć w rulon.

Browar należał do braci Gaspare i Michele Pizzuso, obaj byli niekarani. Nigdy nie mieli kłopotów z prawem, ani jako obywatele, ani jako przemysłowcy. Dostarczali swoje piwo do hurtowni i do sklepów z alkoholem, do barów i restauracji, ale także osobom prywatnym do domu. Mieli pięć własnych furgonetek.

Po tej ogólnej informacji następowała długa lista klientów. Montalbana zainteresowały osoby prywatne. Już był bliski rozczarowania, kiedy natrafił na nazwisko, które go dosłownie poderwało z krzesła: Vincenzo Cacciatore, via Paterno 18, Vigíta. Vincenzo Cacciatore pijał więcej piwa niż Irlandczyk, zamawiał trzydzieści pudeł po dziesięć sztuk co trzy miesiące. A Montalbano dobrze go znał, ale bynajmniej nie jako amatora i znawcę piwa.

Wezwał Galia, który był kierowcą służbowego samochodu.

– Wiesz, gdzie tu, w Vigície, jest via Paterno?

Gallo wyjaśnił mu. Była to ulica równoległa do tej podmiejskiej szosy, przy której stał dom księgowego Ettore Ferro.

Komisarz postanowił jednak, że zanim rozmówi się ze swoim zastępcą, zrobi jeszcze coś w rodzaju próby.

– Księgowy Ferro? Tu Montalbano. Jeszcze raz muszę pana niepokoić. Przechowuje pan również pudła po piwie, prawda?

– Naturalnie! – brzmiała odpowiedź.

Ettore Ferro poczuł się trochę urażony tym pytaniem. Jakże komisarz mógł myśleć, że on coś wyrzuca!

– Ale muszę je składać. Zajmują tyle miejsca! Może pan sobie wyobrazić –

uściślił.

– Powiedział mi pan, że od trzech lat zawsze pije piwo Torrefelice. Powinien więc pan mieć w domu dziewięćdziesiąt pudeł.

– Dokładnie tyle.

– Może pan te pudła sprawdzić? Czy trzydzieści pudeł z poprzedniego roku różni się czymś od pudeł wcześniejszych?

– Niczym, panie komisarzu. Wszystkie są tej samej wielkości.

– Proszę jednak popatrzeć. Może mają na sobie jakieś szczególne oznakowania?

– Zadzwonię do pana za godzinę.

Zadzwoił jednak po dwóch godzinach, kiedy Montalbano już odczuwał wilczy głód.

– Przepraszam, że zajęło mi to tyle czasu, ale chciałem sprawdzić dokładnie, a potem raz jeszcze skontrolować. Jak pan wpadł na coś takiego, panie komisarzu? Istotnie, pudła z zeszłego roku są odrobinę inne. Mają na sobie jakby gwiazdę zaznaczoną niebieskim flamastrem.

– To już ostatnie pytanie, panie księgowy. Kto wiedział o tym, że pan ma zwyczaj przechowywania tych swoich...

Zabrakło mu słowa. Odpadki? Śmieci? Księgowy wybawił go z kłopotu.

– Wiedzą o tym na pewno dostawcy. Także elektryk, który...

– Dziękuję panu, panie Ferro.

– Widzisz, Mimè, głowę dam, że sprawy tak wyglądają. Kochani i niekarani bracia Pizzuso handlują narkotykami. Nie wiem, jakimi, ale z pewnością takimi, które można bez trudu umieścić między kapslem a plastikową podkładką. Ich klientem, a takich klientów mają multum, jest tutaj, w Vigście, Vincenzo Cacciatore, którego ty sam rok temu zatrzymałeś

za rozprowadzanie narkotyków. Zeszłego roku bracia Pizzuso wysyłają transport do Cacciatore, ale dostawca myli się i zostawia pudła zaznaczone gwiazdką naszemu księgowemu. Naturalnie bracia Pizzuso orientują się po kilku dniach, że doszło do pomyłki. Ale mają związane ręce: wykraść pudła jeszcze pełne to jakby złożyć własnoręczny podpis pod kradzieżą. Decydują się poczekać, wiedzą, że księgowy i tak wszystko przechowuje. Dlatego w pierwszych dniach nowego roku wchodzą do jego domu i odzyskują trzysta sześćdziesiąt pięć kapsli. Ale znowu popełniają błąd; nie przekręcają kluczy w drzwiach dwukrotnie. I Ferro wykrywa kradzież.

– Mogli ukraść coś dodatkowo, zmylili by jego czujność – dodał Augello po chwili namysłu.

– Mimě, na szczęście nie wszyscy przestępcy są inteligentni.

– To co teraz robimy? – spytał wicekomisarz.

– Czekamy do trzydziestego marca, kiedy nadejdzie nowy transport do Cacciatore. Zatrzymamy furgonetkę, otworzymy butelkę i zobaczymy, co wetknęli między podkładkę a kapsel.

– A z braćmi Pizzuso jak się obejdziemy?

– Zawiadomimy o nich kolegów z Messyny. Ale dopiero wtedy, kiedy już zatrzymamy furgonetkę.

Augello popatrzył na komisarza pytająco.

– Dopiero wtedy, Mimě, dopiero wtedy. Nigdy nie słyszałeś o donosicielach?

Trzydziestego marca o dziesiątej rano furgonetka zatrzymała się przed domem Vincenza Cacciatore. A Cacciatore siedział już w swojej sypialni z kajdankami na rękach i był pod strażą Galla. Inni agenci wykręcili ręce kierowcy furgonetki i otworzyli tylne drzwi, a Mimě Augello wyszukał pudło

zaznaczone niebieską gwiazdką, wyjął z niego butelkę, otworzył ją, zaczepiając kapsel o krawędź drzwi, i wydłubał spod kapsla podkładkę. Między nią a kapslem nie było nic.

– Jak to nic? – powiedział Montalbano, pocąc się, czując, że ma już mokrą koszulę.

– Przysięgam, nic – powiedział Mimě. – Między kapslem a podkładką nie ma nic. Wiesz co, Salvo, furgonetka przyjechała o dziesiątej i...

– O dziesiątej? A teraz jest po dwunastej. Skąd dzwonisz?

– Z Montelusy. Z kwestury.

– Poszedłeś im donieść o naszych sprawach, kutasie złamany?!

– Daj mi skończyć. Ponieważ pod podkładką nie było nic, przyszedł mi do głowy pewien pomysł i popędziłem tutaj, do Jacomuzziego, żeby coś skontrolował. I wiesz co? Okrągła podkładka pod kapslem w tych butelkach wysyłanych do Cacciatore nie jest z plastiku. Jacomuzzi kazał swoim z sądówki zrobić naprędce analizę. Podkładki to narkotyki. Mamy do czynienia z procederem, który...

Montalbano odłożył słuchawkę. Nie chciał słyszeć nic więcej.

Referendum powszechne

Z samego rana, kiedy komisarz Montalbano jechał przez Vigrę do komisariatu, zauważył na chodniku dość dużą grupkę rozbawionych osób, które chyba komentowały jakieś obwieszczenie na ścianie kamienicy. Trochę dalej powtórzyło się to samo: ludzie skręcali się ze śmiechu przed niewielkim plakatem, chyba identycznym jak tamten. Komisarza to zaskoczyło, bo zazwyczaj nie było nic śmiesznego w publicznych ogłoszeniach. A te rozklejone na mieście wyglądały na typowe zawiadomienie publiczne, choćby o okresowym zamknięciu dostawy wody. Ponieważ taka sama scena powtórzyła się trochę dalej, uległ ciekawości, zatrzymał samochód, wysiadł i podszedł zapoznać się z treścią obwieszczenia. Był to arkusz samoprzylepnego papieru, format czterdzieści na czterdzieści centymetrów, a litery były także z tych samoprzylepnych, które nakleja się ręcznie jedną po drugiej. Przeczytał:

REFERENDUM POWSZECHNE CZY PANI BRIGUCCIO JEST K...?

(Każdy mieszkaniec Vigrę może wziąć udział w referendum, wyrażając pisemnie swój niezawisły sąd na tej wywieszce).

Montalbano nie znał pani Briguccio, a nawet nigdy o niej nie słyszał. Dlatego zaraz po przyjeździe do biura zasięgnął wiadomości o niej u naczelnego donżuana komisariatu.

– Mimě, znasz panią Briguccio?

– Eleonorę? Znam. A o co chodzi?

Augello najwidoczniej nie widział jeszcze rozlepionych plakatów.

– Nie wiesz nic o referendum powszechnym?

– O jakim referendum? – spytał zaskoczony Mimě.

– Ktoś rozlepił na mieście plakaty nawołujące do tego, żeby w referendum powszechnym rozstrzygnąć, czy pani Briguccio, dla ciebie Eleonora, jest „k...”, czy nie jest. To „k...” to oczywiście „kurwa”

– Robisz ze mnie wariata?

– Mylisz się. Jeżeli mi nie wierzysz, przejdź się na kawę do baru „Continua” bo w pobliżu baru wiszą chyba trzy takie plakaciki.

– Idę zobaczyć – oświadczył Augello.

– Poczekaj, Mimě. Skoro tę panią znasz, co byś miał do powiedzenia w referendum?

– Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę.

Ledwo Augello wyszedł, drzwi do gabinetu komisarza nagle się otworzyły, a raczej mocno huknęły w ścianę. Montalbano podskoczył w fotelu, wszedł Catarella.

– Przepraszam pana komisarza, panie komisarzu, ale wyrwały mi się z ręki i walnęły.

Jak zwykle. Komisarz bez żartów żywił podejrzenia, że pewnego dnia w którejś gazecie ukaże się tytuł: KOMISARZ SALVO MONTALBANO STRZELA DO SWEGO PODWŁADNEGO.

– Oj, kochany panie komisarzu! Pan burmistrz Tortorigi zatelefonował, bo wzywa o pomoc. Woła, że przed magistratem jest rewolucja!

Montalbano popędził na miejsce razem z Faziem.

Kiedy wysiedli z auta, zobaczyli, że jakiś pięćdziesięciolatek, któremu z

pewnością odebrało rozum i którego bezskutecznie próbowali powstrzymać przypadkowi przechodnie, kopie i tłucze pięściami w drzwi z napisem: GABINET BURMISTRZA.

– Znasz go? – spytał Montalbano Fazia.

– Znam go, a jakże. To pan Briguccio.

Montalbano podszedł do desperata.

– Niech się pan uspokoi, panie Briguccio.

– A co panu do tego? Kim pan jest?

– Nazywam się Montalbano. Jestem komisarzem policji.

– Kto pana tu wezwał? Burmistrz? Ten pieprzony wał, burmistrz?

– Sasa – powiedział jeden z zebranych – pan komisarz ma słuszość. Naprzód musisz się uspokoić.

– Chciałbym zobaczyć, jak ty byś śpiewał, gdyby ci publicznie ogłosili, że twoja żona jest kurwą!

– Sasa – ciągnął dalej ten sam – kto powiedział, że to „k...” musi koniecznie znaczyć „kurwa”?

– Tak się wykręcasz? A co to takiego to „k...”, według ciebie?

– Czy ja wiem? Może „kokietka”?

– Albo „kusicielka” bo czemu nie? – wtrącił się przymilnie ktoś inny.

Obie te supozycje jeszcze bardziej rozdrażniły, i słusznie, pana Briguccio, który już wyrwał się tym, co go przytrzymywali, i znowu atakował z całej siły drzwi.

– Zabierz go stąd – nakazał Montalbano Faziowi.

I Fazio z pomocą usłużnych ochotników zaciągnął pana Briguccio do jakiegoś pokoju obok. A komisarz, kiedy już się uciszyło, spokojnie zapukał do gabinetu burmistrza.

– To ja, Montalbano.

– Chwileczkę.

Zazgrzytał klucz, drzwi się otworzyły. Razem z burmistrzem Tortoricim w gabinecie znajdował się jakiś mężczyzna, gruby i łysy sześćdziesięciolatek, który uklonił się komisarzowi.

– Wiceburmistrz Guarnotta – przedstawił go Tortorici.

– O co chodzi panu Briguccio? Czego chce od pana, panie burmistrzu?

Burmistrz, także sześćdziesięciolatek, szczupły, a nawet chudy, z dziwnie zakręconymi wąsami, rozłożył bezradnie ręce.

– Panie komisarzu! To długa historia, która ciągnie się już trzydzieści lat. Briguccio, ja i obecny tutaj doktor Guarnotta byliśmy członkami naszej starej, chwalebnej partii, która zapewniała moralność naszemu krajowi. Potem stało się, co się stało, a teraz wszyscy trzej znaleźliśmy się w partii odnowionej. Jednak na skutek nieszczęsnych rozgrywek między różnymi odmiennymi frakcjami zarówno ja, jak i doktor Guarnotta żywiliśmy zawsze pewne przekonania, których nie podzielał Brigucci. Sam pan rozumie, panie komisarzu, kiedy De Gasperi...

Montalbano nie miał ochoty wdawać się w dywagacje polityczne.

– Przepraszam, panie burmistrzu, ale wróć do mojego pytania: co ma panu za złe pan Briguccio?

– No cóż... odpowiem panu jak najzwięźlejš. Temu, że został publicznie nazwany rogaczem, bo przecież do tego sprowadza się pytanie tego smutnego referendum, chce nadać wydzwięk polityczny. Twierdzi, inaczej mówiąc, że to my, ja i doktor Guarnotta, jesteśmy podżegaczami ukrywającymi się za tym plakacikiem.

A wymieniony doktor Guarnotta lekko się przy tym komisarzowi skłonił.

– Ale czego Briguccio domaga się od pana? Niezależnie od faktu, że chce

się wyładować.

– Żąda, żebym te plakaty usunął.

– A to już ma zapewnione – wtrącił się doktor Guarnotta. – Oświadczyliśmy mu, że naturalnie dopełnimy tego obowiązku, nawet bez jego, by tak rzec, natarczywej interwencji, ponieważ nikt nie uiścił opłaty skarbowej należnej za wywieszenie plakatów.

– A zatem?

– Niełatwo jednak wyjaśnić panu Briguccio, na czym polega trudność. Bo nasze wyjaśnienia tylko go wyprowadziły z równowagi.

– A na czym polega trudność?

– Mamy obecnie na etacie tylko ośmiu strażników miejskich. Wszyscy są bardzo zajęci wypełnianiem swoich rutynowych obowiązków. Zagwarantowaliśmy jednak panu Briguccio, że najdalej w ciągu tygodnia plakaty zostaną usunięte. Po czym on, bez żadnego rozsądnego uzasadnienia, obsypał nas wyzwiskami.

Niezwykle wyrafinowani politycy, stara wysłużona gwardia, niezawodna szkoła, tyleż ten burmistrz, co i jego zastępca.

– Krótko mówiąc, panie burmistrzu, chce pan złożyć na moje ręce doniesienie o dokonanej na pana napaści?

Guarnotta i Tortorici popatrzyli na siebie pytająco. Umieli rozmawiać ze sobą bez słów.

– W żadnym razie – zadeklarował: wielkodusznie Tortorici.

– Policzyłem wszystkie plakaty – powiedział Augello. – Doliczyłem się dwudziestu pięciu. Niewiele, wszystkie są zrobione ręcznie. I tego wystarczyło, żeby wywołać ten koniec świata. W mieście nie mówi się o niczym innym. Rozniosło się też, że Briguccio napadł na Tortoriciego i

Guarnotte.

– Pojawily się już odpowiedzi na sławetne referendum?

– I to ile! Same jednomyślne. Bezwzględna większość, jak pod rządami dyktatury. Wszyscy napisali: tak! Biedna Eleonora jest w powszechnym przekonaniu po prostu kurwą.

– A jest?

Mimě zawahał się; odpowiedział dopiero po chwili.

– Trzeba pamiętać, że między Eleonorą a Saveriem Briguccio jest wielka różnica wieku. Eleonora dobiega do trzydziestki, jest elegancka, ładna, inteligentna. On ma pięćdziesiątkę i jest rudy, no, ale dobrze radzi sobie w handlu. Wszystko ich różni: gust, wykształcenie, sposób bycia. A na dodatek, jak plotkują na mieście, proch strzelniczy Briguccia zwietrzył czy zamókł, bo istotnie nie mają dzieci.

– Minii, chyba wyliczasz mi przyczyny i okoliczności, które zmusiły panią Brigucci do przyprawiania mężowi rogów.

– Salvo, jakbyś zgadł. W jakimś sensie tak właśnie jest.

– Więc pani Briguccio nie jest kurwą, tylko kobietą, która mając męża, uznajmy, impotentą, musi się jakoś pocieszać...

– Przyznaję, że sprawa tak właśnie wygląda.

– Ile to już razy się pocieszała?

– Nie zliczałem.

– Mimě, nie graj przede mną dżentelmena.

– No to ci powiem: wiele razy.

– Także z tobą?

– Tego ci nie powiem, choćbyś mnie torturował.

– Mimě, wiesz, jak dzisiaj nazywają taką postawę jak twoja? Milczące

potwierdzenie, gdybyś chciał wiedzieć.

– Pieprzę takie nazwy, komisarzu.

– Posłuchaj, Mimě. Mąż wie o tym wszystkim?

– Że Eleonora go zdradza? Wie, wie.

– I nic się tym nie przejmuje?

– Biedak, żal mi go. Jakoś to znosi, a przynajmniej znosił, skoro doskonale wiedział, że nie jest w stanie, tak to możemy ująć, zadowolić aspiracji i pragnień Eleonory, która, tak to możemy ująć...

– Mimě, my tego nie musimy ujmować, my sobie powiedzmy, jak jest. Briguccio to cierpliwy rogacz.

– I właśnie to mnie niepokoi. Dopóki wszystko działo się bez rozgłosu, mógł udawać, że nic się nie dzieje. Że to tylko pomówienia, złośliwości. Ale teraz zmusili go, żeby jakoś się zachował. A nigdy nie wiadomo, jak zachowa się cierpliwy rogacz, jak go nazywasz, kiedy przebiera się miara i zmuszają go, by stracił cierpliwość.

– Sądzisz, że to był rozmyślny manewr polityczny uknuty przez jego przeciwników?

– Możliwe. Ale również nie wykluczam tu zemsty jakiegoś kochanka, którego pani Briguccio odtrąciła. Widzisz, Salvo, Eleonora unika porywów uczuciowych wlokących się bez końca. Jest na swój sposób związana z mężem i wierna mu w uczuciach. Otóż i to możliwe, że ktoś nie zrozumiał tych, by tak się wyrazić, ograniczonych intencji Eleonory i zapamiętał się w marzeniach o płomiennej miłości i dozgonnym związku.

– Wspaniale to wywodzisz, Mimě, pani Eleonora jest z gatunku tych, co lubią rzeczy jednorazowego użytku.

– Salvo, jak chcesz, potrafisz być wstrząsająco ordynarny. Ale muszę przyznać, że z grubsza właśnie tak to wygląda.

– Dobrze – powiedział Montalbano. – W takim razie porozmawiajmy teraz poważnie. To referendum o pani Briguccio wygląda tylko na lokalną farsę.

Rzeczywiście była to farsa. Ale trwała już tydzień. Kiedy pozrywano plakaty i zdawało się, że wszyscy o wszystkim zapomnieli, farsa się przepoczwarzyła i stała się tragikomedią.

– Czy ja rozmawiam osobiście z osobą pana komisarza Montalbano?

Ranek tego dnia nie zapowiadał wiele dobrego. Wiał wiatr tramontana i nie oszczędzał nerwów komisarza, który w dodatku wieczorem pokłócił się przez telefon z Livią.

– Catarč, nie zawracaj mi dupy. O co ci chodzi?

– Chodzi o to, że pan Briguccio wystrzelił.

Boże święty, cierpliwy rogacz otrząsnął się i na coś się zdobył. Tak jak przewidział Augello.

– Do kogo strzelił, Catarč?

– Do takiego, co go sobie zapisałem. Mam to na kartce, panie komisarzu, nazywa się Manifo Carlo.

– I zabił go?

– Nie zabił, panie komisarzu. Chwała Bogu potrząsała mu się ręka, to go wycelował w kość łódkowatą.

Kość łódkowata? Nie umiał sobie na zawołanie przypomnieć znaczenia lokalnych terminów anatomicznych.

– A gdzie jest ta kość łódkowata?

– Kość łódkowata, panie komisarzu, jest naprawdę tam, gdzie musi się znajdować kość łódkowata.

Zasłużył sobie na taką odpowiedź. Po co zadaje tego rodzaju pytania Catarelli?

– Poważnie go zranił?

– Nie, panie komisarzu. Tylko tak, że wicekomisarz Augello kazał go powieźć do szpitala w Montelusie.

– A skąd o tym wiesz?

– Wiem dlatego, że pan Briguccio, jak już sobie wystrzelił, nadszedł do komisariatu i poddał się. I z tego powodu dowiedzieliśmy się o zaszłej sprawie.

W komisariacie czekał na Montalbana wiceburmistrz Guarnotta. Wszedł do gabinetu komisarza, kłaniając mu się bez ustanku, jakby był Japończykiem.

– Poczujęm nieodparty obowiązek stawić się u pana w roli świadka, kiedy dotarła do mnie wiadomość o tym smutnym ekscesie naszego przyjaciela Briguccia.

– Wie pan, jak do tego doszło?

– Nie, nic o niczym nie wiem. Znam tylko plotki, które krążą na mieście.

– Jakim świadkiem chce pan być wobec tego? Świadkiem czego?

– Tego, że ja osobiście nie mam z tym absolutnie nic wspólnego.

A ponieważ Montalbano umilkł i tylko pytająco popatrzył na niego, Guarnotta uznał za nieodzowne sprecyzować:

– Pan, panie komisarzu, był obecny przy tym wstydlwym wybryku, jaki miał miejsce w urzędzie miejskim i jaki w całości obarcza winą naszego przyjaciela Briguccia. Zależy mi na tym, żeby pan nie uwierzył w nierozumne insynuacje drogiego Briguccia wypowiedane bezspornie w stanie zrozumiałego napięcia.

Montalbano bez słowa patrzył wymownie na wiceburmistrza.

– Rzecz nosi nazwę usiłowania zabójstwa, chyba się nie mylę? – stwierdził

pogodnie Guarnotta.

Chciał załatwić przyjaciela Briguccia najlepiej, jak potrafi.

– Dziękuję za pomoc, wezmę pod uwagę pańskie deklaracje – powiedział Montalbano. Ale nie mógł sobie odmówić szczypty złośliwości: – Pan oczywiście mówi tylko w imieniu własnym?

– Nie rozumiem – odpowiedział Guarnotta, najeżywszy się w obronie.

– To nietrudne do zrozumienia. Ponieważ oskarżenia pana Briguccio dotyczyły głównie burmistrza, chciałbym wiedzieć, czy mówi pan również w jego imieniu.

Wahanie Guarnotty trwało tylko chwilę. Ale skoro już się tu znalazł i wyczuł okazję, dlaczego nie miałby zaszkodzić również przyjacielowi Tortoricemu?

– Panie komisarzu, oczywiście wolno mi mówić tylko w imieniu własnym. Któż bowiem zna głębokie racje nawet osoby bardzo mu drogiej? Dusza ludzka jest przecież niezgłębiona.

Wstał, ukłonił się szybko, co najmniej dwa, trzy razy, i już miał wyjść, ale Montalbano jeszcze go zatrzymał.

– Przepraszam, panie Guarnotta, wie pan, gdzie został ranny Manifo?

– W kostkę.

Komisarz uśmiechnął się wylewnie, czym prawdziwie Guarnottę zdumiał. Nie rozweseliło go naturalnie to zranienie, ucieszył się, że wreszcie się dowiedział, gdzie znajduje się kość łódkowata.

– Mimě, co myślisz o tej hecy? Mało brakowało, a skończyłoby się tragedią.

– Cóż ci powiedzieć, Salvo? Mam dwie hipotezy, które może pokrywają się z twoimi. Albo jakiś kretyn, chcąc się zemścić na Eleonorze, sporządził i

porozklejał na mieście te plakaty, nie zdając sobie sprawy, że może to mieć poważne konsekwencje, albo jest to akcja starannie przemyślana, w której chodziło o to, żeby Brigucciowi puściły nerwy.

– Mimě, czy Briguccio jest osobą, która w naszym mieście coś znaczy?

– No, trochę znaczy. To on z zasady blokuje wszystkie inicjatywy burmistrza. I za każdym razem udaje mu się zebrać trochę popleczników. Wiesz, co mam na myśli?

– Doskonale. Burmistrz i jego pretorianie muszą w każdej kwestii najpierw pertraktować z Brigucciem. Powiesz mi jeszcze coś o tej pani Eleonorze?

– A co chcesz wiedzieć?

– Coś więcej o tej twojej pierwszej hipotezie, o tej z porzuconym kochankiem. Z kim ta pani zadawała się w ostatnich czasach?

– Dlaczego wyrażasz się o niej „ta pani”?

– Przecież jest panią, prawda?

– Salvo, ty wymawiasz „ta pani” w wiadomy sposób... jakbyś mówił „ta kurwa”!

– Nigdy bym sobie na coś takiego nie pozwolił. Powiedz mi jednak, jak wyglądają jej miłostki.

– Nie wiem, jak to jest z tym ostatnio. Ale jednej rzeczy jestem pewien, dałbym sobie za to głowę uciąć: Briguccio strzelał nie do tego celu, co trzeba.

Montalbano, który do tej pory raczej żartował, teraz cały zamienił się w słuch.

– Powiedz mi to tak, żebym coś z tego zrozumiał.

– Bardzo dobrze znam Carla Manifo. Jest żonaty, nie mają dzieci. Ale jest zakochany w swojej żonie, nie mówiąc o tym, że nie jest porywczym kogucikiem. Trochę się na tych rzeczach znam i dlatego nie sądzę, żeby Manifo miał jakąś historię z Eleonorą.

- Ale się znają?
- Nie mogą się nie znać, nawet gdyby chcieli. Obie ich rodziny mieszkają w tej samej kamienicy na tym samym piętrze.
- Czym Manifo się zajmuje?
- Uczy w liceum włoskiego. Ale jest przy tym naukowcem, nawet za granicą znają i cenią jego prace. Więcej nie umiem ci powiedzieć.
- Briguccio przesłuchiwał już prokurator. I czego się dowiedział?
- Briguccio mówi, że Manifo zalecał się do Eleonory. A ponieważ nie chciała o nim słyszeć, zemścił się, obrzucając ją błotem.
- I to od niej, od żony, słyszał o tych zalotach?
- Nie, Briguccio twierdzi, że nie dowiedział się o tej historii od Eleonory, tylko sam się wszystkiego domyślił. Upiera się, że ma dowody na to, co mówi.

- Nie, panie komisarzu, bardzo mi przykro, ale nie może pan porozmawiać z pacjentem – oświadczył nieustępliwie profesor Di Stefano w szpitalu w Montelusie.
- Dlaczego, panie doktorze?
- Dlatego, że jak dotąd nie mogliśmy go poddać operacji. Pan Manifo nie tylko został zraniony, ale także doznał bardzo silnego szoku. Ma wysoką gorączkę i majaczy.
- Chciałbym go przynajmniej zobaczyć.
- To możliwe. Tylko po co? Chce pan usłyszeć, o czym bredzi w swoich majaczeniach?
- No cóż, w majaczeniach czasami ludzie mówią rzeczy, które...
- Panie komisarzu, profesor Manifo monotonicznie powtarza ciągle to samo.
- Co takiego? Mogę wiedzieć?

– Oczywiście. Powtarza tylko jakieś liczby.

– Liczby?

– Tak. 39.18.19, mógłby pan te cyfry skreślić w totolotku, a nuż wygrają.

– Na pierwszy rzut oka wygląda to na numer telefonu – stwierdził Augello.

– Tak, Mimě. Jednak profesor nie dodaje do nich numeru kierunkowego, więc możemy sobie ten telefon wsadzić wiesz gdzie. Kazałem sprawdzić wszystkie takie numery w naszej prowincji. Nic z tego nie wyszło. Chciałbym jeszcze porozmawiać z panią Manifo.

– Czemu cię ta sprawa tak wciągnęła? Tu już wszystko jest jasne, nie sądzisz?

– Bynajmniej, Mimě. A ty nie możesz wodzić mnie za nos.

– Co ja tu mam do rzeczy?

– Trochę masz. Przecież mi powiedziałaś, że twoim zdaniem Manifo nie był kochankiem Eleonory. I może masz rację. Ale w takim razie dlaczego Briguccio do niego strzelił?

– Mam rację na pewno. Jednak z panią Manifo nie rozmawiasz, bo nie ma jej w Vigście. To Amerykanka, pojechała odwiedzić rodziców w Denver. Dowiedziała się o zdarzeniach dopiero parę godzin temu. Wraca do domu pojutrze. Ale po co ci ona, co chcesz od niej usłyszeć?

– Chcę zajrzeć do kalendarza jej męża. Może tam znajdziemy ten numer telefonu, o który nam chodzi, i dowiemy się, do kogo należy.

– Dobry pomysł. Jednak skoro pani Manifo nie ma w Vigście...

– ...zrobimy tak, jakby była – wszedł mu w słowo Montalbano.

– Matko Boska Przenajświętsza, aleśmy się tu wszyscy wystraszyli, kiedy usłyszeliśmy huk z rewolweru – powiedziała portierka, kiedy otwierała drzwi

do mieszkania państwa Manifo. – Zawsze mi zostawiają klucze, bo u nich sprzątam.

– A pani Briguccio jest w domu? – spytał Augello, wskazując ręką mieszkanie obok.

– Nie ma jej, proszę pana. Teraz mieszka u swojego ojca w Montelusie.

– Dziękuję pani, może nas pani tu zostawić – powiedział Montalbano.

Mieszkanie było duże, największy pokój został przeznaczony na gabinet profesora. Był właściwie wielką biblioteką, ze stołem pośrodku zarzuconym papierami. Kiedy Mimě przeglądał biurko, szukając kalendarza, Montalbano rozglądał się po półkach z książkami. Na jednej ścianie stały starannie posegregowane tomy z historii literatury włoskiej, encyklopedia i eseje krytyczne. Była też osobna półka z tymi pismami literackimi, w których zamieszczono szkice Manifo, głównie studia o Dantem i jego związkach z kulturą arabską. Inna ścianę zajmował regał wypełniony studiami biblijnymi profesora Manifo, bo te kwestie interesowały go szczególnie. Świadczyły o tym jego niezliczone publikacje na ten temat. Jedna z broszur bardziej zainteresowała Montalbana. Nosiła tytuł *Egzegeza Księgi Rodzaju*. Komisarz już wziął ją do ręki i chciał przejrzeć, kiedy go od tego oderwał głos Augella.

– Możemy sobie szukać do rana.

– O co ci chodzi?

– O to, że już przejrzałem dwa kalendarze stare i ten tegoroczny, ale numeru telefonu 39.18.19 jak na złość nie ma.

Zamknęli drzwi, oddali klucz portierce.

Montalbano doznał Objawienia (takiego, jakim Objawienie powinno być, takiego od dużej litery) o pierwszej w nocy, w swoim domu w Marinelli, kiedy siedział w slipach, ziewał i gnębiony bezsennością przeskakiwał

bezmyślnie z jednego kanału telewizyjnego na drugi. Nie wiadomo dlaczego miał słabość do programów, których rozsądna osoba unikałaby jak ognia: sprzedawano w nich meble, skomplikowane przyrządy gimnastyczne i tandetne obrazy. Tej nocy w takim właśnie programie jego wzrok zatrzymał się na parze James i Jane, pastorach jakiejś nieokreślonej sekty w stylu amerykańskim. Ta para wyjaśniała, w jak wielkim stopniu nadzieja na zbawienie jest zależna od posiadania zawsze pod ręką Biblii i zasięgania w niej rady przy każdej okazji. Rozbawiła komisarza Jane w obcisłej sukience, przypominająca Marilyn, tyle że czwartej kategorii, ale także James, z bródką, płomiennym wzrokiem i drogim roleksem na ręce. Już miał przerzucić kanał, kiedy James powiedział:

– Drodzy przyjaciele, weźcie teraz Biblię do ręki. Księga Powtórzonego Prawa: 20.19.20.

Te słowa były jak wstrząs elektryczny: postawiły go na nogi. Jakim tępym kutasem się okazał! Zaczął szukać po całym domu Biblii, ale jej nie znalazł. Popatrzył na zegarek, była pierwsza w nocy, Augello z pewnością jeszcze nie spał.

– Mimě, wybacz. Masz Biblię?

– Salvo, czemu nie próbujesz się leczyć?

Rzucił słuchawkę. Chwilę się zastanawiał i wybrał inny numer.

– Tu hotel „Belvedere” słucham.

– Tu komisarz Montalbano.

– W czym mogę pomóc, panie komisarzu?

– Chciałem o coś spytać, przepraszam. Chyba macie w waszym hotelu zwyczaj umieszczania Biblii w każdym pokoju?

– To prawda, tak robiliśmy.

– Ale już nie robicie?

- Nie robimy.
- Chyba Biblię jeszcze w hotelu macie?
- Ile tylko pan potrzebuje.
- Za pół godziny jestem u was.

Usiadł w fotelu z Biblią w ręku i zaczął się zastanawiać. Nie ma sensu czytać całej, poszedłby na to tydzień. Postanowił zacząć od początku, od Księgi Rodzaju. Zresztą Manifo napisał studium właśnie na temat tej Księgi. Zajrzał do rozdziału trzydziestego dziewiątego, była w nim mowa o synach Jakuba, głównie o Józefie. Wersy osiemnasty i dziewiętnasty przedstawiały perypetie, jakie przeżył biedny młodzieniec nękanym przez żonę Putyfara.

Józef, który „miał piękną postać” jak określała to Biblia, został „osobistym sługą” w domu Putyfara, dowódcy straży przybocznej faraona. Umiał zaskarbić sobie zaufanie i względy swego pana, tak że ten mianował go zarządcą swego domu i majątku. Ale żona Putyfara zwróciła na Józefa uwagę i prosiła go o przysługę: miał „położyć się przy niej, aby z nią żyć” Chociaż nakłaniała go do tego codziennie, on, jak twierdzi Biblia, nigdy jej namowom nie uległ. Pewnego dnia żona Putyfara straciła jednak głowę i chwyciła go za płaszcz, powtarzając, by położył się z nią. Biedny Józef zdołał się jej wyrwać, ale płaszcz został w jej ręku. A ona, chcąc się zemścić, rozgłosiła, że Józef „chciał z nią swawolić” i dopiero gdy zaczęła krzyczeć, zostawił u niej swój płaszcz i uciekł. Skończyło się to tym, że Putyfar osadził Józefa w więzieniu.

Nic tu nie miały do rzeczy liczby! Profesor Manifo w swoich majaczeniach widział siebie w sytuacji biblijnego Józefa i dawał do zrozumienia, jak przebiegały wydarzenia: to on był ofiarą, a nie pani Briguccio. Gdyby jednak nawet wziąć za dobrą monetę sugestywne majaczenia profesora, wielu spraw i tak nie dałoby się wytłumaczyć. Powiedzmy, że profesor daje do

zrozumienia, że znalazł się sam na sam z Eleonorą w jej mieszkaniu, gdzie ona nakłaniała go, „aby położył się z nią” by to powtórzyć za Biblią. Udało mu się wymknąć, ale zostawił w rękach Eleonory coś wyraźnie osobistego i to przekonało pana Briguccio, że rzeczywiście zabierał się do zgwałcenia jego żony (tak to pewnie przedstawiała mu żona, chcąc się zemścić za odmowę). Więc nawet gdyby założyć taką hipotezę, trudno z nią połączyć dalsze wydarzenia. Kto zrobił i rozkleił na mieście plakaty? Profesor Manifo? Żeby jakoś zemścić się ze swej strony? To nonsens! Komisarz nie umiał sobie poradzić z tymi pytaniami, głowę miał już ciężką – i poszedł spać.

Rano, ledwo wstał, pojawiły mu się w głowie myśli świeże jak źródłana woda. Sięgnął po telefon.

– Mimě? Tu Montalbano. Musisz się zaraz wybrać, może z którymś z naszych, do mieszkania Manifów. Wcześniej jednak spytaj portierkę, czy pani Briguccio prosiła ją ostatnio o klucze do ich mieszkania, kiedy profesora Manifo nie było w domu.

– Dobra, idę. I co mam tam robić?

– Coś w rodzaju rewizji. Musisz zdjąć książki z najniższych półek w gabinecie i sprawdzić, czy przypadkiem za nimi czegoś nie ma.

– Miałem kolegę, który trzymał za książkami whisky, kiedy żona zakazała mu pić. A co mam zrobić, jeśli coś znajdę?

– Przywieziesz mi to do komisariatu. I jeszcze jedno, dowiedziałeś się, kto był ostatnim amantem Eleonory albo ostatnim zakochanym w niej?

– Tak, coś już o tym wiem.

– No to do zobaczenia.

– Znaleźliśmy to – powiedział przygnębiony Mimě, wyciągając z kieszeni czerwone kobiece majtki, delikatne, eleganckie, ale podarte. Montalbano

przyjrzał się im z bliska: miały wyhaftowany monogram E.B., Eleonora Briguccio.

– Dlaczego Manifo te jej majtki schował? – spytał Augello.

– Nie, Mimě, nic takiego. To nie Manifo wrzucił je za książki, tylko Eleonora Briguccio, żeby je w odpowiedniej chwili stamtąd wy dostać. A spytałeś portierkę, o co miałaś spytać?

– Spytałem. Dwa dni wcześniej, zanim Briguccio strzelił do profesora Manifo, Eleonora poprosiła o klucze do jego mieszkania, bo rzekomo coś u nich zapomniała. Zrozum, Salvo, często się odwiedzali, portierka nie widziała w tym nic dziwnego, że Eleonora prosi ją o klucze, które zresztą po dziesięciu minutach dostała z powrotem.

– No a to, z kim Eleonora...

– Posłuchaj, Salvo, bo to niesłychane. Mówią, że Eleonora zawróciła w głowie chłopcu, który nie ma jeszcze osiemnastu lat, synowi adwokata Petruzzello, który...

– To mnie nie obchodzi. Chłopcem sam się zajmiesz. A teraz posłuchaj mnie uważnie i namyśl się, zanim mi odpowiesz. Czy raczej odpowiedz mi dopiero, kiedy już wszystko usłyszysz. Więc było tak. Tym razem inaczej, niż działo się to zazwyczaj, Eleonora Briguccio zakochuje się nieprzytomnie w swoim sąsiedzie i przyjacielu domu, profesorze Manifo. I daje mu to w różny sposób do zrozumienia. Ale profesor udaje, że niczego nie dostrzega. Trwa to jakiś czas. Ona coraz bardziej się zapamiętuje, a on coraz energiczniej się jej opiera. Wreszcie żona Manifo wyjeżdża do Denver. A wtedy, ledwo mąż wychodzi z domu, ona, Eleonora, czy to w dzień, czy w nocy, puka do drzwi sąsiada, nakłania go, żeby otworzył, i powtarza mu to, co już tyle razy słyszał. Pewnego razu jego odmowa musiała być jednak tak upokarzająca, że Eleonora uznała to za niewybaczalną obrazę. Postanawia się zemścić. Ma genialny plan. Namawia chłopca, który jest w niej zakochany,

żeby przygotował plakaty o referendum i je porozklejał. Chłopiec oczywiście spełnia wszystko, czego żąda uwielbiana. A pan Briguccio tak długo umiał być cierpliwym rogiaczem, jak długo nie doszło do publicznego skandalu. Teraz musi zareagować, zwłaszcza że całe miasto z niego kpi. Natomiast Eleonora, kiedy już wzbudziła w mężu należną porcję złości, przechodzi do drugiego punktu swego programu. Ukrywa majtki, wcześniej je rozdierając, w bibliotece profesora i wyznaje mężowi, że Manifo zwabił ją do swego mieszkania i chciał zgwałcić. Uniknęła tego w ostatniej chwili, kiedy praktycznie była już całkiem goła. Manifo zemścił się za to na niej, zamawiając wiadome plakaty. Brigucciemu nie pozostaje nic innego, tylko strzelić do Manifo, a ponieważ jest człowiekiem rozważnym, strzelając, celuje w kość łódkowatą.

– Coś w tej sprawie z majtkami mnie nie przekonuje – powiedział Augello.

– Eleonora znalazłaby sposób, żeby to wyszło na jaw dopiero na procesie. Tam, gdzie je schowała, mogły leżeć całe lata. Nikt nie odkurza książek częściej niż raz do roku, około Wielkiej Nocy.

– Dlaczego tak cię ciekawił ten chłopiec?

– Bo był mi potrzebny do tego, żeby było tak, jak sobie wyobraziłem. Takiego Eleonora mogła z łatwością namówić, żeby zrobił to, o co go prosiła. Dorosły pewnie by jej nie posłuchał. Dlatego musisz, poczynając od dziś, dobrze tego chłopca przyciskać, a on w końcu wszystko ci wyśpiewa. Jeśli chcesz, opowiedz o tej sprawie ojcu, chyba ci pomoże. Ja nią już nie chcę się zajmować.

– Miałeś mnie jeszcze o coś zapytać, o co?

– Już pytam. Po tym wszystkim, co ci zasugerowałem, myślisz, że Eleonora Brigucci jest kobieta zdolną do czegoś takiego? Mogła uknuć taką przemyślną zemstę i jednego mężczyznę posłać do szpitala (a przecież nie wiedziała, czy nie wysłała go na cmentarz), a drugiego, własnego męża, do

więzienia? Za tę zemstę, zastanów się, musiała zapłacić wysoką cenę, bo została zmieszana z błotem w oczach całego miasta. Czy to możliwe, żeby kobieta tak przewrotnie posłużyła się swoją trzeźwo myślącą głową?

– Tak, to możliwe – odpowiedział smutno Mimě Augello.

Montalbano odmawia

Ta noc pod koniec września była dokładnie taka jak tamta, którą przeżył kiedyś w radosnym uniesieniu Giacomo Leopardi: łagodna, jasna i bezwietrzna. Komisarz Montalbano jechał samochodem bardzo wolno, ciesząc się rześkim chłodem. Wracał do domu, do Marinelli. Zmęczenie oblepiało go jak brudne ubranie, cały był spocony, ale wiedział, że za chwilę się rozbierze, wejdzie pod prysznic i zmieni bieliznę. Sterczał w komisariacie od samego rana, od ósmej, a teraz dochodziła północ.

Przez cały dzień próbował skłonić do złożenia zeznań starego wieśniaka, który porwał i zgwałcił dziewięcioletnią dziewczynkę, i niewiele brakowało, a byłby ją na koniec zamordował, bo rozbił jej kamieniem głowę. Dziecko leżało nieprzytomne w szpitalu w Montelusie i nie można było liczyć na to, że rozpozna swego prześladowcę. Po kilku godzinach przesłuchania komisarz zaczął wątpić, czy ten chłop, którego ujęli, jest rzeczywiście winowajcą. Nie można było do niego dotrzeć, tak mocno opancerzył się wrogością. Komisarz próbował podstępów, zastraszania, blefu, podchwytliwych pytań, ale chłop był nieugięty i ciągle odpowiadał tak samo:

– To nie ja, nie macie dowodów.

Oczywiście o dowody nie byłoby trudno, gdyby się zbadało DNA jego spermy. Ale trzeba by za dużo czasu i za dużo zachodu, żeby wykazać, że kłamstwo ma krótkie nogi.

Gdzieś około piątej po południu Montalbano wyczerpał cały swój policyjny arsenał i poczuł się jak gadający manekin. Poprosił Fazia, żeby go zastąpił, a sam poszedł do toalety, rozebrał się do naga, umył od stóp do głów

i ubrał z powrotem. Kiedy wszedł do pokoju kontynuować przesłuchanie, usłyszał, że stary powtarza:

– Tho ne ja, ne mhacie dofodhów.

Nagle mówi jak cudzoziemiec? Popatrzył na aresztowanego; z ust sączyła mu się krew, jedno oko miał obrzękłe i przymknięte.

– Co się stało?

– Nic, panie komisarzu – odpowiedział Fazio z niewinną, anielską twarzą; brakowało mu tylko aureoli. – On nagle zemdłał. Uderzył głową o krawędź stołu. Pewnie wybił sobie ząb, nic poza tym. Nic wielkiego się nie stało.

Stary nie otworzył ust, a komisarz zaczął od nowa bombardować go pytaniami. Była już dziesiąta wieczór, jeszcze nic nie jadł, nawet kanapki z baru, ale na szczęście pojawił się w komisariacie Mimě Augello, świeży jak poranek. Montalbano przekazał mu przesłuchanie i popędził do gospody „San Calogero” Był tak wyczerpany i głodny, że po każdym kroku nie był pewien, czy za chwilę nie padnie na ziemię jak zajeżdżony koń. Usiadł, zamówił przystawkę z ośmiorniczek i z góry cieszył się jej smakiem, kiedy nagle wpadł do gospody Gallo.

– Panie komisarzu, musi pan wrócić, stary chce mówić. Zmienił front i przyznaje się, mówi, że to on rozbił małej głowę, a wcześniej ją zgwałcił.

– Skąd taka zmiana?

– Tak jakoś. Doktor Augello umiał go przekonać.

Montalbano spochmurniał, i to wcale nie dlatego, że nie zdążył tknąć ośmiorniczek. Jak to możliwe? Cały dzień wypruwał z siebie żyły przy tym starym łajdaku i wszystko szło psu pod ogon, a Mimě wszedł i w mgnieniu oka poradził sobie z nim?

Po powrocie do komisariatu, zanim wszedł do pokoju przesłuchań, wezwał do siebie wicekomisarza.

– Coś ty zrobił, że ci się udało?

– Uwierz, Salvo, to przez czysty przypadek. Jak ci wiadomo, golę się brzytwą. Złości mnie maszynka elektryczna, nie biorę jej do ręki. Może mam jakiś szczególny włos, nie umiałbym ci powiedzieć, dlaczego.

– Mimě, nic mnie nie obchodzi twój włos, zostaw to na lepsze czasy. Chcę wiedzieć, jak go zmusiłeś do zeznań.

– Tak się złożyło, że dzisiaj kupiłem sobie nową brzytwę. I miałem ją w kieszeni. Nic więcej. Zacząłem przesłuchiwać starego, a ten po chwili mówi mi, że musi iść za swoją potrzebą. Poszedłem do toalety razem z nim.

– Po co?

– Marnie się trzymał na nogach. Krótko mówiąc, kiedy on wyjął swój instrument z rozporoka, ja wyjąłem z kieszeni brzytwę. No i trochę go zaciąłem.

Montalbano popatrzył na Augella zdumiony.

– Gdzie go zaciąłeś?

– A gdzie mogłem go zaciąć? Domyśl się. Odrobinę, ledwo go dotknąłem. Z tym, że trochę krwi pociekło, ale... słowem, drobiazg...

– Mimě, chyba zwariowałeś?

Augello uśmiechnął się i popatrzył na komisarza z wyższością.

– Salvo, ty nie zrozumiałeś jednej rzeczy. Albo stary zacząłby mówić, albo by dalej milczał. A gdyby milczał, to nie wyszedłby stąd żywy, nasi by na to nie pozwolili. Więc ja tylko rozwiązałem ten kłopotliwy problem. Wystraszył się, pewnie pomyślał, że gotów jestem poderżnąć mu gardło.

Montalbano przyrzekł sobie, że następnego dnia zaraz z rana rozmówi się poważnie z Mimě i wszystkimi swoimi agentami. Nie mógł się pogodzić z tym, jak potraktowali starego. Zostawił gwałciciela mordercę w rękach Augella, który już nie musiał wyjmować z kieszeni brzytwy, i poszedł do

gospody. Przystawka wróciła na stół i ujęła mu połowę przykrych myśli. Drugą połowę wyeliminowały barweny w ostrym sosie.

Kiedy wyszedł z gospody, na ulicy było ciemno jak nigdy. Może ktoś porozbijał lampy, może tylko spaliły się żarówki. Zrobił parę kroków i oczy przywykły do ciemności. Pod bramą jednej kamienicy stał jakiś typ i załatwiał się. Ale nie na ścianę, tylko do ogromnego kartonowego pudła. Montalbano podszedł bliżej i zorientował się, że tamten załatwia się na jakiegoś nieszczęśnika, który leży skulony w pudle, ale nie odzywa się, całkiem nie reaguje, bo jest kompletnie pijany.

– Jak to tak? – spytał komisarz, przystając.

– Dziwisz się, chuju? – odpowiedział tamten, zaciągając zamek w rozporoku.

– Przyszła ci ochota odlać się na człowieka?

– Na człowieka? Takie bydlę masz za człowieka? W tył zwrot i wypierdalaj, bo i na twoją zasraną gębę potrafię się odlać.

– No to nic mi do tego. Rób swoje, dobranoc – powiedział zgodnie komisarz.

Odwrócił się, zrobił pół kroku, a potem błyskawicznie raz jeszcze się odwrócił i zdzielił tamtego potężnie pięścią w dołek. Tamten zwał się do pudła na pijaka i nie mógł złapać oddechu. Paskudny dzień miał takie zakończenie, na jakie zasłużył.

Montalbano dojechał już właśnie do Marinelli. Zjechał na lewo, skręcił, wjechał na dróżkę, która prowadziła do jego domu, dojechał na placyk, zatrzymał auto, wysiadł, wszedł do środka i już miał zapalić światło w przedpokoju, ale ręka zamarła mu w powietrzu. Znieruchomiał, jakby go sparaliżowało. Dlaczego? Z nagłą, jak w świetle flesza, pojawiła się scena, którą widział chwilę wcześniej, ale zbyt przelotnie, aby mózg zdążył ją

zarejestrować, a pamięć mogła teraz na zawołanie powtórzyć. Więc nie zapalił światła, w ciemności lepiej się koncentrował. Usiłował raz jeszcze ujrzeć to, co go tak mocno poruszyło.

No tak, rzuciło mu się to w oczy w chwili, kiedy już skręcał na drózkę i w świetle reflektorów ukazało mu się tamto zdarzenie. Trochę dalej, po tej samej lewej stronie szosy, stał sportowy nissan. A po stronie prawej poruszały się trzy sylwetki. Sprawiały wrażenie tańczących: na zmianę zbijały się w jedną grupkę i się rozdzielały.

Zamknął oczy i mocno je zacisnął. Przeszkadzał mu nawet odbłask światła z werandy, bo rozrzedzał tę gęstą ciemność, w jakiej chciał się pogрузić.

Byli to dwaj mężczyźni i kobieta – tyle już sobie odtworzył. Tańczyli, a od czasu do czasu obejmowali się. Albo tylko tak mu się zdawało, bo jednak w zachowaniu tej trójki było coś, co nakazywałoby interpretować sytuację całkiem inaczej.

Postaraj się, Salvo, wpatrz się lepiej w tamten obraz, masz bądź co bądź wzrok gliniarza. Na wszystkie okazje masz wzrok gliniarza.

I w pewnej chwili nie miał już wątpliwości. Jakby sobie przyciągnął, jak w aparacie fotograficznym, tamten obraz znacznie bliżej. Zobaczył wyraźnie dłoń wczepioną w ciemne włosy kobiety. Scena nabrała wreszcie prawdziwego sensu. To był napad, porwanie, żadne tam wspólne tańce! Dwaj mężczyźni usiłowali wpakować młodą dziewczynę do swego nissana.

Nie zastanawiał się ani chwili. Wyszedł z domu, wsiadł do samochodu, ruszył. Ile czasu mogło minąć? Pewnie niewiele więcej niż dziesięć minut. Ale krążył potem dwie godziny, z uporem, z zaciśniętymi ustami, rozglądając się po poboczach szosy, po odbiegających od niej polnych drogach, drózkach i ścieżkach. I nic.

Kiedy już tracił nadzieję, dostrzegł nissana stojącego przed domem na

uboczu. Zawsze uważał ten dom za niezamieszkały, kiedy obok niego niezbyt często przejeżdżał. Przez frontowe okna nie prześwitywało światło. Zatrzymał samochód, nie miał pewności, czy nie usłyszeli odgłosu motoru. Wysiadł, zostawiając drzwi otwarte, i ostrożnie, schylony, okrążył dom. Z tyłu, przez szczeliny zamkniętych okiennic, przesączały się smugi światła z dwu oświetlonych pokoi, jednego na parterze, drugiego na piętrze.

Wrócił pod wejście, pchnął lekko uchylone drzwi, starając się, by nie zaskrzypiały. Czuł, że się poci. Znalazł się w ciemnym przedpokoju, ruszył dalej. Dotarł do salonu, z którego wchodziło się do kuchni. To tam znajdowali się obaj brodaci młodzieńcy z kolczykami w uszach. Byli do połowy rozebrani, mieli na sobie tylko dżinsy. Coś gotowali na dwu połowych palnikach, nie odstępując od garnków. Jeden stał przy patelni, drugi z pokrywką w ręku mieszał coś wielką drewnianą łyżką. Pachniało smażeniną i pikantnym sosem. Nie było z nimi dziewczyny. Zdołała im uciec? Czy sami zostawili ją w spokoju? A może mylnie tłumaczył sobie tamtą zapamiętaną scenkę? Może nie szło w niej o napaść i przemoc?

Jednak instynkt mgliście podpowiadał mu, że nie powinien teraz wierzyć temu, na co patrzy. Na pozór ma przed sobą dwóch chłopców, którzy przygotowują sobie kolację – rzecz najzwyklejsza pod słońcem. Ale właśnie ta naturalna zwyczajność go niepokoiła.

Ostrożnie i cicho jak kot zaczął się wspinać schodami prowadzącymi z salonu na piętro. Stopnie były wyłożone gładkimi płytkami. W pewnej chwili omal się nie poślizgnął, ponieważ na schodkach był rozlany jakiś gęsty i ciemny płyn. Pochylił się, dotknął końcem palca, powąchał; miał za duże doświadczenie, żeby nie zrozumieć, że to krew. Z pewnością nie było nadziei, by dziewczyna jeszcze żyła.

Wspiął się z oporem na samą górę. Odwlekał chwilę, kiedy zobaczy to, co spodziewał się zobaczyć, i co rzeczywiście zobaczył.

W jedynym oświetlonym pokoju leżała na posadzce naga dziewczyna czy raczej to, co z niej zostało. Skradał się na palcach, ale był dość spokojny, bo niezmiennie dochodziły go z dołu głosy obu mężczyzn. Znalazł się przy zwłokach. Użyli sprawnie kuchennego noża, ale wcześniej ją zgwałcili, chyba kijem od miotły, który leżał obok. Wykluli dziewczynie oczy, wycięli lewą łydkę, amputowali po bark prawą rękę. Zaczęli nawet rozcinać jej brzuch, ale widocznie z tego zrezygnowali.

Komisarz wcześniej przykucnął przy zwłokach, żeby lepiej widzieć, a teraz trudno mu było wstać. Nie dlatego, że miał nogi jak z gumy, przeciwnie, czuł, że kiedy zacznie się podnosić, to zaciśnięte w kłębek nerwy wyrzucą go pod sufit, jakby był zabawką na sprężynie. Wyczekał chwilę, żeby się uspokoić i wyzbyć ślepej furii, która go przepełniała. Nie mógł sobie pozwolić na błąd; dwaj zaatakowani przez jednego z pewnością łatwo by sobie z takim jednym poradzili.

Zszedł na palcach do salonu i usłyszał wyraźnie rozmowę tamtych:

– Oczy już wysmażone, jak trzeba. Chcesz jedno?

– Czemu nie? Ale ty musisz skosztować kawałek łydki. W sosie!

Montalbano wyszedł z domu, ale zanim doszedł do samochodu, musiał stanąć i zwymiotować. I musiał to robić tak, żeby go nie usłyszeli tamci w domu. Rozbolały go mięśnie brzucha od powstrzymywanych skurczów. W końcu otworzył bagażnik, wyjął kanister benzyny, który zawsze woził ze sobą, wrócił pod dom i rozlał benzynę przed wejściem. Był pewien, że tamci nie wyczują jej zapachu, bo silniejsze od niego były zapachy smażonych oczu i gotowanej – w sosie! – łydki. Miał prosty plan: chciał podpalić benzynę i zmusić morderców, żeby wyskoczyli przez kuchenne okno na tyły domu, a tam już by na nich czekał.

Wrócił do samochodu, otworzył schowek, wyjął pistolet, wprowadził nabój do lufy. I na tym poprzestał.

Włożył pistolet na powrót do schowka, wsunął rękę do kieszeni i wyjął portfelik. Na szczęście miał przy sobie kartę telefoniczną. Kiedy dojeżdżał pod ten dom, zauważył w pobliżu budkę z automatem. Zostawił samochód na miejscu, poszedł pod budkę na piechotę, po drodze wypalił papierosa. Jakimś cudem telefon był czynny. Wsunął kartę, wybrał numer.

Siedemdziesięciolatek, który tej nocy pisał w Rzymie na maszynie, zerwał się z krzesła i zaniepokojony podszedł do telefonu. Kto o tej porze mógł od niego czegoś chcieć?

– Halo? Kto mówi?

– Mówi Montalbano. Co robisz?

– Nie wiesz, co robię? Piszę opowiadanie, którego bohaterem jesteś ty. Doszedłem do miejsca, kiedy już siedzisz w aucie i wprowadzasz nabój do lufy. Skąd teraz dzwonisz?

– Z budki.

– Co ci przyszło do głowy, żeby dzwonić?

– To nie twój interes.

– To po co dzwonisz do mnie?

– Dzwonię, bo twoje opowiadanie całkiem mi się nie podoba. Ja nie mam w nim nic do roboty, to nie jest historia dla mnie. Pomijam już to, że ta sprawa ze smażonymi oczami i łydka w sosie jest obrzydliwa i żalosna, bo z daleka śmierdzi tandetą. Wybacz, że ci to mówię.

– Salvo, całkiem się z tobą zgadzam.

– To po co o czymś takim piszesz?

– Synku drogi, komisarzu, musisz mnie zrozumieć. Zarzucają mi, że jestem pocziwcem lepiącym do kupy przesłodzone i pogodne historyjki. Inni z kolei twierdzą, że ten sukces, jaki dzięki tobie odniosłem, nie wyszedł

mi na dobre, bo ciągle się powtarzam, ponieważ tylko mi w głowie taniemy autorskie... Mówią, że jestem pisarzem łatwym, chociaż często z trudem domyślają się, o co mi chodzi w tym, co czytają. Wobec tego próbuję się dostosować, Salvo. Trochę krwi na papierze jeszcze nikomu nie zaszkodziło. Czy nie lepsze to niż dzielenie zapalki na czworo? A poza tym specjalnie pytam o to ciebie, skoro jesteś smakoszem, próbowałeś kiedyś dania z ludzkich smażonych oczu, może z podsmażaną cebulką?

– Nie wykręcaj się dowcipami. Posłuchaj uważnie, bo powiem ci teraz coś, czego już ci więcej nie powtórzę. Do mnie, do Salva Montalbano, takie historyjki całkiem nie pasują. Ja odmawiam. Możesz sobie, jeśli chcesz, pisać różności, ale mnie do tego nie mieszaj. Musisz sobie wymyślić innego bohatera. Chyba mnie zrozumiałeś?

– Jak najbardziej. Ale co z tą zaczątą historyjką, jak mam ją zakończyć?

– Właśnie tak – odpowiedział komisarz.

I odwiesił słuchawkę.

Miłość i Braterstwo

Eneasz Silvio Piccolomini nic nie wiedział o swoim imienniku, który został papieżem i przybrał imię Piusa II; nie miał nawet pojęcia, że ktoś taki kiedykolwiek istniał. Nazywał się tak samo, bo w ostatnich latach XIX wieku jeden z urzędników w urzędzie stanu cywilnego był z natury wesołkiem i wymyślał dla podrzutków takie nazwiska jak Jacopo Ortis czy Aleardo Aleardi, żeby tylko sobie pozartować. I w ten sposób pewne biedne niemowlę, urodzone w 1894 roku, stało się jego ofiarą i otrzymało identyczne nazwisko jak tamten papież, którego historia zapamiętała przede wszystkim jako człowieka świętego. Eneasz Silvio z Vigiry był natomiast analfabetą aż do śmierci. Brał udział w pierwszej wojnie światowej, a potem w drugiej. Ożenił się, kiedy dostał posadę tragarza portowego, i miał trzech synów, którym dał imiona takie, jak trzeba: Giuseppe, Gerlando i Luigi. Dwaj pierwsi wyemigrowali do Ameryki, gdzie nie dorobili się fortuny, a Luigi został w Vigirze i zarabiał na chleb jako murarz. On z kolei miał dwóch synów i córkę. Pierworodnemu należało dać imię dziadka, toteż został Eneaszem Silviem. W wieku dwudziestu lat wyjechał w poszukiwaniu pracy do Turynu. A kiedy miał lat czterdzieści pięć, zdarzył mu się tragiczny wypadek: oślepił go nagle i raz na zawsze silny płomień w fabryce, a rozpalona stalowa blacha ucięła mu lewą nogę. Wkrótce, w dwa miesiące później, miał wziąć ślub z wdową w swoim wieku, ale wskutek tego, co mu się wydarzyło, postanowił zmienić plany życiowe, nawet jeśliby wdowa chciała za męża takiego, jakim się stał. Wrócił do rodzinnego miasta, gdzie już nie miał nikogo z rodziny, bo drugi brat zamieszkał z żoną w Pordenone, a siostra Gnazia, z którą był bardzo związany, przeniosła się z mężem i

dwójka dzieci na wyspę Sampedusę. Zamknięty, samotny i drażliwy, Eneasze Silvio wynajął sobie domek pod Vigrą. Utrzymywał się z emerytury. Niedługo po tym, jak wrócił, odszukała go i wzięła pod opiekę fundacja charytatywna Miłość i Braterstwo, zaopatrując w kulę, laskę i psa dla ślepców, który wabił się Rirě. Uroczystość przekazania ślepcowi kuli, laski i psa była solenna, przyjechali na nią dziennikarze i telewizje lokalne ze wszystkich zakątków wyspy. Mogli podziwiać uśmiechniętą twarz inżyniera Di Stefano, założyciela i prezesa fundacji Miłość i Braterstwo, nie odstępującego swojego podopiecznego. W ciągu następnych pięciu lat Eneasze Silvio pokazywał się w mieście rzadko albo wcale; wychodził z domu tylko wtedy, kiedy musiał zrobić jakieś specjalne zakupy albo załatwić coś nieodzownego. Był małomówny i nie miał wielu znajomych. Pewnego wrześniegowego ranka pan Attilio Cucchiara, który w drodze do biura przechodził obok jego domku, usłyszał, że pies Rirě skowyczy niemal ludzkim głosem. Kiedy wracał na obiad, Rirě wciąż jeszcze skowyczał. Wobec tego podszedł do drzwi i zapukał. Pies zaczął skowyczeć jeszcze głośniej. Pan Cucchiara ponownie zapukał i głośno zawołał Eneasza Silvia po imieniu, to znaczy Nenč, bo tak go Vigrętyjczycy nazywali. Nikt mu nie odpowiedział, nikt nie otworzył drzwi. Podszedł więc do budki telefonicznej i zadzwonił na policję.

Na miejsce przyjechał Mimě Augello i Galluzzo, który ramieniem wyważył drzwi. Eneasze Silvio Piccolomini leżał na łóżku i wyglądał, jakby spał. Ale nie żył. Zatrut się gazem; zapomniał o rumianku, który sobie parzył. Zioła zagotowały się i wykipsiały, woda zgasła płomień, ale gaz w dalszym ciągu ulatniał się z butli. Mimě pogłaskał psa Rirě, bo pies nie umiał sobie znaleźć miejsca. I właśnie dzięki temu obudził się w nim instynkt gliniarza, który nieomylnie odzywał się niezależnie od racjonalnego myślenia. W domu był telefon, ale Mimě nie chciał dotykać słuchawki. Wezwał więc

Montalbana ze swej komórki:

– Salvo, mógłbyś tu przyjechać?

Chociaż domek na zewnątrz był zaniedbany i obskurny, w środku znajdowało się komfortowe mieszkanie złożone z dwu małych pokoi, kuchni i niemal niewidocznej łazienki. Wszystko było tu w nienagannym porządku. Nie brakowało lodówki, przenośnego radia i telefonu – brakowało tylko, ze zrozumiałych przyczyn, telewizora. Na nocnej szafce stały trzy pudełka lekarstw: silny środek nasenny, proszki przeciwbólowe i proszki na nadciśnienie. Eneasze Silvio leżał na lewym boku, jedyną nogę miał lekko ugiętą, był w kalesonkach i podkoszulku, lewą ręką podpierał policzek, prawe ramię miał wyciągnięte wzdłuż ciała, oczy zamknięte. Żadnego śladu walki, żadnych widocznych oznak zranienia lub uderzenia. Montalbano z Augellem nie odzywali się do siebie, nie potrzebowali słów, porozumiewali się, rzucając sobie szybkie spojrzenia. W końcu komisarz spytał:

– A gdzie Galluzzo?

– Posłałem go po pana Cucchiarę. To ten, co do nas dzwonił.

Na etażerze stały cztery puszkę jedzenia dla psa. Montalbano otworzył jedną z nich i wyłożył jej zawartość do miski stojącej w kuchni pod stołem. Zawołał psa, ale Rirė nie ruszył się z miejsca. Wobec tego komisarz wziął miskę, zaniósł do sypialni i postawił pod szafą. Ale Rirė i tu nie zbliżył się do jedzenia. Siedział bez ruchu, wpatrywał się w swego pana, wyglądał jak figurka z gliny.

Attilio Cucchiara, kiedy zobaczył zwłoki w łóżku, krzyknął i osunął się na kolana. Galluzzo go przytrzymał, posadził na krześle w jadalni, przyniósł mu szklankę wody.

– Boję się zmarłych – usprawiedliwił się Cucchiara.

– Przyjaźniliście się? – spytał Montalbano.

– Skądże. On z nikim nie żył blisko. Przez pięć lat co najmniej cztery razy dziennie przechodziłem pod jego domem, a nigdy nie powiedzieliśmy sobie więcej niż dzień dobry i dobry wieczór.

– A pies?

– Nie rozumiem, co pies?

– Kiedy pan tędy przechodził, pies na pana nie szczekał?

– Nigdy. Bo Rirě nie szczekał na ludzi. Robił się jak dzika bestia tylko na widok innych psów. Kiedy jakiegoś zobaczył, zaraz rzucał się na niego i próbował go chwycić za kark. Szalał. Jeśli szedł z Nenč na smyczy, to włókł biednego ślepcę za sobą. A jak Nenč zmarł?

– Nie wiemy. Z grubsza wygląda na to, że dostał podczas snu zawału serca. Pewnie pan wie, gdzie sypiał pies?

– Naturalnie. Sypiał tutaj, razem ze swoim panem.

„Czemu wobec tego pies nie zatruł się gazem razem z nim?” – zadali sobie pytanie jednocześnie Montalbano i Augello, wymieniając szybkie spojrzenia. Wątpliwości, jakie pojawiły się w głowie Augella, kiedy głaskał łeb psa, okazywały się teraz jeszcze bardziej uzasadnione.

– Drzwi były zamknięte, ale nie na klucz. Wystarczyło pchnąć ramieniem, jak to zrobił Galluzzo, i otworzyły się. W pokoju nie było gazu w powietrzu, czuło się trochę jego zapach, ale słaby. Okna były szczelnie zamknięte. Wszystko mi mówi, że ktoś go zamordował – oświadczył Mimě.

– Ja też tak myślę – powiedział Montalbano. – Piccolomini przed nocą zażywał mocny środek nasenny, tak że zapadał w sen niemal kataleptyczny. Ktoś czeka, aż on zaśnie, otwiera podrobionym kluczem drzwi, wchodzi, bierze psa, który, jak wiemy, nie szczeka na ludzi, wyprowadza go z domu,

wraca, otwiera butlę z gazem i wychodzi po raz drugi. Kiedy już ma pewność, że Piccolomini nie żyje, wraca do domu, otwiera okno, wietrzy pokój z gazu, żeby Rirě się nie zatrzał, wprowadza go na powrót do domu, zamyka za sobą drzwi i do widzenia, tyleście mnie widzieli.

– Zgoda – powiedział Augello. – Ale zasadnicze pytanie pozostaje niezmienione: dlaczego chciał zachować przy życiu Rirě?

– Jeśli już o to chodzi, to takich zasadniczych pytań jest tu więcej. Dlaczego chcieli nas oszukać, że to był wypadek?

– Albo samobójstwo. Gdyby to było samobójstwo, to wszystko stałoby się zrozumiałe. W takim przypadku Piccolomini sam wyprowadziłby z domu psa, bo go bardzo lubił...

– ...a potem, już po zatruciu się, wstałby i wprowadził Rirě do domu z powrotem. Opamiętaj się, Mimě, nie opowiadaj mi takich idiotyzmów!

Augello poczuł się zażenowany.

– No tak, przepraszam – powiedział. – Zagalopowałem się. Ale jakkolwiek było, rzecz została wymyślona przez wyrafinowanego mistrza na zimno i inteligentnie. Tylko że ten, kto miał za zadanie doprowadzić do zabójstwa, popełnił pomyłkę w sprawie psa.

– Ja z kolei zadaję sobie pytanie, dlaczego usunięcia takiego nieszczęśnika jak Piccolomini musiano dokonać na zimno i inteligentnie, jak mówisz.

– Może Piccolomini nie był takim nieszczęśnikiem, na jakiego wyglądał?

– Może, może. Ale widzisz, Mimě, w tej całej sprawie jest coś, co nie trzyma się kupy. Powiedzieliśmy sobie, że zabójca wszedł do domu i otworzył butlę z gazem. Zgoda?

– Zgoda.

– A skąd mógł wiedzieć, że w butli jest dość gazu, żeby zatrąć Piccolominiego? Bo gdyby butla była na wyczerpaniu, to Piccolomini co

najwyżej odczułby po obudzeniu, że boli go głowa. Pamiętasz, jak wyglądała ta butla?

– Była z tych mniejszych. Stała we wnęce pod palnikami.

– Dobra, trzymamy się tego, cośmy ustalili. Poproś Fazia, żeby dowiedział się wszystkiego o Piccolominim. I zapowiedz Galluzzowi, że nie może mu się wyrwać ani jedno słowo o naszych domysłach do szwagra dziennikarza. Tamci chcieli, żebyśmy uwierzyli w nieszczęśliwy wypadek? W takim razie wierzymy.

– A co z psem? Co robimy z Rirě? – spytał Augello.

– No tak. Daj komórkę. Halo, Fazio? Z łaski swojej zadzwoń do Montelusy, do tych pobożnych dobrodziejów, którzy obdarowali Piccolominiego kulą, laską i psem. Powiedz im, że Piccolomini nie żyje, bo zapomniał, że ma zapalony gaz. I że zabieramy psa i te ich rzeczy do komisariatu. Niech kogoś przyślą i sobie to odbiorą.

Doczekali się wreszcie spodziewanych trzech samochodów, zobaczyli, że już skręcają na bitą drogę. Lekarz sądowy, prokurator i ekipa techniczna dotarli na miejsce.

Ledwo wjechał z bitej drogi na szosę prowadzącą do Vigrty, zauważył butle z gazem stojące przed sklepikiem bez szyldu. Zatrzymał się, wysiadł z auta, wszedł do środka. Na wyplatanym krześle siedział młody chłopiec i czytał „La Gazzetta dello Sport”

– Przepraszam. Nazywam się Montalbano, jestem komisarzem policji. Zna pan Nenč Piccolominiego?

– Ślepego bez nogi? Pewnie, że znam. Jest naszym klientem. Coś mu się stało? – spytał chłopiec, wstając.

– Zmarł.

- O cholera! Dlaczego?
 - Zatrzał się gazem. Zapomniał, że ma otwartą butlę, płomień zgasł i...
 - Jaki dzień dzisiaj mamy? – spytał nieoczekiwanie chłopiec, jakby nagle wpadł na jakąś myśl. Popatrzył na datę na gazecie.
 - To niemożliwe – powiedział.
 - Co niemożliwe?
 - Żeby w butli było jeszcze dużo gazu.
 - Skąd pan to wie?
 - Zawsze zamawiał małą butlę, taką za dziesięć tysięcy. Mieszkał sam, wystarczała mu na trzy miesiące. Dwa dni temu, kiedy tędy przechodził, powiedział mi: „Pamiętaj, że trzynastego masz mi przywieźć nową butlę, stara już się kończy”. Był pedantem. A dziś mamy jedenastego.
 - Myśli pan, że w butli nie było już tyle gazu, żeby mógł się zatruć?
 - Widzi pan, w tych sprawach nigdy nie można mieć pewności. Może zmarł z innego powodu i już nie mógł zamknąć gazu na czas.
- Inteligentnie ten chłopiec rozumował.
- A pies? – spytał zaniepokojony.
 - Pies czuje się dobrze.
 - Widzi pan? Gdyby była to sprawa gazu, to pies by zdechł.
- Montalbano podziękował, wsiadł do samochodu i odjechał.

Kiedy po obiedzie wrócił do biura, wyszedł do niego zmartwiony Galluzzo.

- Pies nie chce jeść.

Poszli obaj do pokoju brygadierów. Gallo i Catarella pochylali się nad psem, a ten stał bardzo smutny, z podwiniętym ogonem. Z pewnością jakoś

doszło do niego, że jego pan nie żyje. I tak to przeżywał. Galluzzo, oprócz kuli i laski, przywiózł też z domu Piccolominiego miski na wodę i jedzenie, ale pies spoglądał na nie z rzadką i z wyraźną niechęcią. Montalbano pogłaskał go po łbie.

– Panie komisarzu, a jakbym tak przeprowadził go, żeby się przespacerował, to on może wziąłby się z ochotą do jedzenia? – odezwał się zatroskany Catarella.

– A gdzie tamci dobrodzieje ze szlachetnej fundacji? – wycedził przez zęby komisarz.

– Powiedzieli, że przyjadą – wyjaśnił Galluzzo.

– Poczekamy na nich. Przecież pies tak szybko nie zdechnie z głodu.

Pół godziny później, kiedy zajmował się podpisywaniem dokumentów, co zawsze znosił jak najgorzej, zadzwonił telefon.

– Panie komisarzu, tu u nas jest inżynier Stefano, ale on chce rozmawiać osobiście z osobą pana komisarza.

– Dobrze, przyślij go do mnie.

Inżynier Angelo Di Stefano był otyłym pięćdziesięciolatkiem, niezmiernie jowialnym.

– Ależ nieszczęście! Ależ nieszczęście! – powtarzał.

– Pan go dobrze znał?

– I to jak go znałem, panie komisarzu! Widzi pan, my nie podejmujemy się tylko dbania o troski cielesne naszych podopiecznych, lecz również dbamy o ich dusze. Ja panem Nenč zajmowałem się osobiście, odwiedzałem go regularnie, co najmniej raz na miesiąc, niezależnie od tego, gdzie przebywał.

Skończył mówić i zastygł z wyrazem twarzy, którego Montalbano początkowo nie rozumiał. Dopiero po chwili połapał się, że inżynier oczekuje wyrazów podziwu i pochwały. Tego się od komisarza nie doczekał.

Montalbano tylko wyciągnął rękę i położył mu na ramieniu.

– Naturalnie, naturalnie – powiedział Di Stefano. – Miłosierdzie tylko wtedy coś znaczy, kiedy jest skromne i nie rozgłaszane. Ja nigdy nie oczekuję uznania.

„A co z tymi dziennikarzami, których ciągle do siebie wzywasz? Jak pogodzić jedno z drugim?” – gotów był spytać komisarz, ale się nie odezwał.

– Trzeba zawiadomić rodzinę – powiedział.

– Już się o to zatroszczyłem. Dzisiaj, z samego rana, kiedy ta tragiczna wiadomość o wypadku... Bo to był wypadek, prawda?

– Tak, zapomniał zgasić gaz.

– I pomyśleć, że był człowiekiem tak odpowiedzialnym, tak skrupulatnym! Zresztą ludzie ślepi siłą rzeczy muszą tacy być. Wracam do tego, że rano zawiadomiłem jego brata w Pordenone i siostrę w Sampedusie. Oczywiście nasza fundacja zajmie się pogrzebem, kiedy już zwłoki zostaną wydane. Dziękuję panu za wszystko, panie komisarzu.

A komisarzowi nie wiadomo dlaczego wyrwało się:

– Odprowadzę pana.

Przed komisariatem czekał wielki, granatowy samochód służbowy. Rirë z pochylonym łbem stał na tylnym siedzeniu. Krępy czterdziestoletni mężczyzna, także z pochyloną głową, otworzył inżynierowi drzwi.

– To nasz pomocnik, moja prawa ręka – powiedział inżynier – jest naszym kierowcą, sanitariuszem i treserem.

Pożegnali się uprzejmie. Komisarz wrócił zamyślony do swego gabinetu. Usłyszał albo zobaczył coś, co go na chwilę zaniepokoiło. Ale na razie nie umiał ująć tego wrażenia w słowa ani zmienić w jakiś wyraźniejszy obraz. Wrócił z niechęcią do podpisywania dokumentów.

Następnego dnia zatelefonował doktor Pasquano. I zamiast oznajmić wyniki sekcji zwłok, zadał komisarzowi pytanie.

– Jak to się stało, że pies nie zdechł?

– Nie wiem – powiedział Montalbano, kłamiąc.

Łatwo mu przyszło, bo rozmawiał przez telefon. Gdyby miał doktora przed sobą, kłamałoby mu się gorzej; nie umiał rzucać nieprawdy prosto w oczy osobom, które szanował.

– No więc Piccolomini zażył pigułkę na sen. Normalną dawkę. A umarł, bo się zatrzał. Jest pan pewien, że to był wypadek?

– Na dziewięćdziesiąt procent.

Nawet przez telefon nie umiał kłamać na sto procent.

– No cóż – powiedział Pasquano.

I odłożył słuchawkę.

Jakby się umówili, w jakiej kolejności będą dzwonić, bo po pięciu minutach zatelefonował Jacomuzzi, kierownik ekipy sądowej.

– Nie stwierdziliśmy niczego nienormalnego. Ten biedak chyba rzeczywiście zapomniał zgasić gaz.

– Są jakieś odciski?

– Wszystkie jego, Piccolominiego. Tylko jeden należy do kogoś innego, mam jego próbkę.

– Gdzie był ten inny?

– Na wyłączniku światła, przy drzwiach. Bardzo wyraźny, bo wyłącznik był zakurzony. Kto go używał? Tam nawet nie było żarówki w jedynej lampie w domu, w jadalni.

Instynktowny odruch zabójcy, który wchodzi w nocy do ciemnego pokoju. Albo kiedy wychodzi po dokonaniu zabójstwa. To był jego drugi błąd po tym

błądzie z psem.

A ponieważ widocznie tak miało się stać, że wszystkie sprawy zgęszczą się tego ranka, zapukał do drzwi Fazio, spytał, czy może wejść, wszedł, stanął za biurkiem i wyjął z kieszeni gęsto zapisaną kartkę.

– Jestem gotów, panie komisarzu.

– Proszę, czytaj.

I Fazio zaczął czytać.

– Piccolomini Eneasza Silvio, syn zmarłych Luigiego i Antonietty z domu Catanzaro, urodzony w Vigricie dwudziestego siódmego kwietnia...

Komisarz uderzył mocno otwartą dłoń w biurko.

– Odpieprz się ode mnie z tym twoim kompleksem urzędu stanu cywilnego! Sto razy ci mówiłem, że te gówniane szczególiki nic mnie nie obchodzą.

– Dobrze, komisarzu – powiedział Fazio spokojnie, wkładając kartkę z powrotem do kieszeni. Ale już nie ciągnął dalej, milczał.

– No i co?

– Komisarzu, proszę mi zadawać pytania. Co będę wiedział, to panu odpowiem.

– Chodźmy na kawę.

Wypili kawę i pogodzili się. Komisarz usłyszał od Fazio, że Piccolomini nie miał w mieście przyjaciół, co najwyżej znajomych. Kazał sobie przesyłać emeryturę do Banco dell'Isola. Zaoszczędził sześć milionów i trzysta tysięcy lirów. Nie palił, nie pił, nie odwiedzał tych trzech sławetnych historycznych kurew Vigricy, nie był homoseksualistą ani pedofilem. Był tylko nieszczęsnym kaleką.

– Nie zabija się pocziwców – powiedział do siebie komisarz, cytując tytuł jednej z powieści Simenona.

– Od czterech lat – ciągnął Fazio – i w lecie, i w zimie, w każdy piątek wieczorem wsiadał na statek pocztowy kursujący między Vigrą a Sampedusą. Wracał w poniedziałek.

– Jeździł odwiedzać siostrę?

– Tak, jego siostra Gnazia wyszła za mąż za niejakiego Silvestra Impallomeniego, murarza. Gnazia jest o dwanaście lat młodsza od Piccolominiego. A on bardzo się przywiązał do swoich siostrzeńców, dziewięcioletniego Giacomina i ośmioletniej Marietty.

– I to wszystko?

– To wszystko.

Montalbano popatrzył rozczarowany na Fazia. A ten rozłożył ręce.

– Nie mogę zmyślać, że Piccolomini był na przykład gangsterem, tylko po to, żeby panu dogodzić.

– Zamów mi kabinę na statku pocztowym na dziś wieczór. I postaraj się o adres siostry.

Fazio popatrzył na komisarza z niedowierzaniem.

– Mówi pan poważnie? Jeżeli pan chce, mogę popłynąć razem z panem.

– Nie, dziękuję.

Statek pocztowy odpływał o północy. Był przeładowany, kręcili się po nim chłopcy i dziewczęta z wycieczek, wszyscy z plecakami i śpiworami. Wycieczki jeździły teraz na Sampedusę, żeby wykorzystać ostatnie wspaniałe dni i jeszcze wykapać się w morzu. Montalbano przez jakiś czas stał na pokładzie oparty o poręcz i oddychał głęboko przesyconym solą powietrzem. Potem, już na otwartym morzu, silny wiatr zmusił go do zejścia do kabiny. Zabrał ze sobą na podróż *Oszalałą strunę* Sciascii, którą czytywał dość często, może po to, aby zrozumieć coś więcej z siebie samego. W pewnej

chwili, choć był zatopiony w lekturze, odkrył, co go zaniepokoiło poprzedniego dnia. Tym czymś było pytanie inżyniera Di Stefano rzucone jakby od niechcienia: „Bo to był wypadek, prawda?”. Słowa brzmiały jak najbardziej normalnie. Ale ton, jakim inżynier je wypowiedział, nie był bynajmniej normalny. Gdzieś w głębi kryła się w nim obawa i niepokój, które natychmiast zniknęły, kiedy komisarz potwierdził, że w grę istotnie musiał wchodzić wypadek. Na pozór nic ważnego, drobiazg. „To się nazywa dzielenie włosa na czworo” – tak upomniał go kiedyś, wiele lat temu, kwestor w Mediolanie. „Pan, drogi Montalbano, nabrał tego nawyku, żeby dzielić włos na czworo”. Poplątało mu się. Kiedyś na czworo dzieliło się zapalkę, a nie włos. Zasnął nagle, przy zapalonym świetle, z książką w ręku. Zbudziło go pukanie do drzwi i głos stewarda: „Za pół godziny dopływamy”. Popatrzył na zegarek, była siódma. Za wcześnie, żeby iść na ulicę Cordoba pod dwunasty, gdzie mieszka pani Gnazia. Bez namysłu zdecydował się, co zrobi, i włożył na siebie spodenki kąpielowe, które przezornie zabrał ze sobą. Wyszedł na pokład, gdzie powitał go jasny, ciepły, wiele obiecujący poranek. Tak się tym ucieszył, że nawet popatrzył z sympatią na młodego Niemca, olbrzyma z plecakiem, który niezdarnie stanął mu na nogę i wcale go za to nie przeprosił. Dwaj marynarze kończyli montowanie trapu. Usłyszał dochodzące z wnętrza statku piskliwe krzyki jakiejś kobiety i zszedł na dół. Pięćdziesięcioletnia pani obwieszona biżuterią wszczęła awanturę z oficerem pokładowym, bo prawdopodobnie jeden ze stewardów niegrzecznie odpowiedział na jej pytanie. Kiedy się uciszyła, Montalbano podszedł do oficera.

- Chciałbym prosić o informację.
- Jeśli chodzi panu o rozkład jazdy, proszę pytać w biurze na lądzie.
- Nie chodzi mi o rozkład jazdy, Chcę wiedzieć, czy zna pan pewnego człowieka...

– Nie mam w tej chwili czasu. Proszę poczekać, aż wysiądą wszyscy pasażerowie. Najlepiej zresztą będzie, jeżeli o dziewiątej spotkamy się w biurze nawigacji, tu w pobliżu, przy tym nabrzeżu, do którego dobijamy.

W ten sposób sam uniemożliwił sobie kąpiel w morzu, na którą się nastawił. Trudno. Zszedł na nabrzeże, znalazł otwarty bar, usiadł przy stoliku na zewnątrz, zamówił mrożoną kawę i rożek. Dla zabicia czasu przyglądał się przechodniom, potem zamówił drugą kawę i drugi rożek. Kiedy dochodziła dziewiąta, poszedł na spotkanie z oficerem pokładowym.

– O co panu chodzi? Przykro mi, ale mam mało czasu.

– Nazywam się Montalbano, jestem komisarzem.

Oficer uderzył się ręką w czoło.

– Tak mi się zdawało, że znam pana twarz! Przepraszam za moje zachowanie. Wie pan, trafiają się pasażerowie, co... Proszę powiedzieć, w czym mogę panu pomóc.

– Chciałbym wiedzieć coś więcej o waszym pasażerze, który wypływał z Vigrty co tydzień, w piątek wieczorem... Był ślepy.

– Pan Piccolomini! – przerwał mu oficer. – Oczywiście, że go znam. Zdarzyło mu się nieszczęście, wypadek, prawda?

Ton tego pytania! Był to ton oczywisty, najwykleszy, nie taki jak tamten, dwuznaczny, odruchowo użyty przez inżyniera Di Stefano.

– Tak. Nie zamknął gazu. Rozmawialiście ze sobą?

– Z Piccolominim? Już to było czymś nadzwyczajnym, kiedy odpowiedział na powitanie. Kiedyś, owszem, odbyliśmy dłuższą rozmowę, wiele lat temu, chyba kiedy po raz pierwszy płynął z nami. Potem już nie mieliśmy z nim kłopotów.

– A dlaczego tamtym razem...

– Chodziło o psa. Nie mógł mieć psa ze sobą, tak jak chciał.

– W kabinie?

– Nie, nigdy nie zamawiał kabiny, to by było dla niego za dużo kosztowne. Zamawiał fotel na pokładzie. A pies był zamykany w osobnym pomieszczeniu, gdzie mamy klatki.

– Nie zdarzyło się nigdy nic osobliwego czy szczególnego podczas jego pobytu na pokładzie?

– Cóż mogło się wydarzyć? Panie komisarzu, jeżeli Piccolomini zmarł w wyniku nieszczęśliwego wypadku, dlaczego zadaje mi pan te pytania?

Montalbano nie musiał uciekać się do wykrętnych wyjaśnień, bo właśnie mijął ich jakiś marynarz i oficer pokładowy go przywołał.

– Matteo!

A kiedy ten się zbliżał, poinformował komisarza:

– Nazywa się Matteo Salamone. To ten zazwyczaj zajmował się Piccolominim.

Matteo Salamone był chudym czterdziestolatkiem o bardzo żywych oczach. Oficer wyjaśnił mu, o co komisarzowi chodzi, i odszedł, miał jakieś sprawy do załatwienia. A Salamone zaczął:

– Nie wiem, co mam panu powiedzieć, komisarzu. Byłem zawsze przy nim, kiedy schodził ze statku i kiedy wychodził na pokład, bo schodki trapu to jak pułapka dla człowieka ślepego, w dodatku bez nogi. Prowadziłem go do fotela, brałem psa do klatki, a kiedy już dobijaliśmy, robiłem to samo, tylko w odwrotnej kolejności. Dawał mi parę lirów, ale nie dlatego się nim opiekowałem. Było mi żal biedaka.

– Nie zdarzyło się nigdy nic szczególnego? Coś, co by...

– Nie, nigdy. Aha, w zeszłym roku... Ale to głupstwo...

– Proszę mi opowiedzieć,

– To był rejs Vigrta–Sampedusa. Zobaczyłem go pod trapek, zawołałem

na niego, rozpoznał mnie po głosie. Wziąłem psa na smycz, a on zaczął się wspinać. W połowie schodków, nie wiadomo dlaczego, jak nigdy, wypadła mu z rąk laska i spadła do wody, do tej szczeliny między statkiem a nabrzeżem. Zaczął krzyczeć, jakby zwariował. „Moja laska! Moja laska!” Jakby mu wpadło do wody dziecko. Był zrozpaczony. Popatrzyłem w dół i zobaczyłem, że jego laska pływa na powierzchni. Zszedłem na molo, wyciągnąłem laskę bosakiem i przyniosłem mu na pokład, a on ciągle nie mógł się uspokoić. Inni pasażerowie nie rozumieli, co się stało, martwili się o niego. A on, kiedy już dostał laskę do rąk, to nawet ją ucałował. No właśnie, jakby odnalazł przypadłe dziecko. Dał mi wtedy pięćdziesiąt tysięcy lirów.

– Dlaczego tak mu na tej lasce zależało? Chyba to była normalna drewniana laska, prawda?

– Nie, panie komisarzu, nie była drewniana. I jego laska, i kula były metalowe.

– Laska była z metalu i nie utonęła?

– Kiedy metalowa laska jest pusta w środku, nie tonie. A ta jego na pewno była pusta. Ale czemu pan się tak bardzo interesuje tym biedakiem?

– Chodzi o ubezpieczenie.

Marynarz jednak, o czym mówiły jego bystre oczy, nie dał wiary tej odpowiedzi.

– To był anioł! Prawdziwy anioł! – zawołała pani Gnazia, lamentując i kiwając się rytmicznie w przód i w tył. Montalbano, który przedstawił się jej jako inspektor Panzeca z zakładu ubezpieczeń, czuł, że ten jej ból jest szczery.

– A gdzie pani dzieci? – spytał, aby skierować jej myśli w inną stronę.

– Dzieci? W sobotę, kiedy nie idą do szkoły, kręcą się cały dzień poza

domem. Płyną z mężem łowić ryby z jego wiosłowej łodzi.

– Chciałbym panią spytać, co robił pani nieboszczyk brat, kiedy przyjeżdżał tutaj w odwiedziny. Jak spędzał dzień?

– Prosto ze statku przychodził do nas. Jeżeli w domu były dzieci, co rzadko się zdarzało, to ich nie odstępował. Bardzo je kochał, te moje dzieci. A jadał zawsze tutaj, razem z nami.

– Z pani mężem żył w zgodzie?

– Nie przepadali za sobą. Ale mąż, jak już panu mówiłam, wypływał na całą sobotę na ryby, a w niedzielę spał. Dużo pracuje przez cały tydzień, jest zmęczony. A też trochę niedomaga.

– Słowem, kiedy pani nieboszczyk brat przyjeżdżał w odwiedziny, nie ruszał się z domu.

– Źle mnie pan zrozumiał, panie Panzeca. W sobotę po południu i w niedzielę rano przyjeżdżał furgonetką Toto Recca i brał brata na przejażdżkę.

– I to był jego jedyny przyjaciel tutaj? Czy miał jeszcze innych?

– Nie, nie miał. Przyjaźnił się tylko z Reccą. Powiedział mi, że poznali się w Vigricie.

– Może mi pani dać adres Rekki?

– On zmarł, panie Panzeca.

– Zmarł? Kiedy? Jak?

– Tydzień temu. Spadł z furgonetką w przepaść, gdzieś koło Króliczej Wyspy. Wie pan, gdzie to jest?

Montalbano wiedział, gdzie to jest. W południowej części Sampedusy. Odludne, puste i piękne miejsce, idealne, kiedy trzeba kogoś wykończyć, pozorując wypadek.

Wyczuł, że Gnazia powiedziała mu już wszystko, co wiedziała.

Wstał, żeby się pożegnać. Ona także wstała, ale położyła mu rękę na ramieniu.

– Pan jest z ubezpieczeń, proszę pana?

– Tak.

– To zna się pan na pieniądzach.

– W jakim sensie, proszę pani?

– Chodzi mi o te, które Nenč trzymał w banku.

– Nie wiem dokładnie, ile miał w banku w Vigście,...

– Nie, proszę pana, nie mówiłam o banku w Vigście, tylko o tym naszym, tutaj, na Sampedusie.

– Miał konto w tutejszym banku?

– Nie, konta nie chciał założyć. Miał książeczkę oszczędnościową. Pierwszy raz, kiedy poszedł do banku to załatwiać, poszłam razem z nim, bo nie znał drogi. Potem już zawsze chodził sam. Nenč chodził, jakby nie był ślepy.

– Ma pani jego książeczkę?

– Mam, oczywiście. Zaraz panu pokażę. Trzymam ją w ukryciu, bo Nenč prosił, żeby mój mąż nic o niej nie wiedział.

W ten sposób komisarz Montalbano dowiedział się, że Eneasza Silvio Piccolomini, emeryt, miał książeczkę oszczędnościową na okaziciela, a na niej zdeponowane sto dwanaście milionów.

– Co mam teraz robić, panie Panzeca?

– Proszę dalej trzymać książeczkę u siebie. I proszę dalej nie mówić o niej mężowi.

Poszedł pospiesznie do portu. W samą porę, żeby zdążyć na rejs powrotny.

Nazajutrz rano, po nocy przespanej kamiennym snem, przyjechał do komisariatu już o siódmej. Najpierw wezwał do siebie Galluzza.

– To ty zabrałeś z domu Piccolominiego laskę, kulę i psa?

– Tak, ja. A po południu oddałem wszystko temu kierowcy, który był z inżynierem Di Stefano. Pamięta pan?

– I wszystko trochę ważyło?

Galluzzo popatrzył na komisarza zdumiony.

– Prawdę mówiąc, nie brałem psa na ręce.

– Galluzzo, bawisz się w Catarellę? Chodzi mi o laskę i kulę. Dużo ważyły?

– Pewnie, że ważyły. Kiedy wynosiłem kulę z domu, upadła mi na posadzkę i narobiła hałasu jak sztaba żelaza.

– Inaczej mówiąc, nie mogła być pusta w środku?

– Pusta? Nic podobnego. Dlaczego miałyby być pusta?

– W porządku. Przyślij mi teraz Fazio.

Wszedł Fazio, który od progu zorientował się, że jego przełożony pracuje tego dnia pełną parą.

– Fazio, najdalej do jedenastej chcę wszystko wiedzieć o tej charytatywnej fundacji Miłość i Braterstwo. Chcę wszystko wiedzieć także o inżynierze Di Stefano i jego kierowcy, Pospiesz się, nie zwlekaj z niczym. Przyślij mi teraz Augella.

– Jeszcze nie przyjechał.

– Jesteś pewien? W każdym razie powiedz wszystkim, że kiedy tylko się pojawi, ma się stawić u mnie.

Mimě przyjechał koło dziesiątej. Był zaspany, ziewał tak, że mogła mu wypaść szczeka.

– Gdzieś był, Mimě? Ta wywłoka, z która sobie używałeś cała noc, miała za wielkie wymagania? Może byś sobie teraz ukręcił kogel–mogel z dwunastu jaj?

– Nie wygłupiaj się, Salvo. Rozbolał mnie ząb, myślałem, że się skończę! Po co jeździłeś na Sampedusę?

– Posłuchaj, Mimě, już wszystko zrozumiałem. Wiesz, ile miał w banku w Sampedusie nasz ubogi emeryt, wycieńczony, ślepy i bez nogi? Nasz nieboszczyk Eneasza Silvio Piccolomini? Sto dwanaście milionów.

– O jego mać, Salvo! Jak tyle tego zdobył?

– Przewożąc narkotyki. Był kurierem inżyniera Di Stefano.

– Coś ty! A gdzie te narkotyki ukrywał?

– W metalowej kuli i lasce, bo były w środku puste. Wyliczyłem z grubszą, że za każdym kursem dostarczał inżynierowi co najmniej dwa kilogramy kokainy.

– Od kogo ją dostawał w Sampedusie?

– Od niejakiego Recca, z którym spotykał się co tydzień. Recca także ostatnio wykończyli. Miało to wyglądać na wypadek. Musiało się coś wydarzyć, skoro kazali inżynierowi zlikwidować obu.

– Chciałbym więcej zrozumieć, Salvo. Było tak: Recca przywoził kokę, brał od Piccolominiego laskę i kulę, faszerował ją ładunkiem...

– Nie, Mimě. Myślę, że po prostu Recca wręczał Piccolominiemu laskę i kulę już nafaszerowane, jak mówisz. Następowala zamiana. Kiedy zabójca wyszedł z jego domu po umieszczeniu na miejscu starej butli...

– O co szło w tej historii ze starą butlą?

– Wyjaśnię ci to potem, Mimě. Więc wychodząc, wymienił laskę i kulę.

– Dalej nic z tego nie rozumiem.

– Zostawił w domu Piccolominiego laskę i kulę identyczne jak te, których używał ślepiec, tyle że z pełnego metalu. Chodziło o to, żeby nie wzbudzały żadnych podejrzeń, gdy je znajdziemy.

– Matko Boska Święta! Mało brakuje, a znowu rozbolą mnie zęby! A pies? Dlaczego nie chcieli uśmiercić psa?

– Bo to pies bezcenny, rozumiesz, Mimě; rzucał się na inne psy.

– I co z tego?

– To, że Rirě, kiedy widział na wybrzeżu na Sampedusie czy w Vigície psa tropiącego narkotyki, który zbliżał się do jego pana, gwałtownie się na niego rzucał. A Piccolomini też nie próżnował, równocześnie urządzał cyrk, padał na ziemię, krzyczał. Słowem, mógł liczyć na to, że agenci litościwie dadzą mu spokój. A Rirě ma jeszcze w dalszym ciągu służyć do takich przedstawień.

– Jak sobie poradzisz, żeby tego wszystkiego dowieść?

– Czekam na raport Fazio, potem pojadę do prokuratora i poproszę o nakaz rewizji. Na pewno coś u nich znajdę, głowę daję.

Dokładnie o jedenastej Fazio stawił się z raportem. Fundacja charytatywna Miłość i Braterstwo nie miała dotacji państwowych, dysponowała wyłącznie funduszami inżyniera. A inżynier był człowiekiem niezwykle aktywnym na obu polach swej działalności, choć te mogły się wydawać sprzeczne ze sobą. Zajmował się z jednej strony budownictwem prywatnym i publicznym, z drugiej – dobroczynnością.

– Skąd brał na to pieniądze?

– Dość dużo zostawił mu w spadku ojciec, który był także ważnym miejscowym politykiem, zanim zmarł na zawał piętnaście lat temu. Syn powiększył ten kapitał czterokrotnie. Plotki mówią, ale może są to tylko

złośliwe pomówienia, nic więcej, że wiele pieniędzy, przechodzących przez jego ręce, nie należy do niego.

– Czyli pierze brudne?

– To tylko plotki, komisarzu. Wobec prawa inżynier jest czysty jak świeżo umyty tyłek noworodka.

Montalbano popatrzył na Fazio z podziwem.

– Masz piękne porównania. Może byś się wziął za pisanie wierszy? Wal dalej.

– Fundacja charytatywna ma siedzibę w willi z parkiem, w Montelusie, via Nazionale 14.

– To rodzaj kliniki?

– Gdzież tam! Fundacja dba tylko o podopiecznych, którzy mieszkają w swoich domach. Takich ma teraz na swojej głowie dwunastu w najrozmaitszych miastach prowincji. W grę wchodzi ludzie, którzy potrzebują wózków, kul, lasek...

– Czyli nie przejmują się obłożnie chorymi?

– Nie, takimi fundacja się nie zajmuje. Ich podopieczni mają sobie radzić sami. Aha, stawiają im jeszcze jeden warunek: muszą być samotni, nie mogą mieć rodziców, z którymi by mieszkali. Mają być dokładnie tacy jak Nenč.

– Opiekują się też kobietami?

– Nie, kobiet u nich nie ma. Ani podopiecznych, ani pielęgniarek. Raz na tydzień jeździ do wszystkich kierowca, ten pomocnik do wszystkiego, ten „zbawiony” jak mówi o nim inżynier. Nazywa się Aloisio Carmelo, syn zmarłych Alfonsa i Rosalii z domu Lopresti, urodzony...

Uchwycił w lot wzrok komisarza i na czas umilkł.

– Przepraszam – powiedział. Po czym ciągnął dalej: – Ten Aloisio Carmelo ma czterdzieści cztery lata i już od dziesięciu pracuje w fundacji...

– Dlaczego Di Stefano nazywa go „zbawionym”?

– Właśnie miałem to wyjaśnić, Kiedy Carmelo miał dwadzieścia lat, zabił kogoś, jakiegoś kioskarza, dla zwykłego rabunku. Został skazany, a po dziesięciu latach zwolnili go za dobre sprawowanie. Ale znalazł się na lodzie. Wtedy inżynier „zbawił” go, wziął sobie do pomocy. Od tego czasu Aloisio nie miał już do czynienia z wymiarem sprawiedliwości. Inżynier Di Stefano jeździ do swoich podopiecznych raz na miesiąc, odwiedza ich...

– I z pewnością się z nimi rozlicza. Di Stefano zorganizował sobie całkiem zręcznie handel narkotykami. Ale teraz przyszło mu zlikwidować dwóch swoich kurierów rękami swego „zbawionego” To on tresuje psy?

– Tak, panie komisarzu. Podobno ma do tego talent.

Montalbano przez chwilę siedział zamyślony.

– Może oszczędził Rirě, bo był do niego przywiązany? – powiedział jakby do siebie. – Jeszcze jedno, Fazio. W tej ich willi przy via Nazionale mieszka także inżynier?

– Nie, komisarzu. Inżynier mieszka gdzie indziej, w innej willi. W siedzibie Miłości i Braterstwa mieszka tylko Aloisio.

Mimě Augello z Faziem, Gallem, Galluzzem i dwoma innymi agentami z komisariatu zapukali do drzwi przy via Nazionale 14, przeskoczywszy wcześniej przez ogrodzenie. W zagrodzie przy willi były trzy psy, ale żaden nie zaszczekał. Augello zapukał, a męski głos zza drzwi spytał:

– Kto tam?

– Policja – odpowiedział wicekomisarz.

I wtedy Aloisio Carmelo popełnił jeszcze jeden błąd. Zaczął strzelać. Został ujęty po dwóch godzinach. W willi było około dwudziestu kilogramów czystej kokainy.

Porwanie

Był autentycznym wieśniakiem i wyglądał jak figurka z szopki, w tym swoim kaszkiecie wciśniętym na głowę, nawet kiedy stał przed komisarzem, w tandetnym, wymiętym ubraniu i podkutych gwoździami butach, jakich od końca drugiej wojny światowej już się nie widziało u nikogo. Chudy siedemdziesięciolatek, trochę przygarbiony od ciągłego kopania ziemi motyką, jeden z ostatnich okazów dawnej rasy na wymarcu. Miał błękitne oczy, które zaraz ujęły komisarza Montalbano.

– Chciał pan ze mną porozmawiać?

– Tak, panie komisarzu.

– Proszę usiąść – powiedział komisarz, wskazując mu krzesło po drugiej stronie biurka.

– Nie, dziękuję. Ta sprawa nie zajmie dużo czasu.

Można mu wierzyć, że nie zagrzeje tu miejsca, bo z pewnością jest człowiekiem małomównym, jakim powinien być prawdziwy chłop.

– Nazywam się Consolato Damiano.

Nazwisko to Consolato czy Damiano? W komisarzu tylko na chwilę odezwała się wątpliwość co do tego. Zaraz jednak pomyślał, że – zgodnie z zasadami zachowania wobec przedstawicieli władzy – chłop musiał mu wymienić, jak nakazywała tradycja, najpierw nazwisko, potem imię.

– Bardzo mi miło. Słucham pana, panie Consolato.

– Pan chce do mnie mówić po imieniu czy po nazwisku? – spytał chłop.

– Po nazwisku, przez pan. Nie mam zwyczaju...

– To muszę panu powiedzieć, że na nazwisko mam Damiano.

Montalbanowi zrobiło się głupio, że trafił jak kula w płot.

– Proszę, niech pan mówi.

– Wczoraj z rana wybrałem się do miasta, bo to był dzień targowy.

Targ rozkładał stragany co niedziela w górnej części Vigírty, koło cmentarza, który graniczy z polami. Kiedyś uprawiano na nich oliwki, migdały i winorośl, a teraz zmieniły się w nieużytki i wdzierало się na nie coraz więcej betonu, niezależnie od tego, czy pozwalały na to plany urbanistyczne, czy nie.

Montalbano cierpliwie czekał na dalszy ciąg opowieści.

– W tych dniach mój zwierzak rozbił mi garniec.

Czyli osioł rozbił mu jedną z tych wielkich glinianych amfor, w których woda ciągle jest świeża i chłodna i którą chłopci dawniej zawsze zabierali ze sobą do pracy w polu. Potwierdzało się wrażenie Montalbana, że Consolato Damiano jest wieśniakiem starej daty. I chociaż sprawa z osłem i amfora nie wyglądała na wydarzenie, które może interesować komisariat policji, nie odzywał się, chcąc wysłuchać całego ciągu powolnie płynącej opowieści Consolata.

– Jak przyszedłem na targ, to zaraz kupiłem sobie nowy garniec.

I ciągle jeszcze nie było w tej sprawie nic szczególnego.

– Wczoraj wieczorem nalałem do naczynia wody na próbę. Garniec musi być wypalony, jak trzeba, bo jak glina jest trochę surowa, to woda nigdy nie będzie w nim świeża.

Montalbano zapalił papierosa.

– Zanim poszedłem do łóżka, wylałem wodę. Ale razem z nią wypłynęła karteczka, która była w środku.

Montalbano jak na zamówienie zmienił się w posąg; znieruchomiał,

nadstawił uszu.

- Trochę czytać umiem. Skończyłem trzecią powszechną.
- To był list do kogoś?
- Może był, a może nie był.

Montalbano uznał, że lepiej nie przerywać opowieści Consolata pytaniami, tylko w milczeniu wysłuchać go do końca.

– To był oddarty z gazety skrawek papieru. Cały na wylot przemókł wodą. Ale gdy go położyłem przy kuchni, to wysechł.

W tym momencie pokazał się w drzwiach Mimě Augello.

- Salvo, nie zapominaj, że czeka na ciebie kwestor.
- Przyślij mi Fazia.

Chłop umilkł i uprzejmie czekał. Wszedł Fazio.

– Pan nazywa się Damiano Consolato. Posłuchaj, co ma nam do powiedzenia. Ja niestety muszę jechać. Do widzenia.

Kiedy wrócił do komisariatu, całkiem zapomniał o sprawie chłopca i jego amfory. Poszedł do gospody „San Calogero” zjadł pół kilo gotowanych ośmiorniczek, świeżych, rozplływających się w ustach, przyprawionych solą, czarnym pieprzem, czosnkiem, cytryną, natką pietruszki. Po powrocie do biura zobaczył Fazia i natychmiast przypomniał mu się Consolato Damiano.

- Czego chciał tamten chłop? Ten od amfory?

Fazio uśmiechnął się.

– Szczerze mówiąc, ta jego sprawa nie wygląda na nic poważnego i dlatego nie spieszyłem się, żeby ją panu zreferować. Zostawił mi kartkę, którą znalazł w amforze. To skrawek gazety z zeszłego roku, widać wyraźnie datę: 3 sierpnia 1997.

- Jaka to gazeta?

– Tego nie wiem, tytułu gazety na tym skrawku nie ma.

– I tylko tyle?

– Nie, bo na tej kartce jest parę słów napisanych ręcznie. Coś takiego: „Na pomoc! Zabije mnie!” Myślę jednak...

Montalbano obruszył się.

– I wydaje ci się, że to nic poważnego? Pokaż mi tę kartkę.

Fazio wyszedł, wrócił, podał komisarzowi wąski pasek papieru. Drukowanymi literami, dziecinnym pismem, ktoś napisał: NAPOMOC! MIZABIJE!

– Pewnie to głupi dowcip, komuś zachciało się zażartować z tego chłopca – stwierdził nieustępliwie Fazio.

Grafologom charakter pisma z pewnością coś mówi; komisarzowi, który nie był grafologiem, charakter tego pisma, te słowa niegramatyczne i nieporadne także jednak coś mówiły. Powiedziały mu mianowicie, że są prawdziwe, że jest to naprawdę prośba o pomoc. O dowcipie, jak chciał Fazio, trzeba zapomnieć. Ale przecież do głosu doszło tu tylko wrażenie, nic więcej. Dlatego Montalbano postanowił zająć się tą sprawą sam, nie mieszając do tego swoich podwładnych; a nuż jego starania nie wypalą, okażą się nieporozumieniem, wtedy przynajmniej nie narazi się na drwiące uśmieшки Augella i całej brygaderskiej kompanii.

Przypomniał sobie, że rejon, gdzie odbywał się targ, jest ściśle wytyczony i podzielony na wiele kwater oznakowanych liniami z wapna narysowanymi na ziemi. Prócz tego każda z kwater ma swój numer, żeby nie dochodziło do sporów i awantur między handlarzami. Zaczął więc od tego, że poszedł do urzędu miasta. Poszcęściło mu się. Urzędnik, który nazywał się De Magistris, wyjaśnił mu, że kwatery zarezerwowane dla handlujących

wyrobami glinianymi są tylko dwie. W pierwszej, której przydzielono numer osiem, wystawia swój towar Giuseppe Tarantino. Ta kwatery leży w dolnej części targu. A w części górnej, w pobliżu cmentarza, leży kwatery trzydzieści sześć, przydzielona drugiemu handlarzowi amforami i naczyniami z gliny, Antoniowi Fiorello.

– Ale musi pan wiedzieć, panie komisarzu, że sprawy nie zawsze tak się układają, jak to wygląda na papierze – powiedział De Magistris.

– Dlaczego?

– Dlatego, że handlarze dogadują się między sobą i często zamieniają się miejscami.

– Ci dwaj od amfor?

– Nie tylko ci. Na planie jest, powiedzmy, napisane, że numer dwadzieścia ma handlarz owocami i warzywami, a tymczasem gdy ktoś temu zaufa i tam pójdzie, natrafi na stragan z butami. Nas to nie obchodzi, wystarczy, że kupcy żyją ze sobą w zgodzie, bez awantur.

Montalbano wrócił do biura, poprosił Fazio o wskazówkę, jak ma dojechać do Consolata Damiano, wsiadł do samochodu i ruszył. Wieś Ficuzza, gdzie mieszkał chłop, była zabitym deskami odludziem, leżącym między Vigrą a Montelusą. Żeby dotrzeć na miejsce, musiał po półgodzinnej jeździe polną drogą zostawić auto i wspinać się w górę wąską dróżką przez następne pół godziny. Miał już tego dość, kiedy w końcu doszedł do małej chałupy.

– Halo? Jest ktoś w domu? – zawołał.

– Kto to? – usłyszał głos ze środka.

– Komisarz Montalbano.

Pokazał się Consolato Damiano w kaszkiecie na głowie i wcale nie wydawał się zdziwiony.

– Proszę wejść.

Rodzina Damiana siadała właśnie do stołu. Składała się ze starszej kobiety, o której Consolato powiedział, że to Pina, jego żona, czterdziestoletniego syna Filippa i jego trzydziestoletniej żony Gerlandy, która zajmowała się dwójką dzieci, chłopcem i dziewczynką. Jadalnia była duża, część, w której była kuchnia, miała także piec chlebowy na drewno.

– Zje pan z nami? – spytała pani Pina, dostawiając do stołu dodatkowe krzesło. – Dzisiaj mamy trochę makaronu z brokułami.

Montalbano podziękował i usiadł. Kiedy zjedli makaron, pani Pina wyjęła z pieca trzymaną w ciepłe pieczeń z kózki z ziemniakami. Danie było smaczne, delikatne i przyjemne, słowem, zgodne z naturą kózki, czy to żywej, czy nieżywej. Na koniec, widząc, że nikt go nie pyta, po co tu przyszedł, sam zaczął mówić.

– Panie Damiano, nie pamięta pan przypadkiem, na którym straganie kupił pan amforę?

– Dobrze pamiętam. Na tym bliżej cmentarza.

W kwaterze zajmowanej przez Tarantino. Ale on mógł przecież zamienić się miejscami z Horellem.

– Wie pan, jak się nazywa handlarz?

– Wiem. Nazywa się Pepč. Tylko nazwiska nie znam.

Giuseppe. Mógł to być tylko Giuseppe Tarantino. Rzecz rozwiązała się nadzwyczaj łatwo. Można ją było załatwić jednym telefonem. Ale gdyby w domu Consolata Damiano był telefon, Montalbano nie skosztowałby makaronu z brokułami i pieczonej kózki.

W biurze zastał Mimě Augella, który najwyraźniej czekał na niego.

– W czym rzecz, Mimě? Za pięć minut idę do domu. Zrobiło się późno i

czuję się zmęczony.

– Fazio powiedział mi o tej aferze z amforą. Połapałem się, że chcesz się tym zajmować po kryjomu i nie brać sobie nikogo z nas do pomocy.

– Zgadłeś. A co o tym myślisz?

– Co mogę myśleć? Rzecz może być równie dobrze poważna, jak też idiotycznie głupia. Ale kto wie, wykluczyć tego nie należy, może tu nawet chodzić o porwanie.

– Myślę tak samo jak ty. Jednak bierz pod uwagę rzeczywiste fakty: od ponad pięciu lat nie zdarzyło się u nas porwanie dla okupu.

– Żeby tylko od pięciu! Znacznie dłużej.

– W zeszłym roku także nie słyszało się choćby o próbie porwania.

– To jeszcze nic nie znaczy, Salvo. Mogło być i tak, że porywacze i rodzina porwanego woleli utrzymać w tajemnicy wiadomość o porwaniu i o swoich pertraktacjach.

– Nie sądzę. Dziś dziennikarze wiedzą wszystko, potrafią ci nawet przeliczyć włosy nie powiem gdzie.

– Dlaczego w takim razie mówisz, że to może być porwanie?

– Tak, porwanie, ale nie dla okupu. Już zapomniałeś o tym łajdaku, który porwał dziecko, żeby zamknąć gębę jego ojcu, bo ojciec gotów był współpracować z wymiarem sprawiedliwości? A potem to dziecko udusił i wpakował do kwasu solnego.

– Pamiętam, Salvo.

– Może tu chodzi o coś podobnego.

– Może, Salvo. Ale może też mieć rację Fazio.

– I dlatego nie chcę, żebyście mi się plątali pod nogami. Jeśli się pomylę, jeśli wdam się w głupstwo, przynajmniej tylko sam będę z siebie kpił.

Nazajutrz rano, o siódmej, poszedł raz jeszcze do urzędu miasta.

– Dowiedziałem się, że ten handlarz amforami, którym się interesuję, nazywa się Giuseppe Tarantino. Mogę dostać od pana jego adres?

– Naturalnie. Zaraz zajrzę do kartoteki – powiedział De Magistris.

Po pięciu minutach wrócił z kartką w ręku:

– Mieszka w Calascibetta, przy via De Gasperi 32. Chce pan także numer telefonu?

– Catarella, musisz mi wyświadczyć przysługę. Taka specjalną i ważną.

– Panie komisarzu, kiedy pan komisarz prosi mnie osobiście o przysługę dla pana komisarza, to jest to wielka przysługa dla mnie, że mnie pan komisarz o to prosi.

Barokowa uprzejmość Catarelli.

– Masz tu telefon, musisz tam zadzwonić. Odpowie ci Giuseppe albo Pepč Tarantino. A ty nic mu nie mów, że jesteś z policji. Spytaj go tylko, czy dzisiaj po południu będzie w domu.

Zobaczył, że Catarella jest zakłopotany i że tę karteczkę z zapisanym numerem telefonu obraca w palcach, odstawioną od siebie, jakby była jakimś odrażającym robakiem.

– Nie zrozumiałeś czegoś?

– Jeszcze nie jest to, panie komisarzu, całkowicie wytłumaczone.

– A o co idzie?

– Co mam zrobić, jak do telefonu nie podejdzie Giuseppe, tylko Pepč?

– To jest ten sam człowiek, Catarč.

– A jak nie odpowie mi ani Giuseppe, ani Pepč, tylko osoba inna niż oni?

– Powiesz wtedy, że chcesz rozmawiać z Giuseppe albo Pepč.

– A jak mi powie, że Giuseppe i Pepč wyszli?

– Podziękujesz i odłożysz słuchawkę.

Catarella już odchodził, ale komisarza naszły wątpliwości.

– Catarč, powtórz mi, co powiesz przez telefon.

– Już panu komisarzowi mówię, panie komisarzu, „Halo?” – on mnie spyta. „Posłuchaj – powiem mu – czy ty się nazywasz Giuseppe, czy Pepč, to ty jesteś i tak taką samą osobą” „Kto mówi?” – on mnie spyta. „To ciebie gównie obchodzi – powiem mu – kto do ciebie osobiście mówi. Ja nie jestem z policji. Zrozumiałeś? A ty z rozkazu pana komisarza Montalbano masz dzisiaj po południu nie ruszać się z domu”. Tak mu powiem. Tak będzie dobrze?

Komisarzowi uwiązał w gardle krzyk wściekłości, od którego pewnie popękałyby szyby. Cały był zlany potem z wysiłku, żeby nad sobą zapanować.

– Źle powiedziałem, panie komisarzu?

Głos Catarelli drżał, agent miał oczy jak baranek, który patrzy na połyskujący przed nim nóż rzeźniczy. Komisarzowi zrobiło się go żal.

– Wiesz co, Catarč, dobrze powiedziałeś. Ale zastanowiłem się i myślę, że będzie lepiej, jeżeli sam tam zadzwonię. Daj mi tę karteczkę z numerem.

Po drugim sygnale odpowiedział mu kobiecy głos. Musiała mówić młoda dziewczyna.

– Pani Tarantino?

– Tak. Kto mówi?

– Nazywam się De Magistris, pracuję w magistracie w Vigłcie i zajmuję się...

– Mojego męża nie ma.

- Ale nie wyjechał z Calascibetty?
- Nie, nie wyjechał.
- I wróci do domu na obiad?
- Na pewno wróci. Ale może powie mi pan, o co chodzi...
- Dziękuję pani. Zadzwońię po południu.

Załatwiał inne sprawy i zrobiła się jedenasta, kiedy mógł wreszcie wsiąść do samochodu i ruszyć do Calascibetty. Ulica Alcide De Gasperi leżała na obrzeżu, pod numerem trzydziestym drugim było wielkie podwórze, wypełnione po brzegi setkami amfor, wazonów, misek, garnków i innych glinianych naczyń. Stała na nim także poobijana furgonetka. Dom Tarantina, zbudowany z nieotynkowanego tufu, był parterowy, miał trzy pokoje w rzędzie i stał w głębi podwórza. Drzwi wejściowe były zamknięte. Montalbano stukał pięścią, bo nie było dzwonka. Otworzył mu młody, chyba trzydziestoletni mężczyzna.

- Dzień dobry. Giuseppe Tarantino to pan?
- Tak, ja. A z kim mam przyjemność?
- Nazywam się De Magistris. Dzwoniłem dzisiaj rano.
- Żona mi powtórzyła. O co panu chodzi?

Komisarz nie wymyślił sobie po drodze żadnego pretekstu. A Tarantino wykorzystał jego ociąganie się.

- Podatek zapłaciłem i licencję ciągle mam ważną.
- O tym wiemy, to mamy w kartotece.
- To o co jeszcze chodzi?
- Chodzi o warsztat Gdzie się znajduje?
- O jaki warsztat?

– O to, gdzie wytwarza pan swoje wyroby z gliny. Chodzi o piec i...

– Źle pana poinformowano. Nie produkuję amfor i wazonów sam. Kupuję w hurtowni. Dają mi zniżkę. Wożę je z targu na targ i mam z tego parę lirów.

W tej chwili dał się słyszeć świdrujący płacz noworodka.

– Mały się obudził – oznajmił Tarantino komisarzowi, jakby go upominał.

– Zaraz zostawię pana w spokoju. Proszę mi dać adres tej fabryki.

– Firma Marcuzzo i Synowie. Miejscowość nazywa się Catello, to przedmieście Vaccarelli. Jakies czterdzieści kilometrów stąd. Do widzenia.

I zamknął mu drzwi przed nosem. Montalbano nie dowiedział się, jaki sos do makaronu robi pani Tarantino.

Kręcił się przez dwie godziny w okolicy Catello, bo nikt nie umiał mu wskazać drogi na przedmieście Vaccarelli. Nikt też nie słyszał o firmie Marcuzzo wytwarzającej naczynia gliniane. Jak to możliwe, że nikt nic nie wiedział? A może nie chcieli mu pomóc, wyczuwając, że jest policjantem? Zdecydował się na krok, który był dla niego smutny i przykry: podjechał pod koszary karabinierów. Opowiedział o swoich kłopotach sierżantowi nazwiskiem Pennisi. A Pennisi, wysłuchawszy go, spytał:

– Czego pan potrzebuje od Marcuzzich?

– Dokładnie nie umiałbym powiedzieć, panie sierżancie. Pan na pewno wie o nich więcej niż ja.

– O Marcuzzich mogę powiedzieć tylko dużo dobrego. Wytwórnę założył na początku dwudziestego wieku ojciec dzisiejszego właściciela, który ma na imię Aurelio. Ten Aurelio ma dwóch pożenionych już synów i co najmniej dziesiątkę wnucząt. Mieszkają wszyscy razem w domu przy fabryce. Wydaje się panu, że można trzymać porwanego w domu, gdzie jest dziesięcioro dzieci? Tu wszyscy odnoszą się do Aurelia z szacunkiem, cenią go za

uczciwość i solidność.

– Dobrze, sierzancie, dajmy temu spokój. Spytałem pana zatem o coś innego. Ktoś w potrzebie, ktoś, kogo porwano albo komu czymś zagrożono, mógł wrzucić taką kartkę do amfory, tak żeby Marcuzzi nic o tym nie wiedzieli?

– To z kolei ja spytałem pana, panie komisarzu: dlaczego ktoś porwany, komu grożą śmiercią, miałby się znaleźć na terenie warsztatu Marcuzzich? Złoczyńca długo by się zastanawiał, czy może się kręcić w pobliżu, wiedząc, co o takich sprawach myślą Marcuzzi.

– Zatrudniają robotników? Urzędników?

– Nikogo. Wszystko robi rodzina. Nawet ich kobiety pracują.

Nagle przyszło mu coś do głowy.

– Jaką datę ma ta kartka z gazety? – spytał.

– Gazeta była z trzeciego sierpnia zeszłego roku.

– Tego dnia warsztat był na pewno zamknięty.

– Skąd pan to wie?

– Jestem tu od pięciu lat. I w ciągu tych pięciu lat wytwórnicy zawsze zamykali pierwszego sierpnia, a otwierali dwudziestego piątego. Wiem o tym, bo Aurelio telefonuje do mnie i daje znać, że wyjeżdżają. Jeżdżą wszyscy do Kalabrii, do rodziny żony starszego syna.

– Dlaczego zawiadamiają pana o wyjeździe?

– Żeby ktoś z moich agentów, kiedy znajdzie się w pobliżu warsztatu, rzucił tam okiem. Na wszelki wypadek.

– Kiedy ich nie ma tutaj, gdzie przechowują gotowe wyroby?

– W wielkim magazynie za domem. Z żelazną bramą. Jeszcze ich nigdy nie okradli.

Komisarz przez chwilę milczał. Po namyśle odezwał się.

– Może mi pan wyświadczyć jeszcze jedną grzeczność, panie sierżancie? Proszę zadzwonić do kogoś z Marcuzzich i spytać, którego dnia zeszłego roku dostarczyli przed letnią przerwą towar kupcowi z targu. Kupiec nazywa się Giuseppe Tarantino, mówi, że jest ich klientem.

Pennisi po zadaniu tego pytania przez telefon musiał poczekać dobre dziesięć minut. Najwyraźniej sprawdzali stare rejestry. W końcu ktoś coś powiedział, a sierżant podziękował i odłożył słuchawkę.

– Ostatni raz przekazali Tarantinowi towar po południu trzydziestego pierwszego lipca. Po otwarciu wytwórni przekazali mu następny rzut towaru dnia...

– Dziękuję panu, sierżancie, to mi wystarczy.

Wobec tego karteczka została wrzucona do amfory, kiedy już miał ją u siebie Tarantino. On trzyma towar na podwórzu i każdy ma do niego dostęp. Komisarz poczuł się zawiedziony.

Wracając, rozmyślał o wszystkim i nabrał przekonania, że niczego w tej sprawie nie docieknie. To stwierdzenie wpędziło go w zły humor. Wyładował się na Gallu, który nie załatwił mu czegoś, co mu polecił. Zadzwonił telefon. Najpierw odezwała się centralka.

– Panie komisarzu, to pan komisarz? Tu jest pan Dimastrissi, który chce osobiście rozmawiać z osobą pana komisarza.

– Tutaj, to znaczy gdzie?

– Tego nie wiem, panie komisarzu. Zaraz go spytam: „Gdzie pan jest?”

– Nie, Catarč. Chciałem tylko wiedzieć, czy jest tutaj u nas, w komisariacie, czy przy telefonie.

– Dzwoni telefonem, panie komisarzu.

– Połącz mnie z nim. Halo?

– Komisarz Montalbano? Tu De Magistris, wie pan, ten z magistratu.

– Słucham pana.

– Rzecz w tym, proszę mi wybaczyć pytanie, jestem zakłopotany, ale...

Czy pan przypadkiem nie jeździł do Tarantina, do tego od amfor, i nie przedstawił się moim nazwiskiem?

– Cóż mam panu powiedzieć? Tak było. Ale, widzi pan...

– Na litość boską, panie komisarzu, nie chcę nic więcej wiedzieć.

Dziękuję.

– Nie, nie, proszę wybaczyć. Skąd pan się o tym dowiedział?

– Zadzwoiła do mnie, do urzędu miejskiego, młoda kobieta. Mówiła, że jest żoną tego Tarantina. Chciała znać prawdziwą przyczynę, dlaczego przyjechałem do nich w porze obiadowej. Mnie zatkało, a ona pewnie zrozumiała, że zaszło jakieś nieporozumienie, i odłożyła słuchawkę. Chciałem pana o tym poinformować.

Dlaczego zaniepokoiła ją jego wizyta? A może to mąż kazał jej zatelefonować do magistratu, żeby coś więcej wiedzieć? W każdym razie ten telefon obudził w nim wątpliwości. Sprawa znowu stała się aktualna. Karteczka z numerem telefonu Tarantina leżała na biurku. Nie chciał tracić czasu. Odpowiedziała mu żona.

– Pani Tarantino? Tu De Magistris.

– Nie, nie, pan nie jest De Magistris. On miał inny głos.

– Dobrze, proszę pani. Nazywam się Montalbano, jestem komisarzem policji. Chciałbym rozmawiać z pani mężem.

– Męża nie ma. Zaraz po obiedzie pojechał na targ do Capofelice. Wróci za dwa dni.

– Proszę pani, muszę z panią pilnie porozmawiać. Wsiadam do samochodu i zaraz tam będę.

– Nie! Na litość boską! Nie może się pan pokazać w naszym mieście w dzień!

– O której wobec tego mam przyjechać?

– W nocy. Po północy. Kiedy na ulicach nie ma nikogo. I proszę z łaski swojej zostawić auto z daleka od naszego domu. A kiedy będzie pan szedł, nie może pana nikt widzieć. Na litość boską!

– Proszę pani, proszę się nie denerwować. Stanę się niewidzialny.

Zanim odłożył słuchawkę, usłyszał, że pani Tarantino zaczęła szlochać.

Drzwi były przymknięte, w domu było ciemno. Montalbano wszedł szybko jak kochanek i zamknął drzwi za sobą.

– Mogę zapalić światło?

– Dobrze, proszę zapalić.

Poszukał po omacku wyłącznika. W świetle ukazał się biedny salonik: kanapka, niski stolik, dwa fotele, dwa krzesła, etażerka. Kobieta siedziała na kanapce, twarz ukryła w dłoniach, łokcie opierała na kolanach. Drżała.

– Proszę się niczego nie obawiać – powiedział komisarz, nie ruszając się od drzwi. – Jeśli pani chce, zaraz stąd wyjdę.

– Nie, nie chcę.

Montalbano podszedł dwa kroki dalej, usiadł w fotelu. Dziewczyna wyprostowała się i popatrzyła mu prosto w oczy.

– Nazywam się Sara.

Pewnie nie miała nawet dwudziestu lat. Była drobna, zgrabna, miała przestraszone oczy; mała dziewczynka, która spodziewa się kary.

– Czego pan chce od mego męża?

Tak czy owak? W prawo czy w lewo? Jaką drogę wybrać? Owijać w bawełnę czy od razu wyłożyć kawę na ławę? Oczywiście nie zrobił ani tak, ani tak, i to nie z wyrachowania, tylko dlatego, że to, co ostatecznie powiedział, samo pojawiło mu się na ustach,

– Saro, dlaczego pani jest taka wystraszona? Czego się pani obawia? Dlaczego chciała pani, żebym był taki ostrożny, kiedy do pani przyjadę? W waszym mieście nikt mnie nie zna, nie wiedza, kim jestem i czym się zajmuję.

– Ale jest pan mężczyzną. A Pepč, mój mąż, jest strasznie zazdrosny. Może z tej zazdrości zwariować. Gdyby się dowiedział, że tutaj, do naszego domu, wszedł mężczyzna, to mógłby mi zabić.

Powiedziała właśnie tak: „mi zabić”. A Montalbano pomyślał: „Wobec tego to ty, droga Saro, napisałaś też «Napomoc!»„. Westchnął, wyciągnął nogi przed siebie, oparł plecy o oparcie fotela, rozsiadł się wygodnie. Już było po wszystkim. Nie doszło do żadnego porwania, nikomu nikt nie groził śmiercią. Tym lepiej.

– Dlaczego napisała pani tę karteczkę i wrzuciła do amfory?

– Bo mnie całą pobił. Bił pięścią, a potem przywiązał mnie do łóżka sznurem od studni. Tak mnie trzymał dwa dni i dwie noce.

– Za co? Co mu pani zrobiła?

– Nic nie zrobiłam. Przechodził tędy handlarz, co ma towar. Zapukał, to mu otworzyłam i mówiłam, że nie chcę nic kupić. A w tym czasie wrócił Pepč i zobaczył, że rozmawiam z tym mężczyzną. Zaraz oszalał.

– A potem? Kiedy już panią odwiązał?

– Jeszcze mi bił. Nie mogłam chodzić. Ale musiał jechać na targ i kazał mi załadować amfory na furgonetkę. Wtedy wzięłam gazetę, oddarłam czysty kawałek, zrobiłam pięć karteczek i wrzuciłam do pięciu amfor. Zanim

odjechał, to znowu mnie przywiązał sznurem. Tylko że tym razem umiałam się uwolnić. Dwa dni próbowałam, nie miałam siły. Potem było mi już wszystko jedno, poszłam do kuchni, wzięłam ostry nóż i przecięłam sobie żyły.

– Dlaczego pani nie uciekła?

– Nie mogłam. Bo go kocham.

Tak właśnie – tak po prostu.

– Wrócił, zobaczył, że umieram, bo się wykrwawiałam, to zawiózł mnie do szpitala. Powiedziałam mu, że dlatego to zrobiłam, bo tydzień wcześniej zmarła moja matka. Co było prawda. Po trzech dniach odesłali mnie do domu. A Pepč się zmienił. I tamtej nocy zaszłam w ciążę z tym naszym synkiem.

Zarumieniła się, oczy miała spuszczone.

– I już od tamtego czasu pani nie bił?

– Nie, już nie. Czasami zazdrość mu jeszcze wraca i rozbija wszystko, co mu się nawinie pod rękę, ale mnie nie rusza. No to czym innym zaczęłam się dręczyć. Nie spałam po nocach.

– O co szło?

– O to, że jakby ktoś znalazł te karteczki, teraz, kiedy już wszystko przeszło, i jakby Pepč się o tym dowiedział, że ja prosiłam o pomoc, że chciałam, żeby ktoś mnie od niego uwolnił, to by mógł...

– ...znowu znęcać się nad panią?

– Nie, panie komisarzu. Zostawiłby mnie.

Montalbano wszystko zrozumiał.

– Cztery kartki odnalazłam, były jeszcze w amforach. Ale piątej nie. I kiedy pan przyszedł, i kiedy zrozumiałam po telefonie do tamtego pana w magistracie, że pan przybrał sobie nieprawdziwe nazwisko, to pomyślałam,

że karteczkę znalazła policja i zaraz aresztuje Pepč i wypyta go, czy coś o tym wie...

– Zabieram się, Saro – powiedział Montalbano, wstając.

Z drugiego pokoju rozległ się płacz noworodka, który właśnie się obudził.

– Mogę go zobaczyć? – poprosił Montalbano.

Tu chodzi o miliardy

– Panie komisarzu! Panie komisarzu! Czy jest pan osobiście, panie komisarzu, we własnej osobie?

Któraż to, jego mać, może być godzina? Spojrzał na budzik stojący na szafce nocnej, całkiem nieprzytomny ze snu. Wpół do szóstej. Zaniepokoił się. Jeżeli Catarella budził go o tej porze, dobrze wiedząc, na co się naraża, to sprawa była na pewno poważna.

– Co się dzieje, Catarč?

– Wynaleźli samochód pani Pagnozzi i tej pani Pagnozzi męża, komandora.

Komandor Aurelio Pagnozzi, który był jednym z najbogatszych ludzi w Vigricie, zaginął razem z żoną poprzedniego wieczoru.

– Tylko samochód znaleźli? A oni gdzie?

– Oni są w samochodzie, panie komisarzu.

– I co z nimi?

– Co może być z nimi? Pomarli, są już jako trupy.

– A jak zmarli?

– Zmarli, panie komisarzu, bo jakby mogli jeszcze żyć? Samochód spadł na wprost do przepaści, przeleciał ze sto metrów, a teraz leży na samym dnie.

– Catarč, chcesz powiedzieć, że mieli wypadek? Że nie wmieszał się w to nikt trzeci?

W słuchawce nastąpiła cisza, Catarella chyba się pogubił.

– Nie, panie komisarzu, ten Trzeci się nie wmieszał, bo Fazio pojechał

tam, na miejsce, i wcale mi nie dał takiego nazwiska.

– Catarč, kto ci kazał do mnie zadzwonić?

– Nikt, panie komisarzu. Ja sam nakazałem sobie samemu, bo tak pomyślałem. A jakby pan potem dowiedział się, że ja panu o tym wcale nie powiedziałem, toby się pan jak nic nade mną wyzwierał.

– Catarč, przecież wiesz, że to nie nasza sprawa, nie jesteśmy policją drogową, prawda?

– Tak, panie komisarzu, właśnie myślałem sobie, żeby o to pana koniecznie spytać: Jak zabijają kogoś na środku drogi, to my się do tego bierzemy czy policja drogowa?

– Później ci to wyjaśnię, Catarč.

Komisarz Montalbano odłożył słuchawkę, zamknął oczy, stracił pięć minut, próbując zasnąć na nowo, wreszcie westchnął i wstał.

O siódmej był już w biurze, w nastroju czarnym jak smoła.

– Gdzie Catarella? Mam mu coś do powiedzenia.

– Przed chwilą poszedł do domu – odpowiedział Galluzzo, który go zastąpił przy centralce telefonicznej. Pojawił się Fazio.

– No i co? Co to takiego z tym Pagnozzim i jego żoną?

– Nic, komisarzu, oboje zginęli. Wczoraj wieczorem przyszedł tu Giacomino Pagnozzi, żeby nas zawiadomić, że jego ojciec i macocha nie przyjechali do niego o ósmej, jak się umówili. Począł na nich godzinę, a potem ich szukał przez komórkę. Ale nie odpowiadali. Zaczął się martwić i próbował ich szukać, jeżdżąc od znajomych do znajomych. Nikt nic nie wiedział. Mniej więcej o wpół do jedenastej przyjechał tutaj, do komisariatu, i powiedział, że pewnie coś im się przydarzyło. Wyjaśniłem mu, że chodzi tu o osoby dorosłe i do ich poszukiwania możemy się zabrać dopiero po upływie dwudziestu czterech godzin od złożenia doniesienia. On mi na to

odpowiedział niegrzecznie i wyszedł poirytowany.

– Co ci odpowiedział?

– Że my wszyscy możemy się nawzajem pocałować w dupę.

– Nie byłeś sam, kiedy z nim rozmawiałeś?

– Byłem sam. Ale mi odpowiedział właśnie tak: możecie się pocałować wszyscy, z panem komisarzem włącznie.

– Dobrze. Wał dalej.

– Około czwartej w nocy zatelefonował do nas. Catarella od razu zerwał mnie z łóżka. Giacomino sam ich znalazł. Na dnie przepaści. Za kierownicą siedziała żona, musiała stracić panowanie nad autem albo na moment usnęła, nie wiadomo. Auto spadło, ale się nie zapaliło. Oni oczywiście zginęli. Kiedy już byłem na miejscu, przyjechał także wicekomisarz Augello.

– Po co? Kto mu dał znać?

– Zatelefonował do niego Giacomino Pagnozzi. Bo, jeśli czegoś nie popłatałem, wicekomisarz przyjaźnił się z ich rodziną.

– No to niech spoczywają w spokoju.

Montalbano był tego ranka z raportem u kwestora w Montelusie. Przyjechał dwie godziny za wcześnie i zabijał czas u Jacomuzziego z sądówki, bo lubił z niego pokpiwać.

Wrócił do Vigrty i zastał Mimě Augella z twarzą jak na Święto Zmarłych.

– Nieszczęśni ludzie, strach było na nich patrzeć. Pani Stefania wyglądała tak, jakby przejechała po niej ciężarówka, była nie do poznania.

W tonie głosu jego zastępcy zabrzmiało coś, co w mózgu komisarza zapaliło jakieś światełko. Był prawie pewien, że dobrze to wyczuł, znał Mimě od wielu lat.

– Przyjaźniłeś się z jej mężem?

- No, właściwie tak, z nim także.
- Co to znaczy „także”? Z kim się przyjaźniłeś wobec tego?
- Raczej z biedną Stefanią.
- Ciekawe, od kiedy zdarza ci się zadawać z paniami w pewnym wieku? Pagnozzi przecież już dawno przekroczył sześćdziesiątkę.
- To co innego... bo, widzisz... Stefania była jego drugą żoną. Ożenił się z nią, kiedy został wdowcem.
- A ją jak poznałeś, tę panią Stefanię?
- Wcześniej była jego sekretarką.
- Aha. Ile wtedy miała lat?
- Nigdy jej o to nie spytałem. Ale tak na oko pewnie trzydzieści, może mniej.
- Mimě, z ręką na sercu: miałeś ją w łóżku?
- No... widzisz, Salvo... dziewczyna była taka ładna... Próbowałem, szczerze mówiąc, ale nic z tego nie mogło wyjść, bo widać było gołym okiem, że jest zakochana w Pagnozzim.
- Kpisz sobie ze mnie? Pomijając te trzydzieści lat różnicy, nieboszczyk Pagnozzi był jednak szpetny jak mało kto, zraziłby do siebie nawet płatnego mordercę.
- Nie mówię o Pagnozzim ojcu, tylko o Pagnozzim synu.
Montalbano nie dawał wiary temu, co usłyszał.
- Co ty mi znowu mówisz?
- Mówię ci prawdę. Pól Vigírty wiedziało, że Stefania i Giacomino, syn z poprzedniego małżeństwa, trzydziestolatek jak ona, byli kochankami. To dlatego Giacomino, kiedy nie wrócili, zaczął się martwić. Nie szło mu o ojca, który go gównu obchodził, tylko o macochę. W nocy, kiedy zobaczył jej

zwłoki, zemdłał.

- A mąż o tym wiedział?
- Rogacz zawsze dowiaduje się ostatni.
- Giacomino mieszkał razem z ojcem?
- Nie, mieszkali osobno.

Dłużej tej sprawy nie ciągnęli, zaczęli rozmawiać o czymś innym.

Rano Montalbano wezwał do siebie Mimě Augella, którego poprzedniego dnia nie było w biurze całe popołudnie.

– Wejdz, Mimě, i zamknij drzwi. Wiesz dobrze, że na pewne sprawy całkiem nie zwracam uwagi, i tyle. Kiedy jednak przychodzi ci ochota nie pokazywać się w komisariacie, to przynajmniej daj mi o tym znać.

– Salvo, przecież wszyscy znają numer mojej komórki, poczynając od Fazia, a na Catarelli kończąc! Wystarczy zadzwonić i stawiam się.

– Mimě, ty z tego, co ci powiedziałem, niewiele zrozumiałeś. Masz tu być do dyspozycji, a nie stawiać się, kiedy się ciebie wzywa jak do pożaru.

– W porządku, przepraszam. Nie było mnie tutaj, bo kręciłem się tam, razem z rzeczoznawcą od ubezpieczeń.

– Od jakich ubezpieczeń, Mimě?

– No, wiesz... już mi się płacze w głowie... Chodzi o tych Pagnozzich.

– Czy to twój interes, Mimě? A może coś podejrzewasz?

– Tak, podejrzewam – odpowiedział zdecydowanie Mimě.

– Co takiego? Powiedz, ulżyj sobie.

– Jak wiesz, to zasrane auto, to bmw, nie zapaliło się, chociaż zbiornik z benzyną w chwili wypadku był prawie pełen. Przejrzeliśmy wszystko. W schowku przy kierownicy leżał rachunek za generalny przegląd zrobiony w

dniu wypadku w stacji BMW. Pojechaliśmy do mechanika, do Parrinella; znasz go, ma warsztat koło elektrowni. Powiedział, że samochód przywiózł do niego Giacomino...

– Nie ma własnego auta?

– Ma, ale kiedy chce jechać gdzieś dalej z Vigrty, pożycza auto od ojca. A właśnie jechał do Palermo. Kiedy wrócił, mówił w warsztacie, że silnik jakoś dziwnie hałasuje. Ale Parrinello powiedział nam, że skontrolował wszystko i że właściwie samochód był w porządku, do naprawy były tylko jakieś głupstwa. Oddał go Stefaniu około szóstej. Przyjechała po auto razem z mężem.

– Wiadomo, dokąd mieli jechać?

– Naturalnie. Giacomino o tym wiedział. Umówili się w swoim wiejskim domu, parę kilometrów za Vigrtą, z technikiem budowlanym. Technik to potwierdził. Spędził z nimi godzinę i odjechał. Od tamtej chwili aż do odnalezienia samochodu nic już o nich nikomu nie było wiadomo. Można tylko założyć...

– Co mówią ci od ubezpieczeń?

– Nie rozumiem tego wypadku. Bmw pojechało prosto, zamiast wziąć zakręt. Przejechało tak może sto metrów i runęło w przepaść. Nie ma śladu hamowania. A ponieważ do przedwczoraj padało, widać wyraźnie, że koła jechały prościutko na sam skraj urwiska.

– Może pani Stefania zasłabła?

– Nie żartuj! Była zwariowana na punkcie kondycji, nie wychodziła z siłowni. W zeszłym roku była nawet w Nairobi na kursie przetrwania.

– Co mówił doktor Pasquano?

– Przeprowadził sekcję. Mężowi, jak na jego lata, nic nie dolegało. A ona, jak się wyraził Pasquano, była niezawodną maszyną. Przed wypadkiem nic

nie jedli i nic nie pili. Ale mieli stosunek.

– Jak to?

– Tak mówi Pasquano. Pewnie zachciało im się pójść do łóżka, kiedy technik odjechał. Tamten dom był bardzo przytulny. Wyłączyli komórkę, żeby mieć spokój. Potem pewnie trochę się zdrzemnęli. Kiedy zrobiło się ciemno, wsiedli do auta i wracali. Wtedy doszło do wypadku. Innego wyjaśnienia nie ma. To jest najbardziej prawdopodobne.

– No tak – odpowiedział zamyślony komisarz.

– Prócz tego Pasquano – ciągnął dalej Augello – podał mi pewien szczegół, który może wyjaśnia, co się działo w czasie wypadku. Biedna Stefania miała paznokcie u rąk całkiem połamane. Na pewno próbowała otworzyć drzwi. Może rzeczywiście na zakręcie poczuła się źle, ale zaraz ocknęła się, kiedy zobaczyła, na co się zanosi, i próbowała otworzyć drzwi. Na to było już za późno.

– Czy ja wiem? – powiedział Montalbano.

– Dlaczego mówisz: „czy ja wiem”?

– Bo młoda kobieta, tak wysportowana, po kursie przetrwania nawet w najgorszych warunkach i tak dalej, musi mieć dobry refleks. Gdy przytomnieje po chwili zamroczenia i rozumie, że auto pędzi prosto w przepaść, nie stara się otworzyć drzwi, tylko po prostu hamuje. A hamulce, jak mówiłeś, były w porządku.

– Czy ja wiem? – powiedział tym razem Mimě Augello.

W południe komisarz, zamiast odjechać natychmiast do Marinelli („Jutro będzie pan miał w lodówce sardynki w zalewie” – napisała mu poprzedniego dnia gospoia Adelina) i rozkoszować się sardynkami, pojechał w stronę Montelusy i w stosownym miejscu skręcił na szosę do San Giovanni, na

której doszło do wypadku. Na drugim zakręcie pojechał prosto, tak jak bmw Pagnozziego, i zahamował na krawędzi przepaści. Wszędzie widać było ślady kół samochodowych i jakiegoś specjalnego dźwigu, który wyciągnął wrak bmw. Montalbano postał jakiś czas, paląc i rozmyślając. Potem uznał, że już zasłużył na sardynki w zalewie, wsiadł do auta i ruszył do Marinelli. Rybki okazały się znakomite, po ich zjedzeniu komisarz mógłby drzemać i mrużyć jak kot.

A tymczasem od razu dorwał się do telefonu i zadzwonił do swojej przyjaciółki Szwedki, Ingrid Sjostrom, która wyszła za mąż za Cardamonego, ale która u siebie w Szwecji była mechanikiem samochodowym.

– Halgo? Halgo? Jaki ktoś tam mówi?

W domu Cardamonego zawsze zatrudniano egzotyczne pokojówki, ta była chyba Aborygenką z Australii.

– Tu Montalbano. Zastałem panią Ingrid?

– No pewnie.

Usłyszał kroki Ingrid podchodzącej do telefonu.

– Salvo? Zrobiłeś mi wspaniałą niespodziankę! Chyba sto lat minęło...

– Możemy się spotkać dzisiaj wieczorem?

– Naturalnie. Miałam jedna sprawę do załatwienia, ale mam ją w nosie, o której?

– O dziewiątej, w tym samym barze co zawsze, w Marinelli.

Ingrid w swojej jesiennej wersji wyglądała świetnie: miała na sobie spodnie i żakiet, była bardzo elegancka. Zamówili aperitif, Montalbano wyraźnie wyczuł życzenia pod swoim adresem, jakby mężczyźni siedzący w barze głośno je wypowiedzieli. Wszyscy życzyli mu w duchu niespodziewanej impotencji.

– Posłuchaj, Ingrid, masz trochę czasu?

– Ile chcesz.

– Wspaniale. Zrobimy tak; dopijemy aperitif i pojedziemy coś zjeść do gospody leżącej przy szosie do Montereale, bo tam, jak słyszałem, nieźle karmią. Potem wstąpimy do mnie i trochę poczekamy, aż się ściemni...

Ingrid uśmiechnęła się zaczepnie.

– Salvo, nie musimy koniecznie czekać, żeby się całkiem ściemniło. Wystarczy zamknąć szczelnie okiennice i już mamy noc. Nie wiesz o tym?

Ingrid zawsze go prowokowała, a on zawsze udawał, że nie wie, o co jej chodzi. Kiedy był chłopcem i chodził na „lekcje pobożności” to znaczy na katechezę, proboszcz wyjaśnił mu, że grzechów, żeby rzeczywiście były grzechami, wcale nie musi się popełniać, wystarczy pomyśleć grzesznie. Jeżeli chodzi o uczynki i postęпки, jak mówi formuła, to komisarz wcale się z Ingrid nie nagrzeszył, mógłby stanąć przed Najwyższym czysty jak aniołek. Ale jeśli chodzi o myśli, sprawy wyglądały radykalnie inaczej; za nie stoczyłby się w najgłębsze kręgi piekła. Jednak to nie z winy Ingrid rzeczy nie kończyły się tak, jak powinny się kończyć między mężczyzną a kobietą, tylko z winy komisarza, bo to on nie chciał zdradzić Livii. A Szwedka z kobietą przekorą nie dawała mu w tej sprawie spokoju.

W gospodzie nie było prawie nikogo. Montalbano mógł Ingrid spokojnie wyjaśnić, co przyszło mu do głowy, nie musiał przy tym zachowywać się jak konspirator. W domu w Marinelli Ingrid przebrała się w spodnie Montalbana, które sięgały jej zaledwie do połowy łydki. Wsiedli do samochodu, pojechali w stronę San Giovanni i tam Ingrid zrobiła to, o co ją komisarz prosił – udało się jej to za pierwszym razem. Wrócili do Marinelli. Ingrid rozebrała się, poszła pod prysznic, ale nie chciała, żeby komisarz odwiózł ją pod bar, gdzie się spotkali i gdzie zostawiła samochód. Wyszła z domu, gwizdząc. Matko Przenajświętsza, jakaż to wspaniała kobieta! Nie zadała mu żadnego pytania,

dlaczego naraził ją na tak ryzykowną próbę. Nie spytała o nic – taka właśnie była: jeżeli przyjaciel, który był prawdziwym przyjacielem, o coś ją prosił, robiła to, i tyle. Gdyby na miejscu Szwedki była tamtego wieczoru Livia, wyschłoby mu w gardle od nieustannych wyjaśnień, bo Livia ciągle miałyby jakieś wątpliwości.

Zasnął od razu, chyba nawet nie zdążył zamknąć oczu, a już spał.

Chociaż rano pogoda była dość zmienna i czasami słońce zakrywały chmury, nastrój Montalbana wydał się jego brygadierom w komisariacie bardzo radosny.

– Przyślijcie mi wicekomisarza Augella i nie łączcie mnie z nikim.

Mimě pojawił się natychmiast, chyba biegł.

– Odetchnij, Mimě, siadaj i posłuchaj. Założmy, że Pagnozzi zginąłby sam, na jakiś tam swój sposób, to kto by po nim dziedziczył?

– Żona. Coś by uszczknął syn, ale Pagnozzi z synem nie żył w zgodzie.

– Duży był ten spadek?

– Tu chodzi o miliardy.

– A teraz, skoro żona nie żyje, to kto dziedziczy?

– Giacomino, syn. Jeżeli nie byłoby testamentu z jakimiś obwarowaniami.

– A jest?

– Dotąd nie wypłynął na wierzch.

– Myślę, że nie wypłynie.

– Ale powiedz, Salvo, dlaczego mnie o to pytasz?

– Coś mi przyszło do głowy, a to coś po części potwierdzają fakty. Powiem ci teraz, co myślę, resztą sam się zajmiesz.

– Naturalnie. Mów.

– Otóż pani Stefania, bądź co bądź żona, jedzie z mężem odebrać auto do Parrinella. Potem udają się do domu na wsi porozmawiać z technikiem budowlanym. Kiedy technik odjeżdża, pani Stefani zachciewa się łóżka, więc przechodzą do sypialni. Pagnozzi jest oczywiście szczęśliwy, myślę, że już nieczęsto sypiali ze sobą, skoro ona, jak mówiłeś, była zakochana w swoim pasierbie. A wiesz, Mimě, po co było to łóżko?

– Nie wiem, A skoro nie wiem, to mi wyjaśnij.

– Ponieważ trzeba było, żeby zrobiło się ciemno. Ubierają się i wracają do Vigrty. Na szosie nie ma żywej duszy. Przed drugim zakrętem ona jakoś wykańcza męża. Zdziela go czymś po głowie, pewnie go nie zabija, tylko ogłusza. Jedzie wolno w stronę urwiska, wcale nie musi pędzić, to tylko my dzisiaj wyobrażamy sobie, że auto mknęło wtedy bardzo szybko. A kiedy bmw już niemal wisi nad przepaścią, próbuje otworzyć drzwi i wyskoczyć.

– Żeby i tak zginąć.

– Nie, Mimě, co do tego wszyscy się mylicie. To prawda, że tam już zaczyna się krawędź urwiska, ale przed nią jest jeszcze rodzaj tarasu, platforma długa na pięć–sześć metrów i na dwa szeroka. Pani Stefania liczyła na to, że po wyskoczeniu spadnie na nią, a samochód z mężem runie w dół. Tymczasem drzwi nie otworzyły się, chociaż połamala sobie paznokcie, szarpiąc je i próbując otworzyć.

– Mam wierzyć w to, co mówisz?

– To ten jedyne szczegół, który ujawniła sekcja zwłok, podsunął mi podejrzenia. Dlaczego nie hamowała? Dlaczego chciała tylko wypaść z auta?

– Jesteś pewien tego, co mówisz?

– Ingrid zrobiła próbę wczoraj wieczorem.

– Zwariowałeś? Naraziłeś życie tej dziewczyny? Oboje jesteście niespełna rozumu, i ty, i ona.

– Nie, nie, mylisz się. Wczoraj po obiedzie pojechałem tam, a potem kupiłem cztery żelazne paliki, dwadzieścia metrów sznura i razem z Ingrid wygradziliśmy krawędź tarasu przed próbą. Chcesz coś wiedzieć? Ingrid wypadła na platformę i zatrzymała się dość daleko od tego wygradzenia, a pani Stefania, z tą swoją gimnastyką i szkoła przetrwania, na pewno poradziłyby sobie z czymś takim jeszcze lepiej. A gdyby potem zjawiała się u nas w komisariacie, z siniakami i otartą skórą, byłoby to dla niej tym lepsze, boby potwierdzało jej wersję wypadku. Usłyszelibyśmy, że zasłała, że trochę za późno oprzytomniała i że kiedy zorientowała się, na co się zanoszi, otworzyła drzwi i wyskoczyła. I zaczęłaby płakać, wstrząśnięta tak straszliwą śmiercią swojego biednego męża. A potem zaczęłaby się pocieszać odziedziczoną fortuną, razem ze swoim wspaniałym wybrańcem, najdroższym Giacomino.

Mimě Augello przez chwilę siedział w milczeniu, myśli obracały mu się w głowie jak w młynie, ale w końcu zdecydował się coś powiedzieć.

– Więc, twoim zdaniem, w tym przypadku mamy do czynienia z rozmyślnym zabójstwem, a nie z jakąś chwilową niedyspozycją czy mechanicznym uszkodzeniem?

– Myślę właśnie tak, jak mówisz.

– Ale jeżeli samochód był w jak najlepszym stanie, dlaczego drzwi się nie otworzyły?

Montalbano nic na to nie odpowiedział, tylko wpatrywał się bez słowa w swojego zastępcę. „Jeszcze chwilka, a sam na to wpadnie – myślał – przecież też na karku ma głowę dobrego gliniarza” I Mimě Augello rzeczywiście zaczął myśleć na głos,

– Czy z tymi drzwiami nie mógł coś wykombinować Parrinello, mechanik?

– I co by to dało?

– Pewnie nic, bo kiedy przyjechali na wieś, do domu, wysiedli przecież z auta bez kłopotów z drzwiami, prawda? Gdyby drzwi się zacinały, to Stefania, zorientowawszy się w tym, że może ryzykować życie, odłożyłaby te plany na lepszą okazję. Nie mógł też zepsuć zamka technik budowlany.

– Czyli mówisz mi, Mimě, że musiał tu być jakiś dodatkowy plan, dołączony do tamtego ustalonego. Ktoś, kto wiedział, w jaki sposób Stefania ma wykończyć męża, wtrącił się do tego i odpowiednio przygotował drzwi. Rusz jeszcze trochę mózgownicą.

– O Jezu! – zawołał nagle Augello.

– Otóż to, Mimě, właśnie tak. Kochany Giacomino nie czekał cierpliwie w domu na swojego ojca i na kochankę macochę. Plan ułożyli wspólnie, on i Stefania. Ale kiedy żona, zgodnie ze scenariuszem, idzie do łóżka i zabawia się z mężem, Giacomino, ukryty gdzieś w pobliżu domu, wychodzi z kryjówki i majstruje przy drzwiach tak, żeby raz zamknięte nie mogły się otworzyć. Sam powiedziałaś, że tu chodzi o miliardy. Po co dzielić się miliardami z kobietą, która w każdej chwili może go szantażować? Więc kiedy Stefania wsiada do samochodu i jedzie zabić męża, nie wie, że zamykając za sobą drzwi w aucie, zamyka też nad sobą wieko trumny. A resztą, Mimě, zajmij się sam.

Pod koniec trzeciego dnia przesłuchania Giacomino Pagnozzi przyznał się do winy.

Tak to robiła Alicja

Czymś najgorszym, co mogło spotkać komisarza Montalbano jako naczelnika komisariatu w Vigście (i co spotykało go nieuchronnie w mniej więcej równych odstępach czasu), był obowiązek podpisywania pism urzędowych. Na znienawidzone pisma składały się raporty, informacje, relacje, sprawozdania, komunikaty, czyli dokumenty, o które najpierw zwyczajnie prosiły i których potem coraz natarczywiej domagały się „odnośne urzędy” Montalbano na samą myśl o podpisywaniu odczuwał dziwny paraliż prawej ręki, a to uniemożliwiało mu nie tylko redagowanie tych pism (o to musiał zadbać Mimě Augello), ale choćby tylko umieszczanie na nich podpisu.

– Proszę o byle jaką parafkę! – błagał Fazio.

I nic. Ręka buntowała się i nie ruszała z miejsca. Dlatego przygotowane pisma gromadziły się na stole Fazia i z dnia na dzień ich sterta stawała się coraz wyższa. W końcu dochodziło do tego, że robiła się zbyt wysoka i przy najlżejszym przeciągu kartki ześlizgiwały się i spadały na posadzkę. Rozsypane, sprawiały urocze wrażenie leżącego śniegu. W takich okolicznościach Fazio, zachowując anielską cierpliwość, zbierał je i porządkował, a potem brał na ręce wysoką stertę, otwierał sobie nogą drzwi do pokoju przełożonego i umieszczał cały ten wybuchowy ładunek na jego biurku, nie odzywając się ani słowem.

Montalbano zaczynał wtedy krzyczeć, żeby nikt nie odważył się mu przeszkadzać, i przeklinając, zabierał się do roboty.

Tego ranka Mimě Augello poszedł do gabinetu Montalbana i po drodze nie

spotkał nikogo, kto by go przestrzegł („Wicekomisarzu, na Boga, nie teraz. Wygląda na to, że komisarz podpisuje!”), wszedł więc do niego z nadzieją, że drogi Salvo pocieszy go po jego ostatnim niepowodzeniu. Początkowo wydało mu się, że w pokoju nie ma nikogo, i chciał wyjść. Ale zatrzymał go poirytowany głos komisarza zasłoniętego po czubek głowy stertą papierów.

– Kto to?

– To ja, Mimě. Nie chciałem ci przeszkadzać, przyjdę później.

– Mimě, ty zawsze mi przeszkadzasz. Teraz czy później, co to za różnica? Bierz krzesło i siadaj.

Mimě usiadł.

– No to co? – spytał komisarz po dziesięciu minutach.

– Posłuchaj – powiedział Augello – nie umiem z tobą rozmawiać, jeżeli cię nie widzę. Dzisiaj dajmy sobie z tym spokój.

Zamierzał wstać i wyjść. Montalbano pewnie usłyszał odgłos odsuwanego krzesła i zaczął mówić jeszcze bardziej poirytowanym głosem.

– Powiedziałem ci, żebyś usiadł.

Nie chciał, żeby Mimě mu się wymknął; był mu potrzebny, bo mógł się na nim wyładować. Przecież podpisywał, a ręka od tego już mu całkiem ścierpła.

– Mów, co się dzieje, na co czekasz?

Mimě nie mógł się już wymknąć. Odchrząknął.

– Nie udało się nam z Tarantinem. Nie mamy go.

– Jeszcze raz nic z tego?

– Jeszcze raz.

Wyglądało na to, że nagle otworzyło się na oścież okno i potężny podmuch wiatru zrzucił wszystkie papiery z biurka. Ale okno było zamknięte, a

papiery wyrzucił w górę Montalbano, którego wystraszony Mimě mógł wreszcie zobaczyć twarzą w twarz.

– A pies was wszystkich!... Pies was tam i z powrotem!

Montalbano poniosła złość, zerwał się, zaczął krążyć po pokoju, wziął papierosa do ust, Mimě podsunął mu zapalnik, Montalbano zapalił, zaciągnął się, rzucił palącą się jeszcze zapalnik na ziemię, czy raczej na leżące na posadzce dokumenty, a te zaraz się zajęły, jakby tylko na to czekały. Były to cieniutkie kartki przebitkowe. Mimě i Montalbano rzucili się jak gdyby do indiańskiego tańca, próbując zdeptać ogień, ale potem, kiedy zrozumieli, że sobie nie poradzą, Mimě porwał z biurka przełożonego butelkę wody mineralnej i zalał nią płomień. Opanowawszy początek pożaru, zdecydowali, że nie ma sensu siedzieć dłużej w biurze, gdzie i tak chwilowo nie dało się urzędować.

– Idziemy na kawę – zaproponował komisarz, któremu złość jakoś przeszła. – Daj tylko znać Faziowi, że narobiliśmy trochę szkód.

Picie kawy przeciągnęło się, zajęło im pół godziny. Kiedy wrócili do gabinetu, wszystko było już uprzątnięte, tylko w powietrzu czuło się jeszcze nikły zapach spalenizny. Papiery zniknęły.

– Fazio!

– Słucham, komisarzu, do usług.

– Gdzie się podziały papiery?

– Papiery wyniosłem do siebie, będę je porządkował. Ale są mokre, na razie je suszę. Dziś o podpisywaniu nie ma już mowy, może pan być spokojny.

Wyraźnie rozpogodzony, Montalbano uśmiechnął się do Mimě.

– I tak to, drogi przyjacielu, Tarantino raz jeszcze wystawił was do wiatru?

Na odmianę spochmurniał Augello.

– Ten człowiek wyślizguje się nam jak wąż.

Giovanni Tarantino, od paru lat poszukiwany za oszustwa finansowe, czekał bez pokrycia i sfałszowane weksle, był wytwornym czterdziestolatkiem, zachowywał się uprzejmie, odnosił się do ludzi otwarcie, a to zapewniało mu sympatię i budziło do niego bezgraniczne zaufanie. Kiedy wdowa Percolla, którą oszukał na ponad dwieście milionów, składała na niego doniesienie, na koniec zatroskanym głosem dodała:

– A taki był elegancki.

Ujęcie ukrywającego się Tarantina stało się z czasem punktem honoru Mimě Augella. Aż osiem razy w ciągu dwu lat wdzierał się do domu Tarantina, pewien, że go tam zaskoczy, ale za każdym razem spotykał go zawód: oszust rozwiewał się jak dym.

– Dlaczego wbiłeś sobie do głowy, że Tarantino pokazuje się w domu, że odwiedza żonę?

Mimě odpowiedział na to pytaniem;

– A widziałeś kiedyś panią Tarantino? Giulie, ona ma na imię Giulia.

– Nie znam Giulii Tarantino. Jaka jest?

– Piękna – odpowiedział zdecydowanie Mimě, który naprawdę znał się na kobietach. – Żeby tylko piękna! Giulia należy do tych, o których w naszych stronach kiedyś się mówiło, że „prosi się do łóżka” W taki sposób na ciebie patrzy, tak ci podaje rękę, tak zakłada nogę na nogę, że spokoju nie masz. Daje ci do zrozumienia, że mógłbyś ją położyć na prześcieradle, a ona by się rozpałała żywym ogniem, jak te papiery przed chwilą.

– I to dlatego latasz tam często po nocach na rewizję?

– Mylisz się, Salvo. Powiem ci prawdę, a wiesz, że cię nie okłamuję. Nabrałem pewności, że tę kobietę bardzo to bawi, że nie umiem ująć jej męża.

– Przecież to rozumiałe, Mimě.

– Po części rozumiałe. Ale sądząc z tego, jak na mnie patrzy, kiedy odchodzę, myślę, że rozbawia ją także co innego. Cieszy się, że ze mną wygrała. Ze mną jako mężczyzną, jako Mimě Augellem, nie jako z policjantem.

– Tak się to ułożyło? Robisz z tego sprawę osobistą?

– Niestety tak, Salvo.

– No to się wpakowałaś.

– Cóż by to znaczyło?

– Tylko tyle, Mimě, że w naszym zawodzie to najlepszy sposób, żeby utracić kontrolę nad sobą. Ile lat ma ta Giulia?

– Niedawno skończyła trzydzieści.

– Jeszcze jedno. Nie powiedziałeś mi, dlaczego jesteś taki pewien, że Tarantino czasami jednak odwiedza żonę.

– Myślałem, że już sam to pojąłeś. To nie jest kobieta, która długo wytrzymuje bez mężczyzny. A przy tym, Salvo, nikogo nie kokietuje. Sąsiedzi mówią, że wychodzi do miasta bardzo rzadko i że nie odwiedzają jej ani krewni, ani przyjaciółki. Zamawia sobie do domu wszystko, czego potrzebuje. A dla ścisłości dodam, że jednak czasami wychodzi; co niedziela rano, na mszę o dziesiątej.

– A jutro, jak na zawołanie, mamy niedzielę. Zróbmy tak. Spotkamy się w barze „Castiglione” za kwadrans dziesiąta i kiedy Giulia będzie szła do kościoła, pokażesz mi ją. Zaczęło mnie to ciekawić.

Była piękna i rzeczywiście nie tylko piękna. Montalbano przypatrywał się jej uważnie, kiedy zbliżała się do kościoła, ubrana odświętnie, ale skromnie, bez rzucania się w oczy. Trzymała się prosto, szła z podniesioną głową, i

tylko czasami musiała ją lekko pochyłać, kiedy ktoś się jej kłaniał. Nie wykonywała żadnych afektowanych gestów, wszystko w niej było spontaniczne i naturalne. Z pewnością zauważyła Mimě Augella stojącego obok Montalbana. Zeszła z ulicy na chodnik, na którym obaj przystanęli, i kiedy ich mijała, odpowiedziała na niezręczny ukłon Mimě nikłym skinieniem głowy. A prócz tego pojawił się na jej ustach ledwo dostrzegalny uśmiech. Był to z całą pewnością uśmiech ironiczny, drwiący. Poszła dalej.

– Widziałeś? – spytał Mimě pozieleniały ze złości.

– Widziałem – powiedział komisarz. – Widziałem dostatecznie dużo, żeby ci oznajmić, że nie masz już z tą sprawą nic wspólnego. Sam ją sobie wezmę na głowę.

– O co ci chodzi?

– O to, że ona już robi z tobą, co chce, Mimě. A tobie krew uderza do głowy i to cię zaślepia. Wracamy do biura i złożysz mi raport ze swoich wizyt u pani Tarantino. Dasz mi także jej adres.

Pod numerem trzydziestym piątym na via Giovanni Verga, która prowadziła z miasta w pola, stał piętrowy domek, niedawno wyremontowany. Za domkiem zaczynał się zaułek via Capuana, tak wąski, że samochodem nie można było nim przejechać. Napis na domofonie był prosty: „G. Tarantino”. Montalbano zadzwonił. Minęły trzy minuty i nikt nie odpowiedział. Komisarz zadzwonił po raz drugi, długo, natarczywie, i tym razem usłyszał kobiecy głos.

– Kto tam?

– Komisarz Montalbano.

Po krótkiej pauzie kobieta powiedziała:

– Panie komisarzu, dzisiaj niedziela, jest już dziesiąta, tak późno nikt się

nie naprzykrza. Ma pan nakaz?

– Jaki nakaz?

– Rewizji.

– Nie w głowie mi rewizja! Chcę tylko zamienić z panią kilka słów.

– Jest pan tym panem, który rano stał razem z doktorem Augello?

Jak bystro obserwuje pani Giulia Tarantino!

– Tak, proszę pani.

– Panie komisarzu, proszę wybaczyć, stałam pod prysznicem. Może pan chwilkę zaczekać? Zaraz będę gotowa.

– Nie musi się pani spieszyć, proszę pani.

Po niecałych pięciu minutach zazgrzytał zamek w drzwiach. Komisarz wszedł i znalazł się w wielkim holu z dwojgiem drzwi na lewo, jednymi na prawo i szerokimi schodami pośrodku, prowadzącymi na piętro.

– Proszę wejść dalej.

Pani Giulia była starannie ubrana.

Komisarz wszedł i popatrzył na nią: była poważna, skupiona i bynajmniej nie czuła się zakłopotana.

– To ma być dłuższa rozmowa? – spytała.

– Wszystko zależy od pani – odpowiedział twardo Montalbano.

Odwróciła się i ruszyła schodami na górę, a komisarz poszedł za nią. Weszli do wielkiego salonu z nowoczesnymi meblami w nie najlepszym guście. Pani Giulia wskazała komisarzowi kanapę, sama usiadła w fotelu, obok którego stał niski stolik, a na nim wielki telefon z lat dwudziestych, z pewnością skopiowany teraz gdzieś w Hongkongu. Giulia Tarantino podniosła słuchawkę ze złożonych widełek i położyła na stoliku.

– Nikt nie będzie nam przeszkadzał.

– Dzięki za uprzejmość – powiedział Montalbano.

Siedział chyba przez minutę, nie odzywając się, a pytające, piękne kobiece oczy wpatrywały się w niego. Wreszcie powiedział:

– Jak tu cicho.

Giulia przez chwilę zdawała się zdziwiona jego uwagą.

– Rzeczywiście, naszą ulicą nie pędzą auta.

Milczenie Montalbana znowu trwało co najmniej minutę.

– To wasz dom?

– Tak, mąż kupił go trzy lata temu.

– Macie też inne nieruchomości?

– Nie mamy.

– Od jak dawna nie widuje pani męża?

– Od ponad dwu lat, od kiedy zaczął się ukrywać.

– Nie martwi się pani o jego zdrowie?

– Dlaczego miałabym się martwić?

– No, kiedy od tak dawna nic pani o nim nie wie...

– Panie komisarzu, powiedziałam, że już od dwu lat go nie widuję, ale nie znaczy to, że nic o nim nie wiem. Od czasu do czasu do mnie telefonuje. A pan musi o tym wiedzieć, bo mój telefon jest na podsłuchu. Zorientowałam się, wie pan?

Milczenie tym razem trwało dwie minuty.

– Jakie to dziwne! – powiedział nieoczekiwanie komisarz.

– Cóż pana tak zdziwiło? – spytała pani Giulia, odruchowo gotowa do obrony.

– Rozkład waszego domu.

– Co pan tu widzi dziwnego?

- Na przykład to, że salon znajduje się tutaj, na piętrze.
- A gdzie ma się, pana zdaniem, znajdować?
- Na parterze. A tymczasem na parterze jest na pewno sypialnia. Zgadłem?
- Zgadł pan. Ale to przecież nie jest niedozwolone.
- Nie powiedziałem, że to jest niedozwolone, podzieliłem się tylko z panią moim spostrzeżeniem.

Znowu zapadła cisza.

– No dobrze – powiedział Montalbano, wstając – zostawiam panią w spokoju.

Także pani Giulia wstała, wyraźnie zbita z tropu zachowaniem policjanta. Montalbano kątem oka zauważył, zanim ruszył w stronę schodów, że położyła na powrót słuchawkę na widełki. Kiedy zeszli do holu i pani Giulia już miała mu otworzyć drzwi wejściowe, komisarz powiedział konfidencyjnym tonem:

– Chciałbym pójść do toalety.

Pani Giulia odwróciła się i na odmianę popatrzyła na niego z uśmiechem.

– Musi pan, panie komisarzu? Czy chce się pan jak dziecko pobawić wodą? Mniejsza o to, proszę, to tam.

Otworzyła drzwi po prawej, wprowadziła go do dużej sypialni, gdzie meble były także w nie najlepszym guście. Na jednej z dwu szafek nocnych leżała książka i stał telefon; z pewnością Giulia spała po tej stronie. Wskazała komisarzowi drzwi znajdujące się w lewej ścianie obok wielkiego lustra.

– Łazienka jest tam. Przykro mi, że trochę tam bałaganu.

Montalbano wszedł i zamknął za sobą drzwi. W łazience stała jeszcze ciepła para, pani Giulia istotnie przed chwilą brała tu prysznic. Na szklanej półeczce nad umywalką, obok flaszeczek z perfumami i słoików z kremami, zauważył, nie dowierzając własnym oczom, także maszynkę do golenia i

krem w sprayu. Załatwił swoją potrzebę, spuścił wodę, umył ręce, otworzył drzwi.

– Mogę panią na chwilę prosić?

Pani Giulia weszła do łazienki, a Montalbano bez słowa wskazał jej maszynkę i krem do golenia.

– I co z tego? – spytała Giulia.

– To są, pani zdaniem, przybory kobiece?

Giulia Tarantino zaśmiała się gardłowym śmiechem. Jakby zagruchał gołąb.

– Panie komisarzu, widać, że nie zna się pan nic a nic na kobietach. To jest potrzebne do depilacji.

Zrobiło się późno, pojechał więc prosto do Marinelli. Kiedy znalazł się w domu, usiadł na werandzie wychodzącej wprost na plażę, przeczytał gazetę, a potem parę stron książki, która bardzo mu się podobała: *Newski Prospekt* Gogola. Zanim się położył, zadzwonił do Livii. Kiedy już się żegnali, nagle przyszło mu do głowy pytanie:

– Kiedy się depilujesz, używasz maszynki i mydła do golenia?

– Głupie pytanie, Salvo. Setki razy widziałeś, jak to robię.

– Nie o to mi chodzi, chciałem tylko wiedzieć...

– A ja ci nie powiem.

– Dlaczego?

– Dlatego, że to nie mieści mi się w głowie. Przez całe lata obcujesz blisko z kobietą, a nie wiesz, jak i czym się depiluje.

Odłożyła słuchawkę. Zatelefonował wobec tego do Mimě Augella.

– Mimě, jak kobiety się depilują?

– Co z tobą, Salvo? Dręczą cię wizje erotyczne?

– Nie pieprz głupstw.

– Chcesz, to ci powiem. Używają kremu, plastrów, wosku...

– Także maszynki i kremu do golenia?

– Może i maszynki, może i kremu do golenia. Ale wyznam ci, że nigdy czegoś takiego u kobiet nie widziałem. Na ogół brodate kobiety omijam z daleka.

Jeśli się zastanowić, to Livia także niczego takiego nie używała. Ale czy to naprawdę może być tutaj takie ważne?

Nazajutrz rano, ledwo wszedł do biura, wezwał Fazia.

– Wiesz, gdzie jest dom Giovanniego Tarantino?

– Oczywiście. Jeździłem tam z doktorem Augello.

– Znajduje się pod numerem trzydziestym piątym przy via Giovanni Verga i nie ma wejścia od tyłu, prawda? Tył domu wychodzi na zaułek Capuana, który jest wąski, jak mało który. Wiesz, jak się nazywa najbliższa ulica, równoległa do via Verga i do zaułka Capuana?

– Tak, wiem. To następny wąski zaułek. Nazywa się via De Roberto.

Czyżby się mylił? Wykluczone.

– Wiesz co? Kiedy znajdziesz trochę czasu, sprawdź mi cały zaułek De Roberto. I przynieś mi szczegółowe spisy lokatorów z każdej bramy.

– Nie rozumiem – powiedział Fazio.

– Dowiesz się, kto mieszka pod pierwszym, pod drugim i tak dalej. Ale postaraj się nie rzucać nikomu w oczy, nie kręć się tam i z powrotem po całym zaułku. Radzisz sobie w takich sprawach znakomicie.

– A w innych sobie nie radzę?

Wyszedł Fazio, wszedł Augello.

– Powiem ci coś, Mimě. Wczoraj wieczór odwiedziłem twoją przyjaciółkę Giulie Tarantino.

– I co? Tobie także zawróciła w głowie?

– Nie – odpowiedział zdecydowanie Montalbano. – Mnie nie.

– Zrozumiałeś, jak mąż wchodzi do domu? Tam nie ma innego wejścia poza bramą od ulicy. Po całych nocach ci z oddziału specjalnego przyczajali się w pobliżu bramy i nigdy niczego nie zauważyli. A mimo to mógłbym się założyć, o co tylko byś chciał, że on ją od czasu do czasu odwiedza.

– Myślę tak samo jak ty, Mimě. Musisz mi jeszcze powiedzieć, czegoś się dowiedział o tym mężu. Nie o jego oszustwach, o podrobionych czekach, to wszystko mam dobrze wiesz gdzie. Chcę znać jego nawyki, jego manie, chcę wiedzieć, jak się zachowywał, kiedy jeszcze tu mieszkał.

– Był okropnie zazdrosny, to chyba jego główna cecha. Jestem przekonany, że kiedy przeprowadzałem w ich domu rewizję, musiał cierpieć jak wariat, wyobrażając sobie, że żona skorzysta z okazji i przyprawi mu rogi. Znamienne było też to, że ponieważ wbrew pozorom jest agresywny, a przy tym jest kibicem Interu, w każdą niedzielę wieczór lub każdy inny dzień, kiedy grała jego ulubiona drużyna, zawsze wdawał się w awanturę. Trzecia istotna sprawa to...

I tak Mimě przez jakiś czas opisywał komisarzowi życie, śmierć i dokonane cuda Giovanniego Tarantino, którego znał już lepiej niż samego siebie.

Montalbano chciał jeszcze dokładnie wiedzieć, jak wyglądało prowadzenie rewizji w domu Tarantina.

– Jak zwykle – stwierdził Mimě. – Ponieważ mieliśmy znaleźć człowieka, to patrzyliśmy, z tymi z oddziału specjalnego, wszędzie tam, gdzie człowiek

może się ukryć. Szukaliśmy go pod dachem, pod schodami i tak dalej. Rozglądaliśmy się za jakimś włazem w posadzce. Stukaliśmy w ściany, czy gdzieś nie słychać próżni.

– Próbowaliście patrzeć w lustro?

– Przecież lustro jest przykręcone do ściany śrubami!

– Nie powiedziałem, czy patrzyliście za lustro, tylko w lustro. Robi się to tak: otwiera się drzwi wejściowe i patrzy na ich odbicie w lustrze.

– Chyba zwariowałeś, Salvo!

– Jednak robi się właśnie tak, jak to robiła Alicja. Trzeba sobie tylko wyobrazić, że szkło jest z takiej materii jak gaza.

– Salvo, coś się z tobą dzieje, naprawdę. Dobrze się czujesz? Kim jest ta Alicja?

– Nigdy nie czytałeś Carrolla?

– A ten to kto?

– Mniejsza o to, Mimě. Posłuchaj, jutro z rana, pod jakim tylko zechcesz pretekstem, wybierz się w odwiedziny do pani Tarantino. Na pewno przyjmie cię w salonie. A po powrocie powiesz mi, czy zrobiła jedną rzecz, czy nie zrobiła.

– Co takiego?

Montalbano powiedział, o co mu chodzi.

Komisarz otrzymał raport Fazia w środę i dał mu jeszcze jeden dzień na zdobycie dalszych szczegółów o mieszkańcach domów przy via De Roberto. W czwartek wieczór, zanim poszedł do pani Tarantino, wstąpił do dyżurującej apteki Bevilacqua. W mieście panowała grypa, więc w aptecce było pełno kobiet i mężczyzn. Stał w kolejce. Ale jedna ze sprzedawczyń dostrzegła go i spytała nad głowami:

– Czym mogę służyć, panie komisarzu?

– Potem, potem – odpowiedział Montalbano.

Aptekarz Bevilacqua, usłyszawszy głos komisarza, podniósł wzrok, popatrzył na niego i zrozumiał, że ten czuje się skrępowany. Obsłużył klienta, podszedł do szafy, wziął z niej jakieś pudełko, wyszedł zza lady i konspiracyjnie wsunął je do ręki komisarzowi.

– Co mi pan daje? – spytał zdumiony Montalbano.

– Prezerwatywy – odpowiedział szeptem aptekarz. – O to panu chodziło, prawda?

– Nie – odpowiedział Montalbano, zwracając pudełko. – Chodzi mi o pigułki.

– O viagrę?

– Nie – powtórzył Montalbano, który zaczął tracić cierpliwość. – Potrzebuję tych pigułek, które zażywają kobiety. Tych najczęściej kupowanych.

Po drodze otworzył paczuszkę, wyrzucił pigułki antykoncepcyjne razem z opakowaniem do kosza na śmieci, zostawił sobie tylko ulotkę informacyjną.

Poza tym, że pani Giulia nie wyszła tym razem prosto spod prysznic, ich spotkanie potoczyło się tak samo jak w niedzielę. Komisarz usiadł na kanapie, pani Tarantino w fotelu, a słuchawka od razu została zdjęta z widełek.

– A dzisiaj o co panu chodzi? – spytała zrezygnowanym tonem pani Giulia.

– Przede wszystkim chcę pani oznajmić, że przejąłem sprawę pani męża od doktora Augello, który był tutaj u pani dzisiaj rano po raz ostatni. Szkoda, bo pani już go bardzo dobrze znała.

Podkreślił słowo „bardzo” co zaskoczyło panią Giulię.

– Nie rozumiem pana.

– Proszę pani, po prostu kiedy stosunki przesłuchującego z przesłuchiwanym stają się, jak w waszym wypadku, zbyt intymne, to jednak lepiej... Słowem, od dziś będę się osobiście zajmował sprawą pani męża.

– Dla mnie...

– ...nie ma to żadnego znaczenia? Nie, droga pani Giulio, myli się pani, i to bardzo. Ja w tych rzeczach jestem lepszy, znacznie lepszy.

Udało mu się nadać ostatniej części zdania ton aluzji dostatecznie obleśnej. Nie wiedział, czy powinien sobie pogratulować sukcesu, czy napluć w twarz. Giulia Tarantino trochę zbladła.

– Panie komisarzu, ja...

– Proszę mi dać dokończyć, Giulio. W niedzielę, kiedy poszliśmy do sypialni na parterze, a potem weszliśmy do łazienki...

Pani Giulia zbladła jeszcze bardziej i uniosła rękę takim gestem, jakby chciała komisarza uciszyć, ale Montalbano ciągnął dalej:

– ...znalazłem na podłodze tę oto karteczkę. Securigen, to oczywiście nazwa pigułek antykoncepcyjnych. Powiedz mi, droga Giulio, nie widzisz od dwóch lat męża, a potrzebne ci są te pigułki? Coś tu się nie zgadza. Mogę się tylko domyślać co. Mój zastępca...

– Na litość boską! – zawołała Giulia Tarantino.

I zrobiła to, na co komisarz czekał: chwyciła słuchawkę i położyła ją na widelkach.

– Proszę pani – powiedział Montalbano, nie zwracając się już do niej przez „ty” – Już tamtym razem zrozumiałem, że to nie jest prawdziwy telefon. Prawdziwy jest tamten, który pani trzyma na nocnej szafce. Ten tutaj tylko pozwala mężowi słyszeć to wszystko, co się w tym pokoju mówi. Mam

dobry słuch; gdy pani podnosi słuchawkę, powinien odezwać się sygnał w telefonie. A tymczasem telefon milczy.

Pani Giulia nie otworzyła ust, wyglądała tak, jakby za chwilę miała zemdleć, ale rozpaczliwie starała się zachować przytomność. Była jednak tak napięta, jakby czekała na coś niespodziewanego.

– Odkryłem też – ciągnął komisarz – że pani mąż posiada wielki garaż przy via De Roberto; to stąd w linii prostej mniej więcej dziesięć metrów. Wykopał tunel, który z pewnością dochodzi do lustra. Bo za lustro podczas rewizji przecież nikt nie patrzy; wszystkim się wydaje, że za lustrem nie może nic być.

Zrozumiawszy, że przegrała, Giulia Tarantino odzyskała swoją udawaną obojętność. Popatrzyła komisarzowi przeciągle w oczy.

– Ciekawi mnie tylko jedno: nigdy nie wstydzisz się pan tego, co pan robi i w jaki sposób pan to robi?

– Czasami się wstydzę – przyznał Montalbano.

W tym momencie na parterze rozległ się donośny brzęk tłuczonego szkła i ktoś wściekłym głosem zawołał:

– Gdzie jesteś, nędzna szmato?

Po czym Giovanni Tarantino zaczął wbiegać schodami na górę.

– No i już pan ma tego kretyna – stwierdziła jego zrezygnowana żona.

Kontrola

Kiedy Montalbano zobaczył po raz pierwszy tego mężczyznę spacerującego po plaży, było wczesnie rano i dzień wcale się nie nadawał na przechadzki nad morzem, przeciwnie, takiego dnia byłoby lepiej położyć się do łóżka, nakryć głowę kocem, zamknąć oczy i zapomnieć o całym świecie. Wiała tramontana, mroźny, dotkliwy wiatr zalepiał piaskiem oczy i usta, fale na horyzoncie wznosiły się wysoko, potem nakładały na siebie i opadały, nadciągając jedna za drugą, i wreszcie zwały się na piasek plaży, jakby były wygłodniałe i chciały ją połknąć. Morze z wolna podchodziło coraz bliżej, już niemal dopływało do drewnianej werandy domu komisarza. Tamten spacerujący mężczyzna ubrany był na czarno, jedną ręką przytrzymywał wciśnięty na głowę kapelusz, który w każdej chwili mógł mu porwać wiatr, a ciężki płaszcz oblepiał jego ciało i krępował ruchy. Nie wyznaczał sobie żadnego celu, nie zamierzał nigdzie dojść – wyczuwało się to z rytmu jego kroków, które mimo tej okropnej pogody były miarowe i nieustępliwe. Kiedy już oddalił się od domu komisarza na pięćdziesiąt metrów, zawrócił i ruszył w stronę Vigrty.

Później komisarz widywał go wiele razy, zawsze wczesnym rankiem, wkrótce już bez kapelusza, bo pora roku się zmieniła, ale niezmiennie w czarnym ubraniu i niezmiennie samotnego. Pewnego dnia, gdy pogoda była już na tyle znośna, że komisarz zdecydował się na kąpiel w zimnej, jeszcze nieogrzanej słońcem wodzie, dopływając do brzegu, zobaczył, że ten mężczyzna zatrzymał się i patrzy na niego. Montalbano płynął prosto w jego stronę, więc po wyjściu z wody musiałyby się nieuchronnie znaleźć przed nim.

A to go krępowało. Zaczął więc płynąć na ukos, tak żeby wyjść na brzeg, kilkanaście metrów od mężczyzny, który stał ciągle w tym samym miejscu i go obserwował. Kiedy tamten zrozumiał, że nie dojdzie do spotkania twarzą w twarz, odwrócił się i ruszył na swoją rutynową przechadzkę. Powtarzał ten spacer codziennie przez parę miesięcy. Wreszcie pewnego ranka nie pojawił się na plaży, co komisarza zaniepokoiło. Coś mu jednak przyszło do głowy i żeby to sprawdzić, zszedł z werandy i po paru krokach zobaczył wyraźne ślady tego mężczyzny odcisnięte w mokrym piasku. Najwidoczniej odbył swą przechadzkę trochę wcześniej niż zwykle. Pewnie wtedy, kiedy komisarz jeszcze spał lub brał prysznic.

Tej nocy wiał wiatr, ale nad ranem ustał, jakby się zmęczył nieprzespaną nocą. Zanosilo się na dzień pogodny, ciepły i słoneczny, niemal letni. Nocny wiatr oczyścił plażę ze śmieci, wygładził nierówności. Piasek był gładki i lśniący. Siady mężczyzny wyglądały jak narysowane, ale ich bieg zdziwił komisarza. Po marszu wzdłuż brzegu skręcały zdecydowanie w stronę domu, zatrzymały się przy werandzie, a potem zawróciły na brzeg. O co mu chodziło? Komisarz długo wpatrywał się w to „V” wytyczone na piasku przez ślady, tak jakby dzięki uważnej obserwacji mógł wdrzeć się do głowy tego mężczyzny i poznać ukryte w niej myśli, które nakazały mu tak nieoczekiwanie zmienić kierunek marszu.

Po przyjeździe do biura wezwał do siebie Fazio.

– Znasz tego mężczyznę ubranego na czarno, który co rano przechadza się po plaży pod moim domem?

– Przeszkadza to panu?

– Fazio, nie, nie przeszkadza mi. A gdyby mi przeszkadzało, myślisz, że bym sobie z tym jakoś nie poradził? Pytałem cię tylko o to, czy go znasz.

– Nie, panie komisarzu. Nawet nie wiedziałem, że istnieje ktoś taki ubrany na czarno, kto przechadza się po pańskiej plaży. Chce pan, żebym się czegoś

o nim dowiedział?

– Dajmy temu spokój.

Jednak od czasu do czasu wracał w myślach do tej sprawy. W nocy, po powrocie do domu, doszedł do wniosku, że pod tym „V” krył się z pewnością znak zapytania czy wręcz pytanie, z którym mężczyzna ubrany na czarno zdecydował się zwrócić do niego, ale w ostatniej chwili zabrakło mu odwagi.

Dlatego nastawił budzik na piątą rano; nie chciał przeoczyć spotkania, spodziewał się tego człowieka. Budzik zadzwonił, komisarz zerwał się z łóżka, zaparzył sobie kawę i usiadł na werandzie. Czekał do dziewiątej, zdążył przeczytać kryminał Lucarellego i wypić sześć filiżanek kawy, a mężczyzny jak nie było, tak nie było.

– Fazio!

– Słucham, panie komisarzu.

– Pamiętasz, że wczoraj mówiłem ci o mężczyźnie ubranym na czarno, który co rano...

– Jasne, że pamiętam.

– Dziś się nie pokazał.

Fazio popatrzył niepewnie na komisarza.

– To cos poważnego?

– Poważne to nie jest. Chciałbym jednak wiedzieć, kto to.

– Spróbuję się zorientować – powiedział Fazio, wzdychając.

Czasami komisarz był naprawdę dziwny. Dlaczego wziął się na kogoś, kto spokojnie spaceruje po plaży? Co takiego złości w tym wszystkim pana komisarza?

Po południu Fazio zapukał do gabinetu Montalbana, spytał, czy może wejść, usiadł, wyjął z kieszeni kilka gęsto zapisanych karteczek, odchrząknął

i był gotów.

– To ma być wykład? – spytał Montalbano

– Nie, panie komisarzu. To są tylko te wiadomości, które pan chciał mieć. Dotyczą tej osoby przechadzającej się co rano przed pana domem.

– Zanim zaczniesz czytać, muszę cię przestrzec. Jeżeli odezwie się w tobie ta kreatura, ten urzędniczyna stanu cywilnego, i zechcesz mi podsuwać szczegóły, które mnie gównem obchodzą, to wstaję i idę na kawę.

– Zrobimy inaczej – powiedział Fazio, składając kartki i chowając je do kieszeni. – Ja też pójdę na kawę.

Wyszli w milczeniu, obaj poirytowani. Poszli do baru w pobliżu komisariatu i każdy zapłacił za swoją kawę oddzielnie. Wrócili do biura, nie odzywając się do siebie, i usiedli na tych samych krzesłach, z których wstali, tyle że tym razem Fazio nie wyjął kartek z kieszeni. Montalbano zrozumiał, że musi odezwać się pierwszy, bo Fazio mógł się zaciąć i obrażony milczeć do wieczora.

– Jak się nazywa ten mężczyzna?

– Attard Leonardo.

Ktoś z takim nazwiskiem – jak Cassar, Hamel, Camilleri, Buhagiar – musi wywodzić się z Malty.

– Co robi?

– Był sędzią. Teraz jest na emeryturze. Zajmował znaczące stanowisko, był przewodniczącym ławy przysięgłych.

– Co robi tutaj, u nas?

– Czy ja wiem? Urodził się w Vigście. Nie ruszał się stąd do ósmego roku życia. Potem ojciec, który był komendantem kapitanatu portu, został przeniesiony. Tak że on wychował się na Północy, tam chodził do szkoły, tam zdobył swoją pozycję zawodową. Kiedy przyjechał tutaj, osiem miesięcy

temu, nikt go już tu nie znał.

– Miał dom w Vigrcie? Coś po swojej rodzinie?

– Nie, nic nie miał. Dom sobie kupił. Jest to willa z pięcioma wielkimi pokojami, ale mieszka sam. Zatrudnia na stałe tylko służącą.

– Nie ożenił się?

– Ożenił się. I ma syna. Ale trzy lata temu owdowiał.

– Zaprzyjaźnił się tutaj z kimś?

– Nie, nic takiego. Nikt go tu nie zna! Wychodzi z domu tylko wcześnie rano, spaceruje, a potem już go nikt nie widzi. Wszystko, co mu potrzebne, od gazet po jedzenie, kupuje mu służąca, która ma na imię Prudenza, a nazwisko... nie pamiętam, muszę zajrzeć do kartki.

– Nie trzeba.

– Dobrze. Rozmawiałem ze służącą. Od razu panu powiem, że sędzia właśnie wyjechał.

– Wiesz dokąd?

– Oczywiście. Do Bolzano. Tam mieszka jego syn. Z żoną i dwoma chłopcami. Sędzia co roku spędza lato u syna.

– A kiedy wraca?

– Z początkiem września.

– Wiesz jeszcze coś więcej?

– Tak. W trzy dni po zamieszkaniu w tej willi w Vigrcie...

– Wiesz, gdzie to jest?

– Gdzie stoi willa? Na skraju Vigrcy, a właściwie na początku Marinelli. Z grubsza pół kilometra od pańskiego domu.

– Dobrze, jedź dalej.

– Więc po trzech dniach przyjechała do willi ciężarówka.

– Z meblami?

– Gdzież tam z meblami! Wie pan, jak wyglądają jego meble? Łóżko, szafka nocna, szafa w sypialni. I lodówka w kuchni. Nie ma telewizora. Nie ma nic więcej.

– A co z tą ciężarówką?

– Przywiozła papiery.

– Jakie papiery?

– Z tego, co mi mówiła służąca, wynika, że są to kopie dokumentów ze wszystkich procesów, które prowadził jako sędzia.

– Matko Święta! Zdajesz sobie sprawę, że z okazji każdego procesu wypisuje się co najmniej dziesięć tysięcy stron?

– Otóż to. Służąca powiedziała mi, że w domu całkiem brak miejsca, wszystkie pokoje są pod sufit zapchane teczkami, papierami, kartkami. Mówi, że jej główne zajęcie, poza gotowaniem, polega na odkurzaniu tych stert papierów. Jej zdaniem kurzą się wyjątkowo.

– Co robi z tymi dokumentami?

– Przegląda je. Zapomniałem panu powiedzieć, wymieniając jego meble, że przywieźli mu także wielki stół i fotel.

– Wciąż przegląda te papiery?

– Tak, panie komisarzu. Za dnia i po nocach.

– A po co to robi?

– Nie mnie o to pytać. Musi pan spytać jego, kiedy tu wróci we wrześniu.

Sędzia Leonardo Attard pojawił się na plaży w pierwszych dniach września, a ranek tego dnia był jak opadły z sił, może nawet jak całkowicie wycieńczony.

Komisarz zobaczył, że znowu spaceruje, ubrany na czarno, i wygląda jak

grabarz, jak kruk. Miał też jak gdyby elegancję i godność kruka. Montalbano chciał wybiec mu naprzeciw i przywitać się z nim. Zaraz jednak się powstrzymał, ale z przyjemnością patrzył, jak tamten chodzi równym krokiem po mokrym piasku.

Potem, któregoś ranka pod koniec września, kiedy komisarz siedział na werandzie i czytał gazetę, zerwał się wiatr, a jego nagły podmuch miał dwa następstwa: rozniósł po plaży stronice gazety i jednocześnie porwał kapelusz sędziego i toczył go w stronę werandy. Kiedy pan Leonardo Attard biegł za zgubą, Montalbano zszedł po schodkach, pierwszy dopadł kapelusza i podał go sędziemu. Żeby w końcu mogło dojść do spotkania, musiała się w to wdać natura. Bo też ich spotkanie było czymś naturalnym i nieuniknionym.

– Dziękuję. Attard – powiedział sędzia, przedstawiając się.

– Montalbano – odpowiedział komisarz.

Nie uśmiechnęli się, nie uścisnęli sobie ręki. Przez chwilę patrzyli na siebie w milczeniu. Potem obaj niezgrabnie się sobie skłonili, jak Japończycy. Komisarz wrócił na werandę, a sędzia ruszył na dalszy spacer.

Pewnego razu zadano komisarzowi pytanie, czym – jego zdaniem – odznacza się gliniarz. Jaka jest jego najistotniejsza właściwość? Intuicja? Wytrwałość w śledztwie? Zdolność wiązania ze sobą faktów na pozór całkiem odległych? Świadomość, że jeśli dwa plus dwa w normalnej sytuacji równa się cztery, to w nienormalnej, w czymś takim jak przestępstwo, dwa plus dwa czasami może się równać pięć? Montalbano jednak wyróżnił co innego. „Kliniczne oko” – odpowiedział.

Wszyscy, słysząc jego odpowiedź, zaczęli się szczerze śmiać. Ale komisarz, gdy to mówił, wcale nie chciał być dowcipny. Tyle że nie wyjaśnił, jak trzeba jego odpowiedź rozumieć, wolał jej nie tłumaczyć dokładniej, zwłaszcza że wśród obecnych było także dwóch lekarzy. A komisarz,

mówiąc o „klinicznym oku” miał na myśli zdolność dobrych lekarzy do stwierdzenia, właśnie już na pierwszy rzut oka, czy pacjent jest chory, czy nie. Bez potrzeby, jak to robi dzisiaj wielu lekarzy, poddawania pacjenta rozmaitym badaniom, które w końcu wykazują, że jest on zdrowy jak ryba.

Otóż podczas tej krótkiej wymiany spojrzeń z sędzią Montalbano natychmiast nabrał przekonania, że ma do czynienia z człowiekiem chorym. Nie z chorym fizycznie, ma się rozumieć, ale z chorym na coś, co go dręczy w środku, co sprawia, że źrenice ma zbyt nieruchome i zimne, jakby wpatrzone w jakąś powracającą myśl. W istocie było to tylko pierwsze wrażenie, nic więcej. Inne wrażenie natomiast, jakby bardziej ściśle, mówiło mu, że sędzia jest w jakimś sensie zadowolony z tego, że się poznali. Z pewnością już wtedy, kiedy przed paroma miesiącami podszedł pod jego dom i zatrzymał się niezdecydowany, czy ma zapukać, czy dać spokój, wiedział, czym się Montalbano zajmuje.

W tydzień po tym, jak doszło do poznania, rano, kiedy komisarz siedział na werandzie i pił kawę, Leonardo Attard, doszedłszy na wysokość jego domu, podniósł wzrok, którym dotąd wpatrywał się w piasek pod nogami, popatrzył na Montalbana i uchylił kapelusza na powitanie.

Montalbano zerwał się z leżaka i przykładając ręce do ust, zawołał:

– Napije się pan kawy?

Sędzia zmienił kierunek marszu, skręcił w bok i tym swoim niespiesznym i miarowym krokiem ruszył w stronę werandy. Montalbano wszedł do domu i wrócił na werandę z czystą filiżanką. Uścisnęli sobie ręce. Komisarz nalał kawy. Usiedli na ławce obok siebie. Montalbano nie otwierał ust.

– Bardzo tu pięknie – powiedział po chwili sędzia.

Były to jedyne artykułowane słowa, które wypowiedział.

Kiedy skończyli pić, wstał, uchylił kapelusza, coś wymamrotał, co komisarz wziął za „do widzenia” i „dziękuję” zszedł na plażę i podjął na nowo swój spacer.

Zaproszenie na kawę, połączone z takim samym, jakby rytualnym milczeniem, powtórzyło się jeszcze dwukrotnie. Dopiero za trzecim razem sędzia popatrzył komisarzowi w oczy i cicho powiedział:

– Chciałem pana o coś spytać, panie komisarzu.

Grał w otwarte karty, bo przecież nigdy wcześniej nie pytał komisarza, jak zarabia na chleb.

– Nie chciałbym jednak być źle zrozumiany.

– Rzadko mi się to zdarza.

– Czy pan w swojej pracy zawsze miał pewność, powiedziałbym, pewność matematyczną, że osoby, które pan aresztował jako winne, są rzeczywiście winne?

Komisarz spodziewał się wszystkiego, tylko nie takiego pytania. Otworzył usta i natychmiast je zamknął. Nie było to pytanie, na które można by odpowiedzieć bez namysłu. Zwłaszcza że sędzia wpatrywał się w niego tymi swoimi nieruchomymi oczami. Bo nagle Attard zaczął właśnie tak na komisarza patrzeć. Ale zaraz zorientował się, że Montalbano jest zakłopotany.

– Nie spodziewałem się pańskiej odpowiedzi natychmiast. Proszę o tym trochę pomyśleć. Do widzenia, dziękuję.

Wstał, uchylił kapelusza, zszedł na plażę, wrócił do spaceru. „Czy jest tu za co dziękować?” – pomyślał Montalbano, wciąż osłupiały. Bo sędzia jednak mocno zdzielił go po głowie.

Tego samego dnia, po południu, sędzia zadzwonił do komisariatu.

– Proszę mi wybaczyć, że nie daję panu spokoju nawet w biurze. Ale moje dzisiejsze pytanie było co najmniej niewłaściwe. Przepraszam za to. Wieczorem, jeśli nie ma pan nic lepszego do roboty po skończeniu pracy, może zechce pan do mnie wstąpić? To po drodze. Wyjaśnię panu, gdzie mieszkam.

Ledwo komisarz postawił nogę w willi sędziego, uderzył go jakiś szczególny zapach. Nie był nieprzyjemny, tylko przenikliwy; podobnie pachnie rozgrzana w słońcu słoma. Po chwili zrozumiał, że jest to zapach starego, zetlałego papieru. Setki wielkich teczek wypełniały wszystkie pomieszczenia od posadzek po sufity: leżały na mocnych drewnianych regałach, które stały nie tylko w pokojach, ale także na korytarzu i w holu. To nie był dom, tylko archiwum, pośrodku którego wydzielono możliwie najmniejszą przestrzeń niezbędną człowiekowi do życia.

Sędzia przyjął komisarza w środkowym pokoju, gdzie stał wielki, zarzucony papierami stół, a przy nim fotel i krzesła.

– Muszę panu odpowiedzieć twierdząco... – zaczął Montalbano.

– W jakiej sprawie?

– Odpowiadając na pańskie dzisiejsze pytanie. Myślałem o ludziach, których aresztowałem czy kazałem aresztować, będąc, w moim przekonaniu, absolutnie pewien, że są winni. A potem sąd nie zawsze uznawał ich za winnych i zwalniał do domu.

– Zdarzyło się panu coś takiego?

– Kilka razy.

– I dręczyło to pana?

– Nie, ani przez chwilę.

– Dlaczego?

– Dlatego, że mam już sporo doświadczenia. Wiem już doskonale, że istnieje prawda procesowa, która biegnie równoległe do prawdy rzeczywistej. Ale te dwa tory nie zawsze prowadzą na tę sama stację. Czasami prowadzą, a czasami nie.

Sędzia uśmiechnął się połową twarzy. Jej niższą częścią. Część wyższa nie uśmiechała się. Co więcej, oczy stały się jeszcze bardziej nieruchome i zimne.

– Takie rozumowanie może mylić – powiedział Attard. – Mnie chodzi o coś innego.

Szerokim gestem, rozkładając ręce tak mocno, że przypominał krucyfiks, wskazał na papiery, których pełno było dookoła.

– Mnie chodzi o kontrolę.

– O kontrolę czego?

– Procesów, które przeprowadziłem w ciągu mego życia.

Montalbano poczuł, że zaczyna się pocić z napięcia.

– Zamówiłem kserokopie wszystkich akt procesowych, przewiozłem je do Vigrty, bo tutaj stworzyłem sobie idealne warunki do pracy. Wydałem na to majątek, proszę mi wierzyć.

– Kto się do pana zwrócił o dokonanie tej kontroli?

– Moje sumienie.

W tym momencie komisarz nie wytrzymał.

– No, wie pan. Jeżeli jest pan pewien, że zawsze działał zgodnie z sumieniem...

Sędzia uniósł rękę, żeby mu przerwać.

– To cały mój problem. Sedno tej mojej sprawy.

– Sądzi pan, że zdarzało się panu wydawać wyroki na podstawie

niepewnych poszlak, jakichś nacisków zewnętrznych czy czegoś takiego?

– Nigdy.

– Więc w czym rzecz?

– Proszę posłuchać, panie komisarzu, u Montaigne'a znajdzie pan linijki, które jasno wyrażają tę kwestię. „Z tej karty, na której sformułował sentencję wyroku skazującego człowieka winnego cudzołóstwa – pisze Montaigne – sędzia odrywa kawałek papieru, by napisać na nim miłosny bilecik do żony swojego kolegi” Jest to przykład jasny, powtarzam, ale przecież zawiera w sobie tylko część prawdy. Wyjaśnię to panu bliżej. W jakim stanie znajdowałem się, jako człowiek naturalnie, w chwili gdy wygłaszałem wyrok skazujący?

– Nie rozumiem, panie sędzio.

– Panie komisarzu, to nietrudno zrozumieć. Czy zawsze umiałem utrzymać na dystans moje życie prywatne od powinności stosowania prawa? Czy zawsze umiałem dopilnować, by moje osobiste nastroje, moje uprzedzenia, kłopoty domowe, udręki czy nieliczne radości nie plamiły białej kartki, na której formułowałem sentencję wyroku? Radziłem sobie z tym czy nie?

Montalbanowi pot przykleił koszulę do ciała.

– Proszę wybaczyć, panie sędzio. Pan nie przeprowadza kontroli swoich procesów, pan kontroluje swoje życie.

Komisarz od razu się zorientował, że popełnił błąd; tych słów nie należało wypowiadać. Jednak poczuł się przez chwilę jak lekarz, który odkrył u pacjenta poważną chorobę i musi rozstrzygnąć, czy ma mu o tym mówić.

Sędzia nagle zerwał się z krzesła.

– Dziękuję, że zechciał mnie pan odwiedzić. Dobranoc.

Następnego dnia rano sędzia nie spacerował po plaży. I nie pokazał się

także w kolejnych dniach ani następnych tygodniach. Ale komisarz o nim nie zapomniał. Kiedy już minął dobry miesiąc od tamtego wieczornego spotkania, wezwał Fazio.

– Pamiętasz tego sędziego na emeryturze? Sędziego Attarda?

– Oczywiście.

– Chcę o nim coś wiedzieć. Znałeś jego gospozię, jakoś się nazywała... pamiętasz?

– Nazywała się Prudenza. Jak mógłbym zapomnieć takie imię?

Po południu Fazio stawiał się z raportem.

– Sędzia czuje się dobrze, ale już całkiem nie wychodzi z domu. Prudenza powiedziała mi, że kupił całe piętro w willi, ponieważ się zwolniło. Teraz jest tam wyłącznym właścicielem.

– Przeniósł swoje papiery na piętro?

– Nie, nie przeniósł, Prudenza powiedziała, że woli to piętro trzymać puste. I że w żadnym wypadku nikomu go nie wynajmie. Powiedziała mi coś jeszcze, bo jej się to wydało dziwne. Sędzia nie oświadczył jej, że nie chce żadnych kłopotów z lokatorami, tylko że nie chce mieć wyrzutów sumienia. Co miał na myśli?

Montalbano stracił całą noc, zanim w końcu zrozumiał, że sędzia wcale się nie przejęczył, mówiąc o „wyrzutach sumienia” a nie o „kłopotach” w odniesieniu do ewentualnych lokatorów. A kiedy zdał sobie sprawę z tego, co zrozumiał, oblał go zimny pot. Ledwo wszedł do biura, pobiegł do Fazio.

– Chcę mieć natychmiast numer telefonu syna sędziego Attarda, tego, co mieszka w Bolzano.

Pół godziny później rozmawiał z pediatrą Giulio Attardem.

– Nazywam się Montalbano, jestem komisarzem policji. Przykro mi, panie

doktorze, ale muszę panu dać znać, że stan umysłu pańskiego ojca...

– Pogorszył się. Tego się obawiałem.

– Powinien pan możliwie jak najszybciej przyjechać do Vigíty. Proszę zaraz do mnie wstąpić, zastanowimy się razem, w jaki sposób...

– Niestety, panie komisarzu. Dziękuję panu za pańską troskę, ale nie mogę teraz przyjechać.

– Pański ojciec przygotowuje się do popełnienia samobójstwa, wie pan o tym?

– Nie ma co dramatyzować.

Montalbano odłożył słuchawkę.

I już tego samego wieczoru, przejeżdżając obok willi sędziego, zatrzymał się, wysiadł i nacisnął dzwonek domofonu.

– Kto tam?

– To ja. Montalbano, panie sędzio. Chciałem pana odwiedzić.

– Byłoby mi przyjemnie gościć pana u siebie. Ale mam w domu straszny bałagan. Proszę zajrzeć jutro, jeśli znajdzie pan chwilę.

Komisarz już odchodził, kiedy usłyszał, że sędzia jeszcze go woła:

– Montalbano! Panie komisarzu! Jest pan jeszcze?

Wrócił szybko.

– Tak. Słucham pana.

– Chyba coś znalazłem.

Nie padło ani jedno słowo więcej. Komisarz zadzwonił, i dzwonił bardzo długo, ale sędzia już mu nie odpowiedział.

Usłyszał przenikliwy dźwięk syren wozów strażackich, które pędziły w stronę Vigíty. Spojrzał na zegarek, była czwarta nad ranem. Coś przeczuwał.

I tak jak stał, w samych bokserkach, wybiegł przez werandę na plażę i pobiegł na brzeg morza, żeby mieć rozleglejszy widok. Woda w morzu była lodowata, wręcz rozbolały go stopy. Ale nie zwrócił na to uwagi, patrzył z dala na willę byłego sędziego Leonardo Attarda, która płonęła jak pochodnia. Trudno się dziwić – z taka masą papieru w środku! Strażacy potem stracą wiele czasu, zanim znajdą zwęglone zwłoki sędziego. Tego był pewien.

Dość duża paczka obwiązana wielokrotnie długim kawałkiem sznurka zjawiała się w dwa dni później na biurku Montalbana. Przyniósł ją Fazio.

– Dała mi to Prudenza. A jej dał to sędzia na dzień przed pożarem i prosił, żeby to dostarczyła panu.

Komisarz otworzył wielką kopertę. Do kopii dokumentów dołączona była kartka papieru z ręcznie napisanym listem i druga koperta, mniejsza i zaklejona.

Straciłem wiele czasu, ale wreszcie znalazłem to, czego zawsze się spodziewałem i obawiałem. Posyłam panu całą dokumentację procesu sprzed piętnastu lat, w którym skład sędziowski pod moim przewodnictwem skazał na trzydziestoletnie więzienie człowieka, który do ostatniej chwili utrzymywał, że jest niewinny. Ja w jego niewinność nie wierzyłem. Teraz, po uważnej kontroli akt, zdałem sobie sprawę, że w jego niewinność nie chciałem wierzyć. Dlaczego? Jeśli pan, czytając załączone dokumenty, dojdzie do takiego samego wniosku, do jakiego ja doszedłem, to znaczy, jeśli pan uzna, że z mej strony w grę wchodził bardziej czy mniej świadomy przejaw złej woli, to proszę tę kopertę otworzyć. Ale dopiero wtedy, nie wcześniej. Znajdzie pan w niej bardzo bolesną historię mego prywatnego życia. Może tamte chwile wyjaśniają mój postępek sprzed piętnastu lat. Wyjaśniają, ale nie usprawiedliwiają. Dodam jeszcze, że skazany zmarł w

więzieniu po dwunastu latach. Dziękuję.

Świecił księżyc. Łopatą, którą pożyczył od Fazia, wykopał dół w piasku w odległości jakichś dziesięciu metrów od werandy. Wrzucił do niego paczkę dokumentów sądowych i oba listy. Z bagażnika samochodu wyjął mały kanister z benzyną, wrócił na plażę, wylał część zawartości na papiery i podpalił. Kiedy płomienie wygasły, przemieszał kawałkiem kija resztki papierów, wylał następną część benzyny i raz jeszcze ją zapalił. Powtórzył tę operację jeszcze dwa razy, tak że w końcu miał pewność, że wszystko obróciło się w popiół. Zabrał się do zakopywania dołu. Kiedy skończył, zaczynało świtać.

Zaradna pani domu

– Komisarzu! Jakie to szczęście, że znów pana widzę! – zawołała Clementina Vasile–Cozzo, wyciągając ręce, żeby przygarnąć Montalbana do siebie i jak zwykle doczekać się zwyczajowych pocałunków w oba policzki.

– Gdzie mam to położyć? – spytał komisarz, wskazując na pakunek, w którym przyniósł z cukierni dziesięć świeżutkich rurek z kremem, zwanych w Vigście *cannoli*.

– Proszę dać to mnie. Ale najpierw poznam pana z moja dawną uczennicą i przyjaciółką. To o niej mówiłam panu przez telefon.

Pani Clementina ruszyła szybko na wózku inwalidzkim, do którego od lat była przykuta, i wjechała do salonu.

– To komisarz Montalbano. A to Simona Minescu.

– Dziękuję, że był pan uprzejmy przyjść – powiedziała kobieta, ściskając komisarzowi rękę.

Montalbano nie spodziewał się, że ona tak wygląda. Po prostu inaczej ją sobie wyobrażał. Simona Minescu była wysoką, szczupłą brunetką, oczy miała wielkie, ciemne i myślące. Ale było w niej coś z zaradnej pani domu; jakoś tak się poruszała i mówiła. A to kontrastowało z jej wyrazistą urodą. Podczas obiadu właściwie nie odzywali się do siebie. Pani Clementina z pewnością powiedziała przyjaciółce, że Montalbano, kiedy je, woli nie rozmawiać, a nawet nie lubi wtedy słuchać toczącej się obok rozmowy. Gospościa pani Clementiny przyrzadziła oczywiście wyśmienity obiad, mimo że za komisarzem nie przepadała.

– Na kawę przejdziemy do salonu – powiedziała pani Clementina.

Nie padło jeszcze ani jedno słowo o tym, dlaczego pani Clementina chciała doprowadzić do spotkania tych dwojga. Montalbano był tego coraz bardziej ciekaw.

– Opowiedz panu komisarzowi o twojej sprawie – powiedziała wreszcie pani Vasile–Cozzo, kiedy gospoia sprzątnęła filizanki.

– O ile pan komisarz znajdzie dla mnie czas – odpowiedziała Simona, patrząc mu prosto w oczy. Komisarzowi bardzo się to spojrzenie spodobało.

– Mam dla pani tyle czasu, ile pani zechce.

– Nie wiem, od czego zacząć – rozpoczęła z oporami Simona Minescu.

– No to ja zacznę – ucięła pani Clementina. – Słyszał pan o zamordowaniu Antonia Minescu? Mieszkał w Feli.

– Nie – odpowiedział Montalbano. – To pani mąż?

– Mój mąż, Bogu dzięki, żyje i ma się dobrze. Nie, chodzi tu o mojego ojca.

– Został zabity w Feli? Pani Clementina mówiła mi, że pani mieszka w Feli.

– Tak, mieszkamy w Feli, ale ojciec został zabity w Rzymie.

– Więc ojciec nie mieszkał w Feli?

– Mieszkał, ale pojechał do Rzymu na wycieczkę.

– Jednego jestem ciekaw, przepraszam za pytanie, pani jest Sycylijką?

– Naturalnie. Dlaczego pan pyta?

– Nie wiem. Może, słysząc nazwisko...

– Ojciec był Rumunem. Ale po wojnie otrzymał obywatelstwo włoskie. Ożenił się tutaj, w Vigricie, i wkrótce potem przenieśli się do Feli. Ja już tam się urodziłam.

– Simona, chyba lepiej będzie, jeżeli opowiesz wszystko po swojemu –

wtrąciła się rozsądnie pani Clementina.

– Dobrze, spróbuję. Więc najpierw musi pan, panie komisarzu, wiedzieć, że mój ojciec był praktykującym katolikiem. Może nawet był, biedaczek, bigotem, jak na mój gust. Co drugi dzień chodził na cmentarz, na grób mamy, która zmarła dziesięć lat temu. Do kościoła chodził codziennie. W końcu proboszcz powierzył mu nawet zajmowanie się rachunkowością parafialną.

– Kim pani ojciec był z zawodu?

– Księgowym. Skończył studia w tysiąc dziewięćset czterdziestym ósmym roku, cztery lata po przyjeździe na Sycylię. W tysiąc dziewięćset pięćdziesiątym zaproponowano mu pracę w hurtowni drewna opałowego w Feli. Przyjął ją i pracował tam aż do emerytury.

– Mieszkał sam?

– Po części sam, po części z nami. Kiedy mama zmarła, mój mąż znalazł mieszkanie w pobliżu nas. Jadał z nami. Był bardzo zżyty z naszymi dwoma synami, z Antoniem, który ma teraz piętnaście lat i po nim dostał imię, i Mariem, który ma lat dziesięć. Przepadał za nimi i rozpuszczał ich. Czasami mieliśmy mu to za złe, choćby wtedy, kiedy wpadł na przepiękny pomysł i kupił Antoniowi skuter. Za oszczędności odkładane z emerytury.

– A po co pojechał do Rzymu?

– Widzi pan, ojciec miał tylko jedno marzenie: zobaczyć papieża. Okazją do tego miał być rzymski jubileusz. Solennie sobie przyrzekł, że wtedy pojedzie. Ale właśnie tamtego roku przeszedł niegroźny zawał. Drobiazg, powiedzieli lekarze, wystarczy, że będzie dbał o siebie. Ojciec jednak wbił sobie do głowy, że nie dożyje dwutysięcznego roku. I nie pomylił się, chociaż oszedł inaczej, niż się spodziewał.

– Ile miał lat?

– Siedemdziesiąt trzy. Urodził się w roku tysiąc dziewięćset dwudziestym

piątym. Don Cusumano, nasz proboszcz, widząc, że ojciec jest ciągle przygnębiony, zaproponował mu wyjazd do Rzymu z wycieczką księży z prowincji Montelusa, którzy mieli zostać przyjęci na audiencji u papieża. Oczywiście zgodził się jechać i był szczęśliwy.

– Pojechali pociągiem?

– Nie, autobusem. Zadzwoił do mnie, jak tylko dojechali. Czuł się świetnie. Podał mi nazwę hotelu, gdzie się zatrzymali, i numer telefonu. Powiedział, że po południu idą całą grupą zwiedzać Rzym, a następnego dnia, o jedenastej, zostaną przyjęci przez papieża. Obiecał zatelefonować zaraz po audiencji. Ale więcej go nie usłyszałam.

I już nie starała się opanować. Po jej policzkach popłynęły wielkie łzy.

– Przepraszam.

Pani Clementina podjechała do drzwi, zawołała gosposię i poprosiła o szklankę wody. Montalbano był wyraźnie zakłopotany.

– Naturalnie, nie mając do pierwszej żadnej wiadomości, zadzwoniłam do hotelu. Rozmawiałam z kierownikiem wycieczki, ojcem Diliberto. Był bardzo zmartwiony i odpowiadał wykrętnie. Usłyszałam, że ojciec poprzedniego dnia wieczorem wyszedł z hotelu, nic nikomu nie mówiąc, i nie wrócił na noc. Ojciec Diliberto zgłosił to na policji. Nie wiedziałam, co robić, byłam zrozpaczona. Około czwartej po południu zatelefonował ojciec Diliberto. Powiedział mi, że nie wie, czy wiadomość, jaką ma dla mnie, możemy uznać za dobrą wróżbę czy nie, ale sprawdził, że ojciec nie został przyjęty do żadnego szpitala ani schroniska dla bezdomnych.

– Ojciec nie cierpiał na amnezję? Choćby niewielką?

– Nie, panie komisarzu. Pamięć miał znakomitą, amnezja nie wchodzi w rachubę. O piątej po południu wrócił z Palermo mój mąż. Bo go o całej sprawie zawiadomiłam telefonicznie. A ponieważ jest człowiekiem

przedsiębiorczym, już o wpół do dziewiątej wieczór odleciał do Rzymu. W chwili kiedy tam lądował, zadzwonił do mnie znowu ksiądz Diliberto. Powiedział mi, że stało się najgorsze: znaleziono ojca martwego. Nie chciał mi nic więcej powiedzieć. Udało mi się szybko połączyć z mężem i opowiedziałam mu, co się stało. Następnego dnia kupiłam wszystkie gazety rzymskie, jakie przychodzą do Feli. Dowiedziałam się z nich, że zwłoki ojca odkrył jakiś przypadkowy przechodzień; leżał w pobliżu dworca Termini, zakryty pustymi kartonami. Była piąta rano, panie komisarzu.

– Nie miał przy sobie dokumentów?

– Miał wszystkie. Miał także portfel. Nie brakowało ani jednego centa. Nie zabrali mu nawet złotego zegarka.

– Dlaczego w takim razie zawiadomili księdza Diliberto tak późno?

– Mąż mi to wytłumaczył, kiedy wrócił z Rzymu. Człowiek, który ojca znalazł, pobiegł do karabinierów, a oni najpierw zadzwonili do Feli, do domu ojca, gdzie naturalnie nikt nie odpowiadał, a potem porozumieli się z naszymi miejscowymi karabinierami. Patrol poszedł do domu ojca, gdzie dzwonił bez skutku. W końcu próbowali dodzwonić się do mnie, ale pech chciał, że właśnie wyszłam na zakupy. I tak minęło przedpołudnie. Po obiedzie dwaj karabinierzy wybrali się do urzędu miejskiego, ale był już zamknięty. Dopiero wieczorem wpadli przytomnie na pomysł, żeby pójść do proboszcza. I proboszcz im powiedział, że ojciec jest w Rzymie, i dał im numer telefonu do hotelu. W ten sposób skontaktowali się wreszcie z ojcem Diliberto. Mąż powiedział mi także wiele innych szczegółów.

– Jak ojciec został zabity?

– Strzałem z pistoletu. Jednym strzałem w twarz.

– Co jeszcze powiedział pani mąż?

– Że karabinierzy zadawali mu dość dziwne pytania.

– Jakie?

– Czy ojciec miał wiadome skłonności. Bo tam, gdzie został znaleziony, lubią się kręcić mężczyźni, którzy...

– Rozumiem, proszę to pominąć.

– Pytali go też, czy ojciec zażywał narkotyki. Mój Boże, stary człowiek i narkotyki! W końcu oświadczyli, że z pewnością szło tu o rabunek, który się nie powiódł, dlatego że ojciec bronił się przed napastnikami, a oni stracili głowę i strzelili. A potem wpadli w panikę i uciekli, nie okradłszy go.

– Taka hipoteza ma ręce i nogi. Czy mąż dowiedział się czegoś o wynikach, proszę mi wybaczyć, sekcji zwłok? Może stwierdzono, czy ja wiem, ślady alkoholu...

– Nie, to wykluczone. Ojciec był abstynentem. Same przykładowe cechy miał ten świątobliwy człowiek!

– Dlaczego zatem wyszedł z hotelu, zamiast iść do łóżka jak wszyscy? – powiedział Montalbano, zadając to pytanie raczej samemu sobie.

– Nie wiem. I właśnie po to tu jestem, żeby się tego dowiedzieć – odpowiedziała Simona Minescu.

– Na litość boską! Proszę pani, ja absolutnie nie jestem w stanie... Proszę nie mieć do mnie żalu, ale kiedy ma się w ręku tak mało elementów, tak bardzo mało...

– Dowiedziałam się jeszcze czegoś więcej – przerwała mu energicznie pani Simona.

– Tak? Rozmawiała pani z karabinierami?

– Nie, z nimi nie rozmawiałam. Po co? Oni uznali sprawę za zamkniętą.

– Kto wie, może mój kolega z Feli mógłby...

– Ale ja poradziłam Simonie zwrócić się do pana – wtrąciła się Clementina Vasile-Cozzo.

– Myśli pan, że ktoś inny chciałby ze mną o tym rozmawiać? – dodała Simona.

– Dobrze, spróbuję – ustąpił Montalbano. – Czego się pani dowiedziała?

– Kiedy ojciec Diliberto wrócił z Rzymu ze wszystkimi księżmi, poszłam z nim porozmawiać. Wypytywałam każdego z nich. Don Pignataro i don Cottone powiedzieli mi, że kiedy spacerowali po via Conciliazione, ojciec w pewnej chwili poprosił, żeby poczekał na niego, bo musi poszukać toalety. Zobaczyli, że wchodzi do najbliższego baru. Czekali na niego dość długo i zaczęli się niecierpliwić. Wobec tego weszli do tego baru, gdzie było pełno cudzoziemców, i zobaczyli, że ojciec siedzi przy stoliku i spokojnie czyta gazetę. Posprzeczali się z nim, wypomnieli mu złe wychowanie i wyszli. Ale ojciec wydał im się tam, w barze, jakiś odmieniony, nieobecny. Taki też był podczas kolacji w hotelu, nawet byli przekonani, że ojciec źle się czuje. Postanowili jednak nic nie robić i poczekać do rana. I tyle. Nic więcej nie umieli mi powiedzieć.

– Te okoliczności mogą właśnie świadczyć o chwilowej amnezji.

Wydawało się, że Simona Minescu nie usłyszała tej uwagi komisarza.

– Ponad miesiąc temu przysłali mi z Rzymu wszystkie rzeczy ojca. W kieszonce kamizelki znalazłam zwinięty kawałek papieru.

Odszukała go w wielkiej torebce i podała komisarzowi.

– Proszę spojrzeć. To bilet ATAC, ale nieskasowany. ATAC to sieć autobusowa w Rzymie – wyjaśniła tonem nauczycielki szkoły powszechnej.

– Wiem – powiedział trochę dotknięty Montalbano.

– Ojciec zapisał na nim jakiś numer telefonu. To na pewno jego ręka, nie mam wątpliwości. Cyfry są takie jak jego. 3612472. A obok – widzi pan – jest jeszcze jedna cyfra: 7, dopisana osobno. Tak jakby ojciec nie był pewien tego dodatkowego numeru. Zapisał go jednak dobrze.

– Przepraszam, w jakim sensie „dobrze”?

– W takim, że wykręciłam 3612472 z numerem kierunkowym Rzymu i natychmiast mi odpowiedzieli. To numer jednego z hoteli. Chce pan wiedzieć coś jeszcze?

– Skoro już tu jestem, to dlaczego nie? – powiedział dość kwaśno Montalbano.

Pani Simona nie wyczuła w tym ironii albo nie chciała wyczuć.

– Ten hotel znajduje się w pobliżu miejsca, gdzie znaleziono ojca.

Komisarz wyostrzył słuch. Sprawa stawała się interesująca.

– Kiedy miało miejsce zabójstwo?

– Wieczorem albo w nocy dwunastego października.

– Dobrze. W kwesturze mają wykazy tych wszystkich...

Simona Minescu podniosła energicznie rękę, więc komisarz umilkł.

– Mój mąż, pan o tym nie wie, bo skąd, ma wielką agencję turystyczną i ma wielu przyjaciół w tej branży.

– Nie wątpię w to, proszę pani. Ale przecież nie jest powiedziane, że każdy, kto zatrzymuje się w hotelu, podróżuje, korzystając z jakiejś agencji turystycznej.

– Oczywiście. Mówiąc to, miałam na myśli pewną konkretną sprawę.

Proszę mi to bliżej objaśnić.

– Już to robię, panie komisarzu. Siódemka, którą ojciec sobie zapisał, nie oznacza drugiej linii telefonicznej w hotelu. Poinformowali mnie, że drugiej linii nie mają. Więc tego numeru telefonu nikt ojcu nie podał, ojciec musiał go tylko gdzieś usłyszeć i sobie zapisać, tyle że nie był pewien ostatniej cyfry. A gdzie mógł ten numer usłyszeć? Tylko w tamtym barze, gdzie siedział sam, oddaliwszy się od grupy. W barze zrozumiał coś albo zobaczył coś, co

nim wstrząsnęło. Jak zauważyli księży.

– Sprawdziła pani, jakie rozmowy telefoniczne odbył ojciec z hotelu?

– Tak, Z pokoju hotelowego w „Imperialu” gdzie mieszkali, można telefonować na miasto tylko przez centralę. Okazuje się, że z pokoju telefonował tylko raz, do mnie. Zanim jednak wszedł do jadalni na kolację, telefonował jeszcze do kogoś.

– Skąd ta pewność?

– Powiedział mi to ojciec Giacalone, uczestnik wycieczki. W holu hotelowym są dwa automaty telefoniczne na żetony. Ojciec Giacalone zaklina się, że widział mojego ojca przy jednym z nich.

– I pani przypuszcza, że ojciec telefonował do hotelu, do tego drugiego... jak się nazywa?

– „Sant’Isidoro”

– ...i że chciał z kimś rozmawiać i umówić się na spotkanie.

– Tak myślę. Zaczęłam oczywiście zastanawiać się, kim ten ktoś mógł być. Ojciec był bardzo towarzyski, otwarty i wylewny. Opowiadał każdemu o sobie i o wszystkim. Dlaczego w takim razie zataił przed księżmi z wycieczki to, co zobaczył lub usłyszał w barze? Dlatego, że był tym niezmiernie poruszony.

– Co pani wie o swoim ojcu? – spytał niespodziewanie komisarz. I dodał:

– Mam na myśli sprawy, które mogły się zdarzyć w jego życiu, kiedy był jeszcze w Rumunii.

Simona Minescu popatrzyła na niego z podziwem.

– Jest pan naprawdę wspaniały, panie komisarzu. Taki, jak mi powiedziano.

– Prosiła pani męża, żeby spytał, czy dwunastego października w hotelu „Sant’Isidoro” zatrzymała się wycieczka z Rumunii?

– Tak, panie komisarzu, tak zrobiłam. Usłyszałam, że tak.

– Wróćmy do pierwszego pytania.

– Jak panu wspomniałam, ojciec uciekł z Rumunii w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku; miał wtedy dziewiętnaście lat. I przez Jugosławię, Adriatyk, Apulię, Kalabrię i Cieśninę Messyńską dotarł do Vigrty. Nigdy nie powiedział mi, dlaczego uciekł i jakie miał plany. Był tak szczery i otwarty, a jednak milkł, gdy rozmowa schodziła na jego życie w Rumunii. Powiedział mi tylko tyle, że jego rodzinę zgładzono.

– Kto to zrobił?

– Ludzie generała Antonescu, tego premiera sprzyjającego nazistom. Ojciec uniknął jednak aresztowania. Urodził się i mieszkał w Devie, stolicy regionu Hunedoara, a było to miasto, które miało zaledwie szesnaście tysięcy mieszkańców. Wszyscy się tam znali, niełatwo było się ukrywać. Ale ojcu się poszczęściło. Potem, w tysiąc dziewięćset czterdziestym czwartym roku, rząd Antonescu obalono i ojcu udało się uciec. O tym i o swojej podróży, która musiała być przeżyciem trudnym i bolesnym, ojciec nigdy mi nie mówił. Chyba rozmyślnie. Chciał o wszystkim zapomnieć albo może tamte ciężkie przejścia spowodowały, że w jakimś stopniu wymazał je z pamięci. Doszłam więc do logicznego wniosku, że w tamtym barze w Rzymie zobaczył kogoś, kto siłą rzeczy przeniósł go nagle w dawne czasy, i że to przed tym kimś zasłaniał się gazetą.

– To pani wnioskowanie jest istotnie logiczne, ale całkiem nieprawdopodobne. Czy to możliwe, żeby był to aż taki zbieg okoliczności? Żeby ojciec właśnie pojechał do Rzymu i właśnie tego dnia, właśnie o tej godzinie natrafił w pierwszym lepszym barze na swojego ziomka, który...

– Jest pan pewien, że coś takiego można absolutnie wykluczyć?

Montalbano zastanawiał się przez chwilę.

– Absolutnie wykluczyć tego nie można – stwierdził.

– Będę więc tak rozumowała dalej, a pan w końcu chyba nie uzna, że zwariowałam. Słowem, założywszy to, starałam się dowiedzieć czegoś więcej. I zrobiłam coś, do czego czasami mnie ciągnęło, ale na co się nie odważałam.

– Co takiego?

– Zajrzałam do papierów ojca. Do teczki, zniszczonej i wyplamionej, którą trzymał w komodzie, w szufladzie pod bielizną. Była tam wyblakła fotografia pary małżeńskiej z dwojgiem dzieci, z których jednym na pewno był mój ojciec. Dorośli to oczywiście rodzice, a drugie dziecko to Carol, o rok starszy brat ojca, który także został zamordowany. W teczce znalazłam też pisany ołówkiem brudnopis podania o obywatelstwo włoskie. Dyplom księgowego. Świadectwo ślubu i świadectwo śmierci mojej matki. Mój akt urodzenia. I pożółkłą karteczkę napisaną po rumuńsku. „Żeby nie zginęła o tym pamięć. Mordercami mojej rodziny są: Anton Petrescu, Virgil Cordeanu, Petre Lupescu i Cezar Pascaly; ten ostatni to mój rówieśnik” Poniżej było jeszcze zdanie: „Zaręczam honorem, że napisałem prawdę” i podpis. Jeżeli ojciec napisał, że Pascaly był jego rówieśnikiem, musiało to znaczyć, że tamci trzej byli starsi. Wobec tego jedynym z tego wykazu, który jeszcze mógł żyć, był Cezar Pascaly. Prosiłam męża, żeby poruszył niebo i ziemię i zdobył nazwiska uczestników rumuńskiej wycieczki. W końcu uzyskał tę listę.

– I oczywiście było na niej nazwisko Cezara Pascaly.

– Nie, panie komisarzu, nie było go.

– Mógł się teraz nazywać inaczej. Ale ojciec i tak go rozpoznał.

– I mnie się tak zdawało. Więc powiedziałam sobie, że muszę się pogodzić z ustaleniami karabinierów, skoro nie potrafię nic więcej odkryć. Ale następnego dnia, zaraz po obudzeniu, jeszcze raz rzuciłam okiem na tę listę.

Leżała na stole w kuchni. Zdałam sobie sprawę, że patrzyłam tylko na literę „p” Zaczęłam więc od „a” od początku. I po chwili natrafiłam jednak na jedno z tych czterech nazwisk zapisanych przez ojca: Virgil Cordeanu, lat siedemdziesiąt osiem, urodzony w Devie, w tysiąc dziewięćset dwudziestym roku. Podróżował razem z pięćdziesięcioletnim synem Ionem. Więc wyobraziłam sobie tamto straszliwe wydarzenie. W tym przeklętym barze ojciec rozpoznał Cordeanu, jednego z zabójców swojej rodziny. W jakiś sposób zdobył numer telefonu hotelu, gdzie mieszkali jego rodacy. Zapisał go sobie na bilecie autobusowym. Z początku był zanadto wstrząśnięty, żeby cokolwiek zrobić. Ale przed kolacją, już z hotelu, zadzwonił do tamtego hotelu, gdzie mieszkał Cordeanu, i poprosił go do telefonu. Umówili się na spotkanie.

– Jak pani myśli, co ojciec chciał uzyskać, spotykając się z nim?

– Nic konkretnego, proszę mi wierzyć. Jestem pewna, że chciał się z nim spotkać tylko po to, by go spytać, czy odczuwa skruchę lub coś w tym rodzaju. Czy wyznał swój grzech na spowiedzi? Myślę jednak, że na spotkanie nie przyszedł Virgil Cordeanu, tylko jego syn Ion.

– Sądzi pani, że Ion znał przeszłość ojca?

– Może znał. Albo usłyszał o niej od Virgila dopiero po telefonie ojca. W każdym razie nie zawahał się zlikwidować niebezpiecznego świadka.

– Niebezpiecznego, mówi pani? Dla kogo? Dla siedemdziesięcioośmioletniego starca?

– Panie komisarzu, chyba nie zapomniał pan o aferze z pułkownikiem Priebke?

– No, to jednak był przypadek innego rodzaju.

– Ja także miałam podobne wątpliwości. I dlatego zaczęłam zbierać dodatkowe informacje. Wtedy zrozumiałam, że ojciec nie był niebezpieczny

dla Virgila Cordeanu, tylko dla jego syna, Iona. Ion został po wojnie uwięziony przez władze komunistyczne, ale wkrótce go zwolniono i stał się wzorcowym demokratą. Po zaledwie dziesięciu latach był ważną figurą w polityce i gospodarce rumuńskiej. Ojciec Virgil tymczasem trzymał się z dala od życia publicznego i wszyscy o nim zapomnieli. Ale skandal z ojcem z całą pewnością złamałby świetną karierę polityczną Iona. Nie uważa pan, że był to wystarczający powód, aby zlikwidować mojego ojca?

Montalbano nie odpowiedział od razu. Przypatrywał się z podziwem tej pięknej pani, która siedziała naprzeciw niego. Pomyślał o jej mężu; gdyby przypadkiem pozwolił sobie ją zdradzić, ta pani w chwilę później znałaby już imię, nazwisko, imię ojca, imię matki, stan cywilny i adres rywalki, a może nawet dowiedziałyby się, jakie tamta płaci podatki. Simona Minescu zarumieniła się pod spojrzeniem komisarza. Clementina Vasile-Cozzo zrozumiała, że nadeszła chwila, żeby zabrać głos.

– Co pan na to, komisarzu?

– Nic tu dodać, nic ująć. O co jeszcze, pani Simono, ja mógłbym tu zadbać?

– O sprawiedliwość – odpowiedziała najzwyczajniej Simona Minescu. – O sprawiedliwość w tym, co wówczas zrobił ojciec Cordeanu, i w tym, co teraz zrobił jego syn.

– To będzie długie i trudne. Ale jeśli pani mi pomoże, moja szanowna koleżanko po fachu, to pewnie jakoś sobie i z tym poradzimy – powiedział Montalbano, wstając i składając jej szczerze głęboki ukłon.

„Mój drogi Salvo...” „Kochana Livio...”

Boccadasse, 2 lipca

Najdroższy Salvo,

nie chciałam o tym rozmawiać przez telefon, bo byłam zanadto wstrząśnięta. Kiedyś, kiedy byłeś tutaj w Boccadasse, widziałeś moją przyjaciółkę Francescę Leonardo. Potem w Vigricie często ci o niej mówiłam. Bardzo chciałam, żebyś ją poznał bliżej, i za każdym razem, kiedy przyjeżdżałeś z Vigricy, zapraszałam ją do siebie, ale ona wymawiała się, wyszukiwała różne preteksty, tak że nie doszło (poza tym jednym razem) do waszego spotkania. Nawet myślałam, że jest o ciebie zazdrosna. Było to głupie, myliłam się. Dopiero po jakimś czasie zrozumiałam, że Francesca nie chciała przyjeżdżać do Boccadasse, kiedy byłeś u mnie, z delikatności, z dyskrecji; nie chciała nam przeszkadzać.

Jak już pewnie ci opowiadałam, poznałam Francescę parę lat temu w biurze, gdzie pracowała w dziale prawniczym, i nieoczekiwanie zaprzyjaźniłyśmy się, chociaż ona była ode mnie młodsza. Potem przyjaźń zmieniła się w bliskość i przywiązanie. Francesca była niesłychanie lojalna i wielkoduszna, cały wolny czas przeznaczala na pracę dla innych. Nigdy nie mówiła entuzjastycznie o mężczyznach, żaden jej szczególnie nie interesował. Słowem, była dziewczyną bardzo zwyczajną, zadowoloną ze swojej pracy i swego rodzinnego życia. Była jedynaczką, mieszkała z rodzicami. A teraz, jak co roku, wyjeżdżała razem z nimi na wakacje. Mieli

prom o ósmej wieczór.

Wczoraj Francesca wstała jak zawsze o wpół do ósmej, zjadła śniadanie i spakowała walizkę na wyjazd. Wyszła z domu około wpół do jedenastej, powiedziała matce, że chce sobie kupić kostium kąpielowy i jakieś drobiazgi. Miała wrócić na obiad. Wzięła ze sobą większą torbę, coś w rodzaju worka. Rodzice czekali na nią i dość długo nie siadali do stołu. Wreszcie zaczęli się niepokoić. Telefonowali w wiele miejsc, także do mnie, ale my rozstałyśmy się już po południu poprzedniego dnia. Ja także byłam zaniepokojona, bo Francesca była zawsze punktualna, odpowiedzialna, a co ważniejsze, nigdy nie zrobiłaby niczego, co mogłoby zmartwić rodziców. Po paru godzinach zadzwoniłam do nich. Mama Franceski, płacząc, powiedziała mi, że w dalszym ciągu nie mają od niej żadnej wiadomości. Wsiadłam do samochodu i pojechałam tam. Ledwo weszłam do bramy, podeszła do mnie portierka, bardzo poruszona. Był z nią jakiś czterdziestoletni mężczyzna, który przedstawił się, mówiąc, że jest komisarzem policji z wydziału zabójstw. Poczułam, że mogę w każdej chwili zemdleć. Bo jakoś od razu zrozumiałam, zanim jeszcze komisarz podszedł do mnie, że z Francesca stało się coś strasznego. Komisarz powiedział, ściskając mi współczującym gestem rękę, że Francesca nie żyje. Zaczął mówić, że do tego wypadku prawdopodobnie doszło przypadkowo, ale mu przerwałam. „Gdyby to był przypadek – powiedziałam – to pana by tu nie było. Pomylili ją z inną osobą? Można tu mówić o jakimś fatum?”. Zdawało mi się, i w dalszym ciągu tak mi się zdaje, że to niemożliwe, żeby ktoś i rozmysłem chciał ją zamordować. On popatrzył na mnie uważnie, wymownie rozłożył ręce. „Cierpiała?”. Myślałam, że będzie unikał mego wzroku, tymczasem popatrzył mi prosto w oczy. „Niestety, obawiam się, że cierpiała”. Nie miałam odwagi pytać o nic więcej. On jednak ciągle wpatrywał się we mnie, a w końcu jakimś nieśmiałym tonem spytał: „Pomoże mi pani?”. Kiedy jechaliśmy windą, spytał mnie

jeszcze: „Czym się pani zajmuje?”. Miał naturalnie na myśli, co robię w życiu. Ale ja mu odpowiedziałam jakby bez związku z jego pytaniem: zamiast powiedzieć, że jestem urzędniczką, wyrwały mi się słowa: „Jestem narzeczoną pańskiego kolegi z Sycylii”. Wtedy przedstawił mi się, powiedział, że nazywa się Giorgio Ligorio.

Oszczędzę ci tu opisu rozpaczki matki i ojca Franceski. A także mojej. Zostałam u nich, zaczekałam, dopóki nie przyjechał wuj Franceski z żoną i inni przyjaciele rodziny i nie zastąpili mnie. Kiedy wróciłam do siebie, aby trochę odpocząć, już się ściemniało. O ósmej wieczorem zaczęły dzwonić telefony, chcieli ze mną rozmawiać przyjaciele, koledzy z pracy, znajomi, nikt nie mógł uwierzyć w to, co się stało. Przysparzało mi to udręki, bo musiałam ciągle opowiadać o Francesce. Postanowiłam wyłączyć telefon, kiedy właśnie zadzwonił komisarz Ligorio (prosił, żebym mu zostawiła numer telefonu). Chciał ze mną porozmawiać o Francesce, bo zorientował się tam, w domu biednych Leonardy, że łączyła mnie z nią autentyczna, głęboka przyjaźń. Chociaż byłam w fatalnym stanie, jak możesz sobie wyobrazić, zgodziłam się, żebyśmy się spotkali. Policja już zdążyła prześledzić wszystkie ruchy mojej nieszczęsnej przyjaciółki. Francesca najpierw poszła do apteki pod domem po krople do oczu i jakieś inne lekarstwa, a potem wsiadła do autobusu (miała samochód, ale nie lubiła nim jeździć) i dojechała do centrum. Weszła do sklepu sportowego i kupiła kostium kąpielowy. Myślała jednak o kostiumie w innym kolorze, ale takiego nie mieli. Poszła więc pieszo do drugiego sklepu, gdzie kupiła taki kostium, jak chciała. Wszystko to można było odtworzyć dzięki paragonom z kas sklepowych, które znaleziono w jej torbie razem z lekarstwami i kostiumami. W torbie zresztą nie brakowało niczego: były dokumenty, portmonetka (a w niej czterysta tysięcy lirów), szminka. Słowem, morderca niczego nie ruszył i dlatego policja wyklucza, że mógł nim być pospolity złodziej albo narkoman

pilnie potrzebujący pieniędzy na kolejną działkę. Nie doszło do próby gwałtu, jej bielizna, chociaż wyplamiona krwią, była nietknięta. Resztę wykaże sekcja, wyjaśni dodatkowe szczegóły. Komisarz Ligorio chciał znać zwyczaje, pasje i przyjaźnie Franceski. W pewnej chwili zdałam sobie sprawę, że jeszcze nie znam pewnych zasadniczych elementów tego zabójstwa, że on mi o nich nie powiedział. „Gdzie to się stało?” Usłyszałam, że ciało znaleziono w toalecie prywatnej szkoły wieczorowej „Mann”, do której Francesca jeszcze niedawno chodziła na kurs niemieckiego. Rok szkolny zakończył się jednak dwudziestego piątego i szkoła w wakacje była nieczynna. Ligorio wyjaśnił mi, że Francesca weszła do szkoły (która zajmuje trzy piętra w willi z małym parkiem), kiedy zobaczyła, że brama ogrodzenia i drzwi wejściowe do budynku są otwarte, bo w środku są robotnicy przeprowadzający prace remontowe. Nie było natomiast nikogo z personelu administracyjnego; wszyscy już wyjechali na wakacje. Francesca weszła do „Manna” parę minut po dwunastej; o tej porze czterej robotnicy znajdowali się na zapleczu willi, pod prowizorycznym dachem, gdzie jedli obiad. Nie mogli więc widzieć, jak Francesca weszła i poszła schodami do toalety na trzecim piętrze, tam gdzie są tylko biura, a nie ma sal lekcyjnych. Komisarz spytał mnie przy okazji, czy Francesca mogła się z kimś umówić w szkole, z jakimś kolegą lub koleżanką z kursu. Odpowiedziałam, że to raczej niemożliwe, bo wiedziałam od niej, że szkoła była już nieczynna. Przyszło mi jednak coś do głowy i spytałam, jak daleko jest „Mann” od ostatniego sklepu, w którym Francesca robiła zakupy. Odpowiedział, że mniej więcej sto metrów. Wtedy, chociaż się wstydziłam, opowiedziałam mu o pewnej osobliwej przypadłości, na jaką cierpiała Francesca: nie była w stanie skorzystać z toalety w miejscu, którego wcześniej nie знаła. Nie mogła więc używać toalety w barach, restauracjach czy pociągach. Wszystko to oczywiście, jak mówiła, przysparzało jej wielu zasadniczych kłopotów, ale

tak już z nią było i nic na to nie mogła poradzić. Podsunęłam wobec tego komisarzowi przypuszczenie, że Francesca, przechodząc pod ogrodzeniem szkoły, zobaczyła otwartą bramę. Skorzystała z tego, weszła i poszła na trzecie piętro, gdzie toaleta była mało uczęszczana (a w przerwie wakacyjnej stała pusta). I właśnie tam napotkała swego mordercę. Ligorja bardzo ten domysł zainteresował. Wkrótce potem wyszedł, a ja zabrałam się do pisania do ciebie tego listu, który teraz kończę. W kioskach powinny być już dzisiejsze gazety. Zimno mi, chociaż dzień, a przynajmniej ten wczesny ranek, jest pogodny i ciepły. Do usłyszenia.

Drogi Salvo, teraz jest dziewiąta, dopisuję jeszcze parę słów, bo już czuję się trochę lepiej. A czułam się bardzo źle. Kiedy kupiłam gazety, nie oparłam się ciekawości i zaczęłam je czytać od razu tam, pod kioskiem. Nie skończyłam nawet pierwszego artykułu. Kioskarz zobaczył, że słaniam się i osuwam, wybiegł i podsunął mi krzesło. Szczegóły podane w gazetach są straszliwe. Francesca została zdzielona nożem z furiackim zapamiętaniem co najmniej czterdzieści razy, broniła się, na co wskazują charakterystyczne rany na dłoniach, i z pewnością krzyczała, ale wszystko to na nic się nie zdało. Nie czuję się na siłach pisać ci więcej. Posyłam kurierem ten list i wycinki z prasy. Jutro już to wszystko będziesz miał w ręku. Zadzwoń do mnie.

Najczulej cię ściskam

Livia

Vigrta, 5 lipca

Droga Livio,

wczoraj wieczorem, kiedy rozmawialiśmy przez telefon, zrozumiałem, że

nieoficjalne wyniki sekcji wskazują w pewnym sensie na to, że przebieg wydarzeń był mniej okrutny, choć nie ujmuje im straszliwości. Francesca nie została zgwałcona i chyba na pewno zbrodniarz nie miał tego zamiaru. A fakt, że pęcherz był całkowicie opróżniony (wybacz ten niezbędny szczegół), potwierdza twoje domysły. Kiedy Francesca nieoczekiwanie zobaczyła otwartą bramę do szkolnego parku, weszła do willi i poszła na trzecie piętro, bo wiedziała, gdzie znajdzie toaletę, którą знаła. I tam doszło do spotkania, które zakończyło się jej śmiercią. Słuchałem z uwagą wiadomości w telewizji i czytałem o tej sprawie w gazetach. Nie piszesz mi o tym wprost, ale wyczuwam twoją intencję; chciałabyś, żebym się tą sprawą zajął. Na pewno przeceniasz moje zdolności. Dowiedzieć się, dlaczego i przez kogo Francesca została zabita, oznaczałoby dla ciebie zmienić te niejasne fakty, które wydają ci się niezrozumiałe i absurdalne, a przez to trudniejsze do zniesienia, w fakty będące w granicach jakiegoś takiego „rozumienia”. Więc głównie po to, aby ci w uzyskaniu takiej zmiany pomóc, spiszę ci teraz moje najbardziej ogólne domysły i wnioski. Wybacz mi oschły ton, wybacz słowa, których będę musiał użyć; w śledztwie w żadnym razie nie udaje się uniknąć urażenia czyjejś wrażliwości lub dobrych manier. Wczoraj wieczorem powiedziałaś mi, że mój kolega Ligorio, który raz jeszcze się z tobą spotkał, spytał cię, czy napisałaś do mnie albo czy ze mną rozmawiałaś o zabójstwie Franceski. Powiedziałaś mu, że tak, a wtedy chciał wiedzieć, co o tej sprawie myślę. Mówiłaś, że w tonie jego słów wyczułaś prośbę o współpracę, a co najmniej sugestię, że chętnie by moją współpracę zaakceptował. Jesteś pewna, że nie przypisujesz Ligoriovi życzenia, które w rzeczywistości jest tylko twoje? Dowiedziałem się, że mój kolega jest młody, inteligentny, zdolny i że cieszy się wielkim szacunkiem. Jestem w każdym razie do twojej dyspozycji w tej skromnej mierze, w jakiej być może coś potrafię pomóc.

Około dwunastej dziesiątej, z grubsza biorąc, kiedy czterech robotnicy

pracujący w willi przenieśli się pod dach na przerwę obiadową, Francesca – przez nikogo niezauważona – wchodzi do willi, idzie schodami (chyba dobrze zrozumiałem, że tam nie ma windy) i nie spotykając po drodze nikogo, wchodzi do damskiej toalety, całkiem pustej, gdzie zamyka się w kabynie. Pomieszczenie toalety składa się z dwóch części: dużego holu z umywalką i aparatem do suszenia rąk (widziałem to wewnątrz w telewizji), i kabiny z sedesem, której drzwi można zamknąć od środka. Francesca spędza w kabynie konieczną chwilę (najwyżej parę minut), a potem robi dwie rzeczy jednocześnie: spuszcza wodę i otwiera drzwi. Gdyby spuściła wodę, a dopiero w chwilę później otworzyła drzwi, to te parę sekund prawdopodobnie uratowałyby jej życie. Gdyż – czego jestem prawie pewien – tak jak Francesca nie wie, że ktoś w tym czasie wszedł do holu toalety, tak też morderca (który jeszcze nie ma pojęcia, że się nim stanie) nie wie, że w kabynie ktoś jest. Gdyby usłyszał hałas spuszczonej wody, może by uciekł albo w ogóle nie wszedłby do toalety. Tymczasem nagle paraliżuje go widok osoby, która wychodzi z kabiny. A dla twojej biednej przyjaciółki jego obecność musiała także być wielką niespodzianką.

Niektórzy dziennikarze wysuwają domysł o jakimś maniacu, który przypadkiem upatrzył sobie Francescę na ulicy, szedł za nią i w toalecie spotkał się z jej rozpaczliwą obroną, a w końcu ją zabił. Pomijając już fakt, że nie wykryto żadnych oznak przemocy (majtki i biustonosz nie były podarte, miały tylko przecięcia nożem), taka hipoteza nie ma żadnego wytłumaczenia, jeśli wziąć pod uwagę, że decyzja Franceski, by wejść do szkoły, była całkowicie przypadkowa. Francesca wiedziała, że szkoła w tym okresie jest pusta, ale nie mógł tego wiedzieć domniemany maniak. Taki, gdyby już znalazł się razem z nią w willi, zaatakowałby ją od razu, nie czekając, aż wejdzie na trzecie piętro. Czekalby cierpliwie i dopiero potem by ją zabił? Niemożliwe. Sale i pokoje stały puste na każdym piętrze. A

maniak dobrze wie, że ma mało czasu do dyspozycji, bo w każdej chwili może się ktoś pojawić, a to by go zmusiło do porzucenia ofiary. Nie, hipoteza z maniakiem nie trzyma się kupy. Mordercą, moim zdaniem, jest ktoś, kogo twoja przyjaciółka znała i kogo przyłapała na czymś, czego nie powinien był robić. Ponieważ to, co ona zobaczyła, to, co on robił (lub miał robić), wpakowałyby go, gdyby się ujawniło, w nieodwracalne kłopoty. Jak wiesz, Francesca otrzymała ponad czterdzieści ciosów nożem, miała poranione ręce, bo próbowała się osłaniać, a wiele ciosów morderca zadał jej, gdy już nie żyła. Pewnie rozpaczliwie krzyczała, ale tamten nie przestawał dźgać jej nożem, na pewno w furii, jakby z nienawiści. To typowe dla zbrodni w afekcie. Ale w naszym przypadku morderca znęca się nad dziewczyną i kaleczy ją, powodowany innym namiętym impulsem: nienawidzi jej, nienawidzi tego kogoś, kto zmusił go, by stał się zbrodniarzem.

Coś jeszcze: narzędzie zbrodni to, jak stwierdzono, nóż długi na trzydzieści centymetrów i prawie na dwa szeroki. Uwzględniając te wymiary, przychodzi mi raczej na myśl, że był to sztylet o podwójnym ostrzu, a nie zwyczajny nóż. A ponieważ morderstwo nie zostało popełnione w mieszkaniu, gdzie w kuchni taki nóż mógłby się znajdować, trzeba przypuszczać, że zabójca miał to narzędzie zbrodni przy sobie. Jeśli jednak Francesca nie została zabita przez maniaka (który istotnie mógłby nosić tego rodzaju narzędzie, chcąc zapewnić sobie milczenie napadniętej ofiary), to jaki przedmiot podobny do sztyletu może się znajdować w pomieszczeniach szkoły? Ja wiem, jaki, ale chciałbym, żeby Ligorio sam doszedł do podobnego wniosku.

Jeszcze jedno; z pewnością morderca zaplamił krwią ubranie, jakie miał na sobie. Ujęcia toalety pokazywane w telewizji ujawniały krew wszędzie: na ścianach, na posadzce. Znajdujący się w takim stanie zbrodniarz nie mógł wyjść na ulicę, zwłaszcza w środku dnia, przez nikogo niezauważony. Musiał

się gdzieś przebrać. Zrobił to, a zakrwawione ubranie zabrał ze sobą. Ale nawet zakładając, że miał się w co przebrać, gdzie to zrobił? Na pewno nie w holu toalety. Raczej w którymś z pokoi biurowych. Dlaczego w takim razie na korytarzu nie ma śladów jego butów wybrudzonych krwią? A może są, tylko policja nie chciała tego ważnego szczegółu ujawnić?

Kochana Livio, moje rozumowanie na razie na tym się kończy. Jeśli uznasz, że jest coś warte, powtórz je komisarzowi Ligorio.

Bardzo bym chciał, żebyśmy w tych dniach byli razem. Ale ty uważasz, że na razie nie powinnaś zostawiać rodziców Franceski samych, a ja jestem uwięzany w Vigfcie, bo wpakowałem się po uszy w dochodzenie, które mnie męczy i któremu daleko do rozwiązania.

Co mamy robić? Musimy cierpliwie czekać, jak już tyle razy.

Uściski i wiele serdeczności

Salvo

Za twoim przykładem wysyłam ten list kurierem.

Boccadasse, 8 lipca

Kochany Salvo,

wczoraj widziałam się znowu z Giorgiem Ligorio. Powtórzyłam mu wiernie, po prostu słowo w słowo, jak to lubisz mówić, wszystko, co mi napisałeś. Odniosłam wrażenie, że na to czekał. Niektóre twoje uwagi kazał sobie powtarzać, bo bardzo go zaciekały. Potwierdza też twoje domysły: ten nóż rzeczywiście miał ostrza z obu stron. Musiał to być sztylet. Jest także, jak ty, zdania, że zbrodniarz musiał się przebrać. Ale jak to było możliwe? I

gdzie to zrobił? Jeśli był to morderca całkiem przypadkowy, to czy można przypuszczać, że miał przy sobie na zmianę koszulę, marynarkę i spodnie? A skąd wziął narzędzie zbrodni? Musiał je nosić przy sobie, to pewne. A jeśli tak było, twierdzi Ligorio, to mamy tu do czynienia z zabójstwem z premedytacją. Wiele elementów przeczy jednak takiemu założeniu. Wszystko mi mówi, że Ligorio jest jeszcze daleki od rozwiązania. Co do twojego pytania o ewentualne ślady butów wybrudzonych krwią, Ligorio wyjaśnił mi, że morderca po popełnieniu zabójstwa starannie umył posadzkę na korytarzu, używając ścierki i wiadra, które znalazł przy drzwiach toalety. Wcześniej, z samego rana, korzystał z nich stróż, bo wszędzie było pełno kurzu po tych pracach remontowych. Ale mimo że zbrodniarz dokładnie umył korytarz, w miejscu gdzie posadzka styka się ze ścianą, pozostał wyraźny ślad nagiej stopy. Był jednak skierowany w stronę toalety. Jeden z robotników przypomniał sobie, że któregoś dnia pracował bez prawego buta, bo miał spuchniętą stopę, spadł mu na nią kawałek żelaza, co potwierdzili jego koledzy. Ale wszyscy czterej zapewnniają, że nigdy nie chodzili do damskiej toalety. Korzystają z męskiej, która jest na tym końcu korytarza, gdzie pracują.

Powinnam ci lepiej objaśnić rozkład tamtego piętra. Korytarz, z którego wchodzi się do biur, biblioteki i obu toalet, ma kształt litery „L”. Do toalety damskiej prowadzą ostatnie drzwi w dłuższym ramieniu litery, a do toalety męskiej – ostatnie w ramieniu krótszym. To właśnie tam pracują teraz robotnicy (burzą dwie ścianki działowe, żeby z trzech pokoi powstała duża sala). Musisz też wiedzieć, że schody wejściowe na piętro znajdują się w połowie dłuższego ramienia. Zatem nawet gdyby robotnicy wtedy pracowali, to i tak nie mogliby zobaczyć Franceski, ale gdyby byli w budynku, to przynajmniej usłyszeliby jej krzyk, bo nie posługują się narzędziami szczególnie hałaśliwymi.

Ligorio wyjaśnił mi też szczegółowo, jak doszło do odkrycia zbrodni. Był to czysty przypadek. Gdyby się nie zdarzył, biedna Francesca leżałaby w tym okropnym miejscu kto wie jak długo, może aż do otwarcia biur z końcem sierpnia (bo same kursy zaczynają się dopiero w październiku). Morderca, zanim opuścił miejsce zbrodni, mył sobie histerycznie ręce, rozpryskując dużo wody na posadzkę obok umywalki. W tym miejscu krew i woda były ze sobą przemieszane. Zapomniał jednak zakręcić na koniec kran. Stróż, który był na urlopie i miał tylko za zadanie otwierać szkołę o siódmej rano i zamykać o osiemnastej, po wyjściu robotników, przyszedł tego dnia wcześniej, o piętnastej trzydzieści. Chciał zostawić klucz majstrowi i zawiadomić go, że nie może zamknąć szkoły wieczorem i otworzyć rano, bo właśnie odwiózł żonę do szpitala. Kiedy wszedł na trzecie piętro, usłyszał wyraźnie, że leje się woda w umywalce damskiej toalety. A ponieważ rano nabierał wodę do wiadra, żeby przetrzeć posadzkę z kurzu, myślał, że to on zapomniał zakręcić kran. Wszedł, zobaczył zwłoki Franceski i zaczął krzyczeć. Stał jak sparaliżowany, nie mógł się ruszyć z miejsca. Na jego krzyk przybiegli robotnicy. Jeden wyważył ramieniem drzwi do pokoju dyrektora, które były zamknięte na klucz, i zatelefonował na policję.

Powtórzyłam ci wszystko, co mi powiedział twój kolega, który wydaje się osobą sprawną i bardzo, ale to bardzo bystrą. Ma tyle lat, ile ja.

Nie przestawaj myśleć o tej zbrodni, która tak bardzo mnie dotknęła.

Mama Franceski czuje się wciąż źle. Trzeba się nią stale opiekować, wieczorem przyjedzie pielęgniarka i mnie zastąpi. Ojciec sprawia wrażenie otepiałego, robi niezmiennie to, co zwykle robił, jakby się nic nie wydarzyło, ale porusza się w dziwny sposób, nadzwyczaj wolno.

Zadzwonię do ciebie w nocy.

Całuję cię najczulej

Naprawdę nie możesz przyjechać? Nawet na dzień? Brak mi ciebie.

Vigřta, 10 lipca

Livio kochana,

myślę, że mam teraz jasny obraz tego, co się stało. Rzecz w tym, że za długo nie dawał mi spokoju fałszywy problem: jak zbrodniarz wyszedł ze szkoły w tak mocno poplamionym krwią ubraniu i nikt na to nie zwrócił uwagi? W te upały wszyscy noszą przeważnie jasne i lekkie ubrania, nie było więc możliwe, żeby miał ze sobą płaszcz i wychodząc, włożył go na siebie, aby zasłonić zaplamione ubranie.

Na właściwą drogę naprowadził mnie dopiero ten na wpół zatarty ślad nagiej stopy skierowany w stronę toalety. Jeśli Ligorio przesłuchiwał w tej sprawie robotników, było oczywiste, że w grę wchodziła stopa mężczyzny.

W grę wchodził również czas. Zbrodniarz zabija Francescę, co zajmuje mu parę minut, myje się (gdyż nie myje tylko rąk, jak ci to za chwilę wyjaśnię), a potem starannie zmywa posadzkę na korytarzu. Poza tym całkiem się nie przejmuje rozpaczliwym krzykiem ofiary. Dlaczego uznał, że musi umyć tylko korytarz, a nie musi myć holu toalety? Nie tyle chodziło mu, moim zdaniem, o to, by zatrzeć ślady swoich kroków, ile raczej o to, by uniemożliwić policji rozpoznanie kierunku tych śladów. Jeżeli moja hipoteza jest trafna, to ślady musiały prowadzić do jednego z pokoi biurowych, do których wchodzi się z korytarza.

Ale dlaczego zabił?

Wysuwam następujące przypuszczenie. Jest to urzędnik, który

wykorzystuje przerwę obiadową robotników, żeby spotkać się potajemnie z mężczyzną, z którym się związał. Mówię z mężczyzną, a nie z kobietą, z uzasadnionej przyczyny; ślad na korytarzu to ślad męskiej stopy. Więc tego feralnego dnia pracownik szkoły spotyka się u siebie z przyjacielem. Z pewnością robił to już wielokrotnie i sprawy aż do tego dnia szły bez zakłóceń. Jest upalnie, zamykają się w biurze, rozbierają. W pewnej chwili dochodzi między nimi do kłótni? zabawy erotycznej?, w wyniku czego przyjaciel otwiera drzwi i biegnie goły przez korytarz w stronę damskiej toalety. Urzędnik, który także jest całkiem nagi, biegnie za nim z nożem do papieru (tym rzekomym sztyletem) w rękę. Kiedy obaj są w holu toalety, ukazuje się niespodziewanie Francesca. Twoja przyjaciółka zna oczywiście urzędnika. Jest zaskoczona. Stoi jak skamieniała. Trwa to chwilę. Potem urzędnik, przerażony, że został przyłapany (najwidoczniej starannie ukrywał swoje skłonności homoseksualne, mając na względzie zasady mieszczańskiej „przyzwoitości”), dosłownie traci głowę i odruchowo uderza Francescę nożem. Tymczasem jego przyjaciel ucieka. Wraca do pokoju, ubiera się i wymyka z budynku. Urzędnik pastwi się nad Francescą. Francesca krzyczy, ale on nic sobie z tego nie robi, bo dobrze wie, że nikt jej nie usłyszy. Kiedy już wyładował swoją złość i nienawiść do kobiety, myje się cały dokładnie (to dlatego tyle wody wychlapało się z umywalki na posadzkę). Wraca korytarzem do siebie. Ubiera się.

To w tym punkcie wszyscy myliliśmy się. Zakładaliśmy, że morderca musiał mieć zapasowe ubranie.

Kiedy już jest ubrany, zmywa ścierką ślady na korytarzu, wychodzi spokojnie ze szkoły i znika.

Czy to możliwe, że Giorgio Ligorio nie doszedł do takich samych konkluzji jak moje? Może tylko chce, żebym mu je potwierdził?

Wybacz, kochana, że pisałem ten list w pośpiechu i zanadto rzeczowo. Ale

to moje przekłete dochodzenie zabiera mi ciągle zbyt wiele czasu.

Bardzo chciałbym być teraz z tobą w twoim domu w Boccadasse i mocno cię objąć. Jak się czują rodzice Franceski?

Jest pierwsza w nocy, piszę to, siedząc na werandzie, świeci księżyc i morze jest gładkie jak stół. Może pójde popływać.

Całuję cię czule

Salvo

Boccadasse, 13 lipca

Kochany Salvo,

już wiesz z pewnością, z telewizji i gazet, że nie myliłeś się. A Giorgio istotnie doszedł samodzielnie do identycznych wniosków. Mordercą jest Giovanni De Paulis, dyrektor administracyjny szkoły. Nikt by go o to nie podejrzewał. Jest rzetelny i surowy. Przypominam sobie, że wszyscy przezywali go „Żelazny Giovanni”! Tak mi kiedyś powiedziała Francesca. Jego partnerem tamtego tragicznego dnia był chłopiec znany w środowisku homoseksualistów. Uciekł, ale Giorgio powiedział mi, że to tylko kwestia godzin i zostanie ujęty.

Jest mi bardzo smutno, kochany Salvo, bardzo, bardzo smutno, że moja przyjaciółka została zabita, i to przez taką żalosną kreaturę. I na dodatek wplątana w tak paskudną historię. Nawiasem mówiąc, Francesca znana była ze swej szczególnej dyskrecji i na pewno nie wyjawiałaby nikomu seksualnych upodobań dyrektora De Paulisa. Mama Franceski czuje się trochę lepiej.

Teraz z kolei ja mocno odczuwam napięcie tych straszliwych dni. Na

szczęście Giorgio bardzo mi pomaga i stara się na wszystkie sposoby zmniejszyć ciężar mojej udręki.

*Naprawdę nie możesz przyjechać?
Chociaż całuję cię tak serdecznie?*

Livia

„Giorgio? Jakże to, już nazywa go Giorgio? A jeszcze dwa dni temu był komisarzem Ligorio. Teraz mówi mu przez «ty». I on jej! Kutas złamany! I jak mam to rozumieć, że ją pociesza?”

CHCIAŁEM DODZWONIĆ SIĘ BEZ SKUTKU JUŻ ROZWIĄZAŁEM
DOCHODZENIE BĘDĘ JUTRO GENUA 14

*CAŁUJĘ
SALVO*

Powtórzone za Manzoniem

– Panie komisarzu, wszystkie śluby tu już teraz szlag trafi – oznajmił przez telefon podekscytowany Catarella.

Montalbano popatrzył zaspany na zegarek – była siódma. Miał za sobą ciężką noc, niemal majaczył (śniła mu się jakaś amatorska *Star Trek*, w której otrzymał nominację na komendanta policji międzyplanetarnej), a wszystko to za sprawą sardynek w zalewie, którymi nieprzyzwoicie objadł się wieczorem. Dlatego zdecydowanie nie czuł się najlepiej. Catarella, który przestał mówić, z pewnością przestraszył się milczenia swojego przełożonego.

– Panie komisarzu, czy z panem coś jest? Czy gdzieś pan poszedł?

– Nie, Catarč, jeszcze tu jestem. Postaraj się powiedzieć o tym wszystkim trochę jaśniej.

– Jeszcze jaśniej? Może pan chce, żebym powtórzył wyraźnie, słowo po słowie, to, co już wypowiedziałem: wszyst–kie ślu–by...

– Daj spokój, Catarč. Zadzwoń do wicekomisarza Augella albo do Fazia i wytłumacz im, o co ci chodzi. Wkrótce się zobaczymy.

Odłożył słuchawkę, ale o powtórnym zaśnięciu nie było już mowy. Wyskoczył z łóżka, popatrzył przez okno. Dzień był jasny, jak Bóg przykazał. Włożył slipy, zszedł z werandy, przeszedł powoli przez plażę, wszedł do wody. Prawie skamieniał: woda była lodowata. Ale dzięki temu wreszcie oprzytomniał.

Zagadkowy telefon Catarelli przypomniał mu się dopiero w południe i go zaciekawił. Wezwał Mimě Augella.

– Mimě, wiesz coś o tych ślubach, co to mają się rozpaść, żeby mężowie mogli sobie chodzić na kurwy?

– Jakbyś sam nie wiedział! Przecież nie ma dnia, żeby jakaś znajoma para nie miała siebie dość. Mogę ci przypomnieć...

– Mimě, ja nie o tym mówię. Czy wiesz, po co rano dzwonił do mnie Catarella? Nie zrozumiałem, czego chciał.

– Ze mną Catarella dzisiaj o niczym nie rozmawiał. Przyślę ci Fazia.

– Fazio, przypadkiem nie dzwonił do ciebie rano Catarella?

– Dzwonił, nie odmówił sobie. Panie komisarzu, tylko boki zrywać.

– Nie wątpię. Ale o co chodzi?

– Wcześniej rano pan Crisafulli, który jest urzędnikiem w wydziale stanu cywilnego, wracał po zrobieniu zakupów do domu i zauważył, że witryнка obok wejścia do magistratu zniknęła.

– Co w tym dziwnego? Zdjął ją jakiś urzędnik.

– Nie, panie komisarzu, to jest witryнка na zapowiedzi ślubne. Musi wisieć zawsze, dzień i noc, przez wyznaczony ustawowo okres.

– Wy tłumacz mi to jaśniej.

– Panie komisarzu, kiedy dwoje chce wziąć ślub, przychodzą do magistratu i urzędnik stanu cywilnego sporządza akt, który nazywa się obwieszczeniem, i wywiesza go w tej witrynce. Dzięki temu każdy może dowiedzieć się o ślubie i jeżeli ma coś przeciw temu, może to w odpowiednim czasie zgłosić. Jeżeli obwieszczenie nie jest wywieszane ze stosownym wyprzedzeniem albo wisi za krótko, ślubu nie można udzielić. Trzeba sporządzić akt na nowo, ale na to potrzeba zgody sędziego.

– Rozumiem. Może rozumiem. Ale dlaczego powiedziałaś przedtem, że można boki zrywać?

– Bo tak jest. Bo robi się z tego heca. Jeżeli będzie opóźnienie, to każdej

parze trzeba będzie wyznaczyć nową datę ślubu. Pary będą rozsyłać nowe zaproszenia... Do katastrofy nie dojdzie, będzie tylko trochę zamieszania. A to był tylko głupi wybryk, panie komisarzu; jakiś gówniarz sobie zażartował, bo za wiele wypił albo za wesoło mu było.

Idąc do gospody „San Calogero” Montalbano musiał siłą rzeczy przejść obok urzędu miejskiego, pod jego portykiem z ośmioma kolumnami. Popatrzył w stronę bramy wejściowej i zobaczył, że wisi przy niej witrynka z kilkoma kartkami w środku. Podeszedł bliżej, żeby jedną z nich przeczytać, i w tym momencie z bramy wyłonił się pan Crisafulli, który właśnie szedł do domu na przerwę obiadową. Znali się od dawna.

– Już wszystko w porządku? – spytał Montalbano, wskazując witrynę.

– Tak, panie komisarzu. Popędziłem do Montelusy i sędzia natychmiast dał mi zezwolenie na wywieszenie duplikatów. Na szczęście było tylko dziewięć obwieszczeń. O tej porze roku nikomu w głowie śluby, już na to za gorąco.

– Spytam z ciekawości: tych dziewięć par ma brać ślub tego samego dnia?

– Ach, nie. Każdy akt ma swoją datę, a tym samym okres wymaganego oczekiwania jest dla każdej pary inny.

– Jeszcze jedno i zostawiam pana w spokoju, bo obiad stygnie. Gdyby sędzia nie dał panu od razu pozwolenia na wywieszenie duplikatów, co by się stało?

– Musielibyśmy jeszcze raz wezwać przyszłych małżonków i sporządzić na nowo akty. Spowodowałoby to co najmniej tygodniowe opóźnienie.

Nazajutrz komisarz przechodził znowu obok magistratu, idąc do gospody na obiad. Jego gosposia Adelina zachorowała na grypę i niczego mu nie przygotowała. Idąc, rzucił okiem pod portyk magistratu: witrynka wisiała na

swoim miejscu. Nikt jej w nocy nie tknął. Wobec tego Fazio miał rację: był to wybryk jednego z wałęsających się tu po nocach chłopców. Pewnie wypił za dużo albo się naćpał.

Dwie godziny później, kiedy do jego gabinetu wszedł Galluzzo i poprosił o prywatną rozmowę, musiał zmienić zdanie.

– Chodzi o mojego siostrzeńca.

Żona Galluzza uwielbiała tego szesnastoletniego chłopca, Giovanniego, który miał tylko jedno w głowie: pędzić z kolegami na skuterze, szprycować się narkotykami i całymi godzinami szlifować bruki. Galluzzo, w przeciwieństwie do żony, nie znosił tego wyrostka.

– Zrobił jakieś głupstwo? – spytał Montalbano.

– Nie, panie komisarzu. Ale usłyszałem od niego dziwaczną historię. Gówniarz był tak łaskaw, że przyszedł dzisiaj do cioci na obiad, bo ciocia zawsze znajduje sposób, żeby mu wsunąć do kieszeni grubszy banknot. Właśnie opowiadałem o tej sprawie z witrynką, mówiąc, że moim zdaniem to sprawka koleżków Giovanniego, którzy mają wspaniałe poczucie humoru. Wtedy on niespodziewanie mówi, że tak wcale nie było. „A jak było?” – spytałem. „Inaczej” – upierał się i powiedział, że zeszłej nocy odjeżdżał z placu przed magistratem jako ostatni. Mogła być druga. Dojechał już skuterem pod dom, kiedy przypomniał sobie, że zostawił na ławce papierosy. Wrócił na plac. I wtedy zobaczył jakiegoś mężczyznę, który właśnie zerwał witrynę ze ściany i ładował ją sobie do auta.

– Ten ktoś był sam?

– Tak, panie komisarzu, był sam. Miał może pięćdziesiątkę, był rosły i gruby. Wsiadł do samochodu i odjechał.

– Siostrzeniec zauważył numery rejestracyjne samochodu?

– Nie zapamiętał.

– Dlaczego sam tu nie przyszedł, żeby mi o tym powiedzieć?

– Szkoda mówić – skwitował to Galluzzo.

Westchnął, umilkł i na koniec dorzucił: – Jeszcze tu któregoś dnia przyjdzie. W kajdankach.

Skoro jakiś pięćdziesięciolatek kradnie witrynę wystawioną dla publiczności, musi mieć powód, żeby to zrobić. Nie mógł to być chwilowy kaprys.

– Posłuchaj, Galluzzo, mam do ciebie prośbę. Zwróć się w moim imieniu do pana Crisafulli, żeby ci dał dziewięć blankietów na te obwieszczenia o ślubie. A potem zrób mi dokładne kopie wywieszonych aktów.

Po dwu godzinach cierpliwej pracy Montalbano wreszcie stworzył sobie jaki taki ogólny obraz tych obwieszczeń, które mu przyniósł Galluzzo.

Gaetano Palminteri, lat pięćdziesiąt, miał zawrzeć drugi związek małżeński, bo był wdowcem, z dziewiętnastoletnią Teresą Gamberotto („tu bez przyprawiania rogów się nie obejdzie”). Gerlando Cascio, lat trzydzieści, weźmie za żonę Ulrike Roth, Niemkę, lat dwadzieścia osiem („taki to i emigrant, zamiast przywieźć do domu pieniądze, wolał sobie przywieźć obcą babę”). Alfonso Serraino, lat trzydzieści dwa, żeni się z czterdziestoletnią Filippą Di Stefano („tej to się nudzi samej w łóżku”). Matteo Interdonato, lat sześćdziesiąt siedem, żeni się z Marianną Costa, lat sześćdziesiąt pięć („banał, że serce nigdy się nie starzeje, miałby tu rację bytu?”), Stefano Capodicasa, lat trzydzieści, bierze za żonę Virginię Umilę, lat dwadzieścia osiem („Virginia Umile to jakby potulna dziewczica, a on, Capodicasa, jakby pan domu. Tylko biorąc taką za żonę, możesz liczyć na to, że staniesz się panem domu”). Cosimo Pillitteri, lat czterdzieści pięć, wdowiec, bierze za żonę Agatinę Tuttolomondo, lat czterdzieści pięć („został wdowcem i znowu wpada w sidła. A może robi to dla dzieci?”). Salvatore Lumia, lat trzydzieści,

żeni się z Djalną Driss, dwudziestoosmioletnią Tunezyjką („musicie narodzić wiele dzieci, żeby wreszcie skończyła się ta paskudna heca z odgrzewaniem rasizmu”). Alberto Cacopardo, lat dwadzieścia osiem, żeni się z Giovanną La Rosa, lat dwadzieścia pięć („nic dodać, nic ująć”), Davide Cimarosa, lat trzydzieści, żeni się z Donatella Golia, lat trzydzieści („jakże to? Dawid, zamiast Goliata zabić, woli się z nim żenić?”).

Wykaz się skończył, a komisarz zaraz się zawstydził, że komentował sobie te małżeństwa tak idiotycznie. Z całej listy tylko dwa przypadki rysowały się wyraźniej: pięćdziesięcioletni Palminteri, który żenił się z dziewczyną o trzydzieści jeden lat od siebie młodszą, i wdowa Di Stefano, która brała sobie do łóżka chłopca osiem lat młodszego od siebie.

– Salvo, ty rozumiesz jak sklerotyk – rzucił się na komisarza Mimě Augello, kiedy ten podzielił się z nim swoimi spostrzeżeniami. – Kto ci powiedział, że małżeństwo między młodym mężczyzną a kobietą w pewnym wieku musi się marnie skończyć albo że kryje się za tym Bóg wie co? A tak nawiasem, dlaczego przejąłeś się sprawą tej witryny?

– Dlatego, że dorosły człowiek nie usuwa jej bez jakiejś przyczyny.

– Dobra, ale przecież pan Crisafulli wytłumaczył ci, że nie będzie to miało żadnych praktycznych konsekwencji.

– Popatrz na to, Mimě, z innego punktu widzenia. Ten, kto tę witrynę zerwał i zabrał, chciał, moim zdaniem, coś przez to powiedzieć.

– Wszystkimi dziewięciu parom?

– Nie, Mimě, tylko jednej. A może nawet tylko jemu albo tylko jej. Ale gdyby rozbił szybę i wyjął jeden jedyny akt, ten, o który mu chodzi, łatwo byśmy odgadli przyczynę. Byłoby to jak podpis złożony pod tym wybrykiem. Musiał więc z konieczności zabrać ze sobą witrynę z całą jej zawartością.

– Żeby przez to coś powiedzieć. Ale co?

– Uznałbym, że jest to powtórzone za Manzoniem. Że to taki przekład na sycylijski jednego zdania, które po włosku znajduje się w *Narzeczonych* Manzoni. Czytałeś to?

– Wymuszali to na mnie w szkole – odpowiedział Mimě, patrząc zdezorientowany na komisarza. – O jakie zdanie chodzi?

– „Do tego małżeństwa nie dojdzie”

O którą z dziewięciu par tu chodzi? W tym cała zagadka. Chcąc wnieść jakiś ład w swoje dochodzenie, Montalbano postanowił rozpatrzyć obwieszczenia zgodnie z ich datami, czyli zacząć od tych, które były najszybciej narażone na jakieś komplikacje, jeżeli w tej sprawie w ogóle o coś takiego szło. Wezwał do siebie Fazia, Galla i Galluzza.

– Macie cztery dni. Po czym zameldujecie mi wszystko o tych pierwszych osobach, które mają wziąć ślub.

Wręczył im obwieszczenia.

– Każdy zajmie się jedną parą. Wybór należy do was.

– A co dokładnie chce pan wiedzieć? – spytał Fazio w imieniu wszystkich trzech.

– Kim są? Czy mają za sobą jakieś podejrzone sprawy? Dlaczego biorą ślub? Co mówi się w mieście o każdym z nich i o ich ślubie? Chcę znać wszystko, także głupawe plotki, także to, czy przeszli szkarlatynę.

Słyszając to, Mimě Augello zadrwił w duchu z komisarza. „Chce wiedzieć, dlaczego ludzie się żenią. Bo może wtedy wreszcie sam zdecyduje się na ślub z Livią” Nie otworzył jednak ust i nie powiedział tego komisarzowi.

Po czterech dniach Galluzzo jako pierwszy przedstawił wyniki swoich indagacji.

– Panie komisarzu, kochany panie komisarzu, co mam panu powiedzieć?

Sprawa jest chyba całkiem normalna. O tym Cosimo Pillitteri wszyscy mówią, że jest porządnym człowiekiem. Handluje na targu rybami, dwa lata temu owdowiał, żona mu zmarła na raka. Ma dwu chłopców, dziesięcioletniego i ośmioletniego, i kto ma o nich zadbać? Dlatego żeni się z Agatyną Tuttolomondo, spokojną kobietą, która przyjaźniła się z nieboszczką. Nie wygląda na to, żeby w tym było coś dziwnego.

Nie inaczej myślał komisarz, kiedy przeglądał wykaz par. Mógł więc tylko pogratulować sobie intuicji. Natomiast raport Fazia całkowicie kłócił się z kąśliwymi uwagami komisarza.

– Ta Filippa Di Stefano, czterdziestoletnia wdowa, bierze ślub z Alfonsem Serraino, który istotnie jest od niej osiem lat młodszy. Ale, komisarzu, sprawa nie wygląda tak, jak ją ktoś bez namysłu gotów jest osądzić.

– A jak tyś ją osądzał, zanim się czegoś dowiedziałeś?

– Że bogata wdowa chwyciła sobie młodego chłopca.

– Tymczasem jest inaczej?

– Jest inaczej, komisarzu. Alfonso Serraino miał wypadek drogowy dziesięć lat temu i został sparaliżowany. Teraz jest przykuty do wózka inwalidzkiego. Dbała o niego matka, ale właśnie matka...

– Nie musisz kończyć – powiedział Montalbano, przepraszając w myślach wdowę Di Stefano.

Także Gallo dostarczył wiadomości, które zaprzeczały domysłom Montalbana.

– Gerlando Cascio od ośmiu lat pracuje w Dusseldorfie, jest kelnerem w restauracji i tam poznał Ulrike Roth, a teraz się z nią żeni. Po ślubie wracają do Niemiec, a razem z nimi jadą także Calogero i Umberto, bracia Gerlanda. Wszyscy będą pracować w sieci restauracji, której właścicielką jest Ulrike Roth.

Kiedy kładł się spać, był niemal pewien, że da już sobie spokój ze sprawą obwieszceń. Czasami, kiedy się przy czymś uparł, miał łeb zakuty jak przeciętny Kalabryjczyk. A sprawa, jak mówił Fazio, była tylko głupim żartem. Temu, że nie zrobił go jakiś chłopiec, tylko dorosły mężczyzna, nie trzeba się dziwić. Może o coś takiego zwyczajnie się z kimś założył? Więc tej nocy spał dobrze, a o wpół do ósmej, kiedy zadzwonił telefon, był już gotów do wyjścia z domu.

– Halo! Halo! Panie komisarzu, halo! Do ślubów wystrzelili!

Pani Assunta Pezzino, której sypialnia znajdowała się dokładnie naprzeciw budynku magistratu, oświadczyła:

– Ja tu całkiem zwariuję! Zwariuję na amen! Te chłystki ryczą i rżą ze śmiechu do drugiej w nocy! A ja przez nich nie mogę zasnąć. Pędzą tam i z powrotem na tych skuterach i motorach, przyjeżdżają i odjeżdżają, a hałas od tego jak w piekle. Wczoraj w nocy, po drugiej, Bogu dzięki, zrobiło się cicho i wreszcie mogłam się trochę zdrzemnąć. Ale nie minęło pół godziny i obudziło mnie hamowanie auta. Zaraz potem padł strzał. Auto od razu ruszyło z piskiem opon. I to jest dozwolone? Żeby kobieta nie mogła zmrużyć oka cała noc? Chyba można coś zrobić, żeby wsadzić do aresztu tych gówniarzy?

Kula rozbiła szybę witryny, przedziurawiła ją i wbiła się głęboko w ścianę.

– Mieliśmy szczęście – powiedział pan Crisafulli. – Kula nie tknęła żadnego aktu. Nadpaliła górną krawędź jednego, ale w miejscu takim, że nie ma to żadnego znaczenia.

– Sadzi pan, że to był żart?

– Nie – odpowiedział pan Crisafulli.

Jedno tylko było pewne: nieznajomy, strzelając, wyjaśnił trochę lepiej sens swojego przekładu z Manzonięgo.

Matteo Interdonato zakochał się w Mariannie Costa, kiedy ta nie miała jeszcze dziewiętnastu lat. Mariannie, która pochodziła z zamożnej rodziny, także podobał się Matteo. Wysoki, smagły, z oczami jak diabeł. Ale był synem biedaków. Jego matka zarabiała na chleb sprzątaniami po domach, a ojciec był śmieciarzem.

„Nigdy!” – powiedzieli rodzice Marianny.

A żeby ich decyzja nie pozostawiła złudzeń, brat Marianny, Antonio, potężny jak szafa, zatrzymał pewnego wieczoru Mattea na ulicy i dosłownie połamał mu kości. Następnie wysłali córkę do kolegium w Palermo. Tam dziewczęta co niedziela wychodziły całą grupą na spacer. Raz na miesiąc Matteo, uzbierawszy pieniądze na bilet, wsiadał do pociągu, jechał do Palermo, wyszukiwał odpowiednie miejsce i kiedy Marianna przechodziła z innymi dziewczętami obok, patrzyli na siebie. Dowiedział się o tym Antonio i pewnej niedzieli, kiedy Marianna i Matteo patrzyli na siebie, wyskoczył z ukrycia i chciał raz jeszcze połamać chłopcu kości. Udało mu się to tylko częściowo, bo tym razem Matteo był szybszy i wybił mu oko. Sprawie ukrecono łeb, a Mariannę wysłano do Rzymu, do ciotki. Przez całe lata odrzucała najlepsze partie, a Matteo także nie chciał się żenić z żadną inną. W dziesięć lat później ojciec i matka Marianny zmarli, ale ona nie wracała do Vigirty, bo nienawidziła brata Antonia. Wróciła dopiero zeszłego roku, żeby wreszcie wziąć ślub ze swoim Matteo.

Komisarz w tym miejscu przerwał Faziowi opowieść.

– Nie traćmy czasu. Przeprowadź mi tutaj Antonia, brata Marianny. Dowiedz się, gdzie mieszka, pospiesz się.

– Wiem, gdzie mieszka. Na cmentarzu. Od półtora roku. Dlatego tamci

mogą już wziąć ślub.

– Panie komisarzu, co tu mówić? Ta para jest śmiechu warta.

– Widziałeś ich? Jak do tego doszło?

– Bardzo prosto, panie komisarzu – odpowiedział Galluzzo. – On sprzedaje kwiaty, a ona owoce i warzywa. Mają stragany na starym targu, jedno obok drugiego. Znają się od dawna. Nikt nic do nich nie ma. Przeciwnie.

– A dlaczego mówisz, że to para śmiechu warta?

– Bo ona jest olbrzymką, ramiona ma jak szynki i należy do tych, co wiedzą, czego chcą. A on jest malutki, grzecznutki, czyściutki, dobrze wychowany. I pomyśleć, że ona nazywa się Virginia Umilę, a on Capodicasa. Weźmie go ta „Potulna Dziewica” w obroty jak nic!

– Dobra. A gdzie Gallo? Nie widziałem go od wczoraj.

– Paskudna sprawa! Zapomniałem dać panu znać – powiedział Fazio, uderzając się dłonią w czoło. – Gallo ma od wczoraj grypę; wszyscy teraz mają tu grypę.

Niecierpliwy Montalbano zatelefonował do domu chorego.

– Panie komisarzu – powiedział Gallo głosem jak zza grobu. – Brzebraszam, ale badłem. Dowiedziałem się, że Salvatore Lumia jest rzeźnikiem i ma sklep na via Birandello. Mieszka na via Libertá bod osiemnastym razem z bratem Francesco, który też jest rzeźnikiem, ale sklep ma przy borcie. A ta Tunezyjka to od bó roku mieszka razem z nimi.

– Gdzie mieszkała wcześniej?

– W Balermo. Tyle się dowiedziałem.

Wybrał się osobiście do sklepu rzeźnika przy via Pirandello, ale sklep

został zamknięty. Wrócił, przejechał przez całą Vigrę i przy uliczce biegnącej wzdłuż nabrzeża znalazł drugi sklep rzeźniczy, należący do brata. Począł, aż wyjdzie jedyny klient.

– Dzień dobry. Jestem komisarzem, nazywam się Montalbano.

– Znam pana. O co panu chodzi?

Raczej nie dałoby się powiedzieć, że Francesco Lumia może się komuś wydać sympatyczny na pierwszy rzut oka czy choćby na drugi. Był wysoki, miał rude włosy, odpowiadał opryskliwie.

– Chciałem rozmawiać z pana bratem, ale sklep jest zamknięty.

– On czasami cierpi na ataki migreny. I taki dzień ma dzisiaj. Został w domu. Ale po co ma pan iść do niego, jeżeli wszystko może pan powiedzieć mnie.

– Tak mogłoby się zdawać. Tyle że ślub bierze pański brat, a nie pan.

Nabrał ochoty na grę w otwarte karty. Tamten popatrzył spode łba. I ciągle bawił się nożem, długim na sześćdziesiąt centymetrów, co trochę komisarza niepokoiło.

– Ma pan coś przeciw małżeństwu mojego brata Salvatore?

– Ja? Mogę mu tylko złożyć najlepsze życzenia. Szczęścia i wielu synów.

– To czemu się pan miesza?

– Ani mi to w głowie. Ale ktoś istotnie się tu miesza.

– Ma pan na myśli te gówniarskie żarty z witrynką?

– Właśnie.

– A kto panu powiedział, że jest to ostrzeżenie adresowane do mojego brata?

Zatem jesteśmy w domu. Francesco Lumia świetnie zrozumiał sens tego przekładu z Manzoni.

– Może nie tylko do pańskiego brata. Zbieram informacje o wszystkich dziewięciu ślubach, których obwieszczenia są w witrynce.

– Panie komisarzu, po pierwsze, myślę, że jest to zwyczajna głupota, a po drugie, nikt nie może się strzepić i mieć coś przeciwko małżeństwu Salvatore.

W tym momencie Montalbano zaliczył pierwszy punkt na korzyść swego dochodzenia. Francesco Lumia nie umiał zagrać roli, jaką sobie wyznaczył; pod jego słowami, na pozór stanowczymi, wyczuwało się niepewność i niepokój.

– Dziękuję panu. Wolę jednak porozmawiać bezpośrednio z pana bratem.

– Jak pan chce.

Zadzwoił przez domofon, ale zanim otworzył usta, usłyszał:

– Komisarz Montalbano?

Francesco już uprzedził brata.

– Tak, to ja.

– Proszę bardzo. Czwarte piętro.

Przestronne mieszkanie było umeblowane w tak złym guście, że chcąc sobie takie meble dobrać, trzeba było się wiele natrudzić. Komisarz został wprowadzony do salonu, gdzie schludna czystość tylko podkreślała brzydotę wyposażenia.

Salvatore Lumia był pod względem fizycznym przeciwieństwem brata. Miał ciemne włosy, był chudy, ale zachowywał się dokładnie tak samo jak brat.

– Boli mnie głowa, trudno mi rozmawiać.

– Zaraz zostawię pana w spokoju. Wie pan, dlaczego do pana wpadłem?

– Djalma! – zawołał Salvatore, zamiast odpowiedzieć.

I ukazał się czarny anioł, Djalma była wysoka, smukła, miała niezwykle wielkie oczy. Zaskoczony Montalbano zerwał się na równe nogi.

– To Djalma, moja narzeczona. A to komisarz Montalbano. Przyszedł porozmawiać o naszym małżeństwie.

– Dokumenty mam w porządku – powiedziała Djalma.

Może syreny miały taki głos jak ona?

Montalbano otrząsnął się.

– Nie, proszę pani, nie chodzi mi o dokumenty. Rzecz w tym...

– Dziękuję, Djalma – powiedział narzeczony.

A dziewczyna uśmiechnęła się do komisarza i zniknęła.

– Nie chciałem, żeby się zamartwiała tą aferą. Jakiś zaprzaniec zabawia się w pogróżki, a ci, co chcą się ożenić, mają się tym przejmować? Djalme poznałem w domu przyjaciół w Palermo. Zakochałem się w niej. Jest wolna. Przyjechała tutaj, do Vigiry, i mieszka z nami. Weźmiemy ślub tylko w magistracie, bo ona jest muzułmanką. Ja osobiście nie mam wrogów, ona także. W takim razie ta afera z witrynką nie ma nic wspólnego z naszym małżeństwem. Proszę mi wybaczyć, panie komisarzu, ale nie mam siły dłużej rozmawiać. Głowa mi pęka.

Jadł obiad w gospodzie „San Calogero”, niczym się już nie przejmując, tylko obracając w myślach ten jeden jedyny domysł, na jaki wpadł. Później, już z biura, zatelefonował do swego przyjaciela Valente, który był wicekwestorem w Palermo, i wyjaśnił mu, czego potrzebuje. Przez następną godzinę udawał, że zajmuje się sprawami, które nic go nie obchodziły. Wreszcie zadzwonił Valente i dostarczył mu odpowiedzi na wszystkie jego pytania. Ledwo odłożył słuchawkę, telefon zadzwonił znowu.

– Komisarz Montalbano?

Tego głosu nie można było pomylić z żadnym innym. W telefonie był jeszcze bardziej zmysłowy, mącił w głowie.

– To ja, Djalma. Widzieliśmy się rano.

– Słucham panią.

– Chciałam z panem porozmawiać. Salvatore musiał wyjechać do Feli w interesach, nie mógł się od tego wykręcić, chociaż tak go bolała głowa. Nie mogę wyjść z domu. Salvatore nie chce, żebym wychodziła.

Montalbano zadał jej jedno pytanie, chociaż z góry znał na nie odpowiedź. Mimo to zapytał, aby wyczuć, czy Djalma chce z nim rozmawiać szczerze.

– Jest zazdrosny?

Chwilę się wahała. Potem stwierdziła:

– Tu nie chodzi tylko o zazdrość, panie komisarzu,

– Mam do pani przyjechać?

– Tak, panie komisarzu. Możliwie szybko. Czekam na pana.

– Powiedziałam panu, że mam dokumenty w porządku. A prawda wygląda tak, że nie są sfałszowane, ale też nie są całkiem wiarygodne.

– Nie rozumiem.

– Jeden z przyjaciół Salvatore wystawił mi zaświadczenie o mojej pracy u niego, żebym dostała pozwolenie na pobyt. Napisał, że byłam *baby-sitter*, i to jest ta nieprawda. Zajmowałam się czymś innym. Przyjechałam na Sycylię trzy lata temu nielegalnie. Potem policja przyłapała mnie w domu schadzek, wciągnęła do kartoteki i odesłała do Tunezji. Ale ja zaraz wróciłam...

– Proszę pani, wiem o tym wszystkim albo się tego domyślam. Dzwoniłem do Palermo, do obyczajówki przy wydziale dla cudzoziemców.

Djalma zaczęła cicho płakać.

– I co pan mi zrobi? Kiedy już to panu powiedziałam?

– Proszę posłuchać: tamten etap pani życia nic mnie nie obchodzi, zapewniam panią... Chcę tylko wiedzieć to, czego jeszcze od pani nie usłyszałem.

Łzy zaczęły płynąć coraz szybciej po pięknej twarzy dziewczyny.

– Salvatore zakochał się we mnie. I ja w nim. Więc uciekliśmy, ukrywam się tutaj. Ale tamten pewnie odkrył, gdzie jestem.

– Kto tamten?

– Mój opiekun.

– Myśli pani, że to on strzelał do witryny? Że ostrzeżenie jest skierowane do was obojga?

– Jestem tego pewna. Nie ma dnia, żeby tu nie telefonował i nie groził nam. Ale Salvatore i Francesco nie boją się go. Tylko ja się boję. O siebie i o nich. Tamten jest niebezpieczny, znam go dobrze.

– Czego chce od pani?

– Żebym zostawiła Salvatore i wróciła do niego.

– Był pani kochankiem?

– Był. Ale jemu przecież nie szło o miłość, panie komisarzu. Trzymał mnie u siebie dla fasonu, przechwalał się mną przed koleżkami takimi jak on. A teraz chce im pokazać, że jest silny, że ma władzę.

– Pani chodziła do szkoły?

Djalma nie spodziewała się tego pytania, popatrzyła na komisarza zaskoczona.

– Tak... tam, u nas. I po ślubie chciałabym się dalej uczyć.

– Pięknie mówi pani po włosku, gratuluję – powiedział Montalbano, wstając.

– Dziękuję – odpowiedziała zmieszana Djalma.

– Dlaczego pani narzeczony nie powiedział mi o tym wszystkim?

– Mówi, że nigdy w życiu nie skorzysta z pańskiej pomocy w sprawach prywatnych. U nas w Tunisie też tak jest.

– No cóż – powiedział gorzko Montalbano – poproszę panią o jeszcze jedną przysługę, o imię, nazwisko i adres pani opiekuna. I składam serdeczne życzenia z okazji ślubu.

Osiem kolejnych nocy Gallo, Galluzzo, Fazio i Imbro pilnowali na zmianę witryny, przyczajeni w samochodzie, który był rzekomo przypadkowo zaparkowany obok magistratu. Ostatniej nocy przed ślubem Salvatore z Djalma podjechało cicho jakieś auto, zatrzymało się i wysiadł z niego mężczyzna z butelką i ścierką w ręku. Rozejrzał się czujnie dookoła i wszedł pod portyk. Tam otworzył butelkę i wylał jej zawartość na witrynę, na jej drewnianą ramę. W tym momencie Fazio, który tej nocy miał dyżur, zrozumiał, co tamten chce zrobić. Wskoczył z auta i wycelował w niego z pistoletu.

– Stój! Policja!

Mężczyzna zaklął, podniósł ręce do góry, wciąż trzymając w jednej butelkę, a w drugiej ścierkę. Zapach benzyny był tak mocny, że Fazio poczuł mdłości.

– Nazywa się tak, jak pan mówił, panie komisarzu: Nicola Lopresti. Dostawał już wyroki za czerpanie korzyści z nierządu, za przemoc i podobne sprawy. W kieszeni miał nabity rewolwer.

– I pozwolenie na broń?

– Nie miał żadnego pozwolenia. Numer był spiłowany A w kieszeni miał jeszcze coś takiego.

Położył na biurku Montalbana ampułkę bez etykiety.

– Co to jest?

– Kwas solny. Chciał jej oblać twarz w czasie ślubu. Zaraz go panu przyprowadzę.

– Nie chcę go widzieć – odpowiedział Montalbano.

Mucha schwytana w locie

Montalbano nie widział się z dyrektorem Burgio i jego żoną, panią Angeliną, od zeszłego roku. Czasami mu ich brakowało, pamiętał, jak ciepła jest ich przyjaźń, i dosłownie co tydzień solennie sobie przysięgał, że pokaże się u nich, a przynajmniej że do nich zatelefonuje. A ponieważ wciąż był wciągnięty po uszy w swoje zajęcia, składane sobie obietnice ciągle się rozpląwały. Dyrektor Burgio już nie był dyrektorem szkoły od niemal piętnastu lat, ale wszyscy w mieście okazywali mu szacunek i dalej tak tytułowali. Miał ponad siedemdziesiąt lat, sprawne ciało, bystry umysł i razem z żoną, kobietą drobną i delikatną, której kuchnia była lekka i elegancka, bardzo pomogli swego czasu komisarzowi w rozwiązaniu zawikłanego śledztwa, do którego potem przyłgnęła nazwa „sprawy psa z terakoty”

– Halo, komisarz Montalbano? Tu dyrektor Burgio.

Komisarz poczuł się zakłopotany i zawstydzony. Powinien był sam pierwszy zatelefonować, a nie czekać, aż zrobi to starszy pan. W dodatku zaraz się zaniepokoił. I nawet nie witając się, zapytał:

– Jak się ma pani Angelina?

– Ma się dobrze, komisarzu, całkiem dobrze, na ile niedogodności naszego wieku pozwalają. Ja też nie mogę narzekać. Któregoś dnia widziałem pana w Montelusie, przemknął pan w pobliżu kwestury.

– Dlaczego mnie pan nie zatrzymał?

– Nie chciałem panu przeszkadzać. Ale powiedziałem o tym żonie, a Angelina uprzytomniła mi, że już od dłuższego czasu nie widzieliśmy pana u

siebie.

– Strasznie się tego wstydzę, panie dyrektorze. Proszę mi wierzyć, że ten rok był dla mnie szczególnie...

Dyrektor się roześmiał.

– Nie domagam się od pana, jak w szkole, usprawiedliwienia pańskiej nieobecności! Dzwonię do pana z innego powodu. Co pan robi dziś wieczór?

– Nic szczególnego. Tak mi się przynajmniej wydaje.

– Przyjdzie pan do nas na kolację? Żona bardzo chce pana widzieć. Proszę się tylko nie spodziewać czegoś wyjątkowego.

– Dziękuję. Przyjdę.

– Aha, panie komisarzu. Będzie u nas jeszcze jeden gość, mój kuzyn, syn siostry mojego ojca, tej najmłodszej. Przyjechał do Vigíty tylko na dwa dni w interesach i pojutrze wyjeżdża, wraca do siebie, do Rzymu. Jest inżynierem, nazywa się Rocco Pennisi.

Imię i nazwisko swojego kuzyna dyrektor niemal przesyłabizował. Nie zabrzmiały komisarzowi obco, nie umiał ich jednak powiązać z czymś konkretnym. Zaniepokoiło go tylko jedno: dlaczego dyrektor powiedział to takim tonem, jakby odczytywał mu dane z kartoteki.

Inżynier Rocco Pennisi był starannie ubranym sześćdziesięcioletkiem, uprzejmym i powściągliwym. Wyróżnił się jedynie tym, że przez cały wieczór nie zainteresował go żaden temat prowadzonej rozmowy. Odzywał się tylko wtedy, gdy był o coś pytany wprost, ale odpowiadając, w dalszym ciągu sprawiał wrażenie nieobecnego. Jakby w tym czasie myślał o czymś innym. Czasami Montalbano wyłapywał krótkie spojrzenia, jakie rzucali sobie dyrektor z kuzynem: wyglądało na to, że dyrektor prosi go wzrokiem, żeby coś powiedział komisarzowi, a tamten, także wzrokiem, odpowiadał

mu, że tego nie powie. Także pani Angelina, która przygotowała niezrównaną kolację (tak komisarz nazwał kiedyś jedną z jej kolacji i tak odtąd nazywał każdą), w miarę jak posiłek zbliżał się do końca, była coraz bardziej zakłopotana. Kuzyn z własnej inicjatywy powiedział tylko jedno: że wyjedzie do Rzymu już jutro rano, bo udało mu się wcześniej załatwić wszystkie sprawy w Vigfcie.

– Ma pan samolot o dziesiątej? – spytał Montalbano, żeby coś powiedzieć.

Przygnębienie pani Angeliny zaczęło się udzielać i jemu. Inżynier popatrzył na niego zmieszany.

– Samolot? Kiedy mogłem nabrać nawyku podróżowania samolotami, one jeszcze tu nie latały... Nie, panie komisarzu, wracam do Rzymu pospieszonym.

Potem nastąpiły podziękowania i pożegnanie.

– Mam auto. Mogę pana podwieźć – powiedział Montalbano do inżyniera, ale dyrektor uprzedził jego odpowiedź.

– Dziękujemy, panie komisarzu. Kuzyn śpi u nas.

Montalbano wrócił do Marinelli całkiem zagubiony; nie potrafił zrozumieć, o co chodzi.

Nazajutrz, kiedy się golił, wrócił myślami do tej dziwnej atmosfery, jaka panowała podczas kolacji u Burgiów. Jednego tylko był niezachwianie pewien, a mianowicie tego, że zaproszenie go na kolację nie było przypadkowe. Dyrektor chciał, żeby komisarz spotkał się z inżynierem Pennisi, bo ten zamierzał o coś go zapytać. Ale podczas kolacji zmienił zdanie, mimo że dyrektor, rzucając mu wymowne spojrzenia, namawiał, by nie odstępował od powziętego zamiaru. A to nagłe oświadczenie, że wyjeżdża następnego dnia rano, do kogo było skierowane? Naturalnie nie do

dyrektora i jego żony, ponieważ oni musieli już o tym wiedzieć, inżynier przecież u nich mieszkał. Ale nie było też skierowane do Montalbana. Więc prawdziwy sens tego zdania był inny. Może taki: drogi kuzynie, nie nalegaj. Oznajmiając, że wyjeżdżam jutro, chcę przeciąć tę sprawę, nie zamierzam już rozmawiać z komisarzem. Później jednak Rocco Pennisi powiedział coś, co chyba wymknęło mu się niemal bezwiednie, a kiedy zdał sobie z tego sprawę, przerwał zdanie w połowie. Były to te słowa o samolocie. Powiedział mniej więcej tyle, że kiedy mógł z tego środka lokomocji korzystać, nie było jeszcze w zwyczaju podróżować samolotami. Dlaczego inżynier w pewnym okresie swego życia nie mógł korzystać z samolotów, nawet gdyby chciał? Co mu to uniemożliwiało? Było jeszcze coś, co znacznie trudniej daje się zdefiniować. Samo wrażenie. Mogło się wydawać, że komisarz podczas kolacji patrzył na Rocca Pennisi tylko wtedy, kiedy było to konieczne, ale w istocie nigdy nie tracił go z oczu. Fascynowały go oszczędne ruchy inżyniera. Nie rozkładał rąk, nie opierał się łokciem o stół... To zawsze jest oznaką dobrego wychowania – na to zgoda. Ale dlaczego siadając do stołu, przysuwał sobie bliżej kieliszek i sztućce, jakby nawykł do poruszania się na niewielkiej przestrzeni? Takie odruchy posiada ktoś, kto zawsze je wspólnie z innymi i wciąż ma kogoś po prawej, kogoś po lewej i kogoś naprzeciw.

Rozmyślał nad tym, kiedy spacerował nad morzem, bo było jeszcze za wcześnie, żeby pójść do biura. I całkiem nieoczekiwanie przyszło mu do głowy wyjaśnienie tej zagadki. Było proste i jasne. Zaraz też zrozumiał, dlaczego dyrektor, zapraszając go do siebie, przesyłabizował mu imię i nazwisko kuzyna. Był to przejaw delikatności: dyrektor chciał go uprzedzić, nie narażać na zakłopotanie, że sadza przy jednym stole z kimś takim jak kuzyn. Tyle że komisarz jeszcze wtedy nie skojarzył, kim był Rocco Pennisi. A był to po prostu morderca.

Nie minęło pół godziny od chwili, kiedy zwrócił się do Catarelli z prośbą o zdobycie informacji, gdy ten, radosny i triumfujący, położył przed nim wydruk z komputera.

– Z szybkością strzały, prawda, Catarč?

– Strzały, panie komisarzu? Z szybkością błyskawicy!

Na wyciągu z archiwum sucho streszczono tragiczną sprawę Rocca Pennisi, dyplomowanego inżyniera, skazanego na trzydzieści lat za zabójstwo. Przesiedział dwadzieścia pięć, bo zmniejszono mu karę o pięć lat za dobre sprawowanie. Wyszedł z więzienia zaledwie dwa miesiące temu.

Komisarz przeczytał kartę informacyjną i doszedł do nieomylnego wniosku: proces inżyniera był całkowicie poszlakowy i pewnie tylko dlatego sąd nie skazał go na dożywocie. Chwilę się nad tym zastanawiał, a potem wystukał numer dyrektora Burgio.

– Halo, pan dyrektor? Tu Montalbano.

– Poznałem pana po głosie. Wiem, dlaczego pan dzwoni.

– Pański kuzyn rzeczywiście odjechał?

– Odjechał. Z mojej winy. Bardzo go namawiałem, żeby z panem porozmawiał. Ale nie wiem, dlaczego nie miał odwagi. Wolał wrócić do Rzymu.

– Co robi w Rzymie? Znalazł jakąś pracę czy...

– Tak, pracuje. Zaczepił się w firmie Nicoli, swego syna, który także jest inżynierem.

– Panie dyrektorze, czego się pan spodziewał? Co pański kuzyn miał mi wczoraj powiedzieć?

– Miał panu przedstawić, jak naprawdę wyglądała cała ta sprawa, na skutek której przesiedział: niesprawiedliwie dwadzieścia pięć lat w więzieniu i która zburzyła jego życie.

Montalbano nie zdobył się od razu na wysuwanie ewentualnych zastrzeżeń. A głos dyrektora przy ostatnim zdaniu załamał się.

– Zapoznałem się z jego kartoteką, panie dyrektorze. Oczywiście nie było nieodpartych dowodów, jednak... Pan uważa, że był niewinny?

– Nie to, że tak uważam. Mam pewność, głęboką wewnętrzną pewność, że był niewinny. I bardzo liczyłem na jego rozmowę z panem. Wie pan? Rocco nie miał nic do załatwienia w Vigście. Tak tylko panu powiedziałem. To ja go namówiłem. Przyjechał specjalnie.

Montalbano poczuł, że irytuje go, choć zarazem wzrusza to naiwne zaufanie, jakim dyrektor go darzył.

– Jeżeli chce pan o tym ze mną porozmawiać nawet pod nieobecność kuzyna...

– Boże, dzięki ci! – zawołał dyrektor. – Miałem nadzieję, że usłyszę te słowa od pana. Proszę do nas przyjść, kiedy pan tylko zechce, komisarzu.

– Jestem panu niezmiernie wdzięczny za to wszystko, co pan może i zamierza zrobić dla mego kuzyna – zaczął dyrektor Burgio, kiedy już posadził komisarza w swoim gabinecie. – Angelina wczoraj wieczór była bardzo zawiedziona. Całą noc nie zmrużyła oka, dopiero niedawno się położyła. Prosi, żebym ją przed panem usprawiedliwił.

– Co też pan mówi! – powiedział Montalbano. I dodał: – Jednak, panie dyrektorze, zanim zacznie mi pan o wszystkim opowiadać, chciałem panu oświadczyć, że jestem tutaj nie tyle po to, żeby pomóc inżynierowi, ale by pomóc panu. Jest pan bardzo przywiązany do swego kuzyna, prawda?

– Między nami jest piętnaście lat różnicy. Jego ojciec, Michele, który ożenił się z moją najmłodszą ciotką, Cateriną, mieszkał w Montelusie. Miał dobrze prosperującą tłocznię oliwy, którą odziedziczył. Michele i moja ciotka

mieli tylko tego jedynaka, Rocca. Kiedy skończył pięć czy sześć lat, zaczął się niesłychanie przywiązywać do mnie. Często tak się dzieje, że dziecko upatruje sobie ojca czy matkę z wyboru. To moje związanie z nim trwało dalej, kiedy Rocco już wyrósł, poszedł na studia i zrobił dyplom. I właśnie w dniu jego dyplomu wydarzyło się nieszczęście. Michele i Caterina wracali z Palermo samochodem, po obronie jego pracy, i w pewnej chwili Michele utracił panowanie nad kierownicą. Przypuszczalnie nastąpił zawał. Zginęli oboje. I od tego czasu stałem się dla Rocca jakby prawdziwym ojcem. A Angelina była dla niego jak matka. Rocco powierzył zarząd ojcowskiej tłoczni zaufanej osobie i wspólnie ze swoim przyjacielem z Montelusy, Giacomem Alletto, założyli spółkę inżynierską. Byli młodzi, zaradni. W krótkim czasie posypały się zlecenia, były coraz poważniejsze. Pierwszy ożenił się Giacomo. Wziął za żonę wspaniałą dziewczynę z Montelusy, Renatę Dimora, która była ich koleżanką z uniwersytetu, ale potem przerwała studia. W rok później także Rocco ożenił się z dziewczyną z Favary, Anną Zambito. Urodził się im syn, ten, który teraz mieszka w Rzymie.

– Tak, wiem, już mi pan o tym wspomniał.

– Panie komisarzu, zdaję sobie sprawę z tego, że pana zanudzam tą historią, bo wypada jak zawile biblijne rodowody. Ale gdybym nie przedstawił panu całej sytuacji od początku, nic by pan z niej nie zrozumiał. Pewnego razu, wieczorem, Rocco zatelefonował do mnie z Montelusy, chciał porozmawiać ze mną w cztery oczy. Umówiliśmy się w kawiarni na przedmieściu. I tam powiedział mi, że od jakiegoś czasu jest kochankiem Renaty, żony swojego wspólnika. W latach uniwersyteckich kochali się w Renacie obaj, Rocco i Giacomo. Ona przez parę miesięcy była dziewczyną Rocca, potem go porzuciła i związała się z Giacomem. Po ślubie Rocca cała sprawa odżyła. To Renata ją zainicjowała, wyznał mi kuzyn, bo jakoś nie mogła się pogodzić z myślą, że on ma inną kobietę, żonę. A Rocco nie umiał

się jej oprzeć. Błagałem go, żeby z nią zerwał, ale szybko zrozumiałem, że w tej sprawie nic nie wskóram. Rocco z dnia na dzień stawał się coraz bardziej nerwowy, trudno się z nim obcowało.

– Kochał jeszcze żonę?

– Otóż to, panie komisarzu. W tym cała rzecz. Powiedział mi, że kocha ją znacznie bardziej, od kiedy odnowił romans z Renatą. Poza tym uwielbiał dziecko. Słowem, jak to się u nas mówi, miał w sobie dwa serca, jedno ośle, drugie lwie. Renata zresztą znalazła się w identycznej sytuacji.

– Renata miała dzieci?

– Na szczęście nie.

– Proszę posłuchać, panie dyrektorze, Montelusa jest w gruncie rzeczy małym miastem. Jak to się stało, że Alletto nie nabrał podejrzeń co do romansu żony ze współnikiem?

– To niezrozumiałe, ale właśnie tak było. Niczego nie podejrzewał. Ale ten fakt tylko przysparzał Roccowi udręki.

– Proszę mi to dokładniej wyjaśnić.

– Rocco jest człowiekiem lojalnym. A tymczasem stał się podwójnym zdrajca: w rodzinie i w przyjaźni, a ta sytuacja nieznośnie mu ciążyła. Gdyby Giacomo dowiedział się wszystkiego, mówił mi, byłby z tego w pewnym sensie zadowolony, bo w końcu któregoś dnia doszłoby do wyjaśnień. Tak mi to tłumaczył. Dlaczego w takim razie sam mu o tym nie powiesz? – spytałem. Odpowiedział, że Renata tego nie chce. Jednak w końcu Giacomo otrzymał anonimowy list. Z dokładnym opisem całej historii. W liście był nie tylko adres wynajętego pokoju, gdzie żona spotykała się z kochankiem, ale był także podany dzień i godzina najbliższej schadzki. Słowem, prawdziwe zaproszenie, by mąż udał się pod ten adres i zaskoczył ich *in flagranti*. I żeby ich zastrzelił.

– Rocco nigdy panu nie wyznał, że to on napisał ten anonim? – spytał spokojnie Montalbano.

Dyrektor otworzył usta na znak zdumienia połączonego z podziwem.

– Nie – powiedział, kiedy już ochłonął. – Ale kiedy teraz pan mnie o to spytał, widzę, że to oczywiste, że nie mogło być inaczej. Tak, to na pewno Rocco zawiadomił Giacoma o zdradzie, jakiej dopuścił się wobec żony i przyjaciela.

Przerwał, wpatrywał się w posadzkę. Coś mu przyszło do głowy.

– I może naprawdę chciał, żeby Giacomo ich zaskoczył, i nie miały nic przeciwko temu, żeby go zastrzelił.

– A co zrobił Giacomo?

– Zaprosił na obiad Rocca i jego żonę Annę do swojej willi tutaj w Vigricie, nad morzem, po stronie Montereale. Byli tam tylko we czworo. Renata przyrządziła obiad. Na koniec, już po wypiciu kawy, Giacomo wyjął z kieszeni anonimowy list i przeczytał go na głos. Była to straszliwa chwila, opowiadał mi Rocco. Nie mówiąc ani słowa, Anna wstała i z jękiem skargi uciekła na plażę. W tym momencie Rocco zrozumiał, że już od dawna musiała coś podejrzewać. Kiedy Anna wyszła, Giacomo spytał żonę i Rocca, co ma z tym listem zrobić. Ani Renata, ani Rocco nie odezwali się, a to było jeszcze gorsze, niżby wyznali prawdę. Giacomo podarł list i powiedział: „Tego listu nigdy nie dostałem, ale jeżeli przyślą mi jeszcze jeden taki, sprawy przybiorą inny obrót” Jednak od tego dnia wszystko zaczęło się psuć. Wkrótce Rocco porzucił rodzinę i zamieszkał osobno, to samo zrobiła Renata, wracając do rodziców. Sprawy zawodowe Rocca i Giacoma zaczęły kuleć, a oni obaj już ze sobą nie rozmawiali. Postanowili rozwiązać swoją spółkę i pójść każdy swoją drogą. Później, po kilku miesiącach, Renata wróciła jednak do Giacoma, może dlatego, że go kochała, a może pod presją rodziców. Poczulem ulgę, bo liczyłem na to, że Rocco wróci do Anny i

dziecka. Anna, z którą się często spotykałem, także się tego spodziewała. Tymczasem pewnego razu Rocco wyznał mi, że związek z Renatą znowu odżył. Tylko teraz stali się już szczególnie ostrożni. Panie komisarzu, może mi pan wierzyć: poczułem się tak, jakby mi się coś zważyło na głowę, nagle i boleśnie. Któregoś wieczoru, co wyszło na jaw dopiero podczas procesu, Renata z mężem pokłócili się. To teraz zdarzało im się coraz częściej. Skończyło się na tym, że Giacomo jechał na noc do tej swojej willi pod Montereale, a Renata spała u przyjaciółki. Następnego dnia Giacomo nie pojawił się w swoim nowym biurze, a Renata wróciła do domu, zdecydowana pogodzić się z nim. Kiedy zatelefonowali do niej z biura, bo nie mogli doczekać się Giacomina, odpowiedziała, że mąż nocował w willi. Dzwonili tam, ale nikt nie odpowiadał. Wtedy Renata z jednym z urzędników pojechała do niego. Drzwi były otwarte, w salonie wyraźnie widać było ślady bójk. Ale po Giacomie nie było nigdzie śladu. Policja i carabinieri szukali go na ziemi i na morzu, bezskutecznie. Niektórzy sądzili, że musiało tu dojść do „białej zemsty” bo w ostatnich czasach Giacomo otrzymywał pogróżki i ostrzeżenia w sprawie jednego ze zleceń. Inni byli przekonani, że rozmyślnie gdzieś się ulotnił, skoro jego stosunki z żoną bardzo się pogorszyły. Ale komendant carabinieri z Montelusy myślał inaczej. Wbił sobie do głowy, że Giacomina zlikwidował Rocco oszalały z zazdrości, ponieważ mąż raz jeszcze odebrał mu Renatę.

– Zgodnie z logiką, by tak to nazwać, to Rocco powinien był zabić Renatę. W pewnym sensie to ona teraz zdradzała go z mężem – odezwał się komisarz.

– Ja też tak myślałem – ciągnął dalej dyrektor. – Słowem, mimo trzymiesięcznych poszukiwań ani policja, ani carabinieri nie wpadli na ślad Giacomina. Jakby się rozpułynał w powietrzu. Pewnego dnia w willi zaczęła skądś wyciekać woda. Renata, która tam czasami zaglądała, wezwała

hydraulika. A on dokonał wstrząsającego odkrycia. Na dachu był pojemnik, zapasowy zbiornik na wodę, bo jak pan wie, panie komisarzu, wodę u nas puszczają, kiedy chcą...

– Nie musi mi pan tego mówić – odpowiedział Montalbano, który wiele razy stał namydlony pod prysznicem i kłął, bo z prysznicza nie ściekała ani kropla wody.

– No, a kiedy hydraulik odsunął pokrywę, zobaczył zwłoki. Zwłoki Giacoma. Ktoś go udusił, a potem ukrył ciało w zbiorniku.

– Łatwo było dojść do tego zbiornika?

– Skądże! Były tam tylko małe drzwi ze strychu na dach, a potem, idąc ostrożnie i narażając się co krok na upadek, można było dotrzeć do zbiornika. Komendant karabinierów zrekonstruował wydarzenia. To znaczy uznał, że Rocco pojechał spotkać się z Giacometem i rozmowa przerodziła się w awanturę. Wtedy Rocco udusił Giacometę i ukrył jego zwłoki w zbiorniku. Przesłuchiwał Rocca wielokrotnie, zwłaszcza że Rocco nie mógł dostarczyć na tę noc wiarygodnego alibi.

– Dlaczego?

– Przesiedział cały wieczór w domu. Częściowo mogę to potwierdzić, bo telefonowałem do niego około ósmej, żeby spytać, czy nie przyszedłby do nas na kolację. Odpowiedział, że zje w domu, bo potem ma jeszcze coś do roboty.

– Powiedział panu, co?

– Nie powiedział. Ale sam się domyśliłem.

– Co to miało być?

– Miał pójść do tego wynajętego pokoju na spotkanie z Renatą. Ale na procesie powiedział tylko, że został w domu i nigdzie się nie ruszał. Jednak nie miał na to świadków, po moim telefonie nikt już do niego nie dzwonił.

– Jeśli więc nawet mówił prawdę, nikt nie mógł jej potwierdzić?

– Otóż to. Oskarżenie opierało się głównie na braku alibi. A poszlak na niekorzyść Rocca było wiele. Można je było mnożyć. Kiedy został aresztowany, większość jego przyjaciół i znajomych była przekonana o jego winie.

– A jak na jego aresztowanie zareagowała Renata?

– No cóż, powiedziałbym, że w sposób niezdecydowany. Czasami twierdziła, ale zawsze prywatnie, że Rocco jest niewinny, a czasami w to wątpiła. W noc zabójstwa nocowała u przyjaciółki, a ta na procesie to potwierdziła. Prokurator poszedł dalej niż komendant karabinierów, który zakładał spowodowanie nieumyślnego zabójstwa podczas walki, i oskarżył Rocca o zabójstwo z premedytacją. Sędziowie byli bardzo surowi.

– Bo mieli wadę wzroku, nieszczęśni ludzie – powiedział Montalbano.

Dyrektor popatrzył na niego zdumiony.

– Sędziowie mieli wadę wzroku? Nie zrozumiałem, komisarzu.

– Panie dyrektorze, w tamtych latach sędziowie mieli tylko jedno oko, tylko to, które im pozwalało nieprzerwanie patrzeć na przestępstwa pospolite, z zabójstwami włącznie. Drugiego oka, tego, które powinno patrzeć na mafię, na korupcję polityków i tak dalej, jakby nie mieli albo trzymali je ciągle zamknięte.

– Ale najbardziej uderzyło wszystkich, ze mną włącznie, zachowanie Rocca na procesie.

– A jak się zachowywał?

– Całkiem biernie. Jakby sprawa jego nie dotyczyła. A to wyglądało jak pośrednie przyznanie się do winy. Adwokaci wnieśli odwołanie. Między pierwszym procesem a drugim, tym, w którym zatwierdzono wyrok, Renata wyszła ponownie za mąż.

– Jak to? – wykrzyknął Montalbano.

– Tak, panie komisarzu. Formalnie nic nie stało temu na przeszkodzie. Co najwyżej było to w złym guście, bo mogła jeszcze rok poczekać. Ale, jak panu powiedziałem, Renata była bardzo piękna i odziedziczyła po Giacomie znaczny majątek. Wielu kręciło się koło takiej wdowy. Ona jednak wolała wyjść za Antonia Lojacono.

– Kto to był?

– Antonio Lojacono był technikiem budowlanym, dwa lata od niej młodszym, który zawsze pracował u Giacomina, najpierw w ich wspólnej firmie, a potem u niego. W czasie drugiego procesu bierne zachowanie Rocca jeszcze się nasiliło. Niech pan sobie wyobrazi, że podczas mowy oskarżyciela schwytał w locie muchę!

– Chwileczkę – przerwał mu niegrzecznie Montalbano.

– Słucham? – spytał zaskoczony dyrektor.

– Proszę mi dokładnie powtórzyć to, co pan powiedział.

– A co ja takiego powiedziałem?

– O tej sprawie z muchą.

– Schwytał w locie muchę, kiedy wszyscy właśnie patrzyli na niego, bo prokurator, ten na drugim procesie, mówiło zabójstwie z premedytacją. I zaraz ten gest, widziany przez wszystkich, posłużył prokuratorowi do wykazania, jakim cynicznym i godnym pogardy indywiduum jest Rocco. Powiem panu szczerze, panie komisarzu, że ten jego gest wszyscy uznali za przyznanie się do winy. Zmroził nas.

– Proszę mi opowiedzieć dokładniej o tej musze.

– O czym?

– Panie dyrektorze, nie żartuję. Mucha latała? Czy siedziała?

– Na Boga, jakie to ma znaczenie?!

– Mniejsza o to. Proszę mi odpowiedzieć.

– Chyba siedziała. Albo latała, nie wiem. Gdyż on, Rocco, od pewnej chwili był jak sparaliżowany, nie poruszał się, był tylko wpatrzony w poręcz przed ławą, na której siedział... może właśnie tam była mucha, a on się jej przypatrywał...

– Kto tam był?

– Gdzie?

Dyrektor, oszołomiony, nie rozumiał pytań Montalbana. Nie domyślał się ich sensu. A w dodatku wydawało mu się, że komisarz nagle zmienił swoje zachowanie, że stał się jak pies myśliwski wyczuwający w zaroślach zwierzynę.

– Na sali sądowej. Kto był na sali oprócz pana?

– Kto z przyjaciół? Jakiego rodzaju ludzie? Chyba nie pamiętam dokładnie...

– Proszę się skupić i powiedzieć mi, była Renata?

– Nie muszę się skupiać, Renaty nie było.

Montalbano poczuł się zawiedziony.

– Jednak...

Komisarz aż się uniósł i wysunął głowę w stronę dyrektora; naprawdę jak pies, który zaraz dopadnie zwierzynę.

– Jednak był mąż Renaty – ciągnął dyrektor Burgio – nowy mąż, ten technik.

Montalbano od razu się rozluźnił i nabrał głęboko powietrza, jakby właśnie wynurzył się spod wody.

– Proszę opowiadać dalej.

– Niewiele mam już do opowiedzenia. Adwokaci zrobili wszystko, co było

do zrobienia, ale działali z własnej inicjatywy. Rocco był im tylko biernie posłuszny. Został skazany. Podczas naszej pierwszej rozmowy w więzieniu powiedział mi dwie rzeczy: że to nie on zabił Giacomina i że bym zajął się Nicolem, jego synem. To jego życzenie spełniłem, dopilnowując, żeby wciąż była żywa miłość w tym dziecku, które stawało się chłopcem, młodzieńcem, mężczyzną. Żeby kochał swego ojca, niesłusznie uwięzionego. I przynajmniej to mi się udało.

Dyrektor już się wzruszył, toteż słowa, które teraz skierował do niego komisarz, zdumiały go:

– Wróćmy do muchy.

Dyrektor Burgio nie umiał wykrztusić z siebie nawet sylaby na ten temat.

– Co zrobił z muchą, kiedy już ją chwycił?

– No... czy ja wiem... nic – wymamrotał dyrektor.

– Jak to nic?

– No... otworzył pięść i ją wypuścił.

Dyrektor wyjaśnił mi, gdzie leży willa, w której został zamordowany Giacomo Alletto. Po ślubie z technikiem Lojaco Renata nie chciała już tam jeździć i sprzedała willę kupcowi z Vigiry, którego Montalbano znał. A on, kupiec D'Arrigo, odpowiedział przez telefon, że komisarz może wpaść do niego, kiedy tylko zechce. Na to Montalbano oświadczył, że za pół godziny będzie na miejscu.

– Nie, niczego zasadniczo nie zmieniłem – powiedział D'Arrigo – zostawiłem willę taką, jak była. Kazałem ją tylko odświeżyć, pomalować na nowo z zewnątrz i w środku. Przerobiłem łazienkę, kuchnię i naturalnie wymieniałem tamten fatalny zbiornik na wodę.

Zaśmiał się, zadowolony ze swojej żartobliwej aluzji.

– Pokaże mi pan, jak wchodzi się na dach?

– Oczywiście.

Przy drzwiczkach ze strychu D'Arrigo zatrzymał się, – Proszę pamiętać, że przejście jest bardzo niebezpieczne – powiedział. – Jeżeli chce pan dojść aż do zbiornika, to proszę, niech pan idzie, ale ja nie będę panu towarzyszył. Niedawno padało, rynny są śliskie.

Montalbano przeszedł przez drzwiczki, trzymając się mocno futryny. Nie czuł się jednak na siłach postawić choćby jeden krok na dachu. Zbiornik znajdował się w odległości około dziesięciu metrów, ale ktoś, kto nie był z tym przejściem obeznany, narażał się w każdej chwili na upadek.

Wrócili do salonu. Tutaj D'Arrigo zdecydował się wreszcie spytać komisarza o powód jego wizyty. Ale zabrał się do tego ostrożnie.

– Słyszałem, że w tych dniach był w Vigście inżynier Pennisi.

– Istotnie, był – odpowiedział Montalbano.

I wtedy D'Arrigo wtrącił coś, co poderwało komisarza z krzesła.

– Agustinu mówi, że to nie on zabił.

– Kto to jest Agustinu?

– Agustinu Trupia to majster budowlany, wyremontował mi willę, kiedy ją kupiłem.

– Dlaczego Agustinu mówi, że nie zrobił tego inżynier?

– Dlatego, że Agustinu trzydzieści lat temu pracował jako murarz w firmie Alletto i Pennisi. Na budowach ciągle kpili sobie z inżyniera. Za jego plecami, oczywiście.

– Dlaczego?

– Nie umiał chodzić po rusztowaniach. Dostawał zawrotów głowy, miał lęk przestrzeni. Agustinu powiedział, że nawet nie był zdolny wejść w górę

po drabinie murarskiej. I dlatego nie mógł sobie wyobrazić, żeby tak postąpił po zabiciu współnika. Musiał przecież zarzucić go sobie na plecy, wejść z nim na dach, przejść dziesięć metrów wzdłuż rynny, otworzyć pokrywę zbiornika, wrzucić do niego zwłoki, nasunąć pokrywę i wrócić.

– Przepraszam pana, panie D’Arrigo, czy Agustinu jeszcze żyje?

– Oczywiście. Spotkałem go przedwczoraj na targu rybnym w Vigście, ale już nie pracuje, bo skończył siedemdziesiąt lat. Jest jeszcze w dobrej formie.

– Ma pan jego adres?

Rozmowa komisarza z majstrem Agustinu Trupią odbyła się dzień później w domu córki Trupii, Serafiny, która we współpracy z mężem Martinem wydała na świat ośmioro dzieci. Najstarszy miał dwadzieścia pięć lat, najmłodsza pięć. Majster na emeryturze stał się dziadkiem na pełnym etacie i miał u córki swój pokój, gdzie przyjął Montalbana. Ale w rozmowie i tak przeszkadzały im hałasy docierające z przyległych pokoi. Po wysłuchaniu komisarza Trupia oświadczył, że opowieść D’Arriga nie była ścisła.

– Więc inżynier nie cierpiał na zawroty głowy?

– Cierpiał, i to jak! Ale nieprawdą jest, że kpiliśmy z niego na potęgę.

– Nie wyśmiewaliście go?

– Nie, nie wyśmiewaliśmy. Pierwszy raz, kiedy się coś takiego zdarzyło, było nas w pracy czterech oprócz inżyniera Pennisi. Byłem ja, Tanu Ficarra, Gisue Licata i inżynier Alletto. Pennisi przyjechał późno, kiedy my byliśmy już na rusztowaniach. Wtedy inżynier Alletto zaczął go namawiać, żeby wyszedł do nas. Ale Pennisi, kiedy już stanął na rusztowaniu, zaczął drzeć, chwiać się na prawo i na lewo, jakby był pijany. Zaraz chwycił się słupka i już go nie puszczał. W głowie mu się kręciło, oczy miał wystraszone. Wzięliśmy go na ręce, był sztywny jak suszony dorsz, i takiego znieśliśmy na

ziemię. To wtedy zaczęliśmy mu dogryzać, bo zobaczyliśmy, że inżynier narobił w portki. Ale Alletto zapowiedział, że jak raz jeszcze pozwolimy sobie na coś takiego, to nas wyrzuci z pracy. I od tamtego dnia nie wyśmiewaliśmy się z niego, nie mieliśmy zresztą okazji, bo inżynier Pennisi już się więcej nie odważył wejść na rusztowanie.

– Chciałbym jeszcze wiedzieć, panie Trupia, dlaczego nie opowiedział pan o tym na procesie?

– Bo nikt mnie o to nie spytał. A ja z prawem wolę nie mieć do czynienia. Jak się ktoś zacznie narażać prawu, to czy będzie miał rację, czy nie, zawsze na tym źle wyjdzie.

– To dlaczego teraz opowiada mi pan o wszystkim? Ja przecież jestem też taki od prawa. I pan dobrze o tym wie.

– Szanowny panie komisarzu, nie bierze pan pod uwagę tego, że ja mam już ósmy krzyżyk. I dlatego mogę się nie przejmować ani panem, ani tym prawem, które pan reprezentuje.

Szanowny panie inżynierze, jestem komisarzem Montalbano. Kilka dni temu mieliśmy okazję jeść wspólnie kolację w domu pańskiego kuzyna, dyrektora Burgio. W dzień później dyrektor ujawnił mi, że nasze spotkanie zaaranżował specjalnie. Dyrektor jest szczerze i głęboko przekonany o pańskiej niewinności, mimo że został pan skazany, i chciał niejako uzyskać ode mnie urzędowe potwierdzenie swego przekonania, wsparte niepodważalnymi dowodami. Jednak podczas kolacji nie chciał się pan do mnie zwrócić o takie potwierdzenie, bo prawdopodobnie w pewnym momencie zrozumiał pan, że moja interwencja okaże się dla pana całkiem bezużyteczna. Bezużyteczna nie tyle w sensie prawnym, ile w stosunku do pańskiego zniszczonego życia, bo to zniszczenie jest już nieodwracalne. Przecież ja nie mógłbym panu zwrócić zmarnowanej młodości, utraconych

uczuciu, radości i cierpieniu, których pan nie przeżył lub musiał przeżywać je znowu. Słowem, zrozumiał pan, że z tego punktu widzenia stwierdzenie niewinności jest dla pana zupełnie bezużyteczne.

Mimo to piszę do pana. Od dyrektora Burgio dostałem pański rzymski adres. Wyprosiłem go podstępem, mówiąc, że mam pojechać do Rzymu i że byłoby mi miło spotkać się z panem. Może pan wobec tego spytać, dlaczego do pana piszę, skoro robię to wbrew sobie. Dlatego, że jestem z natury gliniarzem, panie inżynierze. Pański kuzyn uruchomił we mnie mechanizm, który na moje nieszczęście nie może się zatrzymać, dopóki nie doprowadzi sprawy do jakiegoś rozwiązania. Przeprowadziłem więc dochodzenie. Zapoznałem się nawet z pańskimi aktami procesowymi. I w pewnej chwili zrozumiałem, w jaki sposób posłużono się panem, jak na to wpadłem? Sformułuję tu hipotezę, która będzie pan mógł, jeśli zechce, potwierdzić albo odrzucić. Oświadczył pan, że w noc zabójstwa był pan przez cały czas w domu. Ale powiedział pan nieprawdę. Wyszedł pan z domu, żeby pójść do wynajętego na spotkania z Renatą Alletto pokoju. Po południu Renata zawiadomiła pana, że będzie mogła spędzić z panem noc. Wobec tego udał się pan do tego pokoju, ale Renata, nie wiadomo dlaczego, nie pojawiła się. Później już nie mieliście okazji spotkać się prywatnie, bo zniknięcie inżyniera Alletto, a następnie ciągłe rewizje i poszukiwania zmieniły się rzeczy codzienny rytmem życia Renaty. Poza tym oczy wszystkich były skierowane na was i wobec tego musieliście postępować z najwyższą ostrożnością. Tak, jak sądzę, wyglądałoby usprawiedliwienie Renaty, gdyby chciała powiedzieć, dlaczego unikała spotkań z panem. Później odkryto zwłoki w zbiorniku na wodę i został pan formalnie oskarżony i aresztowany. Tylko jedna Renata mogła ujawnić śledczym, że umówiliście się na spotkanie, że miała czekać w pokoju na pańskie przybycie i spędzić z panem noc. Oczywiście nie byłoby to dla pana niepodważalne alibi, ale na pewno w

znacznej mierze osłabiłoby siłę oskarżenia. Choć naturalnie jakiś nieprzejednany śledczy mógł natychmiast oskarżyć Renatę o współudział. Było to więc ryzyko, na jakie, jak pan pewnie sobie wyobrażał, Renata z miłości do pana chętnie się zdobędzie. Tymczasem Renata nigdy ani słowem nie wspomniała o tym waszym niedoszłym spotkaniu. Ani w trakcie przesłuchań, ani jako świadek na rozprawie. Przyjaciółka potwierdziła, że Renata spędziła wieczór i noc u niej i że nigdy nie wspominała jej o żadnym spotkaniu. I mówiła prawdę, bo Renata nikomu nie wyjawiała, że pisała do pana lub telefonowała, żeby umówić się z panem na to nocne spotkanie. Nie miała najmniejszego zamiaru na nie się udać właśnie dlatego, że zgodnie z jej planem pan miał się znaleźć w sytuacji, w której nie będzie pan miał wiarygodnego alibi. Poza tym może pański adwokat zwrócił panu uwagę na dwuznaczną postawę Renaty, gdy zdarzało się jej wyrażać swój sąd o panu: czasami mówiła, że jest pewna pańskiej niewinności, a czasami wątpiła w nią albo się wahała. A pan z wolna zaczynał rozumieć. Musiał pan na to stracić wiele czasu, bo długo pan nie wątpił w poświęcenie, miłość i pasję Renaty. Kiedy zaczął pan się czegoś domyślać, postanowił zagrać o najwyższą stawkę i dokonać ostatecznej próby, aby wykazać, czy zamiarem Renaty jest przedstawić pana jako winnego. Mam tu na myśli fakt, że specjalnie nie złożył pan w śledztwie oświadczenia o swojej ułomności. O tym, że jest pan całkowicie niezdolny do tego, by w sposób akrobatyczny iść po dachu ze zwłokami na plecach, jak to panu wmawiał prokurator. Miał pan na to świadków, którzy mogli zeznać w sądzie pod przysięgą, że ma pan lęk wysokości i związane z tym zawroty głowy. Ale nie podał pan ich nazwisk adwokatowi. Potem, kiedy został pan już skazany, Renata milczała. Więc pańska ostateczna próba zaowocowała spodziewanym rezultatem. Może uznał pan, że dopiero w sadzie apelacyjnym poinformuje pan o swoim defekcie, czy jak by to trzeba nazwać, który uniemożliwił panu wchodzenie

na rusztowania. Wobec takiego obrotu sprawy prokurator naturalnie mógł twierdzić, że miał pan współnika, że pomógł panu jeden z robotników. Pańska niewinność nie zostałaaby zdecydowanie dowiedziona, ale cały gmach oskarżenia bardzo by to nadwerężyło. Może pan by się na to zdecydował, gdyby nie fakt, że między pierwszym a drugim procesem Renata wyszła za mąż za technika Lojacono. A ten, w przeciwieństwie do pana, był w stanie przechadzać się sprawnie po dachu nawet ze zwłokami na plecach. Słowem, zrozumiał pan wreszcie, że Renata i technik byli od dawna kochankami, a pan zagrał tylko główną rolę w realizacji ich planu. Dlaczego pan nie zareagował? Był pan śmiertelnie zraniony zdradą kobiety, którą pan kochał? Wstydział się pan, że zostanie uznany za głupca, którego uwikłano w tragiczną farsę? Chciał pan ekspiacji za winę, którą pan odczuwał wobec swojego przyjaciela Alletto, wobec żony Anny i jedyne go syna? Nie chcę na to odpowiadać, panie inżynierze. To już mnie nie interesuje – to dotyczy tylko pana. Z jednej z wymienionych przeze mnie przyczyn albo ze wszystkich razem postanowił pan zdać się biernie na bieg wydarzeń. Ale chciał pan dać do zrozumienia Renacie i jej nowemu mężowi, że przejrzał pan ich intrygę. I tamtego dnia, kiedy prokurator oskarżał pana o działanie z premedytacją, pan, na oczach wszystkich, schwycił w locie muchę. Wydawało się, że jest to jakiś straszliwy gest wzgardliwej obojętności. Ale widzi pan, panie inżynierze, ja już mam za sobą lata doświadczeń. Nie ma tak cynicznego zbrodniarza, który odważyłby się na podobny gest w chwili, gdy wytacza się przeciw niemu porażające oskarżenie. Na gest, powtarzam, wzgardy i obojętności. Tu jednak ten gest był świadomym przesłaniem skierowanym do technika Lojacono, który tego dnia był na sali sądowej. Gest miał być odczytany następująco: „Wy oboje, ty i Renata, schwytaliście mnie jak muchę” To wszystko. I Lojacono doskonale to zrozumiał. Przeraził się też jakiejś pańskiej możliwej reakcji. Dowodem na to jest fakt, że wyjechał do

Boliwii, kiedy tylko Renata uzyskała znaczny spadek.

To, drogi panie inżynierze, chyba wszystko, co wywnioskowałem o pańskiej tragicznej sprawie. Nie powiedziałem o tym nikomu, zwłaszcza dyrektorowi Burgio, ani słowa.

Nie proszę pana o potwierdzenie moich domysłów, chociaż one, bądź co bądź, nie wydają mi się bezpodstawne. Mam do pana tylko jedna prośbę: proszę powiedzieć, co mam zrobić.

NIC. Było to jedno jedyne słowo, jakie zawierał telegram dostarczony w trzy dni później komisarzowi i podpisany przez inżyniera Rocca Pennisi. NIC.

I Montalbano podporządkował się temu życzeniu.

Pomarańczki komisarza Montalbano

Pierwszy, który dwudziestego siódmego grudnia zaczął tę litanię, czy jak by to jeszcze inaczej nazwać, był kwestor.

– Montalbano, pan oczywiście spędza noc sylwestrową razem z panią Livią, prawda?

Nie, nie przywita z Livią Nowego Roku. Doszło między nimi do okropnej sprzeczki, jednej z tych najbardziej niebezpiecznych, które zaczynają się od zdania: „Spróbujmy się spokojnie zastanowić” a kończą zawsze jak najgorzej. Z tego powodu komisarz miał zostać w Vigście, a Livia wybierała się z przyjaciółmi z biura do Viareggio. Kwestor wyczuł, że coś jest nie tak, i dlatego nie nalegał na Montalbana i nie wymuszał krępującej go odpowiedzi.

– Bo jeśli zostaje pan tutaj, to będziemy szczęśliwi, gdy zechce pan spędzić tę noc wspólnie z nami. Żona już od dawna pana nie widziała i ciągle mnie o pana pyta.

Komisarz gotów był z uprzejmości i wdzięczności powiedzieć, że przyjdzie, kiedy kwestor dodał:

– Będzie u nas także doktor Lattes. Musiał wysłać żonę do Merano, bo jej matka nie najlepiej się czuje.

Ale Montalbano nie przepadał za doktorem Lattesem, przezywanym „*Lattes e mieles*” – „mleczno–miodowy” – z powodu swojej służalczości. Z całą pewnością podczas kolacji albo po niej będzie się rozmawiać tylko o „problemach porządku publicznego we Włoszech”, bo taki tytuł można by

nadać długim monologom doktora Lattes, sekretarza kwestury.

– Szczerze mówiąc, panie kwestorze, już obiecałem...

Kwestor przerwał mu, bo doskonale wiedział, co Montalbano myśli o doktorze Lattesie.

– Wie pan co? Jeżeli nie może pan przyjść do nas wieczorem, to możemy zjeść razem obiad w Nowy Rok.

– Oczywiście – obiecał komisarz.

Potem przyszła kolej na panią Clementinę Vasile–Cozzo.

– Jeżeli nie ma pan nic lepszego do roboty, może przyjdzie pan do mnie? Będzie mój syn z żoną i dzieckiem.

A cóż miałby on, komisarz Montalbano, do roboty na tym świątecznym zjeździe rodzinnym? Odpowiedział z ciężkim sercem, że nie może przyjść.

Z kolei zatelefonował dyrektor Burgio. Jechał z żoną do Comitini, do swojej siostrzenicy.

– To sympatyczni ludzie, wie pan? Można by się z nimi zaprzyjaźnić.

Mogli być prawdziwie i serdecznie sympatyczni, ale komisarz nie miał ochoty na zaprzyjaźnianie się. Chyba dyrektor użył złego czasownika. Gdyby powiedział: „Dlaczego nie dotrzyma pan nam towarzystwa?” to byłaby na to jakaś szansa.

Potem taka sama litania powtórzyła się w komisariacie.

– Chcesz jutro wybrać się na sylwestra razem ze mną? – spytał Mimě Augello, który wyczuł, że komisarz pokłócił się z Livią.

– A ty dokąd się wybierasz? – spytał Montalbano, przyjmując na wszelki wypadek postawę obronną.

Ponieważ Mimě nie był żonaty, na pewno zechce zaciągnąć go do swoich hałaśliwych przyjaciół albo do jakiejś anonimowej i pretensjonalnej

restauracji, gdzie będzie słycać wiele dudniących głośów, salwy śmiechu i muzykę na cały regulator.

A przecież komisarz lubił jeść w milczeniu. Tego rodzaju jazgot odbierał mu całkiem ochotę nawet na najwspanialsze danie, przyrządzone przez najznakomitszego kucharza na całym bożym świecie.

– Zamówiłem stólik w „Central Parku” – odpowiedział Mimě.

Otóż to – nie mógł się przecież mylić. „Central Park”! Olbrzymia restauracja koło Feli, z ta swoją żalósną nazwą i takimż wystrojem, gdzie mogą cię otruci zwykłym kotletem z garstką gotowanych jarzyn.

Popatrzył wymownie na swego zastępcę i nawet nie otworzył ust.

– Dobra, dobra, jakbym ci nic nie proponował – rzucił Augello, wychodząc z pokoju. Zaraz jednak wsunął głowę z powrotem i dodał:

– A prawda jest taka, że przepadasz za jedzeniem w samotności.

Mimě miał rację. Kiedyś komisarz przeczytał opowiadanie, nie przypominał sobie, czyje, na pewno jakiegoś Włocha, ale nazwisko autora wyleciało mu z głowy, którego akcja toczyła się w mieście, gdzie jedzenie publicznie uznawano za czyn niezgodny z powszechnym poczuciem przyzwoitości. Natomiast dokonywanie odwrotnej do jedzenia czynności w obecności wszystkich uchodziło za czyn całkiem normalny i dozwolony. Niemal się pod tym podpisywał. Smakowanie dania przyrządzonego jak Bóg przykazał uważał za jedną z najbardziej wyrafinowanych samotnych przyjemności, jakimi człowiek może się cieszyć, i nie powinno się tej radości dzielić z innymi, nawet z tymi, których się bardzo lubi.

Po powrocie do domu, do Marinelli, znalazł na stole w kuchni karteczkę od gosposi Adeliny.

Niech mi pan wybaczy, że sobie pozwalam, ale jutro wieczór, bo jest nowy

rok i bo moi synowie są na wolności, przyrządę pomarańczy, co panu tak smakują. Jeżeli pan może mnie zaszczyścić, to przyjdzie pan zjeść, a adres pan zna.

Adelina miała dwóch synów, którzy byli zawsze w kolizji z prawem, i albo właśnie szli do więzienia, albo właśnie z niego wychodzili. Była to zatem niezwykle szczęśliwa okoliczność rzadka jak pojawienie się komety Halleya, że obaj równocześnie znaleźli się na wolności. Zrozumiała, że taką okazję należało uroczyście uczcić „pomarańczkami”.

O Boże, pomarańczy Adeliny! Jadł je tylko raz, ale ich wspomnienie zakodowało się z pewnością w jego DNA i stało się genetycznym dziedzictwem.

Adelina przeznaczała dwa dni, pracując od rana do wieczora, żeby to danie przyrządzić. Przepis na nie znała na pamięć. Dzień wcześniej trzeba przygotować jednakowe porcje chudego mięsa, cielęcego i wieprzowego, które musi się gotować na bardzo wolnym ogniu razem z cebulami, selerem, pietruszką i bazylią. Następnego dnia gotuje się ryż, jak na risotto (nazywane zwykle „po mediolańsku” ale koniecznie bez szafranu), wysypuje się go na stolnicę, miesza z jajkami i studzi. Jednocześnie gotuje się groszek, robi sos beszamelowy i kroci na kawałeczki plasterki salami, a potem wszystko to miesza się z tamtym chudym mięsem posiekanym ręcznie (w żadnym razie nie w mikserze). Wywar z mięsa dolewa się do ryżu. I wreszcie bierze się porcję ryżu na dłoń, jak na płaską muszlę, i układa na środku łyżkę farszu mięsnego, a potem przykrywa drugą porcją ryżu, tak by utworzyć foremną kulkę. Każdą kulkę obtacza się w mące, a potem w białku i tartej bułce. Na koniec wszystkie „pomarańczy” wkłada się do naczynia z wrzącą oliwą i przyrumienia tak długo, aż nabiorą koloru starego złota. Osusza się je na papierze. I wreszcie zjada ku chwale bożej!

Montalbano nie miał już wątpliwości, gdzie spędzi noc sylwestrową. I tylko jedno pytanie nie dawało mu spokoju: czy obu synom Adeliny uda się pozostać na wolności do następnego dnia?

Rano trzydziestego pierwszego, ledwo wszedł do biura, litanie zaczął Fazio.

– Panie komisarzu, jeżeli dziś wieczór nie ma pan nic lepszego do roboty...

Montalbano nie dał mu dokończyć. A ponieważ był z Faziem w przyjacielskich stosunkach, wyjaśnił mu, gdzie zamierza spędzić wieczór sylwestrowy. Spodziewał się, że ta wiadomość Fazio rozbawi, a tymczasem ten się zasepił.

– O co ci chodzi?

– Pańska gosposia nazywa się Cirrincio?

– Tak.

– A jej synowie to Giuseppe i Pasquale?

– Tak.

– Proszę chwilkę poczekać – powiedział Fazio i wyszedł z pokoju.

Montalbano to zaniepokoiło.

Fazio po chwili wrócił.

– Pasquale Cirrincio ma kłopoty.

Komisarza zmroziło; już po pomarańczkach.

– Co to znaczy, że ma kłopoty?

– To znaczy, że został wydany nakaz aresztowania go. Wydany przez karabinierów z Montelusy. Za kradzież w supermarkecie.

– Kradzież czy włamanie?

– Kradzież.

– Fazio, spróbuj się dowiedzieć czegoś więcej. Tylko nieoficjalnie. Może masz przyjaciół na posterunku w Montelusie?

– Ilu pan chce.

Komisarzowi przeszła ochota na urzędowanie.

– Panie komisarzu, spalili samochód inżyniera Jacono – powiedział Gallo, wchodząc.

– Zamelduj o tym wicekomisarzowi Augello.

– Panie komisarzu, tej nocy weszli do willi księgowego Pirrera i wynieśli wszystko, co było do wyniesienia – oświadczył Gallo.

– Powiedz to wicekomisarzowi Augello.

W takich okolicznościach Mimě mógł zapomnieć o sylwestrze w „Central Parku” I powinien być za to komisarzowi wdzięczny, bo uniknie zatrucia, które tam wisi w powietrzu.

– Panie komisarzu, sprawy wyglądają tak, jak panu powiedziałem. W nocy z dwudziestego siódmego na dwudziestego ósmego wyczyścili supermarket w Montelusie, a tym, co wynieśli, wypełnili całą ciężarówkę. Karabinierzy są pewni, że Pasquale Cirrincio brał w tym udział. Mają dowody.

– Jakie?

– Nie powiedzieli mi, jakie.

Zapadło milczenie, a po chwili Fazio zebrał się na odwagę.

– Panie komisarzu, powiem panu otwarcie: nie powinien pan iść dzisiaj na kolację do Adeliny. Nic nie mam przeciw temu, ale wiem, co mówię. Bo jeśli przypadkiem ci z Montelusy wpadną na świetny pomysł, żeby szukać Pasquale u matki, i tam go znajdą, i zobaczą, jak opycha się pomarańczkami razem z panem, to co? Nie sady pan, komisarzu, że wypadnie to tak sobie?

Zadzwoił telefon.

– To pan, panie komisarzu Montalbano?

– Tak, ja.

– Mówi Pasquale.

– Jaki Pasquale?

– Pasquale Cirrincio.

– Dzwonisz do mnie z komórki? – spytał Montalbano.

– Nie, jeszcze mnie na to nie stać.

– To Pasquale – powiedział komisarz do Fazio, zasłaniając dłonią słuchawkę.

– Nie chcę o tym nic wiedzieć – odpowiedział Fazio.

Wstał i wyszedł z gabinetu.

– Słucham cię, Pasqua.

– Panie komisarzu, muszę z panem pomówić.

– Ja także muszę z tobą pomówić. Gdzie jesteś?

– Przy zjeździe z Montelusy. Dzwonię z budki pod barem Pepč Tarantella.

– Postaraj się, żeby cię nikt nie widział. Przyjadę najdalej za trzy kwadransy.

– Wsiadaj do auta – krzyknął komisarz, kiedy już dostrzegł Pasquale pod budką.

– Daleko pojedziemy?

– Daleko.

– No to wsiadę do swojego i pojedę za panem.

– Swoje auto zostawisz tutaj. Nie będziemy jechać jak w procesji.

Pasquale nie oponował. Był młody, najwyżej trzydziestoletni, smagły, z

żywym oczami.

– Panie komisarzu, chciałbym panu wyjaśnić...

– Potem mi wyjaśnisz – powiedział Montalbano, uruchamiając silnik.

– Gdzie mnie pan wiezie?

– Do siebie, do Marinelli. Waśnij się głęboko w siedzenie, trzymaj prawą rękę przy twarzy, jakby cię bolały zęby. Może z daleka nikt cię nie rozpozna. Wiesz, że cię poszukują?

– To wiem. Dlatego zatelefonowałem. Dowiedziałem się o tym dzisiaj rano od kolegi z Palermo.

Siedząc już na werandzie, nad kuflem piwa podsuniętym mu przez komisarza, Pasquale uznał, że czas najwyższy na wyjaśnienia.

– Ja z tą kradzieżą w supermarkecie „Omnibus” nie mam nic wspólnego. Przysięgam panu na głowę mojej matki.

Fałszywej przysięgi na głowę matki Adeliny, która go uwielbiała, nigdy by nie złożył, więc Montalbano od tej chwili mógł być naprawdę przekonany o jego niewinności.

– Nie wystarczą przysięgi, kiedy są dowody. A karabinierzy twierdzą, że mają w ręku coś pewnego.

– Panie komisarzu, nie mam pojęcia, co oni mają w ręku, ponieważ ja nie poszedłem kraść do supermarketu.

– Poczekaj chwilę – powiedział komisarz.

Wszedł do pokoju, zatelefonował. Kiedy wrócił na werandę, był przygnębiony.

– Coś nie tak? – spytał z napięciem Pasquale.

– Pewnie, że nie tak. Karabinierzy mają niepodważalny dowód, z którego się nie wywiniesz.

– Jaki to może być dowód?

– Twój portfelik. Znaleźli go przy kasie. Był w nim także twój dowód osobisty.

Pasquale zaklął, a potem wstał i uderzał się dłonią w czoło.

– To tam go posiałem!

Zaraz usiadł z powrotem. Nogi miał jak z gumy.

– I jak się teraz z tego wyłgam – rozżalił się.

– Opowiedz mi, jak to było.

– Wieczorem dwudziestego siódmego poszedłem do tego supermarketu. Już zamykali. Kupiłem dwie butelki wina, whisky, salami, krakersy i takie tam jeszcze rzeczy. Wszystko zaniósłem do domu mojego przyjaciela.

– Którego?

– Peppe Naski.

Montalbano się skrzywił.

– To znaczy, że byli tam także Coco Bellia i Tito Farruggia? – spytał.

– Tak, panie komisarzu – potwierdził Pasquale.

Czyli banda w komplecie, wszyscy niejedną raz sążeni, solidarni wspólnicy.

– Po co zebraliście się razem?

– Mieliśmy grać w karty, w tressette i briscolę.

Montalbano uniósł rękę i uderzył Pasquale w twarz.

– Zaczynaj liczyć. Na razie dostałeś jeden raz.

– Proszę mi wybaczyć – powiedział Pasquale.

– No to o co wam szło?

Nieoczekiwanie Pasquale zaczął się śmiać.

– Tak cię to rozbawiło? Mnie nie.

– No bo, panie komisarzu, to jest naprawdę śmieszne. Wie pan, po co spotkaliśmy się u Peppe Naski? Żeby sobie zaplanować kradzież na dwudziestego ósmego.

– Gdzie?

– W jednym supermarkecie – powiedział Pasquale, zanosząc się śmiechem do łez.

A Montalbano domyślił się, dlaczego tak go to śmieszy.

– W tym samym? W „Omnibusie”?

Pasquale potwierdził skinieniem głowy. Dusił się ze śmiechu. Komisarz dolał mu piwa do kufła.

– I tamci was uprzedzili?

Pasquale znowu tylko skinął głową.

– Zastanów się, Pasqua, wpakowałeś się w poważne kłopoty. Kto ci uwierzy? Jeżeli powiesz, z kim się spotkałeś tamtego wieczoru, wsadzą cię bez dwóch zdań. Co sobie wyobrażasz? Czterech złodziei takich jak wy nie może przecież dostarczać sobie nawzajem alibi! To z tego można by pęknąć ze śmiechu, naprawdę!

Znowu wszedł do wnętrza, raz jeszcze zatelefonował. Wrócił na werandę, kręcąc głową.

– Wiesz, kogo poszukują za kradzież w supermarkecie oprócz ciebie? Peppe Naski, Coco Bellii i Tita Farruggii, całej waszej bandy.

– O Matko Boża! – wykrztusił Pasquale.

– I wiesz, co w tym jest najzabawniejszego? Że twoich koleżków wpakują za kraty tylko dlatego, że ty, jak głupiec, posiałeś portfelik właśnie w tym supermarkecie. Jakbyś tam złożył swój podpis, jakby cię tam przyłapali.

– Tamci trzej, kiedy ich wsadzą i powiedzą im, przez kogo wpadli, przy

pierwszej okazji pokażą mi, co potrafią.

– I będą mieli rację – stwierdził Montalbano. – Już teraz się na to szykuj. Fazio powiedział mi, że Peppe Nasca już jest u nas w komisariacie. Zatrzymał go Galluzzo.

Pasquale chwycił się za głowę. A komisarz, kiedy patrzył na niego, wpadł na pewien pomysł. Może jednak uda mu się uratować kolację z pomarańczkami. Pasquale usłyszał, że Montalbano kręci się po całym domu, wciąż otwiera szuflady.

– Chodź tutaj.

Komisarz czekał na niego w jadalni z kajdankami w rękę. Pasquale popatrzył na niego zdezorientowany.

– Naszukałem się. Nie pamiętałem, gdzie je włożyłem.

– Co pan chce zrobić?

– Aresztuję cię, Pasqua.

– A dlaczego?

– Jak to dlaczego? Ty jesteś złodziejem, a ja komisarzem. Ciebie poszukują, a ja cię ująłem. Nie graj wariata.

– Panie komisarzu, pan dobrze wie, że mnie nie trzeba zakładać kajdanków.

– Dzisiaj trzeba.

Pogodzony Pasquale podszedł bliżej, a Montalbano założył mu jedną część kajdanków na lewą rękę. Potem, pociągając ze sobą, zaprowadził go do łazienki i drugą część kajdanków zaczepił o rurę przy spłuczce od sedesu.

– Zaraz wrócę – powiedział komisarz. – Jak cię przypili, załatwisz się bez trudu.

Pasquale nawet nie otworzył ust.

– Zawiadomiliście karabinierów, że już mamy Peppe Nascę? – spytał Montalbano, wchodząc do biura.

– Powiedział pan, żeby tego nie robić, więc nie zawiadomiłem – odpowiedział Fazio.

– Przyprawdźcie go do mnie.

Peppe Nasca miał około czterdziestki i ogromny nos. Montalbano wskazał mu krzesło i podsunął papierosa.

– Spieprzyliście sprawę, Peppe. Ty, Coco Bellia, Tito Farruggia i Pasquale Cirrincio.

– To przecież nie nasza robota.

– Wiem, że nie wasza.

Słowa komisarza zdumiały Peppe.

– A mimo to wasza sprawa jest spieprzona. A wiesz, dlaczego tamci z Montelusy nie mogli tego załatwić inaczej, jak tylko wydać nakaz aresztowania całej waszej bandy? Powiem ci, dlaczego. Pasquale Cirrincio zgubił portfelik ze swoim dowodem w supermarkecie.

– O jegoż ty... – wybuchnął Peppe Nasca.

I posypała się cała lawina wyzwisk, przekleństw i pogroźek. Komisarz pozwolił mu się wyładować.

– Ale jest jeszcze coś gorszego.

– Co tu jeszcze może być gorszego?

– To, że jak już was wsadzą, to wasi kompani z celi wydrwią was i sponiewierają. Straciliście twarz. Ośmieszyliście się, wyszliście na głupców. Idziecie siedzieć, chociaż jesteście niewinni, bo przecież nie ukradliście. Staniecie się dla wszystkich strasznymi kutasami.

Peppe Nasca był człowiekiem inteligentnym. Czego dowiódł swoim

pytaniem:

– Proszę mi powiedzieć, panie komisarzu, dlaczego pan jest pewien, że to nie my ukradliśmy?

Komisarz zamiast odpowiedzi otworzył lewą szufladę. Wyjął z niej kasetę magnetofonową i podsunął Peppe.

– Widzisz to? Nagranie zostało zarejestrowane w twoim domu.

– W moim?

– Tak, tak, w twoim. Nagraliśmy to w nocy z dwudziestego siódmego na dwudziestego ósmego, są tam wasze cztery głosy. Wystawiłem nakaz inwigilowania was. Rozmawialiście o planowanej kradzieży w „Omnibusie”. Tyle że następnej nocy. A tymczasem wyprzedziła was inna banda, sprytniejsza od was.

Włożył kasetę na powrót do szuflady.

– I dlatego jestem pewien, że to nie wasza sprawka.

– W takim razie wystarczy, że pan da posłuchać kasety tamtym z Montelusy i od razu będzie wiadomo, że to nie my.

Montalbano wyobraził sobie twarze tamtych z Montelusy, słuchających kasety! Było to specjalne nagranie z *Symfonii* Beethovena, które Livia zdobyła dla niego w Genui.

– Peppe, zastanów się. Kasetka może być dowodem waszej niewinności, ale też może być żelaznym dowodem waszej winy.

– Nie rozumiem, panie komisarzu.

– Na taśmie nie ma daty nagrania. Tylko ja ją znam. A jeśli coś mi strzeli do głowy i będę się upierał, że ten podsłuch został zarejestrowany dwudziestego szóstego, na noc przed kradzieżą, to jak będziecie wyglądać? Wy zapłacicie za to więzieniem, a tamci, sprytniejsi od was, będą sobie hulać na wolności.

– Dlaczego pan miałby zrobić coś takiego?

– Nie powiedziałem ci, że zrobię. Ale mogę. Krótko mówiąc, jeżeli dałbym tę kasetę posłuchać komuś z waszych kompanów, a nie tamtym z posterunku w Montelusie, to będziecie skończeni. Raz na zawsze. Przepadniecie. Żaden paser nie sprzeda waszych fantów. Nie znajdziecie nikogo, kto wam pomoże. Wspólnicy się ulotnią. Skończy się zabawa w złodziei. Rozumiesz mnie?

– No tak.

– W takim razie nie pozostaje ci nic innego, jak tylko zrobić to, o co cię poproszę.

– A czego pan chce?

– Chcę ci podpowiedzieć, jaką masz z tego drogę wyjścia.

– To proszę mi podpowiedzieć.

I Montalbano mu ją podpowiedział.

Trzeba było dwóch godzin, żeby przekonać Peppe Nascę, że ma tylko to jedno do zrobienia. Potem Montalbano przekazał Peppe Faziowi.

– Jeszcze nie zawiadamiaj tamtych z Montelusy.

Wyszedł z biura. Była druga po południu, ale na ulicach nie było już prawie nikogo. Wszedł do budki telefonicznej, wybrał numer do Montelusy i zacisnął sobie palcami nos.

– Halo? Karabinierzy? Robicie głupstwo. Supermarket okradła banda z Caltanissetty, ta, którą kieruje Filippo Tringali. Nie, niech mnie pan nie pyta, kto mówi, bo się wyłącze. Mogę panu tylko powiedzieć, gdzie jest to, co wynieśli, bo jeszcze trzymają to na ciężarówce. W hali firmy Benincasa, przy szosie z Montelusy do Trapani, na wysokości skrzyżowania do Melluso. Pospieszcie się, bo chyba jeszcze tej nocy zechcą te rzeczy wywieźć inną

ciężarówką.

Odwiesił słuchawkę. Pamiętając swoje niedobre doświadczenia z karabinierami z Montelusy, uznał, że będzie lepiej trzymać Pasquale u siebie w domu, może już bez kajdanków, ale aż do zmroku. Potem pojedą razem do Adeliny. I on, komisarz, będzie się mógł rozkoszować pomarańczkami nie tylko dlatego, że okażą się niebiańsko dobre, ale także dlatego, że będzie w zgodzie ze swoim sumieniem gliniarza.

Od autora

Trzy z dwudziestu zebranych tu opowiadań były już częściowo publikowane: *To samo nazwisko*, napisane dla Telecomu, ukazało się w „Specchio” (magazynie dziennika „La Stampa”), *Montalbano odmawia* w dzienniku „Il Messaggero” a *Pomarańczki komisarza Montalbano* w dzienniku „La Stampa” Wreszcie opowiadanie czwarte, *Gra w trzy karty*, drukował periodyk „Delitti di carta” wydawany w Bolonii.

Czytelnik może stwierdzić, że niektóre z opowiadań mają pewien związek z faktami z kroniki kryminalnej; dlatego uważam za swój obowiązek oświadczyć, że taki realny punkt wyjścia nie ma nic wspólnego z sytuacjami, nazwiskami i osobami, ukazanymi tutaj przeze mnie zgodnie z wymaganiami narracji.

Książkę dedykuję Silvii Torrioli i jej bratu Francesco, a także Alessandrze i Ariannie Mortelliti.

A.C.

Nakładem wydawnictwa Noir sur Blanc ukazały się następujące utwory
Andrei Camilleriego:

KSZTAŁT WODY

2007

PIES Z TERAKOTY

2007

ZŁODZIEJ KANAPEK

2007

ZNIKNIĘCIE PATÒ

2004

GŁOS SKRZYPIEC

2008

MIESIĄC Z KOMISARZEM MONTALBANO

2008

POMARAŃCZKI KOMISARZA MONTALBANO

2009

WYCIECZKA DO TINDARI

2007

ZAPACH NOCY

2008

PIWOWAR Z PRESTON

2008

OBIETNICA KOMISARZA MONTALBANO

2009

KOLOR SŁOŃCA

2009

CIERPLIWOŚĆ PAJĄKA

2010

PENSJONAT „EWA”

2010

PAPIEROWY KSIĘŻYC

2011

SZARY KOSTIUM

2011

SIERPNIOWY ŻAR

2012

SKRZYDŁA SFINKSA

2013

SEZON ŁOWIECKI

2014

POLE GARNCARZA

2014

WIEK WĄTPLIWOŚCI

2015

ŚMIERĆ NA OTWARTYM MORZU

2016